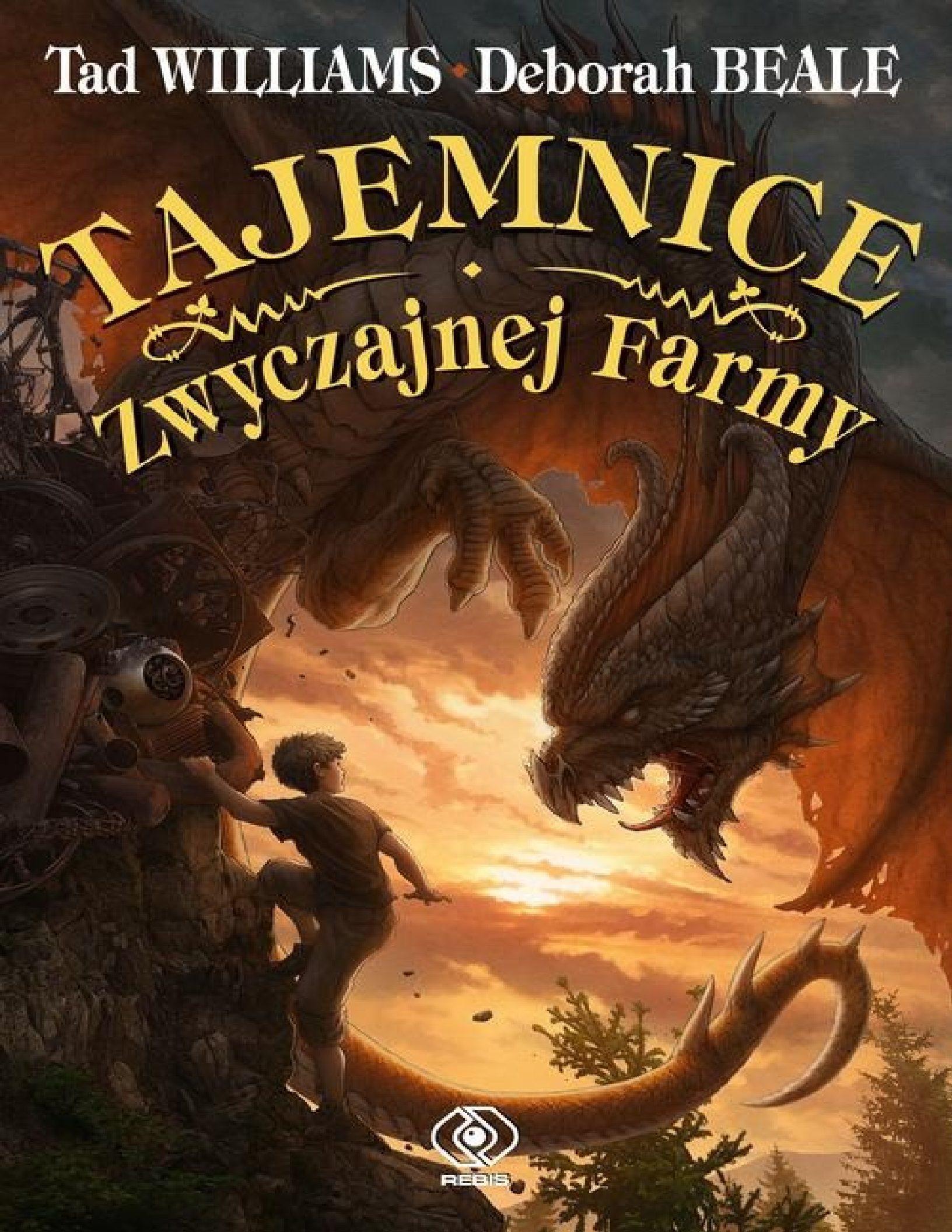


Tad WILLIAMS · Deborah BEALE

# TAJEMNICE Zwyczajnej Farmy



REBIS

# Tad Williams

## Deborah Beale



Zwyczajnej Farmy



REBIS

2012

# Spis treści

Karta tytułowa

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Blurb

# Prolog

Szybciej! Pospiesz się, mały geniuszu. - Słysząc było, że pan Dobrochodzki ma paskudny nastrój, choć z drugiej strony trudno było się temu dziwić. Pan Dobrochodzki nie przepadał za Colinem i dawał mu to do zrozumienia niemal codziennie. - Dzieci będą tu za kilka godzin i Gideon chce, żeby wszystko było przygotowane.

Colin Needle zrobił minę, ale nie odezwał się ani słowem, pochylając się jedynie jeszcze bardziej nad laptopem. Nad odległymi wzgórzami przetoczył się grom. Czuło się niemal fizyczną obecność ciężkiego, gorącego powietrza. Dzieci to, dzieci tamto - po dziurki w nosie miał wysłuchiwanie tych bzdur! Wszyscy na Zwyczajnej Farmie z wyjątkiem Colina i jego matki najwyraźniej uważali Lucindę i Tylera Jenkinsów za ósmy cud świata, ale w rzeczywistości była to tylko dwójka rozrabiaków. W zaledwie kilka tygodni zeszłego lata małym Jenkinsom udało się zniweczyć wszystkie misterne plany Colina, by usprawnić Zwyczajną Farmę, a teraz wracali na kolejne letnie wakacje. Lucinda i Tyler, Tyler i Lucinda - miał dość wysłuchiwania ich imion w każdym kontekście i nie mógł znieść tego, że wszyscy mieszkańcy farmy robili z ich powrotu takie wielkie halo.

Niebo znów zawarczało złowroźnie. Pierwsza gruba kropla deszczu spadła na ekran Colina. Pogoda była dziwna przez całą wiosnę i nie wykazywała najmniejszych tendencji do zmian - dni były równie gorące jak zwykle o tej porze roku, ale również duszne, pochmurne i często burzowe. Colin Needle nigdy nie był w kraju tropikalnym, ale wyobrażał sobie, że pogoda wygląda tam właśnie tak, jak ostatnio w rodzinnej Kalifornii.

Wielki wiking Ragnar skończył instalację skomplikowanej nowej

bramy w ceglanej stodole i teraz zbliżył się do niego, wycierając z czoła szerokim przedramieniem krople potu bądź deszczu.

— Dlaczego wciąż się guzdrzesz, Needle? - zapytał stanowczym głosem. - Skończyliśmy wszystkie ciężkie prace, chłopcze! Odczyń wreszcie te swoje zaklęcia, żebyśmy mogli napić się czegoś zimnego.

— To nie jest żadna magia ani zaklęcia - rzucił Colin przez zaciśnięte zęby. - Staram się podłączyć nową bramę i ogrodzenia do sieci komputerowej, żebyśmy mogli sterować nimi z daleka. Wyjaśniałem to już wiele razy.

— Powiedziałaś, że twoje płaskie pudełko może sterować nimi przez niewidzialną błyskawicę, co wędruje w powietrzu - powiedział Ragnar. - Cóż to niby ma być, jeśli nie magia?

Colin skrzywił się. Nikt poza nim na Zwyczajnej Farmie nie wiedział niczego o elektryczności czy komputerach, a tym bardziej o sieci bezprzewodowej - większość z nich urodziła się wiele stuleci przed wynalezieniem tych rzeczy. Nawet jego matka, która nauczyła się korzystać z internetu oraz zapisywać wyniki swych badań i dane farmy w komputerze, nie zdołałaby choćby zbliżyć się do tego, co sam Colin potrafił zrobić z tym urządzeniem. Nadejdzie taki dzień, w którym nie będzie już Gideona i on, Colin Needle, będzie tu rządził. Lucinda i Tyler Jenkinsowie będą musieli robić to, co im każe - jeśli w ogóle pozwoli im odwiedzić farmę.

Nawet matka Colina, choć była wystarczająco przerażająca, będzie musiała robić to, czego będzie chciał...

Głęboki, urywany warkot dobiegł z końca stodoły i Colin Needle podskoczył ze strachu. Ragnar wybuchnął śmiechem i klepnął się po udzie - podobnie jak pan Dobrochodzki, Ragnar dawał Colinowi do zrozumienia, że za nim nie przepada.

— Nie wyskocz ze skóry, chłopcze! To tylko mantykorki mówią, że nudno im w klatkach. Chcą wyjść i pobawić się chwilę z tobą!

— Bardzo śmieszne - rzucił Colin, choć drżał cały. - To krwiożercze bestie.

— A przez kogo Gideon zaczął tak bardzo przejmować się ochroną farmy? - Pan Dobrochodzki wskazał na zasuwaną elektryczną bramę, którą teraz kończyli montować z takim trudem. - A kto ściągnął wrogów Gideona na naszą ziemię?

— Zostawcie mnie w spokoju, dobrze? Przecież przeprosiłem wszystkich! Z tysiąc razy!

W rzeczywistości Colin uważał nową obsesję Gideona na temat zabezpieczeń za najmądrzejszy pomysł od lat, ale nie zamierzał spędzać więcej czasu wśród uwięzionych potworów, niż to było absolutnie konieczne. Było coś w ich pomarańczowych ślepiach - jakiś taki chłód, jakby wiedziały...

— Mówiliście, że ich klatka jest mocna, tak? - zapytał nieprzyjazną dwójkę. - No tak? W takim razie zejźcie mi z drogi i dajcie mi to sprawdzić.

Colin nacisnął przycisk „Otwórz” na ekranie komputera. Kilka metrów dalej jęknął silnik i po chwili metalowe drzwi stodoły zachrzęściły, przesuając się na bok na małych kółkach. To naprawdę przypominało czary, pomyślał z dumą Colin. Mantykory usłyszały hałas i zaczęły pomrukiwać i poszczekiwać we wnętrzu zagrody. Colin czuł niesłychaną ulgę, że dzikie stworzenia są zamknięte za metalowymi prętami - ich długie, żółte kły, szponiaste palce i dziwnie inteligentne, choć pozbawione emocji ślepie nawiedzały go ostatnio w koszmarnych snach.

Strugi gęstego deszczu upstrzyły ziemię, spadając ciepłą strugą na szyję Colina. Otwierał i zamykał bramę jeszcze kilka razy, żeby upewnić się, że wszystko jest jak należy, po czym wyłączył program, gdy tymczasem Ragnar i pan Dobrochodzki zapinali wszystko na ostatni guzik.

Simos Dobrochodzki zagwizdał na niego tak, że Colin najeżył się cały -

żeby gwizdać na niego jak na psa!

— Needle - rzucił - chwyć koniec tej metalowej linki i przytrzymaj, kiedy będę ją zwijał.

Pan Dobrochodzki nie pocił się nawet przy największych upałach, ale zdjął kapelusz i przebiegł palcami przez włosy, sprawdzając zwój pokrytego plastikiem kabla. Rogów nie spiłowywał od kilku dni i wyglądały niczym niewielkie ucięte konary drzewa, wyrastające mu tuż nad skroniami.

— To nie jest metalowa linka - powiedział Colin. - To kabel. To się nazywa „kabel”.

Stary Grek wybuchnął śmiechem pozbawionym wesołości.

— Wiedziałeś jednak, o co mi chodziło. A teraz zrób coś pożytecznego, chłopcze. Przytrzymaj metalową linę i zamknij buzię. Jedno i drugie bardzo mi pomoże.

Colin przełknął w ustach ciętą ripostę. Jeszcze zobaczycie, pomyślał. Pewnego dnia naprawdę będę tu rządził, bez względu na to, co sobie myślą ci nadęci Jenkinsowie. A kiedy to się stanie, wszystko się zmieni. Bardzo się zmieni.

Letnia burza już przeniosła się na drugą stronę doliny, a jej ostatnie mokre ślady wsiąkły w ziemię. Kiedy ucichły odgłosy gromu, Colin mógł w końcu usłyszeć dźwięki dobiegające ze stodoły, z drugiej strony nowej bramy - niespokojne pomruki wielkich, głodnych stworzeń, które tylko czekały, by się wydostać.



# Rozdział 1

## Farma zimnowojenna

Nie mogę uwierzyć, że wyjechałeś po nas, wujku Gideonie! - Czternastoletnia Lucinda Jenkins odwróciła się do młodszego brata. - Czy to nie wspaniałe? Wróciliśmy!

Choć raz nawet Tyler nie starał się udawać twardziela.

— Jasne - odparł, uśmiechając się szeroko. - To naprawdę fantastyczne.

Widok podekscytowanej siostry był zabawny - to była dziewczyna, która uważała, że nawet Planetoida, najlepsza gra komputerowa w historii ludzkości, jest „meganudna”. W rzeczywistości Tyler był też mocno podekscytowany i nawet niespotykana tu plucha niosła z sobą zapowiedź nowych wrażeń.

Wuj Gideon też wyglądał na zadowolonego z ich obecności, co było miłą odmianą po zeszłym lecie, kiedy to przeważnie zachowywał się tak, jakby żałował, że zaprosił ich na swoją niezwykle niezwykłą farmę. Gideon Goldring wyglądał, jakby zdrowie zaczęło mu wyraźnie dopisywać od czasu ostatniego spotkania - miał nawet na sobie prawdziwe ubranie, a nie jak poprzednio szlafrok i piżamę. Oczywiście szopa białych włosów jak zwykle była mocno rozczochrana, ale czysta, a skórę miał opaloną, jakby od dłuższego czasu przebywał na świeżym powietrzu.

— Bardzo się cieszę, że znów do nas zawitaliście! - powiedział ich stryjeczny dziadek ze śmiechem. - A teraz dzieci, szybko! Mamy przed sobą długą jazdę, a wszyscy wyczekują waszego przybycia.

Simos Dobrochodzki, prawa ręka Gideona - starszy mężczyzna w kapeluszu i wysokich butach skrywających jego prawdziwą tożsamość, którą poznali Tyler z siostrą - skinął głową i może by się nawet uśmiechnął, ale jawne okazywanie uczuć nie było w jego stylu. Wrzucił dwie wielkie walizy na wóz, jakby ważyły tyle, co miękkie poduchy, po czym sam wskoczył na kozła. Lucinda wdrapała się na wóz, a tuż za nią podążył Tyler.

Lucinda była tak podekscytowana, że buzia się jej nie zamykała.

— Ojej, wspaniale, że tu wróciliśmy! Wszyscy zdrowi? A co u zwierząt? Ooo, a jak mała smoczyca? W ostatnim liście pisałeś, wujku, że już sporo urosła! - Wuj Gideon wysłał ten list kilka dobrych miesięcy temu. Od kiedy do nich dotarł, Lucinda zamęczała swojego młodszego brata. - Wszystko z nią w porządku?

Gideon parsknął śmiechem.

— Tak, dziecko, wszystkie zwierzęta na farmie mają się dobrze. Podobnie jak wszyscy ludzie!

Pan Dobrochodzki, siedząc już na kozle, cmoknął na konia. Koń pociągowy o imieniu Pieprz parsknął, po czym zakręcił duże koło, wjeżdżając na główną drogę. Kilku mieszkańców miasteczka po drugiej stronie ulicy podniosło wzrok, a jeden czy dwóch pomachało im. Kolejna leniwa sobota w prowincjonalnym Standard Valley.

Gideon ściszy! głos.

— Nie powiedzieliście nikomu w domu, prawda? O farmie?

— Nie, wujku Gideonie! - wykrzyknęły dzieci jednocześnie, a Tyler dodał: - Nie zrobilibyśmy tego. Obiecaliśmy.

— No i bardzo dobrze. - Gideon rozsiadł się na ławeczce. - Bo to jest pierwsza, podstawowa zasada. W gruncie rzeczy to jest niemal jedyna zasada, jaką mamy!

Wcale, że nie, pomyślał rozbawiony Tyler. Masz ich kilka, szczywany lisie. Nie zadawać za wiele pytań na temat zwierząt. Nie pytać o Linie

Uskoku, skąd pochodzą zwierzęta. Nie pytać o to, co się stało z twoją żoną, Grace. I zupełnie nie poruszać tematu, dlaczego wiedźma jest u ciebie gospodynią...!

Ale oczywiście Tyler nie wypowiedział ani słowa na głos. Przetrwał całe niezwykle, wspaniałe i bardzo niebezpieczne lato na Zwyczajnej Farmie w zeszłym roku i jednego nauczył się doskonale - wiedział, że jeśli Gideon Goldring miał dobry nastrój, najlepiej było trzymać buzię na kłódkę i cieszyć się z tego.

A ich stryjeczny dziadek naprawdę miał dobry humor, jakby zatęsknił za dziećmi niemal tak mocno, jak one tęskniły za Zwyczajną Farmą. Tyler nie odliczał aż tak bardzo minut roku szkolnego, dzielących ich od powrotu, jak jego siostra, ale też z całą pewnością wyczekiwał tej chwili. I też się tym przejmował. Tak wiele tajemnic - tak mnóstwo zwariowanych, niebezpiecznych sekretów!

I teraz wszystko zaczyna się od nowa, pomyślał. Całe dziesięć tygodni. Wszystko może się wydarzyć!

— Ojej. Naprawdę wracamy. - Lucinda wpatrywała się w drogę wijącą się w kierunku doliny. - Nie mogłam się doczekać!

— Wygląda tak samo? - zapytał Gideon. - Tak jak ją zapamiętałaś?

— Lepiej. Kiedy zobaczę smoki? - Tyler wiedział, że nie mogła się doczekać, żeby z nimi porozmawiać, bo pod koniec zeszłego lata przekonała się, że to potrafi - dzisiaj w pociągu nie była w stanie mówić o niczym innym. - Wujku Gideonie, czy mogłabym się z nimi zobaczyć, wysiąść po drodze? Zanim pójdziemy do domu? Gadzia Obora jest po drodze, o tam, moglibyśmy...

Pan Dobrochodzki mruknął coś z dezaprobatą, ale Gideon wciąż był w wybornym nastroju.

— Chyba moglibyśmy, tylko na chwilę - jeśli obiecasz, że będziesz grzeczna...!

— Będę, będę. Och, dziękuję ci, wujku Gideonie!

Starszy pan uśmiechnął się.

— Tylko nie mówcie pani Needle. Ona nie lubi żadnych zmian planów.

Nie lubi niczego, co żyje własnym życiem, mruknął Tyler pod nosem, ale wiedział, że w tej chwili entuzjazm Lucindy nie osłabłby, nawet gdyby Patience Needle nadleciała na ich powitanie na miotle.

Zjechali drogą w dół i przekroczyli Kumish Creek, po czym jechali wzdłuż nowego, niezwykle wysokiego ogrodzenia otaczającego całą posiadłość, Tyler nie mógł nie zauważyć tablic NIEBEZPIECZEŃSTWO - OGRODZENIE POD NAPIĘCIEM.

— Naprawdę jest pod prądem? - zapytał.

— Nie na tyle silnym, by kogoś zabić - odparł Gideon. - Ale wystarczającym, by powstrzymać wszelkich intruzów od wspinaczki po nim. A gdyby chcieli spróbować innej drogi, cóż... - Wskazał niewielki przedmiot w kształcie kopułki na szczycie słupa ogrodzenia. - Mamy kamery - działają też w nocy! - Gideon parsknął śmiechem. - Teraz pan Dobrochodzki ma o wiele mniej pracy przy pilnowaniu posiadłości, mam rację, Simos?

— Nie prosiłem o to. - W głosie pana Dobrochodzkiego słychać było wyraźny zawód. - Moje uszy i mój nos wciąż lepiej działają niż to patrzące pudełko.

— Tak, ale nawet ty nie jesteś w stanie dopilnować wszystkiego, co się dzieje w całej dolinie. - Gideona najwyraźniej bawiła uraza, z jaką jego zarządca podchodził do nowej technologii. - Przyda ci się ta cała technika. Nie robisz się coraz młodszy, Simosie.

— Perykles też tak do mnie mówił.

Pan Dobrochodzki odwrócił się i znów wbił wzrok w drogę biegnącą wzdłuż ogrodzenia. Zbliżali się do dużej, drewnianej bramy, której wcześniej też tu nie było.

— Wcale nie znał Peryklesa - rzucił Gideon scenicznym szeptem. - Przesadza jak zwykle.

Ponieważ Tyler też nie znał faceta, mógł tylko wzruszyć ramionami.

— A więc to jest nowa brama?

— Tak, jedna z kilku.

— Ale po co?

Lucinda była wyraźnie zaniepokojona i Tyler nie mógł jej za to winić. Wzgórza i dolina nie zmieniły się w ogóle, ale coś z całą pewnością wyglądało inaczej - czterometrowa stalowa brama wzmocniona wielkimi drewnianymi balami. Tyler pomyślał, że wygląda to na wjazd do jakiejś fortecy albo do... więzienia.

— Pisałem wam w liście na święta Bożego Narodzenia - powiedział Gideon. - Pisałem wam, że musicie poczekać z wizytą do lata, aż wprowadzimy pewne zmiany. Cóż, to jest jedna z nich. Mamy nowe ogrodzenia i bramy na całej farmie - po prawdzie, to mamy cały nowy system bezpieczeństwa!

— Trochę to dziwne - powiedziała Lucinda. - Wygląda jak... jak...!

— Berlin Wschodni - dokończył Tyler, który właśnie przerabiał okres zimnej wojny na lekcjach historii Ameryki.

Gideon pokręcił głową z dezaprobatą, a jego dobry nastrój uleciał w jednej chwili.

— Nie bądź głupi! Mur berliński miał zatrzymać ludzi w środku. Ja chronię się przed ludźmi, którzy chcą zakraść się do mojej posiadłości i wykraść mi jej tajemnice. To zupełnie coś innego! - Obrzucił dzieci gniewnym spojrzeniem. - A może zapomnieliście, co się wydarzyło zeszłego lata?

Tyler stwierdził, że nastąpił właściwy moment, by zakończyć temat bramy.

— Nie zapomnieliśmy, wujku Gideonie.

— Oczywiście, że nie, wujku Gideonie - zawtórowała mu Lucinda. - Rozumiemy.

Tyler spojrzał wzdłuż ogrodzenia, które rozciągało się jak okiem

sięgnąć w jedną i drugą stronę.

— Wygląda... hmm... na bardzo bezpieczne.

Gideon wybuchnął chropawym śmiechem.

— No pewnie, że tak! Wiecie, ile kosztowało postawienie tego ogrodzenia i zamontowanie kamer na tak wielkim obszarze? Pochłonęło niemal wszystkie pieniądze, którymi Ed Stillman starał się przekupić Simosa! A to był kawał grosza!

Tylko że Tyler wiedział, iż tak naprawdę nie były to pieniądze na łapówkę. Miliarder Ed przywiózł je tutaj, by kupić smocze jajo od Colina Needle'a, co było zbrodnią przeciwko Zwyczajnej Farmie, którą Tyler i Lucinda powstrzymali, jednocześnie skutecznie ukrywając ten fakt przed swoim stryjecznym dziadkiem.

Gideon zszedł z wozu i wbił kilka cyfr na klawiaturze przy bramie. Zamek odskoczył ze stukotem, a ciężka brama odsunęła się na bok na niewielkich kółkach. Kiedy przejechali przez szczelinę, sama zasunęła się na miejsce.

— To dlatego, żeby nikt jej nie zostawił otwartej przez pomyłkę - powiedział Gideon. - Wspaniałe usprawnienie, a są jeszcze inne, których nie widzieliście! Teraz naprawdę jesteśmy bezpieczni. Niech sobie zbiry Stillmana starają się wśliznąć do środka!

Nawet Lucinda w końcu zamilkła. Kiedy skierowali się do Gadziej Obory, wciąż ciągnął się przed nimi wysoki cień bramy wjazdowej.

# Rozdział 2

## Płonąca flegma

Kiedy zajechali przed Gadzią Oborę, Lucindzie wydawało się, że ktoś ich woła. Pan Dobrochodzki też musiał to słyszeć, bo odwrócił się i ruszył w kierunku zabudowań gospodarczych. Zbliżało się do nich coś dziwnego, coś niezwykłego, wyprostowanego, wzbijającego tuman kurzu.

— O zaraza - mruknął Tyler. - To on.

Colin Needle jechał chwiejnie w ich kierunku, podskakując w górę i w dół na siodełku zwykłego, staromodnego, czarnego bicykla.

Tyler zaśmiał się.

— Ej, fajny wózek, Needle! Czy to rower mamusi?

— Och, ja też się niezwykle cieszę na twój widok, Jenkins - rzucił Colin z ustami zaciśniętymi w nieprzekonującym uśmiechu, kiedy zatrzymał się gwałtownie tuż obok nich. - Cześć, Lucinda - powiedział do niej. - Witamy z powrotem na farmie. - Wyglądało na to, że przynajmniej to powitanie jest szczere.

Lucinda zauważyła, że Colin jest wyższy i szczuplejszy niż zeszłego lata. Był też wystrojony w starą, niedopasowaną marynarkę i spodnie z tego samego materiału - z włosami zmierzwionymi odjazdy na rowerze wyglądał jak obwoźny strach na wróble.

— Cześć, Colin - powiedziała. - Dobrze wyglądasz w garniturze.

Nie była to najprawdziwsza prawda, ale Lucinda postanowiła zacząć to lato od przyjaznych gestów - nie była przekonana, że Colin Needle jest zły do szpiku kości. Tyler parsknął, ale zarówno Colin, jak i Lucinda

zignorowali go.

— Dzięki. - Colin pospiesznie odwrócił się do Gideona, jakby nagle zawstydzony wzrokiem Lucindy. - Moja matka widziała, jak tu skręcacie, i wysłała mnie, żebym przypomniał, iż Sara trudziła się cały dzień, by ugotować smaczny posiłek, który w końcu zrobi się zimny.

— Widziała nas? Musiała pewnie patrzeć przez moją lornetkę! - Gideon zwrócił się do Tylera i Lucindy. - Co, jak sądzę, oznacza, że musimy się pospieszyć. - W jego głosie pobrzmiewała radość małego chłopca łamiącego wyznaczone zasady. - Zanim Patience straci cierpliwość!

Nawet najbardziej poprawnie zachowująca się Lucinda nie była w stanie dobrze udać, że rozbawił ją ten żarcik, niemniej jednak parsknęła posłusznie śmiechem.

— Colin, chodź ze mną - powiedziała. - Chcę tylko wejść i zobaczyć smoki. No, chodź ze mną! Tylko tam i z powrotem.

Colin, który właśnie zsiadał z roweru, zatrzymał się nagle.

— Eeee... Nie, dzięki. Ty idź, ja poczekam.

— Nie bądź głuptasem! Możesz mi opowiedzieć, co robiłeś od zeszłego lata. - Lucinda miała ochotę wziąć go pod ramię, ale się powstrzymała. Pragnęła być tym razem miłsza dla tego wysokiego, niezgrabnego chłopaka, ale nie chciała przy tym, żeby sobie coś złego pomyślał. - No, chodźże!

Colin niechętnie - baaardzo niechętnie - dołączył do grupki, a pan Dobrochodzki otworzył ciężkie drzwi.

Powietrze wewnątrz olbrzymiej obory było przynajmniej tak nagrzane, jak na zewnątrz, a także przesączone piżmowym zapachem dzikich zwierząt. Lucinda robiła, co mogła, by ignorować smród - w końcu czekała na tę chwilę od wielu miesięcy, tak jak mała dziewczynka czeka na lalkę, którą ma dostać na Gwiazdkę.

Meseret, dorosła smoczyca, leżała wyciągnięta w swojej zagrodzie, ze



skrzydłami ułożonymi wzdłuż ciała, wielka jak autobus, piękna i straszna zarazem. Lucinda nie mogła się powstrzymać i aż pisnęła z radości na jej widok. Meseret przypominała postać znaną z baśni, masywna, ze skórzastymi łuskami i węzłami mięśni, wystającymi pod skórą kośćmi - coś, co nie powinno znaleźć się w prawdziwym świecie... a jednak się znalazło. Oczy z wąskimi, pionowymi źrenicami obserwowały całą ich grupkę i nie zdradzały żadnych uczuć.

Słyszysz mnie, Meseret? Lucinda robiła, co mogła, by przemówić do niej w myślach. Pamiętasz mnie? Leciałyśmy razem! Choć całkowicie bezstronny obserwator powiedziałby raczej, że tamtej letniej nocy Lucinda wisiała bezwładnie na uprzęży Meseret. Pamiętasz mnie? Jestem Lucinda! Starła się przekonać samą siebie, że na początek nie powinna zbyt wiele oczekiwać, ale i tak nieczułe milczenie olbrzymiej Meseret ją zabiło. Pamiętasz? Pomogłam ocalić twoje jajko!

— Popatrzcie tylko na to! Mała też tu jest! - zawołał Tyler, a Lucinda niechętnie odwróciła się od dużej smoczycy.

— Wujek pisał w liście na Boże Narodzenie, że nazwał ją Desta - zwróciła się do Gideona.

Jej stryjeczny dziadek przytaknął.

— To po etiopsku znaczy „szczęście”. Moja żona Grace miała kiedyś psiaka o tym imieniu, który był jej bardzo drogi...

Desta zupełnie nie przypominała psiaka ani w ogóle szczeniaka jakiegokolwiek gatunku, przynajmniej w porównaniu do tego maleństwa, które wykuło się zeszłego lata w kuchni na farmie. Młody smok miał teraz rozmiary żrebaka. Pod wieloma względami stanowiła mniejszą, szczuplejszą wersję swej matki, ale miała ciemno-płową barwę, w odróżnieniu od matczynej ziemiasto-szarozielonej, z okrągłymi ceglanyimi rozetkami wokół bladooliwkowych kolców biegnących wzdłuż jej grzbietu. Łuski Desty, niektóre tak duże jak dłoń Lucindy, inne tak małe jak pół jej paznokcia w małym palcu, błyszcząły i połyskiwały, gdy pod

skórą małego smoka poruszały się mięśnie.

Młoda smoczyca też obserwowała Lucindę i Tylera, choć najwyraźniej miała ochotę wrócić do przerwanej drzemki.

— Ale fajnie - wyszeptał Tyler.

— Czy coś jej dolega? - zapytała Lucinda, wpatrując się w pasy krępujące korpus Desty. Pęta łączyły się z łańcuchem przymocowanym do dużego kółka umieszczonego w betonowej podłodze zagrody, nieopodal sterty słomy, której używała jako legowiska. - Co ona ma na sobie?

— Uprząż - odparł Gideon. - Musi ją nosić. Wkrótce nauczy się latać, sama rozumiesz. Nie chcemy, żeby nagle sobie gdzieś odleciała.

— Jak znam życie, nie jest tym zachwycona.

— Nie roztkliwiał się nad zwierzętami - powiedział jej stryjeczny dziadek. - To błąd.

Nagle Meseret warknęła i chociaż mama smoczyca znajdowała się w pewnej odległości od Lucindy, ta poczuła cichy dudniący odgłos w stopach.

— Dlaczego tak powarkuje? - zapytała Lucinda. - Coś jej dolega?

— Cieszy się doskonałym zdrowiem - odparł Gideon. - Pewnie jest głodna i...

Meseret uniosła potężny łeb i kręciła nim z boku na bok, jakby falujące nozdrza wyczuwały coś w powietrzu.

— Gideonie... - odezwał się Colin - może powinniśmy... może już czas, żeby... - Lucinda nie mogła nie zauważyć, że starszy chłopak jest przerażony nie na żarty. - Ja tylko...

Lucinda aż podskoczyła, słysząc dziwny, głośny odgłos, mokre plaśnięcie, jakby ktoś wystrzelił z pistoletu startowego pod wodą. Colin Needle podskoczył, drąc się z bólu i zaskoczenia.

— Auuuu! Ach, na pomoc, pali! Pali mnie!

Lucinda obróciła się na pięcie i zobaczyła, jak Colin podskakuje i miota

się gwałtownie. Jakaś gruba, kleista ciecz ściekała mu po marynarce - i dymiała. W sekundę później marynarka Colina buchnęła płomieniami.

Na całe szczęście pan Dobrochodzki znajdował się o kilka metrów dalej. Żyłasty stary Grek rzucił się w jego kierunku z tak niewiarygodną szybkością, że zanim Lucinda otworzyła usta, by krzyknąć o pomoc, Dobrochodzki zdarł płonąca marynarkę z Colina i odrzucił ją na bok. Cisnął pobladłego, jęczącego chłopaka na ziemię i przetoczył go tam i z powrotem, by ugasić resztkę płomieni. Jeszcze przez dłuższą chwilę po tym, jak zdusił płomień, trzymał Colina przy ziemi. Czarnowłose chłopak leżał, drżąc na całym ciele i łapiąc oddech.

— Nic mu nie będzie? - zapytała Lucinda. - Colin, nic ci nie jest?

— Nie jest źle - stwierdził pan Dobrochodzki. - Matka da mu coś na oparzenia. - Nie wydawał się specjalnie przejęty całym zajściem.

Kiedy pan Dobrochodzki i Gideon postawili wysokiego, bladego chłopaka na nogi i wyprowadzili go z obory, Tyler podkradł się do Lucindy i wyszeptał: - Cóż, zdaje się, że smoki są dość pamiętliwe, co? Mama Desty nie zapomniała, kto ukradł jej jajko.

— Tyler, nie bądź wredny! - W końcu dotarły do niej jego słowa. - Zaraz, chwileczkę - chcesz powiedzieć, że to Meseret? To ona? Co zrobiła?

— Zdaje się, że wciąż pamięta wyczyn Colina z zeszłego lata. Opluła go z takiej odległości! I to jak! - Potarł usta, by ukryć wyszczerzone w uśmiechu zęby. - Płonąca flegma.

W oddali odezwał się odgłos gromu. Najwyraźniej burza przechodziła bokiem.

Lucindy w ogóle to nie rozbawiło. Wręcz przeciwnie, czuła mdłości - i wszystko dlatego, że chciała okazać komuś sympatię...!

— Biedny Colin. Nie chciał się zbliżyć do smoków, a ja go do tego zmusiłam...

— Nic mu nie będzie, Luce. Poza tym i tak sobie na to zasłużył -

zapytaj smoczej mamy!

Ale Lucinda z całą pewnością nie tak chciała zacząć to lato.

# Rozdział 3

## Na górę Syjon

Zboczenie z trasy i podróż do obory dla gadów wiązały się z obraniem innej drogi niż ta, którą zwykle jechało się z miasteczka. Tyler stwierdził, że to dziwnie intrygujące tak jechać przez sam środek farmy, mijając zabudowania i obory ze zwierzętami, zamiast oglądać je z oddali z drogi wśród wzgórz. Ze stoku wzgórza budynki pojawiały się poniżej niczym flota dziwnie pomalowanych statków kosmicznych, w czerwonych, żółtych, brązowych i białych barwach, ale teraz cały dom i połączone z nim budowle wyrastały przed nimi niczym bezkresne morze zębatych dachów i wieżyc - całe miasto z klocków, sklecone przez bandę upitych bożonarodzeniowym likierem elfów i porzucone pośród zapyłonej kalifornijskiej doliny.

— Luce, popatrz!

Jego siostra podniosła wzrok.

— O tak - westchnęła. - Naprawdę wróciliśmy.

Od jakiegoś czasu starała się pocieszyć Colina Needle'a, który z czerwonymi oczami i zaciśniętą szczęką leżał skulony na wozie. Tyler był niemal pewien, że obrażenia starszego chłopaka nie są tak ciężkie, jak chciałby to przedstawiać - na marynarce zapaliło się tylko kilka miejsc.

Lucinda posłała mu ostrzegawcze spojrzenie, kiedy wóz mijał stary silos zbożowy. Wysoka szara budowla przypominała nawiedzone domostwo z horrorów, choć w rzeczywistości była jedynie opustoszałym, drewnianym budynkiem skrywającym największą tajemnicę farmy - Linie Uskoku, wrota do innych czasów i miejsc, które

odkrył Octavio Tinker. Tyler nie wiedział, co Lucinda chciała mu dać do zrozumienia, patrząc na niego w ten sposób, ale też niewiele go to obchodziło - ona miała swoje smoki, a on Linie Uskoku. Tak naprawdę Tyler był przekonany, że jest jedyną istotą na świecie zdolną jeszcze raz wejść do środka i wyjść bez szwanku bez pomocy jakichkolwiek maszyn czy urządzeń. Czy wydawało się jej, że zapomni o tym fakcie przez całe lato?

Grupka ludzi przepychała się przy frontowych drzwiach głównego budynku farmy i wylewała na pokrytą dachem werandę. Grupa uśmiechniętych, przyjaznych, znanych twarzy, chcących ich powitać. Zanim jeszcze wóz się zatrzymał, pracownicy farmy pospieszyli do nich.

— Już jesteście! To dobrze, bardzo dobrze! - wykrzyknęła kucharka Sara, wycierając dłonie o swój fartuch, a jej rumiane policzki były jeszcze bardziej zarumienione niż zwykle, bo stała cały dzień przy kuchni.

Tyler dał się jej wyściskać bez narzekania, choć niemal go zadusiła - Sara była niska, lecz silna. Również bardzo poważnie podchodziła do uścisków - chwilę później schwytała jego siostrę i tak ją serdecznie witała, że Lucinda aż pisnęła. Dobry duch Sary wypełniał cały dom i był odpowiedzialny za wszystko to, co domowe i przyjazne w starej Zwyczajnej Farmie.

Pema, cicha młoda kobieta z dawnego Tybetu, i jej niemal całkowite przeciwieństwo, Azinza z Afryki, wysoka, ciemnoskóra i dumna, stały tuż za Sarą, by też dostać swoją porcję uścisków.

— Tęskniliśmy za wami - powiedziała Lucindzie Azinza. - Po waszym wyjeździe zrobiło się za spokojnie.

— Ale najwyraźniej z tym już koniec. - Sara zobaczyła, jak obok nich Gideon prowadzi Colina do domu. - A jemu co się stało?

Ale zanim Lucinda mogła odpowiedzieć, rzuciła się na nich większość pozostałych mieszkańców Zwyczajnej Farmy. Ragnar, wiking, dziadek o blond czuprynie i gęstej brodzie, zbudowany niczym zawodowy

zapaśnik, natarł na nich z szerokim uśmiechem i zaskoczył Tylera, ściskając go tak, że aż mu żebra zatrzeszczały. Kiwa, Jeg i Hoka, mongolscy pasterze, których Jenkinsowie przechrzcili na Trzech Amigos, pojawili się, szczerząc zęby w uśmiechu i wyciągając dłonie z podarkami własnego wyrobu - były to bransolety dla obojga, uplecione z długich pasm włosów.

— Końskie? - zapytała Lucinda.

— Nie koń - odparł najstarszy, Kiwa. - Jednorożec. Z ogonów, z grzyw. Zostawiają je na siatce i w krzakach.

— Ojej - mruknął Tyler.

Zawiązał swoją na nadgarstku z pomocą Jega. Plecione włosie było zaskakująco gęste i ciężkie, błyszczące niczym platynowa nić.

— Ale fajne - westchnęła Lucinda, przyglądając się swojej bransolecie.  
- Dziękuję!

Na końcu pojawiła się Ooola, dziewczyna, którą Tyler uratował przed niebezpieczeństwami epoki lodowcowej, teraz doprowadzona do ładu, w sukience, lecz wciąż z długą, kręconą kasztanową czupryną, najwyraźniej w dalszym ciągu opierającą się współczesnym technikom układania włosów. Ooola wzięła dłoń Tylera i przycisnęła ją ostrożnie do swego czoła. Tyler uśmiechnął się do niej, choć nie był całkiem pewien, co oznaczał jej gest.

— Dobrze cię widzieć - powiedziała, zerkając na niego nieśmiało spod zaskakująco długich rzęs.

Po chwili jakby przypomniała sobie o czymś i śmignęła na powrót do kuchni, zostawiając Tylera w niejakim zakłopotaniu, bo nie wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć.

Oczywiście na ich powitanie przygotowano wielki bankiet - eine Feier, jak to określiła Sara - i wkrótce poprowadzono dzieci do stołu. Tyler stwierdził, że to zupełnie rozsądne i uprzejme, by dla uhonorowania pracy kucharek całkowicie poświęcić się delektacji wszystkich potraw,

które przygotowały na ich przyjazd. Kiedy szedł wzdłuż stołu, na którym ułożono dania, odkrywał po kolei pieczone kurczaki, soczyste w środku, z chrupiącą skórką, enchiladę, casserole z domowymi tortillami, kilkanaście różnych sałatek i wielkie miski wypełnione grillowanymi karczochemi oraz letnią fasolą. Sara przyrządziła też specjalną potrawę zwaną Sauerbraten, taką pieczeń wołową z owocami i kapustą. Tyler spróbował ją z należytą ostrożnością, ale po kilku kontrolnych kęsach wrócił i nałożył sobie wielką porcję. Coś na Zwyczajnej Farmie wywoływało u niego prawdziwie wilczy głód, niespotykany w domu.

Później, kiedy wieczór przeszedł w noc, Sara przyniosła piwo dla dorosłych i dzbanek napoju truskawkowo-cytrynowego dla pozostałych, po czym usadowiła się całym swoim obfitym, ciepłym jestestwem między Lucindą i Tylerem.

— Aleście wyrosli! - Pani kuchni oglądała Lucindę od stóp do głów. - Tacyście wielcy! Wkrótce będziesz panienką, o tak, wiem, co mówię! - Lucinda splonęła rumieńcem. - A ty, Tyler, też jesteś dużo większy!

Tyler zaśmiał się.

— Och, jeszcze nieprędko dogonię Ragnara.

Sara pokiwała głową.

— Tak, biedny Ragnar ciężko haruje przy ogrodzeniach i bramach Gideona. - Wzruszyła ramionami.

— A co pani o tym wszystkim sądzi? - zapytał Tyler. - O tych nowych płotach i ochronie?

— Ach, co ja tam wiem. - Sara najwyraźniej niepewnie się czuła, rozmawiając na ten temat. - Skoro Gideon powiedział, że są nam potrzebne, to musi to być prawda. I wciąż mu smutno po zniknięciu żony.

— Biedaczek - odezwała się Lucinda. Żona Gideona, Grace, zniknęła kilkadziesiąt lat temu, ale ta tajemnica wciąż pozostała nierozwiązana. - Musi bardzo za nią tęsknić!

— Ale ty mu pomożesz Tyler! - Pema, drobna Tybetanka, pojawiła się



bezgłośnie. Zaczerwieniła się, kiedy wszyscy skierowali na nią spojrzenia, niemniej jednak dzielnie brnęła dalej: - No bo przecież odnalazłeś jej naszyjnik zeszłego lata. Teraz zawsze go ma przy sobie! Zawsze nosi go na szyi. Kiedy mu smutno, sięga do niego i... - Pogładziła niewidoczny przedmiot na swojej szyi. - O tak. I już mu mniej smutno. - Wskazała na Gideona. - Patrz - powiedziała - właśnie to robi.

Tyler odwrócił się, by spojrzeć na Gideona. I rzeczywiście staruszek gładził złoty łańcuch z zawieszonym zamykanym medalikiem, choć nie to zwróciło uwagę Tylera. Jego stryjeczny dziadek rozmawiał z panią Needle i Tyler dostrzegł ją po raz pierwszy od ich przyjazdu. Wiedźma - dla niego to zawsze będzie wiedźma - była jak zwykle ubrana na swój nienaganny, wymykający się wszelkim modom i epokom sposób, w długą czarną spódnicę i białą bluzkę zapiętą aż do wysmukłej szyi na ostatni guzik. Zdawała się wyczuwać spojrzenie Tylera, bo nagle podniosła wzrok. Przez chwilę był pewien, że w jej spojrzeniu dostrzegł lodowatą nienawiść, ale po chwili rozplynęła się ona niczym mgła i kobieta uśmiechnęła się do niego jakby całkowicie naturalnie.

— Witamy ponownie! - zawołała.

Tyler odwrócił się, czując ucisk w żołądku. Lucinda posłała mu ostrzegawcze spojrzenie.

— A jak się ostatnio miewa nasza droga pani Needle? - zapytał.

Sara upewniła się, że Angielka nie patrzy, i skrzywiła się.

— Jaka jest, każdy widzi.

Jak niemal wszyscy na Zwyczajnej Farmie, Sara była uchodźcą z przeszłości - kobietą ze średniowiecza z bardzo klarowną i stanowczą opinią na temat czarownic.

— Ale jest powiernicą Gideona i on jej ufa. Postarajcie się jej nie rozgniewać.

— A dlaczego mielibyśmy chcieć ją rozzłościć?

Sara pokręciła głową.

— Dzieci, po prostu proszę was, bądźcie ostrożne! Nie lubi was i jest niezwykle niebezpiecznym przeciwnikiem.

Skończył się wieczór. Nad ogrodem zaczęły śmigać nietoperze, chwytając ćmy i komary. Zwyczajna Farma rządziła się prawami panującymi wszędzie na wsi - ci, którzy nie zajmowali się pracami po kolacji, zaczęli przygotowywać się do pójścia do łóżka. Gideon położył się już pół godziny wcześniej. Cezar, stary Murzyn, który wykonywał różne prace wokół domu i nalegał też, by zajmować się Gideonem Goldringiem, nagle zaczął śpiewać pieśń swoim chropawym, donośnym głosem, przepełnionym tęsknotą za czymś, czego Tyler nie rozumiał.

---

Och, ulecieć pozwól, Panie!  
Wzbić się na górę Syjon,  
O Panie, o Panie.

---

Pieśń doskonale pasowała do nastroju - a może Cezar śpiewał ją w ten sposób... Nawet pan Dobrochodzki zaczął postukiwać kopytem. Ooola, dziewczyna z epoki lodowcowej, stała na środku, kiwając się rytmicznie i wkręcając palce w gęste, kasztanowe włosy.

Chcę znaleźć się w Ziemi Obiecanej...

Czyjaś ciężka dłoń spoczęła na ramieniu Tylera, aż zaskoczony podskoczył.

— Dobry wieczór dzieci - powiedziała Patience Needle. - Cudownie was znów gościć u nas. Teraz nadszedł czas, żebym was zaprowadziła do waszych pokoi.

— Co z Colinem? - zapytała Lucinda. - Bardzo się poparzył?

Wyraz twarzy kobiety nie zmienił się ani odrobinę.

— Już prawie wydobrzał. Z łatwością lecę poparzenia. A teraz chodźcie ze mną.

Tyler robił, co mógł, by odezwać się do niej życzliwie.

— W porządku. Pamiętamy, jak trafić do naszych pokoi, pani Needle.

Pani Needle uśmiechnęła się blado. Na tle kruczoczarnych włosów jej twarz lśniła bladością niczym księżyc.

— Ale w tym roku mieszkacie w innych pokojach. No już, dzieci, robi się późno. Życie wszystkim dobrej nocy.

Główny budynek Zwyczajnej Farmy stanowił prawdziwy labirynt drewnianych parkietów, kurzu, wyblakłych dywanów, mrugających żarówek w pustych korytarzach i odbijającego się ciągu pozamykanych drzwi, ale stało się jasne, że pani Needle miała zamiar zaprowadzić ich do pokoi, których nie znali. Przez długie minuty sunęła przed nimi niczym zjawa, trzymając mocną lampę na baterie, po czym w końcu zatrzymała się w korytarzu, którego Tyler nie rozpoznawał.

— Dzieci, to tutaj.

— Czy to nie jest część domu, w której pani mieszka...? - zapytała Lucinda.

— Tak, Lucinda - odparła jak zwykle cierpko gospodyni. - Wasze pokoje znajdują się w pobliżu moich prywatnych pokoi - mojej pracowni, jak byś to nazwała. Stąd wiem, że będzie wam tu wygodnie. Dobrej nocy.

— Dlaczego nie możemy spać w naszych dawnych pokojach? - zapytał Tyler.

— Ponieważ podjęto inną decyzję - odparła już mniej życzliwie niż poprzednio. - Mogę mieć was na oku... to znaczy, mogę o was tutaj lepiej zadbać.

Przypisane im pokoje znajdowały się jeden obok drugiego i ich okna wychodziły najprawdopodobniej na dziedziniec - było teraz zbyt ciemno, by stwierdzić to z całą pewnością, choć Tyler zauważył, że pokoje na pewno znajdowały się na wysokich piętrach. Pani Needle włączyła z trzaskiem światło w jednym pokoju, a następnie w drugim, ukazując im

w obu ciemny, drewniany parkiet i kwiecistą tapetę sprzed wieku. Jedynym nowoczesnym elementem w całym pokoju był bagaż dzieci, który najwyraźniej został tu przyniesiony już wcześniej.

— Szykujcie się do spania - powiedziała Angielka. - Jest późno.

Tyler umył zęby i wrócił do pokoju. Nie zachwyciła go zmiana sypialni - już za pierwszym razem sporo się nagłowił, by nauczyć się drogi do swojego pokoju - ale był zbyt zmęczony i zbyt najedzony, żeby się teraz tym martwić. Właśnie rozważał pójście do pokoju Lucindy, by omówić wydarzenia pierwszego dnia, kiedy usłyszał trzask zamka w drzwiach swego pokoju. Kiedy skoczył na równe nogi i rzucił się do drzwi, usłyszał, jak Lucinda wali w swoje, całkowicie zaskoczona i wściekła. Tyler szarpał za gałkę, ale ta nie chciała się obrócić, a drzwi nie ustąpiły.

Wiedźma zamknęła ich w pokojach.

# Rozdział 4

## Suszona jaszczurka

Wściekła, lecz bardzo zmęczona Lucinda usiadła na swoim łóżku i robiła, co mogła, by nie słyszeć miotającego się po swoim pokoju Tylera, który ze złości kopał w ściany i drzwi.

Dobra, więc zostali zamknięci. Też się jej to nie podobało, ale dziś w nocy nie mogli nic na to poradzić, dlatego więc jej brat nie pozwalał jej zasnąć?

W końcu w pokoju Tylera zapadła cisza. Lucinda wyjęła książkę z walizki i oparła się wygodnie na poduszkach, szykując do lektury. Była to stara powieść mamy, zatytułowana Śpiewające drzewo, o węgierskiej rodzinie podczas pierwszej wojny światowej. Historia była wciągająca, a ona na tyle zmęczona, by się w nią zagłębić, więc kiedy ktoś zapukał do jej okna, przestraszyło ją to tak, że wrzasnęła i upuściła książkę.

Było jeszcze dziwniej, niż podejrzewała. Tyler wisiał w jej oknie głową w dół niczym olbrzymi nietoperz, machał rękami i szczyrzył zęby w uśmiechu.

— Ty kretynie! - rzuciła, kiedy już uporwała się z przedpotopowym oknem, by Tyler mógł wejść do środka. Popatrzyła w dół. - Jesteśmy na drugim piętrze! Kark mogłeś sobie skrócić!

— Mówisz całkiem jak mama - stwierdził. - Całą ścianę porasta bluszcz - wżarł się tak mocno w cegły, że można się wspinać bez trudu. - Usiadł z dziko zmierzwionymi włosami, niezwykle z siebie zadowolony. - Nikt mnie nie będzie zamykał.

Lucinda spostrzegła, że sama podchodzi niemal z uwielbieniem do

jego całkowitego braku odpowiedzialności.

— Wariat jesteś - rzuciła. - A jak niby wrócisz?

Tyler opadł na podłogę i wyciągnął się na plecach.

— Naprawdę, to było wspaniałe. Dziś na niebie wisi wielki księżyc - daje mnóstwo światła do wspinaczki. A ten dom...! Zapomniałem, jaki jest wielki. Ciągnie się w nieskończoność... czyste szaleństwo, jaki jest duży...!  
- Tyler zmrużył oczy. - A to co takiego?

Lucinda westchnęła. Zupełnie jak z małym psiakiem, który węszy, drapie, kopie i zawsze coś wcina.

— Co?

— No to. - Wskazał na sufit nad szafką. - Ten kwadrat tam w górze. Wygląda jak jakiś właz czy coś w tym rodzaju.

— Jasne, cóż, Dora, będziesz musiała poznać świat jutro. Jestem zmęczona.

— No, nie wygłupiaj się. - Skoczył na równe nogi i wyciągnął kilka szuflad z bieliźniarki. - Stań tu, pomóż mi, żeby się nie wywaliło...

— Tyler, nie!

Ale oczywiście wszelkie formy protestu były nieskuteczne - Tyler już się wspinał po szufladach na szafkę, która zachybotowała się niebezpiecznie. Podbiegła do niej w samą porę, krzywiąc się na dźwięk skrzypienia drewna szuflad, które uginały się pod jego ciężarem. Kiedy wdrapał się na szczyt bieliźniarki, wysunął rękę i pchnął klapę włazu w suficie, po czym zrobił to ponownie. Nicco ustąpiła.

— Wiedziałem!

— Co wiedziałeś? Ze tam są przewody grzewcze?

Ale Lucinda wbrew sobie była już nieco zaintrygowana. Tyler wypchnął drewniany panel i odsunął go na bok, aż zobaczyli ziejący ciemnością otwór.

— Lee - skrzywiła się. - Pewnie pełno jest tam pajaków.

— Daj mi swoją latarkę, Luce.

— A gdzie masz swoją?

— Upuściłem ją, kiedy wspinałem się po dachach.

Lucinda westchnęła.

— No, pięknie.

Odnalazła idiotyczną latarkę w kolorze różowym, którą dostała od mamy, i podała ją Tylerowi. Chwycił ją w zęby i podciągnął się do góry, aż mógł oprzeć się w pasie o krawędź i tylko jego nogi zwisały z sufitu.

— Co tam widzisz? - zapytała. - Żeby tylko żaden pająk tu nie wlaźł, bo nie zasnę całą noc.

Odezwał się stłumionym głosem: - No tak, to ma sens. Znajdujesz się na farmie, gdzie hoduje się smoki wielkie jak stodoła, a przejmujesz się zwykłym domowym pajęczkiem?

— Pająki są straszniejsze niż smoki. Co tam widzisz w górze?

— Głównie rury ciepłownicze i coś jakby... i izolację. Stare, puste pudła. - Kiedy szurał przedmiotami na górze, zdawał się być szczerze zawiedziony.

— Nie hałasuj tak! - zasyczała w stronę dziury zionącej suchym, zatęchłym powietrzem.

W otworze pojawiła się twarz Tylera.

— To duże pomieszczenie, Luce. Strych.

Zniknął, wracając do badań. Minęła dłuższa chwila.

— No nie, jednak mnóstwo różnych fajowych rzeczy zostało upchniętych za tę rurę...

Nagle momentalnie ucichł. Lucinda długo nasłuchiwała z dudniącym sercem. Doskonale mu szło to pozostawanie w ciszy - zbyt dobrze.

— Tyler! - zawołała.

— Znalazłem tu fajne pudło, Luce. Jest chyba z drewna i ma mnóstwo różnych... nalepek.

— Jak to nalepek?

— No wiesz, jakby ktoś je przysłał z daleka. Chodź, stań pod dziurą i

pomóż mi je znieść z góry.

Wbrew przemożnej niechęci do trzymania wszystkiego, co mogło być pokryte pajęczynami, Lucinda weszła na krzesło i wyciągnęła ręce w górę, mrużąc oczy na wypadek, gdyby coś miało chęć skoczyć na nią. Pudło, które Tyler ściągnął na dół, było mniejsze i lżejsze, niż się spodziewała, wielkości torby podróżnej, wykonane z jasnego, grubego drewna z zardzewiałymi okuciami. Lucinda, biorąc skrzynkę od Tylera, ledwo uniknęła zadrapania. Tyler zeskoczył na dół.

— Co to jest?

Pudło było poobklejane nalepkami, jakby ktoś rzeczywiście przysłał je z daleka. Naklejki były po angielsku, ale wszystkie nazwy były niezwykle egzotyczne - nadawcą był niejaki Koto. Lucinda nie miała pojęcia, co to za nazwisko.

— Ojej, popatrz na tę naklejkę! - wykrzyknął Tyler. - Ta skrzynka przyплыnęła z Madagaskaru! - Wyciągnął z kieszeni scyzoryk. - Armia szwajcarska przybywa na ratunek! - Zaczął przedzierać się przez cienkie metalowe taśmy, które zamykały pudło.

— Nie skalecz się tylko - ostrzegła, lecz Tyler zignorował ją i po kilku chwilach zaglądał już pod wieko skrzynki. Kiedy odskoczyło, wokół rozszedł się zapach, jakiego nie czuła nigdy w życiu - zatechły, słodkotrupi odór potwierdzał wszystkie wcześniejsze obawy, jakie miała co do tego przedsięwzięcia.

— Ooooch, ohyda! - Zakrztusiła się. - A cóż to takiego? Nie dotykaj tego, Tyler!

To coś było pomarszczone i miało małe nóżki przylegające do długiego, wysuszonego korpusu.

Tyler wziął to do ręki przez papier.

— Ale czad. To jaszczurka!

— Fuuuuj. Suszona jaszczurka, ot co.

Tyler zamachał jej jaszczurką przed twarzą jak rasowy czterolatek.



— Przestań!

Na całe szczęście jaszczurka zdechła i wyschła na tyle dawno, że w zasadzie aż tak bardzo nie śmierdziała, ale Lucinda wciąż nie miała ochoty jej dotknąć.

Patrzyła, jak Tyler odkładają na bok i zaczyna przekopywać się przez pomięty papier.

— Reszta wygląda mi na rośliny - stwierdził, podnosząc jakąś cebulkę z okruszkami wyschniętej ziemi wciąż przyczepionymi do niewielkich korzonków. - I słoiki z nasionami - ten ma karteczkę z napisem „Nieznana Sarracenia.

Tyler z zapalem przekopywał się przez papier i nagle przypomniał się jej ten mały chłopiec, który kiedyś przeszukiwał gorączkowo nowo otwarte pudełko z płatkami w poszukiwaniu zabawki, co doprowadzało mamę do szału: „Wsyp to do miski, na miłość boską. Nie wkładaj tam brudnych paluchów!”.

Tyler cisnął czymś w Lucinę - było to kilka listów spiętych starą gumką, która rozpadła się jej w rękach, kiedy chciała wyciągnąć jeden z nich. Rozsypały się po podłodze.

— Niezdara - powiedział Tyler, na co Lucinda zrobiła obrażoną minę.

Podniosła jeden z nich i aż podskoczyła, kiedy zobaczyła, co jest napisane na kopercie.

— Doktor Grace Goldring! - wykrzyknęła. - No nie - wiedziałeś, że żona Gideona, Grace, była doktorem?

Tyler pokręcił głową.

— Ale tu są głównie nasiona - powiedział zawiedziony. - Jakieś sypkie, zagrzybione śmieci, kilka robaków, jakby w próbkach...

— A więc była biologiem... - stwierdziła z podziwem Lucinda. - Naukowcem.

Tyler zamarł z dłonią zagłębioną w papier pakowy i przez chwilę Lucinda była przerażona, bo myślała, że ten jadowity pająk, którego się

tak obawiała, właśnie go ugryzł. I wtedy ona też to usłyszała - klucz przekręcający się w zamku jej drzwi.

Lucinda zerknęła na Tylera, który patrzył na nią z przestraczem.

— Chwileczkę! - wykrzyknęła Lucinda. - Proszę nie wchodzić!

Tyler upychał wszystko, co wyciągnął, z powrotem do drewnianej skrzynki. Lucinda gorączkowo starała się zebrać rozsypane listy z podłogi, upuszczając kilka w pośpiechu, ale nie było czasu - drzwi otworzyły się z trzaskiem.

Pani Needle stała w progu smukła niczym oskarżycielsko wycelowany palec. Jej oczy rozwarły się szeroko, kiedy zobaczyła skrzynkę z zawartością na podłodze, choć jej twarz pozostała bez wyrazu niczym maska.

— Mogłam się domyśleć. Nie minął pierwszy dzień, a wy już rozrabiacie. Colin! - zawołała przez ramię.

Do pokoju wszedł jej syn. Chłopak, który przeżył kontakt ze straszliwymi, palącymi smoczymi smarkami, wyglądał na całkiem wyleczonego, tak jak mówiła jego matka. Posłał Lucindzie spojrzenie, w którym, przysięgłaby, widać było czyste zażenowanie.

— Zamknęła nas pani! - rzucił oskarżycielsko Tyler.

— A ty nie tylko wyszedłeś, ale też odbyłeś niebezpieczną wyprawę, żeby się tu znaleźć - warknęła pani Needle. - Coś ty, dziecko, zrobił, wspinałeś się za oknem? Wiesz, jakie to nierozważne? - Spojrzała na skrzynię. - A co to jest? - Podniosła wzrok na otwarty właz w suficie. - Niepoprawny. Minęło zaledwie kilka godzin, a ty już wywracasz wszystko do góry nogami i grzebiesz w rzeczach, które nie należą do ciebie... - Pokręciła głową. - Colin, pozbieraj to wszystko i zanieś do mojego biura.

Już się do tego zabrał.

— Jaszczurkę też? - zapytał ostrożnie.

— Tak, oczywiście, że jaszczurkę też - któż to wie, jaki to jest ważny

naukowy okaz. - Pani Needle westchnęła. - A co do was, to jestem pewna, że Gideon będzie miał wam coś do powiedzenia rankiem. Tyler, wracaj do swego pokoju.

— Pani nie jest moją mamą - powiedział cicho, ale chociaż raz nie stawiał już większego oporu.

Colin wyprowadził go na zewnątrz.

Wspaniale, pomyślała Lucinda, kiedy pani Needle zamknęła za sobą drzwi. Rzuciła się na łóżko cała rozzalona. Miała ochotę zacząć tupać niczym niesforny bachor. Byli tu niecały dzień, a już wpadli w tarapaty.

# Rozdział 5

## Niezaproszony

Colin postępował niezwykle ostrożnie przez cały rok i trzymał się z dala od smoków. To, co się stało w oborze, dowodziło, że miał ku temu podstawy, choć zbyt cierpiał, by cieszyć się nowym moralnym zwycięstwem. Tak, jego obawy zostały potwierdzone - smoki pamiętały. Zwierzęta miały za dużo swobody, na tym polegał problem. Meseret powinna chodzić w kagańcu niczym groźny pies, a jej samiec, Alamu, nie powinien latać po całej posiadłości bez nadzoru. Był to jedynie kolejny przykład świadczący o tym, że ktoś rozsądny - ktoś taki jak Colin - powinien tu rządzić.

Kiedy tak rozmyślał nad tym i do głowy przychodziły mu inne, równie gorzkie myśli, jego matka pojawiła się w drzwiach do kuchni.

— Colin, idź do pokoju Lucindy Jenkins i sprawdź, czy nic nie zostało za tym włączem - nie mogę wierzyć im na słowo. Jeśli znajdziesz coś jeszcze, przynieś to od razu do mnie. Od razu, słyszysz?

Colin pokiwał głową i poszedł bez szemrania, co było zachowaniem, na które czasami sobie pozwalał, niczym włożenie starej koszulki i później rzucenie jej na podłogę. To było łatwiejsze i sensowniejsze od sprzeczki, ponieważ nigdy nie wygrał sporu z matką i wątpił, by kiedykolwiek był w stanie tego dokonać.

W pokoju Lucindy nie było Jenkinsów, co przyniosło mu ulgę. Po tym, jak niezdarnie wdrapał się na bielizniarkę i spenetrował pomieszczenie bez rezultatów i dalszych odkryć, wrócił do biura matki, by przekazać jej wiadomość. Nie wyglądała na zaskoczoną. Już rozpakowała skrzynkę,

starannie ustawivszy jej zawartość na wielkim stole w równe rzędy słoików i rozprostowanych zagranicznych gazet, i teraz robiła notatki.

— To dobrze, kochanie. No to leć i pomóż innym. Gideon z pewnością znajdzie ci jakieś zajęcie. Będę zajęta do obiadu, ale później się zobaczymy.

— Myślałem, że może popracuję z tobą - pomogę ci posortować te rzeczy...

— Och, nie, Colin, nie. Dziękuję ci, ale będziesz tylko przeszkadzał. - Nawet nie podniosła wzroku.

Schodząc po schodach, kopnął w poręcz, aż go noga zabolala. Dlaczego za każdym razem kiedy na horyzoncie pojawiają się Tyler i Lucinda, wszystko sprzysięga się przeciw Colinowi Needle'owi?

Oślepiające poranne słońce wypełniło otwarte drzwi wejściowe, spowijając większą część holu w ciemnościach. Ciepłe, świeże powietrze wtargnęło do środka i wznieciło tuman drobinek kurzu, wędrujących do światła.

Gideon już był na nogach w stroju roboczym, co oznaczało, że naciągnął spodnie na piżamę. Jego białe włosy wyglądały, jakby przez nie też przeciągnął spodnie - sterczały na wszystkie strony niczym sitowie. Pan Zwyczajnej Farmy miał też od rana przyjazny nastrój człowieka zadowolonego z siebie, którego Colin nie cierpiał - uważał to za pokaz Gideona jako „wielkiego człowieka”, którego każde słowo z ust będą spijać kronikarze. Colin sądził, że tak naprawdę starszy pan reprezentuje filmową wersję Czarnoksiężnika z Krainy Oz - blagiera gotowego wygłaszać nadęte przemowy.

Ale kiedy Gideon nagle odwrócił się w stronę Colina, jego twarz wyglądała jak oblicze Wielkiego i Straszliwego Oza.

— Co ja tu słyszę, że ty i twoja matka zamykacie Tylera i Lucindę na noc w pokojach?

Zaskoczony Colin głośno przełknął ślinę.

— Matka nie chciała, żeby coś narozrabiali przy tych wszystkich zmianach na farmie i w ogóle. Szczególnie Tyler. - Nie był w stanie znieść ostrego spojrzenia Gideona. - To nie był mój pomysł.

— Myślę, że ty i twoja matka czasami zapominacie, kto jest właścicielem tej farmy - rzucił srogo staruszek. - Możesz jej powiedzieć, że z zamykaniem kogokolwiek koniec. Co do zmian na farmie to właśnie wyruszamy na krótką trasę zapoznawczą.

Colin zmarszczył brwi. Aż mu się niedobrze robiło na myśl o przebywaniu w towarzystwie Tylera Jenkinsa, który zdawał się być jeszcze bardziej wstrętny niż zeszłego lata, jeśli to w ogóle było możliwe. Lucinda nie była taka zła - wręcz przeciwnie, Colin wręcz nie mógł się doczekać spotkania z nią, ale nie chciał też, żeby Gideon pomyślał, że będzie niańczył tę dwójkę przez całe lato.

— Gideonie, miałem pracować w bibliotece...

— W bibliotece? - Tyler Jenkins pojawił się na schodach. - Po co?

— Robi tam coś dla mnie. - Dłoń Gideona, jakby żyjąc własnym, niezależnym życiem, powędrowała do zawieszki pod piżamą, własności jego żony, którą odnalazł dla niego Tyler Jenkins; z tego właśnie powodu, jak Colin wiedział, staruszek posyłał go do biblioteki.

— A skoro już o tym mowa, paniczku Needle, to mimo całego tego czasu, jaki tam spędzasz, zamiast uczestniczyć w zwykłych pracach, nie widziałem do tej pory żadnych rezultatów twoich starań. - Gideon pokręcił głową. - Tracę cierpliwość, chłopcze.

— To nie w porządku...! - Colin poczuł gorąco na policzkach i zmilczał resztę gniewnego wybuchu. - Robię, co mogę, Gideonie. Książki są niepokładane...

— A co Colin robi w bibliotece? - Tyler nie zamierzał odpuścić.

— To nie twój interes! - wypalił Colin. - Jesteś tu ledwo od wczoraj i...!

— Dobrze już, skończmy z tymi idiotycznymi kłótniami - powiedział Gideon, znów poweselały na widok innych osób, które się ze sobą kłóca. -

Młody Colin szuka czegoś dla mnie. Później ci o tym powiem. Na razie czeka nas zwiedzanie.

— Będziemy mogli zobaczyć jednorożce? - prosiła Lucinda. - A może znów Meseret i Destę?

Gideon zaśmiał się.

— Być może, jeśli wystarczy czasu. Chodźmy wszyscy. Chcę wam pokazać, co się zmieniło od zeszłego lata - zobaczycie, jak wygląda nowa, doskonalsza Zwyczajna Farma!

— Ale Gideonie, co z moją pracą? - zapytał Colin.

Pan domu spojrzał na niego bez większej sympatii.

— Możesz się do niej zabrać, chłopcze. Nie zapraszałem ciebie, żebyś nam towarzyszył.

Wyprowadził ich na dwór, zostawiając Colina Needle'a samego w holu z twarzą tak czerwoną, jakby ktoś go spoliczkował.

# Rozdział 6

## Tuzin pomarańczowych ślepi

Zapomnieli o wszystkich wczorajszych wydarzeniach. Tyler uważał, że wspaniale jest wyjść z domu, zostawić Needle'ów i iść sobie przez farmę w towarzystwie Gideona i pana Dobrochodzkiego. Dołączyli do Haneba przed Oborą Leczniczą. Nieśmiały, drobny pracownik skinął dzieciom głową i może nawet wymruczał jakieś powitanie, ale zrobił to cicho, jak zwykle odwracając twarz, by nie było widać jego szram.

Wyjechali w kierunku pastwisk, a jadąc przez złote wzgórza, wóz zaprzężony w konia podskakiwał z turkotem na polnej drodze. Dalej dolinę odgradzały góry, ciemnofioletowe cienie na tle nieba w każdą stronę, gdzie Tyler spozryzał. Nawet powietrze pachniało inaczej w Standard Valley, dzikie niczym oceaniczna bryza, niosące z sobą zapowiedź tajemnicy.

Na prośbę Lucindy najpierw zatrzymali się przy pastwisku jednoroźców, gdzie zastali Ragnara już sypiącego karmę do wielkiego koryta. Zawołał zwierzęta głośno, gwizdząc trzykrotnie, a one pojawiły się na połoninie niecałą minutę później - najeżona rogami, dudniąca chmura kurzu i kopyt. Tyler, Lucinda i Gideon obserwowali z wozu, jak wiking i pan Dobrochodzki w towarzystwie Haneba pracują przy jednoroźcach. Zapędzili jedną klacz do zagrody i dali jej zastrzyk. Kilku innym sprawdzili, oczyścili i przypitowali kopyta. Nieśmiały, przestraszony Haneb delikatnie dotykał brzucha płochliwej klaczy przy nadziei.

— Wkrótce nadejdzie czas rozwiązania - oznajmił.



— Cóż, w takim razie mamy na co czekać! - powiedział Gideon. Oparł się wygodnie na siedzeniu. - Ach, cóż za piękny dzień. Bosko tu jest!

Lucinda zapytała:

— A możemy teraz pojechać do smoków?

Gideon zmarszczył brwi.

— Powiedziałem ci, że zobaczymy. Najpierw naprawdę musimy omówić kwestie bezpieczeństwa, choćby po to, żebyście się na nic niespodziewanie nie natknęli. Sami widzieliście, jak bardzo staraliśmy się wszystko usprawnić od waszej ostatniej wizyty. Wiele rzeczy się zmieniło.

— Ile teraz jest tu ogrodzeń? - zapytał Tyler. - Wszystkie są pod napięciem?

— Są trzy - odparł Gideon. - Jedno otaczające całą posiadłość, drugie wokół głównych budynków i trzecie wokół samego domu.

— Po co aż tyle? - Tyler w skrytości ducha chciał zobaczyć, co się stanie, jeśli ktoś spróbowałby się na nie wspiąć, ale uświadomił sobie ze smutkiem, że nie ma co liczyć na taki pokaz.

— Łatwiej mi będzie to wyjaśnić, kiedy zobaczycie wszystkie podjęte przez nas środki ostrożności - powiedział Gideon i rozpogodził się. - I wszystko to za sprawą pieniędzy, które porzucił tu Stillman w zeszłym roku! Pół miliona! Chociaż jest miliarderem, to i tak musiało go to zabość! - Staruszek niespodziewanie zachichotał. - Założę się, że teraz pluje sobie w brodę. Starał się mnie zrujnować, a ja tylko się wzmocniłem!

— Czy od tamtego czasu próbował czegoś jeszcze? - zapytał Tyler.

— Nie ustaje w wysiłkach - warknął stryjeczny dziadek. - Zdaje się, że co tydzień ma nowy plan. Teraz stara się wykupić wszystkie posiadłości wokół Zwyczajnej Farmy - ta bezduszna Świnia zasypuje sąsiadów ofertami! Chce mnie osaczyć! I wy dziwicie się, że staram się chronić farmę?

Wóz skrzypiał i podskakiwał, kiedy wracali do środka posiadłości, gdzie znów widzieli poskręcany zarys budynku farmy, a Tyler wciąż wracał myślami do wujka Gideona i Colina Needle'a. Co takiego robił Colin dla staruszka w bibliotece?

Dotarło to do niego, kiedy mijali rząd chat, które kiedyś pewnie były domami pracowników farmy.

Naszyjnik, pomyślał, on nosi naszyjnik Grace. Powiedziałem mu, że gdzie go znalazłem? W bibliotece - co jest po części prawdą. Nie opowiedział swojemu stryjecznemu dziadkowi całej historii, jak dostał naszyjnik od pewnej kobiety, która była z pewnością samą Grace Goldring, zagubioną w dziwnej, zacofanej odmianie Zwyczajnej Farmy w odległych zakamarkach lustra przy umywalce, odnalezionej przez Tylera i Lucinę w niewielkim pomieszczeniu przy bibliotece. Gideon kazał Colinowi dowiedzieć się, w jaki sposób naszyjnik Grace znalazł się w bibliotece. Tyler wątpił, by Colin wpadł na to, co się tam naprawdę zdarzyło, ale świadomość, że ten blady, nieprzyjemny chłopak swobodnie po niej buszuje, niepokoiła Tylera. Bardzo niepokoiła.

Gideon odchrząknął, kiedy dojechali do niewielkiego drewnianego mostku nad strumieniem płynącym w tej części posiadłości, ledwo o kilkaset metrów od domu.

— No właśnie - powiedział, wskazując na wodę. - Wiem, że już to widzieliście, ale wiecie, jaką ten strumień nosi nazwę? To Kumish Creek - nazwa indiańska. Oczywiście latem sporo się zmniejsza, ale nawet w połowie sierpnia jest na tyle szeroki i głęboki, że można po środku pływać w kajaku albo w pław. Płynie wprost ze wzgórz wokół farmy niemal pod drzwi głównego budynku.

— Dlaczego nie można by go puścić jakąś rurą czy czymś takim? - zapytał Tyler.

Gideon skrzywił się.

— O Boże, cóż ja bym zrobił bez dzieci, które potrafią znaleźć

oczywiste rozwiązanie? Ponieważ, drogi chłopcze, jeśli zaczniemy coś kombinować ze strumieniem, to może zalać komnatę Linii Uskoku, która znajduje się kilkaset metrów stąd, o tam. Tym samym na razie musimy radzić sobie z nim inaczej.

Kiedy Tyler dąsał się nieco po obcesowym komentarzu stryjecznego dziadka, wóz przetoczył się przez mostek, po czym pan Dobrochodzki zjechał z drogi i ściągnął lejce. Teraz, mając słońce za plecami, lepiej widzieli ciemną toń. Strumień miał mulistą, zielono-brązową barwę, spod której wyłaniały się jaśniejsze punkty tam, gdzie nurt zaskakująco głośno wpadał na zaokrąglone, wielokolorowe kamienie.

— To wszystko na skutek wiosennych deszczy - powiedział Gideon, kiedy już się zatrzymali. - Mieliśmy mokry rok. - Wóz stanął pod pochyłymi olchami, w miejscu, w którym zaczynało się porośnięte trzciniami łupkowe nabrzeże. - A więc tutaj znajduje się nasza pierwsza linia obrony - dodał.

Tyler spojrział na rzekę przez trzciny.

— Nic nie widzę.

— Nie bój się, zobaczysz.

Zaniepokojona siostra Tylera pisnęła za jego plecami.

— Najpierw musimy je zawiadomić, że przybyliśmy, Gideonie - powiedział pan Dobrochodzki.

— Ach, oczywiście, gdzie ja mam głowę. Czyń swoją powinność, Simos.

Pan Dobrochodzki schylił się, podniósł duży kamień, którego prawdopodobnie Tyler by nie uniósł, po czym machnął nim jedną ręką w stronę rzeki. Głaz zniknął w toni z głośnym pluskiem.

— Widzicie - wyjaśniał Gideon - wyczuwają wibracje, jeśli będą choćby o kilometr stąd. Nawet przy tak mocnym prądzie jak w tym strumieniu. Myślę, że mają jakiś specjalny gruczoł, tak jak dziobaki, no wiecie, bo te dwa gatunki są spokrewnione.

— Nie rozumiem - wtrącił Tyler. - Co wyczuwa wibracje?

— Ciii... - Gideon przystawił palec do ust. Wskazał na coś po drugiej stronie strumienia, gdzie gięły się i rozstępowały trzciny. Tajemnicze duże zwierzę wśliznęło się do wody, nie dając się dokładnie zobaczyć, po czym zaczęło poruszać się pod powierzchnią bardzo szybko i bezszelestnie. - Nadpływa...

Palce Lucindy wpiły się w rękaw Tylera.

— Wujku Gideonie - wyszeptała. - Wujek mnie straszy.

— Och, przepraszam cię, dziecko. - W jego głosie wcale nie było słychać skruchy. - Po prostu jestem z nich bardzo dumny. To stworzenia wprost z mitów australijskich aborygenów - bunyipy.

— Bunyipy? - powtórzył Tyler, parszcząc śmiechem. - To brzmi jak nazwa japońskiego stworka anime dla dzieciaków.

— Nie pyskuj, chłopcze, i nie traktuj ich sobie beztręsko! - Wybuch gniewu Gideona przetoczył się błyskawicznie niczym letnia burza; po chwili było już po wszystkim. - Tak, bunyipy to zabawna nazwa. Legendarne demony bagienne, ale z krwi i kości. I co jest jeszcze bardziej fascynujące, należą do stekowców.

Coś uniosło się pośrodku strumienia, z ciemnej toni, gdzie dno opadało w dół. Woda zabulgotała i nagle wyłonił się z niej płaski, brązowy łeb - wielkie, czarne ślepia były ogromne niczym spodki, a w zjeżoną, ostrą sierść stworzenia wplątało się kilka gałązek i kawałków trzciny.

— Jest wielki! - rzucił Tyler z sercem bijącym coraz to szybszym rytmem. Czym innym jest zobaczyć wielkie stworzenie w zoo za kratami, a czym innym ujrzeć, jak gapi się na ciebie z wody o kilka metrów dalej. - Bunyip. Wylezie z rzeki?

— Nie, jeśli się do niego nie zbliżymy... ale i tak trzymałbym się z daleka - powiedział Gideon. - Wszystko to samce, z bardzo wyrazistym poczuciem terytorialności. Ten wychylił się z wody, bo usłyszał plusk.

Potrafia przepłynąć kilometr, by zaatakować rywala i obronić swój teren, tak jak kajman. Kiedy rzucają się do ataku, strasznie hałasują - ryczą zupełnie jak słonie morskie! Kiedy słyszymy te ryki, nieraz musimy ratować jakiegoś idiotę, który zalazł za daleko, i podawać mu jeden z wywarów Patience, po którym pyta: „Przepraszam, a właściwie jak ja się nazywam?”.

— A co... co to takiego te stekowce? - zapytała Lucinda z niepokojem. Już wcześniej usadowiła się w tyle paki wozu.

— To rodzina, do której należą kolczatki i dziobaki - odpowiedział radośnie Gideon. - Jedyne jadowite ssaki w przyrodzie i jedyne ssaki, które składają jaja - bardzo dziwne stworzenia. Ale bunyip był sto razy większy niż wszystkie współczesne stekowce i wymarł setki tysięcy lat temu.

Na jedną chwilę zwierzę wychyliło się z pluskiem z wody, zamiast jak do tej pory szamotać się na boki. Było wielkie jak hipopotam, ale włochate i być może kolczaste - Tyler pomyślał, że jego sylwetka przypomina nieco wielkiego jeżozwierza - a jego płaski łeb z wielkimi ślepiami kończył się krótką trąbą z chwytnymi nozdrzami, niczym u krzyżówki kreta z ośmiornicą.

Lucinda krzyknęła z odrazą i Tyler też zaniepokojony podskoczył. Bunyip wśliznął się z powrotem do wody niczym wielka płaska wyspa zagłębiająca się w toń rzeki pośród szeleszczących trzciny.

— Ojej - westchnął Tyler.

— No właśnie! - odparł Gideon z szerokim uśmiechem na ustach. - Nie czujecie się bezpieczniejsi od samego widoku tego wspaniałego zwierzęcia?

Zostawili strumień za sobą, jadąc wzdłuż wewnętrznego ogrodzenia. Pan Dobrochodzki, który jak zwykle niewiele mówił o poranku, nagle zmrużył swoje wiecznie młode oczy i zwrócił się szorstko do Tylera i Lucindy: - Dzieci, teraz musicie być szczególnie grzeczne. Pamiętajcie, że

mamy na farmie zwierzęta, które są w stanie ukarać niecierpliwość krwią, a nawet śmiercią.

— Wiem - powiedział Tyler. - Właśnie przed chwilą widzieliśmy jedno z nich, mam rację?

Pan Dobrochodzki zignorował go.

— Słuchajcie, co do was mówię! Tam, dokąd teraz jedziemy, żadnych numerów i to głównie do ciebie mówię, Tyler!

— Zaraz, zaraz - oburzył się Tyler. - Ja już jestem dorosły.

Pan Dobrochodzki wydał z siebie chrząknięcie, w którym Tyler chciał usłyszeć potwierdzenie swoich słów. Lucinda pobladła na twarzy. Tak w ogóle to wyglądała nieszczęśliwie już przy strumieniu.

— A musimy tam jechać? - zapytała.

Gideon już wcześniej nasunął sobie kapelusz, by rondo chroniło go przed największym słońcem. Była ledwo jedenasta przed południem, a już upał rozszalał się na dobre.

— Ludzie płaciliby tysiące za to, co za chwilę zobaczycie. Mamy na farmie niezwykle stworzenia - dbanie o nie i o to miejsce jest naszym świętym obowiązkiem. - Tyler obserwował, jak staruszek podniósł dłoń do szyi, i podejrzewał, że znów chce dotknąć naszyjnika swojej żony.

— Wujku Gideonie, a gdzie jest Zaza? - zapytał niespodziewanie Tyler. - Latająca małpka? Jeszcze jej nie widziałem.

Staruszek machnął lekceważąco dłonią.

— Gdzieś się tu kręci - odpowiedział, ale widać było, że myśli o czymś innym. Jak na kogoś, kto jest właścicielem najwspanialszego ogrodu zoologicznego na świecie, Gideon Goldring czasami zdawał się wręcz obojętnie podchodzić do poszczególnych zwierząt, zwłaszcza tych, które przebywały tu już od dawna...

Pan Dobrochodzki wbił kod przy kolejnej bramie, która odsunęła się na bok, pozwalając im wjechać do środka.

Po kilku chwilach wspięli się na wzgórze i zobaczyli duży budynek z

piaskowej cegły, stojący pośrodku pustego terenu. Jego błyszczący, metalowy dach ciągnął się w nieskończoność nad murami w kolorze ziemi.

— Czy to nowy budynek? - zapytała Lucinda.

— Budynek nie, dach nowy. Musieliśmy go wymienić dla naszych nowych strażników!

— Strażników? - Widać było, że Lucinda dalej nie wie, o co chodzi, choć wyraźnie jej ulżyło.

Gideon stwierdził z lubością: - Tak, dla „manty”, jak mówi na nie Colin. Dla naszych mantykor.

— Mantykozy! - Tyler był pod wrażeniem. - Ale mówiłeś zeszłego lata, że są strasznie wredne.

— Bo są - odparł pan Dobrochodzki, kiedy wóz zatrzymał się obok budynku. - Idźcie za mną - nie zostawajcie w tyle!

— Tu jest o wiele chłodniej! - powiedziała Lucinda, kiedy weszli już do obory. Starła się zachować beztroski, radosny ton, ale ta maniera jeszcze bardziej uwydatniała jej nerwowość i Tyler wiedział, co jest jej przyczyną - w całej oborze cuchnęło palącą w nozdrza uryną drapieżników.

— Chłodno, no tak. To dzięki cegle - powiedział Gideon. - Zatrzymuje upał. Miejscowi od dawna jej używają.

Większą część wnętrza obory wypełniała wielka klatka, która wznosiła się do nowego, metalowego sufitu i ciągnęła wzdłuż niemal wszystkich ścian. Podłogę klatki pokrywały piasek i patyki. Pośrodku stos betonowych bloków tworzył stertę sztucznych gładów.

— Dość już tego - powiedział Gideon. Ściszył głos. - Koniec rozmów. Simos, idź i przyprowadź je. - Zwrócił się do dzieci: - Za dnia są zwykle dość powolne. To nocni łowcy.

Tyler bacznie obserwował pana Dobrochodzkiego, który stąpał między dwiema ścianami klatki na swych pozornie delikatnych,

zakończonych kopytami nogach, wygwizdując kilka powtarzających się taktów i trzymając się ostrożnie z dala od krat. Lucinda trzymała się blisko wyjścia z szeroko otwartymi oczami i miną, która świadczyła aż nadto dobitnie, że miała ochotę być zupełnie gdzie indziej. Nawet Tyler, który zawsze lubił niebezpieczeństwo i przygodę, zaczął odczuwać niepokój.

— Rozruszaj je trochę, Simos - rzucił Gideon za panem Dobrochodzkiem, który chodził w te i we wte, gwizdząc tę samą melodię. - Nie mamy za wiele czasu.

Dobrochodzki posłał mu krytyczne spojrzenie, ale posłusznie zdjął długi metalowy pręt ze ściany i wsunawszy go przez kraty, postukał końcówką w jeden z betonowych bloków. Chwilę później wylazła pierwsza mantykora, niechętnie i z oporami niczym nadąsany nastolatek.

— Łuaaa! - wykrzyknął Tyler. - Zeszłego lata były takie maleńkie!

— Szybko rosną, co? - stwierdził Gideon.

Jeszcze dwie wyłoniły się za pierwszą. Kiedy mantykory już wyszły, przysiadły na zadach, skrywając jasnobrązowe pyski w zmierzwionych grzywach i obserwując gości zaskakująco pomarańczowymi ślepiami. Każda z nich miała wielkość dorosłego lwa, ale było w nich coś jeszcze, co sprawiało, że dzieci nie mogły oderwać od nich oczu.

Lucinda odezwała się drżącym głosem: - Ich pyski... wyglądają jak...

— Wyglądają jak ludzkie twarze, prawda? - dopowiedział Gideon. - Myślę, że mantykory są spokrewnione z dużymi małpami, takimi jak pawian, choć ich pyski przypominają naczelne. Ale są jasnobrązowe, a nie pokryte ciemną skórą jak goryle czy szympany. - Zaśmiał się.

— Są straszne - stwierdziła Lucinda.

— Jestem bardzo zawiedziony twoją postawą, moje dziecko - powiedział Gideon, marszcząc brwi. - To są niezwykle stworzenia. Mój Boże, są wspanialsze niż wszystkie smoki! Nie masz pojęcia, jak trudno jest odchowić tak wiele okazów do tych rozmiarów! Męczyliśmy się z



nimi przez cały rok - kilka zdechło za młodu. Nie mówiąc już o wytresowaniu ich, by wykonywały proste polecenia - czekaj, pokażę ci.

Podszedł do krat i zagwizdał mniej więcej tak samo, jak to robił pan Dobrochodzki. Mantykozy odwróciły spojrzenia na niego. Teraz wyszło już sześć z ich sztucznej gawry. Gideon ponownie zagwizdał i wolno zbliżał się do klatki, a one przysiadły w klatce na wprost niego z wyraźną niechęcią i sześć par pomarańczowych ślepi obserwowało każdy jego ruch. Jedynie kraty oddzielały Gideona od tych dziwnych, człekopodobnych pysków.

— Och - westchnęła Lucinda. - Och, mają takie wielkie kły...!

— Stare legendy mówią, że miały ich całe rzędy, niczym reki - rzucił Gideon, sam ukazując imponujące uzębienie w szerokim uśmiechu. - No, podnosić się chłopaki, już! - Wzniósł dłonie w górę, jasnopomarańczowe ślepia, osadzone w maskach pozbawionych wyrazu, wpatrywały się w niego. Powoli mantykory zaczęły podnosić się z ziemi. - Widzicie? Wiedzą, kto tu jest panem!

Pan Dobrochodzki spoglądał bacznie na zwierzęta, stojąc bardzo blisko kraty. Tyler nagle zauważył, jak stojący najbliżej niego potwór wbił w starego Greka mandarynkowe spojrzenie. Machnął ogonem. Czy był w stanie dosięgnąć go przez kraty łapami z zakrzywionymi szponami? Zwierzę zamarło, było takie czujne...

— Panie Dobrochodzki! - wykrzyknął, wyczuwając coś, i w tej samej chwili mantykora skoczyła do przodu, bezgłośnie jak duch, po czym walnęła ciężko w metalowe pręty. Dobrochodzki już zdążył się odsunąć na bezpieczną odległość.

— He, he! - zaśmiał się wuj Gideon. - Musisz być czujny na tych swoich kopytkach, co, Simos?

Pan Dobrochodzki tylko pokręcił głową.

Gideon powiedział:

— Cóż, najwyraźniej są dzisiaj mocno rozkojarzone. Zawsze tak się

zachowują właściwie przy tych wszystkich nowych zapachach i nowych twarzach. Lepiej będzie, jak już sobie pójdziemy.

— Ale co... co wujek ma zamiar z nimi zrobić? - zapytała Lucinda, kiedy już wchodzili na wóz.

Od gorąca Tyler znowu zaczął się pocić.

— Oczywiście wypuszczamy je na noc. Buszują sobie tutaj między dwoma ogrodzeniami na farmie. Jeśli któryś ze zbirów Eda Stillmana przedostanie się przez zewnętrzne ogrodzenie albo spróbuje wylądować tu na spadochronie... - Gideon zaśmiał się bezgłośnie. - Powiem wam, że będzie nas błagał, byśmy go uratowali przed mantykorami, ot co!

Albo nie będzie już mu potrzebna żadna pomoc, bo będzie martwy, pomyślał Tyler. Jak sobie z tym poradzisz, wujku Gideonie? Ale oczywiście nie wypowiedział tego na głos.

— Nowa, doskonalsza Zwyczajna Farma! - zaskrzeczał Gideon. - Sami widzicie!

Tyler spojrział na Lucindę. Widział wyraźnie po minie siostry, że owe udoskonalenia podobały jej się jeszcze mniej niż jemu.

— Panie Dobrochodzki! - wykrzyknął, wyczuwając coś, i w tej samej chwili mantykora skoczyła do przodu, bezgłośnie jak duch, po czym walnęła ciężko w metalowe pręty. Dobrochodzki już zdążył się odsunąć na bezpieczną odległość.

— He, he! - zaśmiał się wuj Gideon. - Musisz być czujny na tych swoich kopytkach, co, Simos?

Pan Dobrochodzki tylko pokręcił głową.

Gideon powiedział:

— Cóż, najwyraźniej są dzisiaj mocno rozkojarzone. Zawsze tak się zachowują właściwie przy tych wszystkich nowych zapachach i nowych twarzach. Lepiej będzie, jak już sobie pójdziemy.

— Ale co... co wujek ma zamiar z nimi zrobić? - zapytała Lucinda, kiedy już wchodzili na wóz.

Od gorąca Tyler znowu zaczął się pocić.

— Oczywiście wypuszczamy je na noc. Buszują sobie tutaj między dwoma ogrodzeniami na farmie. Jeśli któryś ze zbirów Eda Stillmana przedostanie się przez zewnętrzne ogrodzenie albo spróbuje wylądować tu na spadochronie... - Gideon zaśmiał się bezgłośnie. - Powiem wam, że będzie nas błagał, byśmy go uratowali przed mantykorami, ot co!

Albo nie będzie już mu potrzebna żadna pomoc, bo będzie martwy, pomyślał Tyler. Jak sobie z tym poradzisz, wujku Gideonie? Ale oczywiście nie wypowiedział tego na głos.

— Nowa, doskonalsza Zwyczajna Farma! - zaskrzeczał Gideon. - Sami widzicie!

Tyler spojrzał na Lucindę. Widział wyraźnie po minie siostry, że owe udoskonalenia podobały jej się jeszcze mniej niż jemu.

# Rozdział 7

## Problemy z komunikacją

Niektóre aspekty życia na farmie nie zmieniły się ani o jotę. Jednym z nich była ciężka, naprawdę wyczerpująca praca. Wraz z mijającymi długimi letnimi dniami Lucinda i jej brat szybko przyzwyczaili się do codziennych obowiązków - nie mieli wyboru, ponieważ na Zwyczajnej Farmie każdy musiał wykonywać to, co do niego należało, a już na pewno dwójka młodych gości. Karmienie zwierząt odbywało się według ustalonego schematu, którego nie można było zmieniać - „Kozła morskiego nie obchodzi, czy zjadłes śniadanie - lubił mawiać Gideon - on chce dostać swoje”. Beczące koziorożce były do tego niedobre, kiedy były głodne, i potrafiły walczyć o każdą rybę, dlatego czasami trzeba je było wyciągać ze stawu i karmić indywidualnie. Smoki musiały dostać dwa razy w tygodniu tuszę jelenią, a jednorożce codziennie paszę i substancje wspomagające. Codziennie trzeba było czyścić klatkę bonakona, co nie należało do ulubionych zadań żadnego z pracowników, ponieważ nawóz podobnego do bawoła stworzenia w zetknięciu z powietrzem zapalał się, a potem dymił godzinami.

Lucinda i Tyler przez większość czasu zajmowali się mniejszymi stworzeniami w Gadziej Oborze oraz innych pomieszczeniach, zdejmując nieco brzemień obowiązków z barków pana Dobrochodzkiego i Ragnara oraz pozostałych, również zajmujących się dużymi zwierzętami. Nawet przy drobnych zwierzętach było sporo pracy. Jingwei, białe, chińskie ptaki z długimi ogonami, kilka tygodni wcześniej wydostały się ze swojej klatki w Gadziej Oborze i codziennie robiły, co mogły, by wypełnić koryto

na wodę Meseret małymi kamykami, pikując po kolei nad nim i zrzucając przez cały dzień drobne otoczaki z głośnym „stuk, stuk, stuk”, jakby ktoś cały czas walił w nie małym młotkiem. Każdego dnia po południu Lucinda bądź jej brat wspinali się do środka i wyciągali je wszystkie, ale jingwei potrafiły wlatywać do środka przez wszelkie szczeliny w olbrzymiej oborze, więc zawsze donosiły nowe.

— Chińczycy uważają, że ten ptak uosabia księżniczkę, która się utopiła, i teraz stara się wypełnić dno oceanu, aby nikt więcej nie stracił w nim życia - powiedział im Gideon, marszcząc brwi na widok rosnącej górki kamyków na końcu koryta. - Może to i mityczne zwierzęta, ale i tak chciałbym się ich pozbyć z Gadziej Obory. Łapserdaki!

Ale piękne, szybkie jingwei nie dawały się złapać, więc codziennie jedno z dzieci musiało nurzać się w korycie Meseret i wybierać kamyki, żeby za dużo ich nie połknęła. Smoki nie zauważały takich drobinek.

Nawet po karmieniu czekało na nich wiele prac: Lucinda wraz z bratem przez trzy długie, gorące popołudnia drugiego tygodnia pobytu na farmie bieliła ściany nowej obory dla jednoroźców. Pięć bezrogich, chwiejących się na nogach źrebaków przyszło na świat tej wiosny i Gideon chciał, by młode i ich karmiące matki miały jakieś bezpieczne schronienie przed letnimi burzami.

I oczywiście największa troska Gideona, bezpieczeństwo posiadłości, również przysparzała mnóstwo pracy. Trzeba było regularnie sprawdzać elektryczne bramy i ogrodzenie odgradzające obcych od zwierząt - nawet spadająca gałąź była w stanie wyłączyć sporą część systemu ochronnego.

Lucinda cieszyła się z powrotu na Zwyczajną Farmę, ale ponieważ jej obowiązki były niezwykle wyczerpujące, z równym zadowoleniem przyjęła nadejście niedzieli - pierwszego wolnego dnia od chwili przyjazdu. Po raz pierwszy nie musiała pomagać przy śniadaniu i trudno jej było zwlec się z łóżka. Dopiero groźba Tylera, który powiedział jej, że

za dziesięć minut wszystko zostanie sprzątnięte ze stołu i umyte, poskutkowało i Lucinda zeszła na dół, gdzie Azinza dała jej jajecznicę, ciasto z owocami i szklankę mleka. Zapomniała zabrać z pokoju notes, w którym chciała zapisywać wszelkie dane dotyczące porozumiewania się ze smokami, więc po zaniesieniu talerza do kuchni pognęła schodami na górę, by go wziąć.

Kilka minut później, kiedy schodziła jedną z tylnych klatek schodowych z notesem w dłoni, usłyszała jakieś głosy dochodzące z pokoju wypełnionego zdjęciami żony Gideona - ze „Świątyni Grace”, jak ją sama nazwała. Pierwszy głos należał z całą pewnością do Gideona, po nim dały się słyszeć cichsze, lecz równie wyraziste oziębłe tony Patience Needle. Lucinda zatrzymała się i serce zabiło jej jak szalone. Co ta dwójka robiła razem w tak rzadko odwiedzanym salonie? A co będzie, jak pomyślała, że ich szpieguje? Przez chwilę Lucinda miała ochotę zawrócić i pójść z powrotem tą samą drogą, którą przyszła.

Ale to nie w porządku, pomyślała. Nie zrobiłam niczego złego. Poza tym i tak pewnie rozmawiają na temat rachunków czy czegoś takiego.

Zwolniła, dochodząc do drzwi salonu - poczuła już ciekawość na myśl o tym, o czym ta dwójka mogła dyskutować z dala od innych.

— ...ale ja tego nie pochwalam, Gideonie - powiedziała pani Needle z większą złością niż zwykle, tak że jej głos pobrzmiwał nieprzyjemnymi, twardymi tonami niczym brzęk metalu. - Z całym szacunkiem, nie jesteś już młodzieniaszkiem.

— Zapewniam cię, Patience, że jestem tego o wiele bardziej świadom niż ty - odpowiedział wujek Gideon. - Ostatnio boli mnie nawet tam, gdzie nie powinno. Masz rację, pewnie nie mam dużo czasu. I właśnie dlatego mam zamiar zrobić to teraz.

Coś w jego głosie bardzo przestraszyło Lucindę. Czy wuj Gideon jest chory? Umierający? Czasami ją denerwował, złościł, ba, doprowadzał do szału, ale nie była sobie w stanie wyobrazić tego miejsca bez niego.

Najwyraźniej pani Needle uważała tak samo.

— Nic ci nie grozi, Gideonie. W gruncie rzeczy w swoim wieku jesteś okazem zdrowia. Ale co się stanie z tym miejscem, jeśli... jeśli coś ci się jednak stanie? Bo ja wiem, wypadek? Zanim dzieci będą naprawdę na to gotowe? Jesteś pewien, że chcesz się spotkać z prawnikiem i zmienić wszystko, nie zastanowiwszy się nad tym dłużej...?

— Ja już się nad tym dość zastanawiałem, Patience. - W głosie Gideona słychać było rozbawienie, choć pozbawione wesołości. - Dlatego właśnie nie chcę dłużej zwlekać. Dzieci dostaną wszelką pomoc, jakiej będą potrzebować. Simos zajmie się zwierzętami i ziemią, a ty będziesz miała oko na interesy. No i oczywiście wraz z Colinem zawsze będziecie mieli tu swoje miejsce, bez względu na wszystko. Dlatego też mogę liczyć na twoją pomoc, gdyby taki dzień nastął - mam rację, Patience?

Lucindzie wydawało się, że usłyszała w jego głosie ledwo wyczuwalną zaczepkę, jakby poddawał panią Needle jakiemuś sprawdzianowi. O czym oni mówią? Nie była w stanie wyłapać sensu tej rozmowy. Czy te „dzieci” to ona i Tyler? I skąd tu ten prawnik...?

— Oczywiście - rzuciła pospiesznie pani Needle. - Naturalnie, że ty... że one... mogą liczyć na moją pomoc, Gideonie. Mam nadzieję, że to się samo przez się rozumie.

— Samo przez się, oczywiście. - Gideon zdawał się być usatysfakcjonowany. Odchrząknął. - Ale zanim przejdziemy do szczegółów, muszę się napić wody. Jestem wyschnięty na wiór...

— Przyniosę ci - powiedziała pani Needle i jej krzesło zaszurało.

Lucinda usłyszała kroki gospodyni i uświadomiła sobie, że ma tylko kilka sekund. Rozejrzała się wokół, ale nie było się gdzie schować. Nie mając innego wyjścia, po prostu odwróciła się i rzuciła się z powrotem korytarzem w kierunku, z którego przyszła.

Lucinda zatrzymała się dopiero w głównym holu, gdzie padła na jedną z pokrytych aksamitem puf stojących przy ścianie i starała się odzyskać

oddech, nasłuchując odgłosu pościgu, ale po niecałej minucie wciąż niczego nie słyszała oprócz własnego dudniącego serca. W końcu mogła zebrać myśli.

Pewnie mówił o domu, uświadomiła sobie. O farmie. O tym, co będzie, jak go zabraknie. Dzieci - to pewnie my! Zamarła, kiedy w końcu to do niej dotarło - wielka sprawa, wielkie zaskoczenie.

Pewnego dnia dostaniemy farmę. O tym właśnie mówił wujek Gideon. To było jasne i oczywiste. Ale podobnie jak o wszystkich ważnych rzeczach, które się tutaj działy, dowiedziała się o tym przez przypadek, szpiegując, wsłuchując się w szepty z pokoju na tyłach domu.

Ale co to oznaczało? Czyżby naprawdę wybaczył im wszystkie wpadki...? W takim razie pewnego dnia smoki - Desta, Meseret - i wszystkie inne zwierzęta będą należeć do nas, pomyślała podekscytowana Lucinda. Do nas!

Nie mogła się doczekać, by powiedzieć o tym Tylerowi.

Lucinda musiała otworzyć dwie skomplikowane bramy, przejść przez nie, po czym zamknąć je za sobą, i miała mnóstwo czasu na przemyślenia podczas długiego spaceru, dlatego część początkowych emocji opadła z niej, kiedy doszła do Gadziej Obory.

A co będzie, jeśli rzeczywiście coś się wydarzy i ona wraz z Tylerem naprawdę odziedziczy tę farmę pewnego dnia? Nagle to, co wydawało się tak wspaniałą perspektywą, zaczęło ją przytłaczać. Nie będzie się to wiązało wyłącznie z zarządzaniem wielkim gospodarstwem, który to obowiązek był wielkim wyzwaniem dla każdego, a co dopiero dzieci w ich wieku. I choć zgromadzone tutaj zwierzęta były dziwne i niebezpieczne, to nagle nawet obecność wielu gatunków mitycznych stworów nie przerażała jej. Lucinda pracowała przy nich na tyle długo, by wiedzieć, że można się nimi zająć (choć wymagało to mnóstwa pracy i pieniędzy). To, co tak nagle ją przeraziło, wiązało się z tym, że człowiek, który odziedziczy farmę po Gideonie, dostanie również w spadku



wszystkich jej mieszkańców, ponieważ farma Gideona Goldringa była schronieniem zarówno dla ludzi, jak i zwierząt. Każdy mieszkaniec farmy oprócz samego Gideona pochodził z innego miejsca i innego wieku - niektórzy, jak Haneb, Ooola czy pan Dobrochodzki, z zamierzchłych wieków i mitycznej przeszłości. Gideon wyłowił ich wszystkich z naturalnego środowiska w chwili niechybnej śmierci, mając nadzieję, że w ten sposób wywoła minimalne perturbacje czasowego kontinuum. Może i mieszkańcy farmy czasami mieli żal do Gideona i jego żelaznej ręki, ale to on ocalił życie każdego z nich, a teraz tkwili tu w nowoczesnym świecie, nie mogąc wrócić do domu i nie będąc się w stanie zadomowić we współczesnych czasach.

Ta odpowiedzialność była przerażająca i Lucinda postanowiła, że na razie nie będzie o tym myśleć. Będzie na to czas później, gdy odnajdzie Tylera i mu o tym opowie. Ostatnie metry do Gadziej Obory pokonała biegiem, nie chcąc, by coś ją rozkojarzyło.

Nie zwlekała, tylko udała się na tyły przepastnego budynku, gdzie trzymano smoki. Nie były wcale jedynymi egzotycznymi mieszkańcami tego budynku, ale Lucinda nawet nie spojrzała w stronę latających węży czy dyszących jadem bazyliiszków.

Meseret leżała na boku w olbrzymiej zagrodzie niczym samolot w hangarze i na poły otwartymi ognistymi ślepiami obserwowała zbliżającą się Lucindę. Nieopodal, w osobnej zagrodzie, leżał w uprząży mały smok. Kiedy Lucinda podeszła bliżej, jak zawsze nieśmiały Haneb machnął do niej na powitanie, nawet nie podnosząc wzroku, i dalej nabierał na szufłę smoczą kupę. Dorosłe smoki, takie jak Meseret, nie jadły często, ale kiedy to robiły, zostawiały po sobie odchody wielkości małego samochodu. Haneb miał twarz zakrytą chustką, gdy nakładał śmierdzącą czarnozieloną masę na taczki. Gideon mówił jej, że dobrze utrzymany smok zostawia po sobie doskonały nawóz - który wysypywali nawet na ogródek warzywny. Lucinda nie miała ochoty aż tak dogłębnie

poznawać tajników ogrodnictwa, dlatego też przez kilka dni wstrzymywała się od spożywania zieleniny.

Na Zwyczajnej Farmie nawet sałata ma swoje tajemnice...!

Rozgoniła troski pozostałe po podsłuchanej rozmowie między panią Needle i stryjecznym dziadkiem.

Cześć, Meseret, pomyślała. Słyszysz mnie? Pamiętasz mnie?

Złote oko wpatrywało się w nią, mrugnęło i znów pozostało nieruchome.

Lucinda starała się przypomnieć sobie, jak to było za pierwszym razem, kiedy usłyszała w głowie myśli smoczy - kiedy po raz pierwszy wymieniły się myślami. Jechałam na tobie, pamiętasz to? Oczywiście słowo „jechałam” było dużą przesadą i najbliższe prawdy było określenie „trzymałam się kurczowo, by nie spaść”. Pomogłam ci odzyskać twoje jajko - pamiętasz? Lucinda zerknęła na Destę zwiniętą w kłębek na piasku i słomie. Pomogłam ci odzyskać twoją córeczkę.

Jaskrawożółte ślepie Meseret znów mrugnęło, po czym zamknęło się na dobre. Było jasne, że smoczyca nie ma zamiaru się do niej odezwać, ale czy nie chciała, czy też Lucinda straciła cenną umiejętność - nie można było tego stwierdzić. Lucinda wzruszyła ramionami i podeszła do mniejszej zagrody Desty.

— Proszę nie za blisko nich, panienko - zawołał Haneb, mijając ją z pełnymi taczkami. - Proszę pamiętać, co się stało z paniczem Colinem.

Oczywiście, że pamiętam, pomyślała Lucinda. To była moja wina.

— Będę ostrożna. Żadna z nich nie zrobi mi krzywdy, Haneb.

Było to najprawdziwsze „pobożne życzenie” i zarówno ona, jak i Haneb zdawali sobie z tego sprawę. Pomimo to drobny mężczyzna skłonił się nieśmiało i poszedł swoją drogą.

— Tylko... proszę uważać, panienko.

Odwróciła się do małego smoka, który przyglądał się jej z takim samym pozornym brakiem zainteresowania jak jego matka.

— Cześć, Desta - powiedziała zarówno na głos, jak i w myślach.

Pamiętała dzień, w którym mały smok przyszedł na świat, jak wszyscy byli podekscytowani, pomagając mu wyleźć ze skórzastego jajka, i starała się przemienić te wspomnienia w obrazy, by Desta również mogła je „zobaczyć”, ale smok w żaden sposób na to nie zareagował.

Lucinda przez prawie godzinę przemawiała do nich głosem i myślą, starając się zrobić wszystko, co w jej mocy, i zapisując każdą nieudaną próbę w notesie, ale przypominało to wołanie na puszczy - wracało do niej wyłącznie echo. Smoki najwyraźniej czerpały satysfakcję z ignorowania jej. Poddała się w końcu i stanęła przy barierce przed zagrodą Desty, powstrzymując łzy. Tak bardzo czekała na tę chwilę przez cały rok, siedziała na tyłu nudnych zajęciach w szkole, posiadając wiedzę, jakiej nie miał nikt - że ponownie będzie miała okazję stać się bardzo ważną osobą, Lucindą, Dziewczynką, Która Rozmawia Ze Smokami! Czy to wszystko wydarzyło się przypadkiem, czy to był fuks?

— Niech się panienka nie martwi - powiedział Haneb. - Nie są przyjazne. To smoki. Ale ta mała... - Zawahał się. - Ta mała ma swoją tajemnicę...

Lucinda pociągnęła nosem i pospiesznie wytarła oczy. Była tak zawstydzona, że Haneb zobaczył, jak użala się nad sobą.

— Tajemnicę...?

— Żeby polubiła panienkę. Żeby... dała się dotknąć. Żeby się z nią zaprzyjaźnić.

Serce Lucindy aż podskoczyło. Ragnar powiedział jej kiedyś, że Haneb pojawił się na Zwyczajnej Farmie wraz ze smokami, kiedy były młodsze niż teraz Desta, że razem przybyli ze starożytnego Bliskiego Wschodu. Czyżby miał zamiar w końcu podzielić się tajemnicą komunikowania się z nimi? Może jakimś magicznym słowem? Specjalnym gestem dłoni?

— Tak, Haneb, powiedz mi! Proszę!

Opiekun zwierząt spojrzał na Destę, po czym odwrócił się do Lucindy

na swój dziwny sposób, bokiem, patrząc na nią tylko kątem oka.  
— Ona... ona lubi marchewki.

# Rozdział 8

## Stare meble

Tego roku na farmie działy się naprawdę dziwne rzeczy - Tyler czuł to. Prawdopodobnie najdziwniejsza była wiadomość, którą podsłuchiwała Lucinda podczas rozmowy Gideona z panią Needle, wiadomość o tym, co miało nastąpić na wypadek jego śmierci - była pewna, że ich stryjeczny dziadek mówił, że chce tak wszystko zorganizować, żeby Tyler i jego siostra odziedziczyli farmę! A pani Needle pogodziła się z tym, przynajmniej tak się zdawało, choć Tyler nie sądził, że wszystko poszłoby jak z płatka, gdyby Gideonowi naprawdę coś się stało - wiedźma nie podda się i będzie chciała zagarnąć farmę dla syna, Colina.

Ale skoro Patience Needle nie była w stanie wpłynąć na zmianę zdania Gideona Goldringa, cóż mogła więcej zrobić? Nie przebywała w tym stuleciu legalnie - przecież nie zaskarży testamentu w sądzie.

Tyler zastanawiał się też, co tak naprawdę robił Colin w bibliotece. Tyler powiedział Gideonowi, że znalazł tam wisiołek Grace, to jasne, ale czy naprawdę na farmie, na której było co robić, Gideon posyłałby zdrowego, silnego chłopaka, by miesiącami siedział wśród książek, czekając, aż niespodziewanie ukaże się tam kolejny wisiołek? I dlaczego ich rozmowa dotyczyła książek? Jaki związek ze zniknięciem żony Gideona miały książki?

Oczywiście wisiołek nie pojawił się znikąd, to po pierwsze, ale Tyler nie mógł się do tego przyznać, nie wydając tajemnicy lustra przy umywalce, odkrytej przez siebie bramy, która prowadziła do innej, dziwnej wersji Zwyczajnej Farmy - miejsca, w którym, czego Tyler był

pewien, wciąż tkwiła uwięziona żona Gideona, Grace.

Tyler skrzywił się. Kilka niewinnych kłamstewek niezwykle wszystko skomplikowało. To nie było w porządku.

Tyler nadgryzł kanapkę z masłem orzechowym i rozłożył na łóżku to, co nazywał „aktami Octavia” - wszystkie skrawki notatek i zapisków wielkiego wynalazcy, które udało mu się zebrać zeszłego lata i które zabrał z kryjówki, stertę podartych, poplamionych wodą i nadgryzionych przez myszy karteczek, tak małych, że mieściły się w pudełku po cygarach. Pierwszy raz od przyjazdu miał okazję zajrzeć do nich i zastanawiał się, czy może teraz ułożą się w bardziej logiczną całość. Przez cały rok starał się bardziej uważać w szkole, szczególnie na lekcjach przyrody i matematyki, ale tego rodzaju rzeczy, o jakich pisał Octavio Tinker w swoich dziennikach - krystalometria i wiązania współwartościowe - raczej nie pojawiają się na lekcji nauki o Ziemi w szóstej klasie u pana Ortolaniego.

Octavio cały czas powtarzał we wczesnych zapiskach, że należałoby stworzyć urządzenie zdolne poprowadzić człowieka przez Linie Uskoku. Później Tyler dowiedział się, że Octavio skonstruował to urządzenie (najwyraźniej przy pomocy samego Gideona) i nazwał je kontinuoskopem. Tyler jednak przeszedł bezpiecznie przez Linie Uskoku i wyszedł z niej bez tego gadżetu. Czy był to odosobniony przypadek, czy też Tyler był groźnym mutantem, jak w komiksach? Zastanawiał się nad tym od zeszłego lata i teraz fragment przydługich, nudnych i trudnych do odczytania bazgrołów wyskoczył na niego niczym diabeł z pudełka: Zaczynam wierzyć, że niektórzy ludzie, tacy jak ja, posiadają naturalną wrażliwość na Linie Uskoku - wrodzoną zdolność, dzięki której rozróżniają ciasno napakowane warstwy, i być może nawet PRZEMIESZCZAJĄ się z jednej do drugiej...

„Warstwy”. Tyler odnalazł szkolny słownik Lucindy i sprawdził to słowo. Było to tylko jedno zdanie, ale zadudniło niczym dynamit pod

czaszką. Octavio pisał, że niektórzy ludzie mogą poruszać się po Linii Uskoku nawet bez takiej maszyny jak kontinuoskop! Na tę myśl Tylerowi wszystkie włosy stanęły dęba na głowie. Octavio Tinker pisał, że niektórzy ludzie mogą mieć wewnętrzną wrażliwość na Linie Uskoku - tacy ludzie jak sam Octavio.

I być może też jak Tyler Jenkins...!

Octavio kupił tę ziemię dawno temu i wybudował ten niekończący się dom po części po to, by odwrócić uwagę ludzi od Linii Uskoku, którą tu znalazł. Być może Octavio nawet odnalazł to miejsce, bo właśnie posiadał ową „naturalną wrażliwość”. A Tyler był potomkiem Octavia - krewnym ze strony mamy i jej rodziny.

Octavio Tinker odkrył tę dziwną dziurę czasową, Linie Uskoku, i wokół niej postawił całą farmę. Tyler udowodnił, że potrafi samodzielnie podróżować przez Linie Uskoku. A teraz wujek Gideon chciał zrobić Tylera i Lucindę swoimi spadkobiercami. Wszystko do siebie pasowało jak ulał!

Tyler nie mógł już wysiedzieć sam w pokoju. Włożył buty i pognął na dół schodami, całkowicie opanowany myślą, by jak najszybciej przekazać Lucindzie najnowsze wieści.

Szukał we wszystkich oczywistych miejscach, ale nie był w stanie odnaleźć siostry. Zgadywał, że poszła drażnić smoki na drugim krańcu farmy, ale i tak rzucił okiem do ogrodu za domem, tak na wszelki wypadek, bo czasami lubiła się tam włóczyć.

Ooola, dziewczyna, którą ściągnął z epoki lodowcowej, kucąca pośrodku ścieżki ogródka warzywnego, jakby plewiła chwasty.

— Cześć, Ooola - zawołał - widziałaś moją siostrę? Nie mogę jej znaleźć.

Zastanawiała się chwilę bardzo poważnie, po czym pokręciła głową.

— Nie widzę jej. - Uśmiechnęła się. - Pomagasz mi, Tyler? Zbieram słomaki!

— Ślomaki?

Podszedł bliżej, by zerknąć przez ogrodzenie. Ooola klęczała przy grządce słoneczników, które wyglądały jak słońca w miniaturze. Jakby dla równowagi dla takiego pięknego, radosnego widoku na końcu ogrodowych grządek stała stara, opuszczona szklarnia, niczym grobowiec z dużymi oknami.

— Widzisz? - Jaskiniowa dziewczyna wyciągnęła blaszaną patelnię, wypełnioną ohydnyymi, połyskliwymi stworzeniami. - Wiele ślomaków znajduję!

— Och. Chciałaś powiedzieć „ślimaków”.

— Tak, ślomaków. Te ślomaki wszystkie przyłożą stamtąd - powiedziała. - Wiele i dużo jeszcze za nimi! Jak jelenie, co razem biegają koło mojego domu.

— Stado ślimaków. Kapuję. - Tyler nie wiedział, dlaczego jest tym taka przejęta. W ogrodzie było dużo ślimaków, i co z tego? Czy nie właśnie tam wałęsają się ślimaki? Tyler lubił Ooolę, ale w jej obecności odczuwał też lekką nerwowość - myślał, że może mała zabujała się w nim, bo uratował ją przed niedźwiedziem. Nie zamierzał też przez cały dzień klęczeć w gorącym, letnim słońcu i łapać oślizgłe ślimaki. - Wybacz, Ooola, ale nie mogę ci teraz pomóc. Muszę znaleźć Lucinę.

Wyglądała na zawiedzioną, ale uśmiechnęła się ponownie.

— To nic, ale powiedz Gideonowi - dużo mnóstwa ślomaków!

Kiedy się obejrzał, zobaczył, że do niego macha.

— Czekaj, Tyler! Coś się przypomniało!

— Wiem, wielkie dużo ślomaków!

— Nie! - Potrząsnęła energicznie głową. - Mnie przypomniało! Kiedy leżę i patrzę na ślomaki, słyszę, ktoś idzie. Może twoja siostra. Poszła w tamtą stronę.

Wskazała kierunek, w którym ścieżka skręcała w bok od ogrodu warzywnego, mijała starą szklarnię i biegła w stronę zewnętrznych



ogrodów i biblioteki. Tylera dopadła dziwna zazdrość. Przecież Lucinda nie trzymałaby się z Colinem Needle'em, prawda? Podziękował Oooli i podreptał w kierunku, który wskazała.

Tylera czekała jeszcze większa niespodzianka, kiedy doszedł do starego, zarośniętego ogrodu różanego i do ścieżki, która wiodła przez jego środek wprost do biblioteki. Coś spadło z łopotem z wyższych gałęzi dużego drzewa, ocierając się o jego włosy, aż zaskoczony podskoczył i zakrył głowę dłońmi.

— Zaza! - wykrzyknął z radością, kiedy uświadomił sobie, kto szybuje wokół niego szerokim lukiem. - Zaza, chodź no tutaj, ty zwariowana małpo! Stęskniłem się za tobą!

Rozmawiali długo. Co prawda mówił tylko Tyler, ale Zaza włączała się do rozmowy entuzjastycznie, głównie wydając z siebie piski świdrujące uszy i szczypiąc go w nos. Mała, szara, skrzydlata małpka najwyraźniej cieszyła się, że go widzi. Zastanawiał się, dlaczego tak długo trzymała się z dala od niego. Może nie wiedziała, w którym pokoju śpi w tym roku.

Kiedy dotarł do biblioteki, Zaza podskoczyła, zatrzepotała skrzydłami i poleciała na dach, gdzie usiadła, złożyła skrzydełka, owijając się nimi niczym płaszczem i powiadamiając go tak dobitnie, jakby posługiwała się słowami, że ona poczeka na zewnątrz, aż Tyler skończy to, co zamierzał robić w tym upiornym, starym budynku. Wszedł przez otwarte drzwi frontowe bez pukania - miał takie samo prawo tu przebywać jak jego siostra, prawda? - ale zwolnił po kilku krokach, bo usłyszał głosy, z których żaden nie należał do Lucindy.

— Bo jeśli będziesz czekał, aż Gideon zrozumie, co jest dla farmy najlepsze, to będziesz czekał w nieskończoność, Colin. - Był to głos rozgniewanej pani Needle, wściekły, ale też chłodny, kontrolowany, jakby wydobywał się z maszyny do lodów włoskich. - I stracimy nasz dom. Bo Gideon Goldring jest głupcem.

— To nie w porządku, mamó - odezwał się Colin. Właściwie to się z

nią nie kłócił, ale też się z nią nie zgadzał, co świadczy na jego korzyść, pomyślał Tyler. Był to bardzo mały punkt na jego korzyść, ale jednak. - Gideon przyrzekł, że zawsze będzie tu dla nas miejsce...

— Tak! Miejsce dla służby! Czy tego chcesz, Colin? Być służącym Jenkinsów we własnym domu?

Tyler wycofywał się w kierunku otwartych drzwi, ale nagle powiew wiatru zamknął je za nim z głośnym, zaskakującym trzaskiem.

— Kto to? - Chwilę później Patience Needle wyłoniła się zza drzwi. - Co tu robisz, paniczku Jenkins? - Odarła swój głos ze wszelkich emocji, ale jej oczy wyglądały niczym wściekłe, czarne wykrzykniki. - Podśluchiwałeś...?

— N...nie - zająknął się Tyler. Była drobną, szczupłą kobietą - obecnie niższą od Tylera, który już podrośł - ale wciąż potrafiła go przerazić. - Nie! Przyszedłem po...poszukać siostry... - Przełknął ślinę. Lepiej było udawać, że niczego nie słyszał. - Nie ma tu Lucindy?

— Być może robi coś pożytecznego - powiedziała pani Needle, całkowicie już skrywając swoje emocje. - Tak jak Colin, dlatego przyniosłam mu lunch. - Uśmiechnęła się. Uśmiech wyglądał jak ostatnia rzecz, jaką widzą wszystkie małe, kudłate stworzonka, zanim zostaną połknięte. - Nie wiedziałam, że tu przyjdiesz, Tyler, bo wtedy tobie też bym coś przyniosła. - Odwróciła się i zawołała przez ramię: - Tylko się nie przepracuj, Colin, skarbie! - Płynnym, kołyszącym się ruchem zwróciła znów twarz do Tylera. - Boleję nad tym, że nie wychodzi często na dwór - powiedziała z niemal przekonującą słodyczą w głosie. - Może byście razem zegrali w piłkę? - Znów obdarzyła Tylera swoim uśmiechem zaciśniętych ust, po czym minęła go i wyszła z biblioteki, zostawiając za sobą chłód i jakiś kwiatowy zapach.

W piłkę? Z Colinem Needleem? Była to tak dziwaczna propozycja, że Tyler zastanawiał się, czy pani Needle znów nie chce go przekabacić swoimi sztuczkami. Jasne, może jeszcze pogramy sobie w kulki...!

W bibliotece Colin podniósł wzrok znad dużego pulpitu, na którym leżały liczne książki, notesy oraz laptop. Wyglądało to tak, jakby starszy chłopak zajmował szturmem bibliotekę, jakby mu się wydawało, że to miejsce należy wyłącznie do niego. Tyler powstrzymał się, by nie zrzucić wszystkiego na podłogę.

— Badania, co? - powiedział. - Tak? Badania nad czym?

— Nie twoja sprawa. - Colin uniósł brew. - A co ty tu robisz, Jenkins? Nie pomyślałbym, że jesteś mołem książkowym.

— Och, co ty nie powiesz? - Była to prawda, ale nigdy by się do tego nie przyznał. Nawet nie miał zamiaru powiedzieć Colinowi, że szuka Lucindy - potwierdziłoby to tylko fakt, że ten chudy bęcwał jest u siebie, a on nie. Tyler minął stół, starając się rzucić ukradkowe spojrzenie na książki rozłożone na blacie, ale Colin nachylił się, zasłaniając je ramionami.

— Możesz mi nie przeszkadzać? - powiedział ciemnowłosy chłopak, naśladowując ton ludzi dorosłych. - Pracuję, Jenkins. Nie możesz się bawić gdzie indziej?

— Mówiąc szczerze, mam tu coś do zrobienia, Needle. Ale postaram ci się nie przeszkadzać.

Tyler kręcił się przez chwilę wśród regałów, ale nie był w stanie się skupić. Colin i jego matka rozmawiali pewnie o tym samym, czego dowiedziała się Lucinda. Pani Needle powiedziała: „Czy tego chcesz, Colin? Być służącym Jenkinsów we własnym domu?” Tyler musiał przyznać, że ten pomysł wydał mu się zabawny - Colin przebrany w lokajską liberię, gotów wypełnić każde polecenie Tylera - ale czy naprawdę myślała, że tak właśnie będzie?

Przez chwilę i tylko przez chwilę nawet mu się zrobiło żal Colina Needle'a. Jak to jest, kiedy ma się matkę, która tak właśnie myśli, tak właśnie postępuje...?

Tak, ale jego matka nie łązi za nim krok w krok, zmuszając go, by

zachowywał się jak pacan, stwierdził Tyler. Sam na to ciężko pracuje.

Tyler podszedł do wielkiego portretu Octavia Tinkera. Wyraz twarzy szalonego naukowca był irytująco rozbawiony i tajemniczy - jak zwykle. Jak zwykle założyciel Zwyczajnej Farmy zdawał się patrzeć na drzwi niewielkiego pomieszczenia znajdującego się na wprost obrazu. Tyler nie widział magicznego lustra przy toalecie od czasu przybycia na farmę w tym roku i nagle bardzo zapragnął znów je zobaczyć. Obejrzał się, by sprawdzić, czy jest obserwowany, ale blady chłopak już ślęczał nad książkami. Tyler jakby od niechcienia podszedł do drzwi wiodących do niewielkiego pomieszczenia odpoczynkowego i wszedł do środka, zastanawiając się, czy znów zobaczy odmienny świat odbity w lustrze, ale nie zobaczył niczego.

Lustro zniknęło.

Prawdę mówiąc, zniknęły wszystkie meble: w pomieszczeniu wypoczynkowym pozostało jedynie zakurzone łóżko i prostokątny zarys na tapecie, wskazujący miejsce, w którym stała umywalka z magicznym lustrem.

Tyler poczuł się, jakby mistrz wagi ciężkiej walnął go w żołądek. Dopiero po jakiejś minucie uspokoił się na tyle, żeby wrócić do biblioteki.

— Co się stało z tym zlewem ze środka? - zapytał obojętnym głosem, najspokojniej jak tylko potrafił, choć wciąż słychać w nim było drzenie.

Colin ledwo podniósł wzrok.

— Z jakim zlewem?

— Z tego pokoju. Tego na wprost portretu Octavia. Tam dawniej stał zlew.

Colin zrobił minę wielkiego człowieka, któremu wciąż przeszkadzają małuczcy.

— Moja matka zabrała ten zlew do swego pokoju. Mówiła, że to antyk, o który należy lepiej się zatroszczyć.

Tyler mógł tylko zagryźć wargę i zmilczeć. Pani Needle ma lustro.

Lustro, które prowadziło do Grace. Musi znać prawdę! Albo przynajmniej musi wiedzieć, że nie jest to zwykłe lustro - ani przez sekundę nie uwierzył w tę historyjkę o troszczeniu się o antyki.

Tyler był tak wściekły i przerażony jednocześnie tymi wieściami, że mógł tylko myśleć o wyjściu na zewnątrz, na świeże powietrze. Lustro w umywalce zostało zabrane przez wiedźmę i Colin Needle rozsiadał się w bibliotece niczym jakiś zbir. Wszystko było złe, nieprawdopodobnie złe.

— Książki już cię zmęczyły? - zapytał Colin, kiedy Tyler przechodził obok niego. - Idziesz się pobawić?

— Zamknij się. - Odepchnął ramieniem skrzydło drzwi.

— To właśnie cały ty, Jenkins - rzucił za nim starszy chłopak. - Wcale nie starasz się zrozumieć tego miejsca, tylko byś rozrabiał. Nie jesteś w stanie pojąć prawdziwego geniusza, jakim był Octavio Tinker. Nie rozpoznałbyś kontinuuoskopu, nawet gdybyś się o niego potknął. Ale ja to co innego - wszystkiego się o nich dowiedziałem. Mógłbym sam taki skonstruować...

Z tą przerażającą groźbą dudniącą w uszach Tyler pozwolił drzwiom zamknąć się za nim.

Zaza zeszła na dół, by mu towarzyszyć, dokazując i łopocząc skrzydłami, najwyraźniej zadowolona z jego obecności bez względu na wisielczy nastrój Tylera, który mógł teraz powlec się przybity do domu. Ale w pewnym momencie małpka rozpostarła skrzydła i zniknęła, nawet się nie obejrzawszy. Kiedy odwrócił się, by zobaczyć, jak odlatuje, spostrzegł odległy blask szyb starej szklarni migającej podmorskimi barwami w popołudniowym słońcu.

# Rozdział 9

## Kingaree

Lucinda zaczęła doceniać podróżowanie wozem zaprzężonym w konia - jedyne go pojazdu, jakim mógł powozić pan Dobrochodzki. Turkotanie wozu na świeżym powietrzu sprawiało, że czuła się niezwykle ożywiona i związana z otoczeniem - jakby sama matka natura krążyła w jej żyłach. Pan Dobrochodzki, z rogami i kopytami znów skrytymi przed wzrokiem ciekawskich, jak zawsze w drodze do miasteczka, trzymał wodze luźno, choć mocno, jakby niemal przemawiał do konia za pomocą skórzanych pasków.

Kiedy spostrzegł, że Lucinda mu się przygląda, obdarzył ją pospiesznym, ostrożnym uśmiechem, co nie było częstym widokiem. Światło słoneczne miało złotą barwę tego dnia, nie było za gorąco, a w powietrzu unosiła się woń eukaliptusów i ciepłego, żółtego kurzu. Tego roku wszystko na farmie zdawało się iść w dobrą stronę - dlatego więc pan Dobrochodzki nie był zadowolony?

— Czy coś się stało, Lucindo? - zapytał Colin Needle. - Jesteś jakaś wyciszona.

Zabrzmiało to, jakby naprawdę go to obchodziło, co nieco ją zaskoczyło.

— Nic mi nie jest. Po prostu rozkoszuję się przejażdżką. Myślisz, że będzie padać?

Colin spojrział w granatowe niebo.

— Może. Gideon mówi, że takiej pogody nie było od 1983 roku - wtedy była tu powódź! Ale tego lata nie będzie aż takich deszczy, nie wydaje mi

się.

W roku 1983 nie było jej jeszcze na świecie. Była pod wrażeniem.

— Czy w tym roku naprawdę było tyle burz?

Colin uśmiechnął się.

— O tak, z gromami, błyskawicami. Tydzień przed twoim przyjazdem było tu jak na wojnie - bum, trzask, bum! Sara mówiła, że to może być koniec świata!

Zaśmiał się i nagle Lucinda zaczęła się śmiać wraz z nim. Znów zamilkli, też razem, choć teraz było to milczenie pełne zakłopotania.

Kiedy dotarli do centrum (jakkolwiek by to nazwać) Standard Valley, pan Dobrochodzki przywiązał Pieprza z wozem do słupka przed sklepem. Colin wstał.

— Muszę wpaść po coś do Rosie. Spotkamy się gdzieś w mieście?

Starszy pan podniósł wzrok, zmrużył oczy i odparł: - Może pan robić, co pan chce, paniczku Needle. Proszę tylko tu wrócić za godzinę.

— Dokąd idziesz? - zapytała Lucinda i od razu tego pożałowała. Z pewnością skryty Colin Needle zareaguje ze złością na próby przepytывania go. Ale ku jej zaskoczeniu Colin tylko uśmiechnął się szeroko.

— Idę do Rosie, bo tam mają łączność bezprzewodową.

Lucinda nie mogła się powstrzymać od śmiechu na myśl o przedpotopowym barze, wraz z jego patrzącym wilkiem właścicielem, zmienionym w kafejkę internetową.

— Mają WiFi? Żartujesz sobie, prawda?

— Nie. Rosie pozwala mi z niej korzystać, kiedy jestem w mieście, a ja w zamian za to pomagam mu z programem księgowym. - Teraz Colin też się zaśmiał. Jego śmiech brzmiał tak zwyczajnie i miło. - Tak, nawet Standard Valley w końcu z oporami gramoli się w XXI wiek.

Zszedł z wozu, machnął Lucindzie na pożegnanie i poszedł do Rosie, tuląc do siebie laptopa niczym największy skarb.

Lucinda wybrała duży worek marchwi w sklepie spożywczym, ale stwierdziła, że nie jest dostatecznie wielki - w końcu co smok, to smok! - i kopała dalej w poszukiwaniu większego. Po zapłaceniu skierowała się do sklepu z paszą, gdzie pan Dobrochodzki wylewał gorzkie żale przed sprzedawcą na temat grozy płynącej z maszynierii. Znudzona Lucinda wyglądała przez okno na główną ulicę i zastanawiała się, czy znów spotkają się z rodziną Carrillów - dziećmi z farmy obok. Wraz z Tylerem spotkali ich pierwszy raz tutaj, w Standard Valley, w zeszłym roku podczas kolejnej wyprawy po zakupy pana Dobrochodzkiego i wtedy właśnie się zaprzyjaźnili. Pomyślała sobie, że to trochę dziwne, że od dawna są na farmie, a wciąż nie mają żadnych wieści od Carmen i pozostałych. Wraz z Tylerem będą musieli znaleźć jakiś sposób na skontaktowanie się z nimi.

Pan Dobrochodzki wciąż roztaczał ponure wizje niebezpieczeństw płynących z napędu parowego przed zmieszonym sprzedawcą, kiedy Lucinda w końcu się poddała i wyszła na dwór. W powietrzu pachniało deszczem, ale jeszcze nie padało. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie dołączyć do Colina w barze, ale miała opory - co będzie, jeśli pomyśli, że się w nim zabujała? Co, chociaż od czasu do czasu zachowywał się jak człowiek, było całkowicie wykluczone...

Zamiast tego oddaliła się od centrum miasteczka. Nie był to długi spacer - minęła kilka sklepów i stację kolejową, aż wokół niej wyrosły domy z desek z ogrodzonymi płotem niewielkimi podwórkami z przodu.

Kiedy Lucinda odwróciła się przed najbardziej oddalonym domem i spojrzała w tył, ktoś wyszedł z cienia budynku stacji kolejowej. Wysoki mężczyzna kierował się w jej stronę długimi krokami. Kiedy doszła do połowy ulicy, nieznajomy zaczął iść obok niej.

— Ty, mała - zagadnął. - Zatrzymaj się i pogadaj ze mną przez chwilę.

Instynkt wręcz krzyczał Lucindzie do ucha, że powinna puścić się biegiem - jedynie to, że znajdowali się na środku głównej ulicy



miasteczka w porze popołudniowej, a ludzie przyglądali się im sprzed baru, dał jej odwagę, by zachować spokój. Górujący nad nią nieznajomy mierzył prawie dwa metry, jak podejrzewała, i poruszał się z gracją młodego człowieka, ale jego twarz była ogorzala i pomarszczona niczym stara skóra. Miał czarne włosy, podobnie jak większość ubrania, i kapelusz z szerokim rondem. Wyglądał raczej na rewolwerowca z westernu niż na farmera... człowieka z innej epoki...

Nagle lodowate palce strachu zacisnęły się jej na szyi: ten człowiek naprawdę wyglądał jak z innej epoki - jak ktoś, kto wyszedł z Linii Uskoku. Ogarnęło ją przerażenie.

— Widziałem, jak wjeżdżasz do miasta z Simosem Dobrochodzkim - powiedział wolno nieznajomy, przeciągając samogłoski. - Mieszkasz na farmie Tinkera? Gideon Goldring jest moim starym przyjacielem.

Lucinda bezradnie otwierała i zamykała usta.

— Nie musisz się mnie bać, mała. - Błysnął garniturem zębów. - Nie jestem twoim wrogiem.

Trudno było przełknąć ślinę, aby wypowiedzieć choć jedno słowo. Cała postać tego mężczyzny zdawała się być wytworem kurzu i letniego upału.

— Prze...przepraszam, ale nie wolno mi rozmawiać z nieznajomymi...

— Oczywiście, że nie wolno - odparł. - Mądra dziewczyna. Ale ja jestem swój - wystarczy zapytać Gideona i pozostałych. Powiedz im, że spotkałaś Jacksona Kingareego. Powiedz im, że niebawem się pojawię, by pogadać o starych czasach. Zapamiętasz?

Lucinda pokiwała głową.

Wysoki mężczyzna nachylił się. W jego oddechu wyczuła zapach alkoholu. Uśmiech wyglądał jak przylepiony, jakby była to sztuczka, której się nauczył, nie rozumiejąc prawdziwego znaczenia tego grymasu, tak jak pies uczy się podawać łapę.

— Miło to słyszeć, mała. Pogawędzimy sobie jeszcze, ty i ja, obiecuję.

Wyprostował się i minął ją, a poła jego kurtki musnęła jej dłoń równie delikatnie, jak upierzone skrzydło ptaka. Jego buty zastukotały na chodniku, kiedy skręcał za róg budynku stacji, po czym zniknął. Kilka kropli deszczu, delikatnie niczym spadające płatki kwiatów, zmoczyły jej twarz i dłonie, zostawiając też ciemniejsze kropki na ulicy.

Lucinda wypuściła powietrze z płuc, które wstrzymywała tak długo, aż zakręciło się jej w głowie, i ruszyła biegiem.

— Nigdy nie zbliżaj się do tego człowieka! Nigdy!

Pan Dobrochodzki był tak zdenerwowany, że niemal przewrócił filiżankę z kawą. Wszyscy klienci baru odwrócili głowy w jego stronę.

— Podszedł do mnie na ulicy.

— Kiedy go znowu zobaczysz, nic nie mów - uciekaj. Ten człowiek to samo zło. - Starszy pan pokręcił głową i wydał z siebie przerażająco niehumanitarne warknięcie.

Przez krótką chwilę Lucindzie przypomniało się, jak pan Dobrochodzki tańczył na odkrytych kopytach na zboczu pagórka na de nocnego nieba jak dzika istota z zamierzchłych czasów. Otaczają nas postacie z legend i bajek, zadumała się. No i potwory.

— Ale kim jest ten... Kingaree?

— Oczywiście wyłonił się z Linii Uskoku - odparł spokojnie Colin Needle ze wzrokiem wciąż wbitym w ekran laptopa. - Jak my wszyscy, w taki czy inny sposób.

— Co takiego? - To stwierdzenie wyrwało Lucinę z zamyślenia. - Przecież mówiłeś, że się tu urodziłeś, Colin.

— Bo tak było. Moja matka była w ciąży, .kiedy Gideon ją tu ściągnął.

Lucinda zastanawiała się, nie po raz pierwszy, kim był ojciec Colina, ale żadne z Needle'ów o tym nie mówiło.

— Ale skoro ten człowiek wyszedł z... - Colin spojrzał na nią bystro, więc Lucinda wypowiedziała bezgłośnie te słowa - z Linii Uskoku, to dlaczego nie mieszka na farmie?

— Mieszkał przez jakiś czas - odparł Colin. - Ale nie podobały mu się zasady.

Pan Dobrochodzki rozejrzył się wokół, żeby upewnić się, że nikt z klientów baru ich nie podsłuchuje.

— Nie rozmawiajmy już o nim, dopóki nie pogadam z Gideonem.

— Kingaree przybył do nas ze starym Cezarem - wyszeptał Colin do Lucindy, kiedy wychodzili z baru za panem Dobrochodzkiem. - Tyle wiem.

— Z Cezarem?

Nie była w stanie powiązać wiekowego, uroczego Cezara z Kingareem - nieprzystępnym, gwałtownym człowiekiem. Kiedy zbliżyli się do wozu, nerwowo spojrzała na ulicę, szukając złowróżbnej sylwetki Kingareego w każdym cieniu. W wyniku poszukiwań spostrzegła natomiast Steve'a Carrilla, stojącego przed sklepem wielobranżowym z lodem w ręce, choć rozpoznała go dopiero po chwili.

— Steve! - wykrzyknęła. - Hej, Steve! To ja, Lucinda! Wróciliśmy!

Pomachał jej i zawołał kogoś ze sklepu. Chwilę później jego siostra Carmen Carrillo wypadła na zewnątrz. Zobaczyła Lucindę i pobiegła do niej, za nią Steve, i spotkali się pośrodku ulicy, gdzie zaczęli się ścisnąć i witać. Colin przyglądał się przez chwilę tym serdecznościom, po czym poszedł w stronę wozu bez słowa.

Carmen urosła i nieco schudła - wygląda olśniewająco, pomyślała Lucinda, ale Steve najwyraźniej nadrobił za nią tych kilka kilogramów.

— Ależ ja za wami tęskniłam! - wykrzyknęła Lucinda. - Zastanawiałam się, kiedy się z wami w końcu zobaczę! Tyler został na farmie. Teraz będzie żałował, że nie pojechał.

— Alma została w domu - powiedział Steve o najmłodszej latorośli Carrillów. - Szyje coś ostatnio i prawie nie wychodzi z pokoju.

— Już nie rzeźbi w drewnie? - zapytała Lucinda. - To źle!

Steve zaśmiał się.

— No, nie. Wciąż rzeźbi. I robi różne rzeczy z gliny. Ma większy

bałagan w pokoju niż ja!

— To nie jest możliwe - stwierdziła Carmen. - Jejku, jak wspaniale cię zobaczyć, Luce. Pokazywałam twoje maile Steve'owi i Almie. - Uśmiechnęła się. - No, może nie wszystkie...

— Dzięki ci za to! A rodzice?

Przez ułamek sekundy Carmen miała jakąś nietęgą minę.

— Chyba dobrze. Tak jakby. Mamy dziwne problemy z tym facetem z zeszłego roku. - Rozejrzała się, ale niewielka uliczka była opustoszała. - Z tym, który wylądował helikopterem na waszej farmie.

— Z Edwardem Stillmanem? - Lucinda nagle poczuła powiew chłodu. Najpierw ten nowy, Kingaree, potem ten bogaty wariat. Co świat ma przeciwko Zwyczajnej Farmie? - Jakiego rodzaju problemy?

— Wciąż proponuje naszym starszym pieniądze - powiedział Steve.

— Wykupuje ziemię wokół waszej posiadłości - wyjaśniła Carmen. - Więc oczywiście chce kupić naszą farmę, bo mieszkamy tuż koło was.

— No i daje kupę forsy - dodał Steve. - Słyszeliśmy, jak mama z tatą o tym rozmawiali. Nie chcą sprzedawać... ale to mnóstwo pieniędzy. Mój tato próbuje porozmawiać z Gideonem na ten temat, ale wasz wuj nawet do niego nie oddzwania. Tato pojechał do niego, ale Gideon nie pofatygował się do tej wielkiej, porąbanej bramy, którą wybudował. Widziałaś ją? No tak, musiałaś ją widzieć.

Lucinda uśmiechnęła się, ale jej radość na widok dwójki przyjaciół miała gorzki posmak. Stillman powrócił, a do tego jeszcze pojawił się ten Kingaree. Co jeszcze?

— Witajcie, niegrzeczne dzieci - pan Dobrochodzki pozdrowił dwójkę Carrillów, lecz bez swej zwykłej szelmowskiej przekory. - Lucindo, musimy wracać. Trzeba omówić wiele rzeczy z Gideonem.

— Panie Dobrochodzki, proszę powiedzieć panu Gideonowi, że nasz tata naprawdę musi z nim porozmawiać - odezwała się Carmen. - Proszę. To ważne.

Żyłasty staruszek wyglądał na tak przygnębionego, że Lucinda go jeszcze takim nie widziała.

— Oczywiście, że mu powiem. Ale Gideon Goldring zawsze robi tylko to, co sam chce. Chodźmy, Lucindo.

— No to cześć! - wykrzyknęła, wspinając się na wóz i siadając obok Colina. - Do zobaczenia wkrótce, mam nadzieję!

— Przyjedźcie znów na czwartego lipca! - wykrzyknęła Carmen. - W zeszłym roku był niezły ubaw!

Ku zaskoczeniu Lucindy przy nowej bramie czekał na nich Ragnar. Wielki wiking nie uśmiechał się, kiedy wjeżdżali do środka, jedynie przytrzymał bramę, po czym zamknął ją ręcznie i zaciągnął skobel.

— Coś nie tak z bramą? - zapytał Colin. - Powinna się sama otworzyć i zamknąć.

— Niewidzialna błyskawica zniknęła - odparł Ragnar. - Twoja matka ją odegnęła czy, jak to mówisz, wyłączyła, jak zwał, tak zwał. Aż dowiemy się, co się właściwie dzieje. - Był najwyraźniej poruszony. - Gideon pojechał z wami? Został w miasteczku?

Pan Dobrochodzki wydawał się równie zaskoczony jak Lucinda.

— Nie. Gideon został na miejscu. Nie pojechał z nami.

Lucinda zaczęła się naprawdę bać. Popatrzyła na Colina, ale on był równie zdezorientowany jak ona. - Co się dzieje?

— Nie możemy go znaleźć - odparł Ragnar. - Od kiedy wyruszyliście rankiem, szukamy go wszędzie. Szukają wszyscy na farmie. Sprawdziliśmy wszystkie możliwe miejsca, przeszukaliśmy cały dom, obory, wzgórza, zagrody. - Potrząsnął głową. - Ale Gideon zapadł się pod ziemię. Zniknął.

# Rozdział 10

## Wyjście z ogrodu

— ...i był taki przerażający, Tyler! - wyszeptała Lucinda. - Niczym... jakiś diabeł czy coś takiego!

Jego siostra nie mogła przestać mówić o Kingareem, tajemniczym uciekinierze z Linii Uskoku, ale chociaż na Tylerze zrobiło to duże wrażenie i był nawet zaniepokojony tym zdarzeniem, zdawało się, że obecnie to najmniejszy z ich problemów.

Mieszkańcy farmy zebrali się w Wężowym Salonie, jak nazywali to miejsce Tyler i Lucinda - dużym frontowym pokoju z witrażem przedstawiającym Adama i Ewę, którzy dają się oszukać wężowi skręcającemu się na jabłoni niczym serpenty na słupie. Tyler nie mógł pozbyć się myśli, czy w takiej chwili zbieranie się pod wizerunkiem Szatana jest najlepszym pomysłem, ale jak zwykle nikt go nie pytał o zdanie.

Deszcz, który jeszcze niedawno bębnił w okna i dach, teraz ucichł i znów zaczęło się robić strasznie gorąco. Wszyscy mówili jednocześnie i wydawali się zaniepokojeni - nic dziwnego, bo Gideon był nie tylko ich obrońcą, ale jedynym łącznikiem z czasami współczesnymi. Tyler nawet nie był sobie w stanie wyobrazić, jak czuli się Sara, mongolscy Amigos i pozostali.

Pani Needle stała pośrodku sali, marszcząc brwi, a jej oblicze wyglądało niczym wyrzeźbione z kości słoniowej.

— Musicie się teraz uciszyć i posłuchać - oznajmiła. - Słyszycie, co mówię? Cisza!

— A niby czemu? Nie jesteś Gideonem! - wykrzyknął Hoka, jeden z Amigos. - Nie jesteś panią domu!

Jego dwaj milczący kompani byli wyraźnie pod wrażeniem, że ich kolega pyskuje pani Needle, ale chyba woleliby, żeby tego nie robił.

Colin Needle też ma bardzo dziwną minę, pomyślał Tyler. Był blady jak płótno, jak często mówiła mama Tylera i Lucindy. Ma nieczyste sumienie? - zastanawiał się Tyler.

— Uciszcie się wszyscy! - odezwała się tym razem dużo ostrzej pani Needle. - Nie zachowujcie się jak kretyni. Nikt tutaj nie przejmuje władzy. Ale ktoś musi wziąć wszystko w karby...

— W takim razie powinien to być Simos - powiedział Ragnar spod drzwi. - Dobrochodzki jest tu dłużej niż ktokolwiek z nas. Zawsze był prawą ręką Gideona.

Pani Needle ze wstrętem wywróciła oczami.

— Tu nie chodzi o to, kto tu ma rządzić, ale o to, by znaleźć Gideona...!

— Przeszukaliście cały dom? - zapytał Tyler stanowczym głosem. - Przecież korytarze ciągną się kilometrami! Dlaczego marnujemy czas na gadanie? Gideon mógł gdzieś wpaść, gdzie nikt nie usłyszy jego wołania...

Wielu mieszkańców farmy zamruczało aprobowując, ale pani Needle nie pozwoliła się zbić z pantałyku.

— Oczywiście, że przeszukaliśmy cały dom, paniczu Jenkins, a ponieważ jest duży i pełno w nim nieużywanych pokoi, będziemy szukać dalej. Proszę zostawić to tym, którzy znają dom - mnie, Sarze, jej pomocom kuchennym i Cezarowi...

Jedna z „pomocy kuchennych” nagle podniosła się z krzesła. Była to wysoka Afrykanka, Azinza, która zakołysała się niczym drzewo na wietrze.

— Widziałam Gideona we śnie! - wykrzyknęła.

— Och, na miłość boską! - zasyczała Patience Needle. - To zupełnie nie do pomyślenia. Siadaj, głupie dziewczynisko! - Pani Needle odwróciła się

od całkowicie zaskoczonych Azinzy. - Nikt nie widział Gideona od kolacji. Caesar mówił, że nie spał w swoim łóżku. Podzielimy się na grupy. Kobiety będą dalej przeszukiwać dom, a mężczyźni...

— Ale mówię wam, że go widziałam! - wykrzyknęła Azinza. - Widziałam, co się przytrafiło Gideonowi!

Pani Needle odwróciła się do niej z zimną furią w oczach.

— Dość tych głupot!

— Nie masz prawa odbierać jej głosu - powiedział Ragnar, podchodząc do Azinzy. Przez chwilę on i pani Needle wpatrywali się sobie nawzajem w oczy z taką otwartą nienawiścią, że Tylerowi włosy stanęły dęba na karku. W końcu pani Needle machnęła z odrazą ręką i odwróciła się. - Mów - wielki mężczyzna zachęcił Azinzę. - Mów, co widziałas, dziewczyno.

— To nie są żadne głupoty - powiedziała, choć nie potrafiła spojrzeć Patience Needle w oczy. - Moi sąsiedzi przychodzili do mnie, żeby poznać moje sny. Nazywali mnie boginią snu.

Potrząsnęła głową ze złością i ze łzami w oczach. Tylerowi było jej żal. Gideon uratował jej życie, ale też pozbawił ją wszystkiego, co знаła i w co wierzyła.

— Zeszłej nocy miałam bardzo wyrazisty sen - zaczęła. - Wiele mówiący sen, jak te, które miałam w domu. Jakiś wielki stwór o wielu palcach - tyłu, ile jest gałęzi na jabłoni - trzymał pana Gideona. Krzywdził go, a on próbował mu się wyrwać, ale stwór był silny. A potem on... on... - Azinza zmarszczyła czoło. - Zaczął się topić...!

Starła się powiedzieć coś więcej, ale nie potrafiła. Płacząc, dała się zaprowadzić Pemie na krzesło. W pokoju rozległy się rozgorączkowane głosy i okrzyki przestachu.

Pani Needle zwróciła się do Ragnara: - No i masz, co chciałeś! Zadowolony jesteś, że nakładłeś im do głów takich bzdur?

Względny porządek, jaki panował w sali, zniknął bez śladu. Wszyscy w



Wężowym Salonie mówili jednocześnie.

Lucinda podeszła chyłkiem do Tylera.

— Boję się, Tyler - wyszeptwała. - Gdzie mógł się podziać?

— Przychodzi mi do głowy kilka miejsc.

Tyler nie mógł się pozbyć wizji lustra przy umywalce i zagadkowego świata tuż za nim, ale nie miał zamiaru mówić o tym na głos: Lucinda była jedyną osobą w domu, która o tym wiedziała. Czy pomimo to Gideon mógł się w jakiś sposób tam dostać? Czy miało to coś wspólnego z tym, że pani Needle kazała wynieść umywalkę z biblioteki i wstawić ją do siebie?

A jakież było lepsze miejsce na schowanie kogoś? - pomyślał Tyler. Wystarczyło go ogłuszyć i wepchnąć do środka przez taflę...

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym więcej odkrywał argumentów przemawiających za tym. Ale jak mógł powiedzieć pozostałym, że przez rok ukrywał przed nimi coś tak ważnego?

Cisza, która nagle zapadła w pomieszczeniu, przerwała jego rozmyślenia. W drzwiach frontowych stanął pan Dobrochodzki, a jego pociągłą, brodatą twarz pokrywał szary kurz.

— Zszedłem w dół Linii Uskoku - oznajmił zarządca farmy. - Zła wiadomość jest taka, że nie ma tam nawet śladu po Gideonie. Kłódka wciąż wisi na zewnątrz, ale i tak ją otworzyłem, wszedłem do środka, by sprawdzić, czy nie ma tam śladów stóp. I myślę, że ich brak to dobra wiadomość, ponieważ gdyby przekroczył Linie Uskoku, nie bylibyśmy w stanie podążyć za nim. Zamknąłem ją ponownie. Nikogo innego tam nie było.

— W takim razie należy wznowić poszukiwania! - zakrzyknął Ragnar, zanim pani Needle zdążyła się odezwać. - Hoka, Jeg i pozostali, chodźcie ze mną.

— A jak go nie znajdziemy? - zapytała Lucinda.

Na twarzach reszty mieszkańców farmy widać było, że też ich to trapi.

Ragnar oznajmił:

— Obecnie nie mamy odpowiedzi na to pytanie, dziecko drogie. Podczas poszukiwań wszystko inne musi toczyć się swoim utartym torem. Pan Dobrochodzki będzie zajmował się farmą, pani Needle będzie... będzie doglądać wszystkiego w domu.

Patience Needle obdarzyła go jadowitym uśmiechem.

— Dziękuję, żeś dał mi pozwolenie na wykonywanie mojej pracy, Ragnarze Lodbrok.

— Dość tych kłótni - odezwał się pan Dobrochodzki. - Wznawiamy poszukiwania. Szukajcie jeszcze raz wszędzie. Gideon jest stary i może być ranny. Nie ma czasu do stracenia.

Odwrócił się i wyszedł przez drzwi, stukając kopytami o parkiet w holu. Większość mężczyzn z farmy poszła za nim - ale gdzie, zastanawiał się Tyler, jest Colin Needle? Dostrzegł chwilę później, że rozmawia on o czymś gorączkowo z Lucindą, co zaniepokoiło go bardziej, niż powinno. Nie chciał, żeby bladolicy młodzieniec zadawał się z jego siostrą. To było takie jakieś... obmierzłe. Obmierzłe i nie na miejscu.

— Ej, Needle - zawołał. - Needle!

Starszy chłopak posłał mu spojrzenie pełne niechęci.

— Czego chcesz, Jenkins? Nie mówiłem do ciebie.

— Myślę, że twoja matka wie co nieco o zniknięciu Gideona - coś przed nami ukrywa.

— Tyler - rzuciła ostrzegawczo Lucinda. - Daj spokój...

Zignorował ją.

— Nie okłamuj nas, Needle. Wiesz, że miała coś z tym wspólnego, prawda? - Tyler zbliżył się do nich i ku swojej satysfakcji zauważył, że Colin się cofnął.

— Zamknij się, Jenkins! - wykrzyknął chłopak. - Ty nie masz pojęcia o niczym. Tylko patrzysz, żeby coś sknocić, podczas gdy tacy jak ja starają się ocalić to miejsce.

— Przestańcie, obydwaj! - wykrzyknęła Lucinda, ale Tyler dopiero się rozgrzewał.

— No jasne - rzucił z ironią. - Ocalić farmę... tak jak wtedy, kiedy chciałeś sprzedać jajo Meseret najbardziej znienawidzonemu przez Gideona facetowi? Kiedy, mówiąc szczerze, o mało co nie wydałeś całej tajemnicy tego miejsca? Tak, naprawdę ci zależy, nie można powiedzieć!

Łzy napłynęły Colinowi Needle'owi do oczu. Zacisnął pięści i przez chwilę Tyler myślał, że chłopak rzuci się na niego, ale Colin odwrócił się i wybiegł z Wężowego Salonu.

Tyler patrzył za nim.

— Co mu się stało?

— Ale z ciebie matoł, Tyler - rzuciła Lucinda. - Przyszedł do mnie po pomoc! Chciał, żeby go ktoś wysłuchał! I być może miał coś ważnego do przekazania o Gideonie, ale nie, ty musiałeś być taki... musiałeś być... - Odwróciła się i głośno tupiąc, wyszła z pokoju i ruszyła do kuchni. Kiedy zatrzęsnęły się za nią drzwi, krzyknęła jeszcze: - Takim osłem patentowanym!

— Ze co? - Tyler powiedział to na głos, chociaż teraz został sam w pokoju. - Nie łapię? Co ja takiego zrobiłem?

# Rozdział 11

---

## Główszczyzna

---

— Och, ty słodka! Ostrożnie...! - Lucinda zaśmiała się poniekąd nerwowo, kiedy Desta wzięła kolejną marchewkę z jej dłoni. Ku swemu niepohamowanemu szczęściu odkryła właśnie, że język Desty jest błękitny jak letnie niebo. - Zostanie jej taka barwa? - zapytała.

Ragnar spojrział w dół z podestu, na którym mył wodą z węża klatki kuroliszków.

— Nie wiem. Jej matka i ojciec tego nie mają, ale mogli się zmienić - nie pamiętam, jakiego koloru były języki wormletów.

Zaśmiał się. Ten wybuch wesołości zaniepokoił przeniesione kuroliszki, które zasyczały na niego z drucianych klatek.

— A gdzie się dzisiaj podziewa Haneb? - zapytała Lucinda. - Wydawało mi się, że to on zajmuje się smokami na stałe?

Ragnar wzruszył ramionami, kierując wodę w stronę odpływu w betonowej podłodze.

— Simos zabrał go wraz z twoim bratem i innymi na wzgórze i do kanionów. Jest tam wiele drzew i zagłębień, w których można by kogoś... schować.

Na przykład ciało, niemal dodał. Ponieważ teraz, trzy dni po zniknięciu właściciela gospodarstwa, Ragnar, Lucinda i inni wiedzieli, że Gideon Goldring mógł już umrzeć. Nad Zwyczajną Farmą zawisł tuman strachu.

Lucinda głośno przełknęła ślinę.

— Ragnar? A jeśli wuj Gideon nie wróci? Co będzie, jeśli go nie znajdziemy? Co... co będzie dalej?

Kto dostanie farmę? O to tak naprawdę pytała. Kto będzie rządził w tym najdziwniejszym miejscu pod słońcem?

Kiedy wiking zapędził już wszystkie stworzenia na powrót do zagrody i zamknął drzwi na zasuwę, zdjął kaptur z kombinezonu ochronnego, który miał na sobie, żeby nie wejść w kontakt z jadowitą śliną zwierząt. Stukając głośno, zszedł po schodach do Lucindy, a kuroliszki krążyły niezgrabnie wokół kałuż wody, sycząc na każdy przejaw zmian w swoim domu - wióry i piach zostały wymienione na nowe, a pozostałości zniknęły.

— Co będzie, jeśli zniknął na dobre? - ponowiła pytanie.

— Wy macie te swoje testamenty, prawda? - zapytał ją Ragnar. - Ostatnią wolę? Zapisujecie, komu zostawiacie swoje dobra po waszej śmierci. Ale najpierw ktoś... jeden z miejskich wodzów, jak oni się nazywają...? i{

Zastanowiła się przez chwilę.

— Policja? Władze?

— No właśnie, władze. Wyślą kogoś, przed czym nas zawsze Gideon ostrzegał. I jak mamy na to pozwolić? Jak możemy wyjaśnić im, co się tu dzieje? Nie, dziecko - odparł poważnie Ragnar - wierz mi, lepiej będzie, jak znajdziemy Gideona żywego. Dużo lepiej.

Ragnar stał i patrzył, kręcąc głową, jak Desta owija swój błękitny język wokół ostatniej marchewki od Lucindy i wciąga ją do pyska. Smok chrupał z zadowoleniem, błyskając długimi kłami, kiedy jej paszczyka otwierała się i zamykała, po czym zerknął na Lucindę, by sprawdzić, czy ma jeszcze przysmak. Haneb miał rację - Desta bardzo lubiła marchew.

Na dzisiaj koniec. Lucinda starała się, aby każda jej myśl była precyzyjna i wyraźna. To wszystko. Ale wkrótce znów ci przyniosę marchewkę. Chciałabyś'?

Przez chwilę bursztynowe ślepiec wierały się w nią intensywnie, po czym smok, niby mały, ale i tak większy od Lucindy, odwrócił się i odszedł w niezgrabny smoczy sposób, człapiąc na tylnych łapach i podpierając się łokciami złożonych skrzydeł. Ale zanim Desta weszła do swego gniazda z trawy i starych materacy, Lucinda poczuła szmer zadowolonej, łasej na smakołyk smoczycy, równie nikły jak szmer bryzy w gałęziach. Była to myśl pozbawiona słów, w odróżnieniu od jej własnej, ale i tak niosła znaczenie, które zrozumiała.

Tak. Więcej. Przynies więcej.

Przez chwilę Lucinda myślała, że ma jakieś omamy, ale po chwili jej serce zdawało się rozwijać skrzydła z radości.

Wóz toczył się po drodze, a Lucinda obserwowała wzgórze drgające popołudniowym żarem.

— Myślisz, że ten cały Kingaree ma coś wspólnego ze zniknięciem Gideona? - zapytała niespodziewanie.

Ragnar pokręcił wielką, włochatą głową - Nie sędzę, choć mogłaby to być prawda. To sprawny łajdak.

— Wszyscy mi to mówią - no dobrze już, wierzę! Ale co on takiego zrobił?

Ragnar milczał przez jakiś czas, aż koń zaczął zwalniać przy Lagunie Elliota, jak ją czasami nazywał Gideon. Wąż morski, który mieszkał w niewielkim jeziorku, nie wymagał regularnego karmienia - wystarczyło zarybić akwen dwa razy do roku - choć pan Dobrochodzki i Ragnar celowo co dwa dni sprawdzali, co słyhać u Elliota. Teraz jednak Ragnar nawet nie popatrzył na wodę.

— Wszystko miało się lepiej przed pożarem - odezwał się niespodziewanie wielkolud.

— Pożarem, w którym spłonęło laboratorium Gideona?

Pokiwał głową.

— Grace nie było już od kilku ładnych lat. Gideon używał swojej

błyskotki niemal codziennie, by wejść do Linii Uskoku i szukać jej, ale nie chciał się przed nami do tego przyznać.

— Błyskotki... masz na myśli kontinuoskop. - To coś, o czym ciągle gadał Tyler.

Ragnar znów skinął głową.

— Nazywał to „zbieraniem”. Nie odnalazł Grace, ale sprowadzał zwierzęta... i ludzi. Byłem jednym z tych, których zebrał. Było to szaleństwo - ale takie, które mogłem zrozumieć. - Ragnar ścisnął zwinięte lejce w potężnej dłoni. - Kiedyś w starym kraju miałem przyjaciela, którego rodzinę zabili najeźdźcy z wybrzeża. Od tamtej chwili mój przyjaciel też był trupem, choć oddychał i chodził. Poprzysiągł, że zabije dwóch najeźdźców za każdego członka swojej rodziny. Odmówił przyjęcia krwawego złota, czyli głów szczyzny, żeby jego sąsiedzi i krewni nie musieli odpowiadać za to, co planował zrobić. Potem rozdał wszystko, co posiadał, zaśpiewał pieśń śmierci i wyruszył w morze w małej łodzi... Słyszałem, że zabił trzynastu z plemienia najeźdźców, zanim go powalili, zabrakło mu jednego do wypełnienia swojej przysięgi. - Ragnar wybuchnął śmiechem. - Jestem pewien, że jego duch wciąż się złości z tego powodu!

— To straszna opowieść!

— Naprawdę? - Zdawał się być zaskoczony. - Obawiam się, że tym razem w dwójnasób nie rozumiem tego miejsca. Ale po zniknięciu Grace duch Gideona, podobnie jak duch mego przyjaciela, był zły i niespokojny. Pierwszego roku Gideon ściągnął wiele zwierząt i wielu ludzi - Patience Needle z synem w łonie, kucharkę Sarę, Kiwę i jego kuzynów. Haneb pojawił się z dwoma małymi smokami - pacholęciem był dopiero, ale i tak miał już popalone oblicze. I mnie też Gideon odnalazł. I oczywiście jeszcze zwierzęta! Gideon powiedział mi, że zanim Grace odeszła, błagała go, żeby pomógł jej wykorzystać Linię Uskoku i uratować inne zwierzęta, które znikły już z powierzchni ziemi - wielkie wormy, jednorożce,

wszystkie - więc kiedy ją utracił, Gideon robił, co mógł, by zapełnić farmę wspólnie odkrytymi zwierzętami. I wtedy pewnej nocy Gideon wrócił z Linii Uskoku z poszarpanym, pokrwawionym nieznanym - to był Cezar. Pospieszeliśmy wszyscy na powitanie Gideona, ale nagle usłyszeliśmy jakiś ryk dobiegający z jaskini Linii Uskoku. Klnę się na wszystko, że w pierwszej chwili pomyślałem, że Gideon ściągnął tu samego wilka Fenrisa! Myślałem, że zaraz nastąpi koniec świata!

Przez dłuższą chwilę brodacz milczał, najwyraźniej wspominając tę noc.

— Nie był to jednak wielki wilk, ale pies - powiedział w końcu. - Tylko, bogowie, co to był za pies! Potwór, który wypadł za Gideonem i Cezarem i mógłby ich obu powalić i zagryźć. Ale Simos był szybszy. Żebyś ty go widziała, moje dziecko! Myślisz, że ja jestem silny? Dobrochodzki złapał tego psa jedną ręką za szyję i cisnął nim tak daleko, że ten już się nie podniósł. I wtedy pojawił się Kingaree, wysoki, z mrocznym obliczem samego szelmy Lokiego. Nawet nie spojrzał na truchło psa, mijając je, a jedynie wpatrywał się w Gideona i Cezara. Wtedy nie mówiłem dobrze po angielsku - znałem wasz język dopiero od roku - ale zrozumiał, co powiedział: „Macie coś, co należy do mnie”.

— O czym mówił? - zapytała Lucinda.

Ragnar mrużył oczy przed słońcem. Coś połyskującego przetoczyło się na powierzchni Laguny Elliota. Potrząsnął głową.

— O Cezarze.

— Co takiego?

Wielki mężczyzna wzruszył ramionami.

— Nie znam dobrze historii tej ziemi, ale wiem, że dawno temu w Ameryce mieliście niewolnych - czyli niewolników. Cezar był zbiegłym niewolnikiem. Kingaree chciał go schwytać.

— O nie! Co się stało dalej? Dlaczego Gideon ściągnął takiego strasznego człowieka na farmę?



— Nie ściągnął - przynajmniej nie celowo. Gideon jak zwykle zawarł z Cezarem swój diabelski pakt, pomagając mu ujść jego prześladowcom, ale z jakiegoś powodu Linia Uskoku pozostała otwarta dłużej niż zwykle i Kingaree ruszył za nimi. Z początku Kingaree nie wiedział, co się stało, ale w końcu zrozumiał.

— I co dalej?

— Gideon obiecał Kingareemu, że jeśli będzie się odpowiednio zachowywał, to też może bezpiecznie mieszkać na farmie... ale to był diabelski pakt zawarty z samym diabłem. Jackson Kingaree został tutaj wyłącznie do czasu, kiedy poznał wszystko. Później, w noc, w której spłonęło laboratorium, wymknął się. Od tamtej pory go nie widzieliśmy - aż ty go spotkałaś na ulicy. Mam nadzieję, nigdy w życiu już go nie zobaczę.

Na myśl o tym, jak blisko niej stał Kingaree, Lucinda poczuła nudności.

— Dlaczego wszyscy tak się go boją?

Ragnar pokręcił głową - tym razem zdecydowanie.

— Nie będę ci opowiadał kolejnych historii. Musisz wiedzieć tylko, że powinnaś trzymać się od tego człowieka najdalej jak możesz. Kiedy go spotkasz, od razu powiedz Simosowi albo mnie. Albo Gideonowi.

Lucindzie zamarło serce.

— Mam powiedzieć Gideonowi? Jasne, jeśli go odnajdziemy. Jeśli ten cały Kingaree go nie zabił albo ja wiem co...

Ragnar cmoknął i strzepnął lejcami. Pieprz zaczął ciągnąć wóz na drogę, zostawiając za sobą Elliota i jego srebrzysty staw. - Nie lekceważ Gideona Goldringa, moje dziecko - powiedział brodac. - Wiesz, jaki jest uparty. Cóż, Gideon jest też silniejszy i bardziej zdecydowany, niż podejrzewasz.

# Rozdział 12

## Ergodyczność i inne trudne słowa

Poszedł do biblioteki, patrzył, na długie, leniwe kręgi w powietrzu kilkadziesiąt metrów nad domem, jakby cieszył go widok rozległych ogrodów matki Colina. Popołudniowe słońce zerkało zza ciężkich chmur, połyskując na rdzawo-miedzianych łuskach stworzenia i prześwitując przez szare membrany jego skrzydeł - jedyne jasne elementy, jakie Colin widział od wielu godzin. Nad dolinę nadchodziła burza, rosnąca fala gromu czekała przyczajona nad odległymi wzgórzami niczym wściekły dzin. Alamu sunął nisko, po czym znów wzbijał się w górę.

Elektryczne ogrodzenie działa sprawnie - pomyślał Colin - ale co będzie, jeśli Ed Stillman i jego ludzie rozbili obóz na Springs Road i właśnie teraz robią zdjęcia przez teleobiektyw? Trudno byłoby przeoczyć fruwającego smoka. Poczul niepokojący ucisk w żołądku - jeszcze jeden powód do zmartwień.

Miliarder Stillman oszukał go zeszłego lata, ale jeszcze gorsze było to, że Colin uwierzył w kłamstwa tego człowieka - w istocie był tak naiwny jak dzieci Jenkinsów. Wciąż go to bolało. Najwyraźniej teraz Ed Stillman stał się jednym z wielu stałych problemów. Ktoś musiał rozwiązać te problemy i uratować Zwyczajną Farmę. Gideon Goldring zniknął, może zginął, matka Colina była zajęta wykorzystywaniem nieobecności Gideona, a Dobrochodzki, Ragnar i młodzi Jenkinsowie byli do niczego. Jedynie Colin Needle był w stanie rozwiązać problemy farmy i sprawić, że wszystko znów potoczy się swoim rytmem. Jednak najsmutniejszą

rzeczą, naprawdę doprowadzającą go do szału, było to, że tylko Colin zdawał się to rozumieć.

W bibliotece Colin zasiadł wśród papierów i książek ułożonych na biurku i poczuł coś na kształt rozpacz. Od dwóch miesięcy spędzał tu niemal każdy dzień, pilnując, czy nie nastąpi kolejne „magiczne pojawienie się naszyjnika” (jak ironicznie to nazywał w myślach) i poświęcał czas na studiowanie wszystkiego, co mógł odnaleźć na temat Linii Uskoku (ponieważ żaden z jego planów ratowania farmy nie mógł się udać bez możliwości wykorzystania Linii Uskoku). I czym takim mógł się pochwalić po całej pracy? Miał tu stosy książek, które ledwo mógł przeczytać, a co dopiero zrozumieć, ponieważ pełno w nich było zupełnie zwariowanych pojęć, takich jak „ergodyczność”, „twierdzenie Poincarego o powrocie” i „paradoks Loschmidta” - terminów, których Colin by nie rozumiał, nawet gdyby znalazł je w zwykłych książkach popularnonaukowych. Pomimo to przedarł się przez nie wszystkie, z początku robiąc dużo notatek, ale kiedy stawało się coraz oczywistsze, że ta nauka wykracza poza jego możliwości, zaniechał tego. Wbrew temu, co powiedział Tylerowi Jenkinsowi, Colin wiedział, że nie skonstruuje swojego kontinuoskopu - powiedział tak tylko, żeby jego wróg zaczął się martwić.

Co do odnalezienia Grace, to nie sądził, że w tej materii będzie miał więcej szczęścia. Zupełnie jakby się pod ziemię zapadła tamtej nocy przed dwudziestu laty. Niemal każdy na farmie przyjął za pewnik, że musiała zniknąć w Linii Uskoku. Ale gdyby tak było, to dlaczego jej złoty naszyjnik pojawił się niespodziewanie tutaj, w bibliotece, jakieś trzysta metrów od silosu i niezwykłego zjawiska, które skrywał? Gideon musiał wierzyć Tylerowi Jenkinsowi na słowo, że naszyjnik naprawdę odnalazł się w bibliotece, ale pomimo to stary uparciuch kazał Colinowi ślęczeć tu niczym samotnemu latarnikowi, żeby czekał na jakiś inny znak obecności Grace, a wszystko to na podstawie bardzo wątpliwej relacji Tylera

Jenkinsa...

Nagle Colinowi przyszła do głowy całkiem nowa i zaskakująca myśl, pomysł tak zdumiewający, że przez chwilę nawet nie zaczerpnął powietrza w płuca. Ten bachor Jenkins już był raz w Linii Uskoku i przeniósł się do epoki lodowcowej - przypadkowo, jak twierdził - a następnie wrócił na ostatnich nogach, ciągnąc za sobą jaskiniowe dziewczę wpatrzone w niego jak w tęczę, Ooolę. Ale jeśli to nie był przypadek? Jeśli Tyler sam znalazł kontiniuoskop - może jakiś wczesny prototyp Octavia Tinkera? Jeśli tak, to mógł odnaleźć wisiołek gdzieś za Linią Uskoku i tylko udawał, że znalazł go w bibliotece, żeby nikt się nie dowiedział, skąd naprawdę pochodzi...

Ale skoro Tyler Jenkins miał swój kontiniuoskop, to dlaczego zawsze wypytywał o miejsce, w którym mógłby być ten drugi? To nie miało sensu. Colin wiedział, że gdyby Tyler miał kontiniuoskop, przechodziłby przez Linię Uskoku, kiedy tylko nadarzałyby się okazja.

Tak wiele się działo i trudno było wyłuskać z tego jakiś większy sens. Jenkinsowie wrócili na farmę. Gideon zniknął. Kingaree wrócił. Czy te wszystkie zdarzenia, które miały miejsce w tym samym czasie, były tylko dziełem przypadku?

Nad odległymi wzgórzami przetoczył się odgłos gromu. Colin Needle stwierdził, że ma dość tajemnic. Nadszedł czas porozmawiać z osobą, która niemal na pewno wiedziała więcej, niż mu mówiła... na każdy temat.

Matka Colina stała przed ozdobną, wiktoriańską umywalką, a w lustrze odbijała się ładna, czarnowłosa kobieta o bladej, poważnej twarzy. Była taka piękna! Patrząc teraz na nią, Colin nie mógł uwierzyć, że był w stanie powiedzieć Lucindzie Jenkins, iż podejrzewa ją, że więcej wie, niż mówi na temat zniknięcia Gideona. Tak, jego matka miała swoje przywary, ale był pewien, iż nie zrobiłaby niczego, by skrzywdzić człowieka, który uratował jej życie...!

Wyciągnęła palec i jej paznokiec dotknął szklanej powierzchni z cichym stuknięciem. Cofnęła palec i znów dotknęła lustra. To samo stuknięcie. Colin przyglądał się jej z równą odrazą, co fascynacją.

— Powiedz mi, mamó - odezwał się w końcu - po co się tak trudziłaś i kazałaś przytargać tę umywalkę z biblioteki, wnieść po schodach i ustawić u siebie?

— Nie jestem całkiem pewna dlaczego. - Wpatrywała się posępnie we własne odbicie. - Według mnie... jest jakieś dziwne. Jest starsze, niż na to wygląda. Ale może masz na ten temat inne zdanie?

Był pewien, że się z nim przekomarza - że kpi z niego.

— O co ci chodzi, mamó?

Znów zastukała w lustro paznokciem - stuk, stuk, stuk.

— Zdaje się, że jeszcze pamiętam, jak cię prosiłam, żebyś mi znalazł w papierach Octavia Tinkera wszystkie informacje o tej umywalce i okolicznościach jej pozyskania.

— Nic tam nie ma. Już ci mówiłem.

— Miałam nadzieję, że przyszedłeś mi powiedzieć, że się myliłeś, Colin. Ze dowiedziałeś się czegoś o tym. Ponieważ mnie to ciekawi, a ja rzadko, jeśli w ogóle, mylę się w takich sprawach. - Znów posłała rozmarzone spojrzenie w lustro. - Coś tam jest...

— Przyszedłem, żeby cię z kolei o parę spraw zapytać, mamó. Wciąż nie wiadomo, co z Gideonem? ]]

Ostre, poirytowane spojrzenie.

— A niby dlaczego mnie o to pytasz? Myślisz, że gdybyśmy się czegoś dowiedzieli, zataiłabym to przed tobą? Naprawdę, Colin, i to teraz, kiedy mam tyle dodatkowych obowiązków.

Patrzyła na niego przez długą, wypełnioną ciszą chwilę. Colin nie potrafił odwrócić wzroku od jej rozpalonych złością oczu, ale na jej twarzy dostrzegł coś, czego nigdy wcześniej nie widział. Dopiero po chwili rozpoznał zupełnie niespotykane u niej uczucie - obawę. Ale o co?

Czyżby jego matka jednak wiedziała coś na temat zniknięcia Gideona Goldringa?

— Przejmujesz się, prawda, kochanie? - zapytała już bez takich emocji w głosie. - Colin, martwienie się nie służy ci. Wszyscy martwimy się o Gideona.

W tym zdaniu wypowiedzianym od niechcienia było coś, co bardzo go zaniepokoiło.

— Naprawdę, mamó? Wszyscy?

Jej warga drgnęła, ukazując zęby w drapieżnym odruchu. Była tak wściekła, że Colin cofnął się z przestachem.

— A co to niby ma znaczyć? Czasami coś tak palniesz bez zastanowienia. Cieszę się, że wychodzisz jutro wieczorem do ludzi. Dobrze ci to robi.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, co mu powiedziała.

— Wychodzę? A dokąd?

— Och, nie mówiłam ci? Ludzie z tej farmy obok nas, ci... Latynosi... zaprosili cię na świąteczną kolację. Przecież nie mogłeś zapomnieć, że jutro jest czwarty lipca. Mówią na to Święto Niepodległości czy jakoś tak.

— Mam iść do Carrillów? Zaprosili mnie?

— Oczywiście. Przysłali nam list i było tam napisane „zapraszamy dzieci”. Czy ci się to podoba czy nie, wciąż jesteś dzieckiem, więc oczywiście musisz tam iść.

Colinowi bardzo trudno było uwierzyć, że Carrillowie chcieli go widzieć na spotkaniu z okazji Święta Niepodległości.

— Nie chcę iść na to ich głupie przyjęcie.

— Niemniej jednak pójdiesz, Colin - nalegam. Świadczą nam wiele przysług. Poza tym Gideon, zanim zniknął, zachowywał się dość niegrzecznie, nie odpowiadając na pytania pana Carrilla, więc musimy zrobić co w naszej mocy, by być dla nich uprzejmymi. Chcę, żebyś zachowywał się nienagannie. - Odwróciła się na powrót do lustra i

zaczęła się wpatrywać w jego powierzchnię, jakby był to magiczny obraz ukazujący jej największe pragnienia. - Och, i proszę powiedz Cezarowi, 'że może przyjść na swój zabieg. Warzę mu specjalny napój.

Colin schodził po schodach w kierunku kuchni, kiedy nagle uświadomił sobie, że nie zadał ani jednego pytania, na które chciał uzyskać od matki odpowiedź. Pojął też, że jego jutrzejszy wyjazd do Cresta Sol nie miał zupełnie nic wspólnego z Carrillami poza tym, że ich zaproszenie było użyteczną wymówką - to jego matka chciała, by zniknął. Nie miał pojęcia, co planowała zrobić, ale był pewien, że nie zamierzała tego robić w jego obecności. Znów zagrzmiął grom i za oknem na sekundę błyskawica zabarwiła niebo na biało. Piorun uderzył niedaleko.

Inny syn mógłby poczuć niepokój na taki pokaz matczynej skrytości i może nawet pomaszerowałby na górę i zaczął się kłócić, ale Colin Needle był przyzwyczajony do stawiania go w trudnym położeniu, utrzymywania w nieświadomości, a także do robienia tego, czego wymagała od niego Patience Needle, czy też przynajmniej do udawania, że to robi.

Pojedzie do Carrillów - ale nic na niebie i ziemi, nawet jego piękna, zimna, mądra matka, nie zmusi go, by się dobrze bawił.

# Rozdział 13

## Wolny człowiek z Pensylwanii

Im dłużej Tyler się nad tym zastanawiał, tym się bardziej złościł.

— Co to za miejsce? Czy oni wszyscy powariowali? - Nie potrafił skupić się na tym, co robi, i upuścił latarkę. Wkładane do niej baterie wypadły i potoczyły się po podłodze. - Ten cały Kingaree to łowca niewolników? A co by było, gdyby chciał cię zabić? Nigdy nam niczego nie mówią - zawsze musimy sami się wszystkiego dowiadywać!

— Oni wszyscy pochodzą z przeszłości, Tyler! Nie pasują do naszych czasów i mieliby spore kłopoty, gdyby ludzie dowiedzieli się o ich istnieniu. To jasne, że mają swoje tajemnice.

Tyler skrzywił się: pomyślał, że Lucinda robi się ii coraz lepsza w udawaniu, że wszystko jest w porządku, kiedy najwyraźniej nie było.

— Nic mnie nie obchodzi, że pochodzą z Kraju Magicznej Szczęśliwości, Luce - to oni zaprosili nas! Cisnęli nas w sam środek tego i nie ostrzegli o żadnych niebezpieczeństwach! O smokach! O uzbrojonych po zęby miliarderach w prywatnych helikopterach! O oszalałych... o łowcach niewolników z czasów wojny domowej! A teraz jeszcze zabrakło Gideona i to my jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy w ogóle tutaj“ w świetle prawa istnieją!

Być może po raz pierwszy Tyler zaczął się zastanawiać, czy naprawdę pasują do Zwyczajnej Farmy. I jakby na potwierdzenie tych myśli na wzgórzach nieopodal rozległ się pomruk gromu. Wtedy przypomniał mu się Colin i jego upiorna matka, a jego serce przepełnił gniew.

— Nie, to nie my tutaj nie pasujemy...! - powiedział.



— O czym ty mówisz?

— Nieważne. - Wcześniej zaplanował sobie, że wróci i będzie szukał Gideona aż do kolacji, ale zamiast tego odłożył latarkę i wstał. - Chodź. Może ten cały Kingaree, którego spotkałaś, naprawdę ma coś wspólnego z zaginięciem Gideona, a jeśli tak jest, to wiem, kto może nam w pewnym stopniu wyjaśnić tę kwestię.

Kobiety w kuchni właśnie zaczynały gotować kolację. Tyler z zadowoleniem zarejestrował smakowite zapachy unoszące się w kuchni, ale zbyt się spieszył, by w pełni się nimi rozkoszować. Pomyślał jednak, że zabranie ze sobą czegoś na ząb nie byłoby najgorszym z pomysłów...

— Jest na górze - powiedziała im Pema. - W gabinecie Gideona.

— Jeśli jednak, mein Jungę, tkniesz tylko ten boczek, to dostaniesz w skórę - ostrzegła go Sara.

Pokonany Tyler poprowadził Lucindę po schodach na górę.

Cezar podniósł wzrok znad odkurzonej półki. Teraz, kiedy Gideona nie było od niemal tygodnia, trudno było stwierdzić, czy sprzątanie w jego gabinecie jest naprawdę niezbędne, ale Cezar uważał zajmowanie się zarówno Gideonem, jak i jego mieszkaniem za swój osobisty obowiązek i najwyraźniej miał zamiar wciąż to robić bez względu na to, czy Gideon przebywał w domu, czy nie.

— Witajcie, dzieci - powiedział. - Szukacie czegoś?

— Szukamy ciebie, Cezarze. Możemy zadać ci kilka pytań?

Staruszek zaśmiał się, pokazując białe zęby.

— Chyba tak.

Nie były to jego własne zęby - pan Dobrochodzki znalazł je na wyprzedaży kościelnej w Standard Valley i chociaż nie pasowały jak ulał, Cezar był z nich niezwykle dumny. Niemal wszystkie własne zęby utracił w młodym wieku.

Dziwne, że to akurat wiedzieliśmy, a nie podejrzewaliśmy, że jest zbiegłym niewolnikiem, pomyślał Tyler.

— Słyszałeś, że Lucinda natknęła się na Jacksona Kingareego? Podszedł do niej w miasteczku i przedstawił się.

Spojrzenie Cezara stało się nieco bardziej rozkojarzone, choć wciąż się uśmiechał.

— Och, tak, słyszałem. Straszne spotkanie.

— Chcemy dowiedzieć się czegoś więcej. O Kingareem. Myślimy, że ma coś wspólnego ze zniknięciem Gideona.

Caesar patrzył na Tylera przez dłuższą chwilę, po czym odwrócił się od nich, wracając do odkurzania nieskazitelnie czystej półki.

— Teraz nie mogę mówić, dzieci. Strasznie jestem zajęty. - Głos mu się łamał. - Zbyt mnie zasmuca zniknięcie pana Gideona.

— Porozmawiaj z nami, Cezarze, proszę!

— Tyler, zostaw go w spokoju - wyszeptała Lucinda, ale Tyler ją zignorował.

— Nikt nam niczego tutaj nie mówi. Co się stało? - Tyler robił, co mógł, żeby zachować spokój, ale miał dość tego, że nikt nie udzielał odpowiedzi na ważne pytania. - Cezarze, proszę. Czy Gideon zawarł jakiś' pakt z Kingareem? A jeśli tak, to dlaczego Kingaree wyjechał z farmy?

Cezar odwrócił się gwałtownie. Po uśmiechu nie było już śladu, a jego twarz miała tak surowy i twardy wyraz, że wyglądała niczym drewniana maska.

— Dlaczego Kingaree wyjechał? Dlatego że to diabeł wcielony, ot co! Dlatego że, jak mówi Biblia, diabeł musi włóczyć się po świecie, musi jeździć to tu, to tam, i knuć swoje diabelstwa.

— Ragnar mówił mi... - Lucinda najwyraźniej nie chciała tego mówić; jakby wypowiadała jakieś brzydkie słowo. - Mówił, że byłeś... niewolnikiem Kingareego...

— To nieprawda! - Cezar pokręcił głową. - Ale to nie wina Ragnara - pochodzi z bardzo dawnych czasów i nie wie, jak naprawdę było. Tak, byłem niewolnikiem w Karolinie Południowej, ale miałem lepszego pana

niż Jackson Kingaree. Pomimo to jednak nikt nie chce być niewolnikiem nawet dobrego pana. Odzyskałem wolność i pojechałem na północ, by zamieszkać w Pensylwanii. Pewnego dnia pojechałem na targ do Charlesville, a Kingaree i jego banda łowców niewolników pochwyciła mnie, jakbym był jakimś zwierzęciem, choć byłem wolnym człowiekiem i przebywałem na terytorium, gdzie nie było niewolnictwa. Miał zamiar przetransportować mnie szybko przez granicę do Marylandu... wtedy było tam dozwolone niewolnictwo... Och, dobry Boże...!

Za oknami błyskawica rozświetliła niebo nad górami - letnia burza wisiała w powietrzu - i po chwili usłyszeli grzmot. Tyler dostrzegł, że Cezar tak mocno drży że jego wysokie, szczupłe ciało chwieje się niczym drzewo miotane wiatrem. Staruszek chwycił oparcie pustego fotela Gideona i usiadł.

— Przepraszam - wybąkał Tyler - nie chciałem...

— Ty też niewiele wiesz o tamtych czasach, synku. Wy, dzieci, nie wiecie nic o tym, jak to wtedy było, choć was tego uczą w szkole. Wtedy trzeba było to wiedzieć, bo świat był tak zbudowany - poznawało się go z przekazu innych. „Nie drażnij się z nieznanym psem”, „Nie patrz białemu w oczy, szczególnie białym kobietom”, „Uważaj na łowców niewolników”. - Zaśmiał się, ale był to bardzo skrzekliwy, wypełniony bólem śmiech. - Tak, diabeł Kingaree pojmał mnie. Kiedy jego wóz stracił koło, a ja nie mogłem iść w kajdanach do Baltimore, zbił mnie. Powiedziałem, że może mnie zabić na miejscu, bo ja nigdy nie wrócę na południe. Niemal to zrobił, niech go szlag. - Zerknął na Lucindę. - Wybacz mi, panienko, mój plugawy język.

Lucinda tylko pokręciła głową. Była niezwykle blada i Tyler podejrzewał, że zaraz wybuchnie płaczem.

— A jednak mu uciekłem - podjął Cezar. - Łaskawy Pan chciał, żebym zachował wolność, i sprawił, że moje kajdany były nieco na mnie za duże. Po jakimś czasie zrzuciłem je. - Uniósł ramiona i podwinął rękawy. Oba

nadgarstki nosiły ślady głębokich szram pokrytych nieregularnymi, szarymi zrostami. - Uciekłem w las tuż przed wejściem na prom przy rzece Susquehanna. Kingaree ze swymi ludźmi i psami rzucił się za mną. Strzelali. Tak czy inaczej, nie zamierzali mnie wypuścić. - Zacerpnął tchu. - Ale wtedy nagle znikąd pojawił się pan Gideon niczym anioł pański. Zapytał mnie, czy chcę uciec od tego wszystkiego. Nie trzeba się długo domyślać, że się zgodziłem - zaśmiał się Cezar; był to nerwowy śmiech, ale tym razem już . pozbawiony goryczy.

— A co Gideon tam robił? - zapytał Tyler.

— Szukał Ptaka Gromu, tak mi powiedział później. - Cezar wzruszył ramionami. - Wtedy nie pytałem o nic - psy były za blisko. Pan Gideon wyciągnął ten swój dziwny instrument, który wyglądał trochę jak trąbka z mechanizmem z kieszonkowego zegarka. Machnął nim wokół i zaczął coś w nim przestawiać.

I właśnie wtedy największy pies Kingareego natarł na nas zza drzew ze swym panem tuż obok. Pan Gideon zrobił taką wielką, skrzącą się i płonąca dziurę w powietrzu i wciągnął mnie przez nią. Przeciągnęło mnie jak nic w życiu - niczym sznur przez węzeł!

— Jeju. - Serce Tylera zabiło żywiej na te słowa. - Ale w jakiś sposób Kingaree też przez nią przelazł.

Cezar pokiwał głową.

— Może taki był plan naszego Pana - ściągnąć tego złego człowieka tutaj, gdzie nie będzie mógł więcej łapać kolorowych i robić z nich niewolników. Pomimo to wolałbym, żeby nasz Pan zrzucił Jacksona Kingareego pośrodku morza.

— To straszne! - wyszeptała Lucinda. - Tak mi przykro, Cezarze.

— To nie twoja wina, dziecko. Wtedy nie było na świecie nawet twojej babuni i dziadunia. Był to rok tysiąc osiemset czterdziesty ósmy - bardzo dawno temu. - Westchnął. - Będziemy się tylko modlić, żeby Kingaree nie przyszedł tutaj - a jeśli się pojawi, to żeby był w pobliżu pan

Dobrochodzki, który go na tym przyłapie.

— Jak długo mieszkał na farmie? I dlaczego Gideon pozwolił mu odejść?

— To wszystko nie było takie proste. Kingaree zniknął w noc, w której wybuchł wielki pożar. Przyznaję, że przez chwilę miałem nadzieję, że się w nim spalił.

— Pożar w laboratorium Gideona? - Tyler starał się nadać głosowi zupełnie obojętne brzmienie. W tej katastrofie zniszczono ostatni kontiniuoskop. - Czy Kingaree miał z tym coś wspólnego?

— Możliwe. - Cezar wzruszył ramionami. - Pan Gideon zawsze to podejrzewał, ale to według mnie nie trzymało się kupy. Po co miałyby podpalać laboratorium, skoro mógł podpalić cały dom, w którym było pełno ludzi?

Jedna myśl nie dawała Tylerowi spokoju.

— Żeby wyglądało, że kontiniuoskop został zniszczony? - Nagle jego serce zaczęło bić żwawym rytmem.

Lucinda spojrzała na niego mocno zaniepokojona.

— Tyler...?

— Nie, zastanów się nad tym. Wiedział, że Gideon nigdy nie wypuścił go z kontiniuoskopem - przez te wszystkie lata nie był w stanie skonstruować następnego! Więc może Kingaree podpalił laboratorium, żeby Gideonowi się wydawało, że urządzenie zniknęło na dobre.

Cezar pokręcił głową.

— Tak właśnie się wydawało niektórym z naszych - przede wszystkim podejrzewał to pan Gideon. Był niemal pewien, że Kingaree ukradł aparat! Kazał panu Dobrochodzkiemu tygodniami pilnować Linii Uskoku, noc w noc. Ale dzięki Najwyższemu Kingaree nie pojawił się ani razu. Więc powiedzcie mi, dzieci, jeśli miał urządzenie pana Gideona przez te wszystkie lata, to dlaczego miałby czekać aż do tej pory? I przedstawiać się dziewczynce? Panienska Lucinda mi wybaczy tę dziewczynkę.

— Tak, to rzeczywiście nie ma większego sensu.

Tyler wciąż marszczył brew, ale kątem oka dostrzegł jakiś cień. Odwrócił się i zobaczył Colina Needle'a opierającego się o framugę drzwi gabinetu Gideona, stojącego z założonymi chudymi ramionami i wyrazem cierpkiego rozbawienia na twarzy.

— Jenkins, znów coś kombinujesz? - zapytał wysoki chłopak.

— Needle! Co ty robisz, szpiegujesz nas?

— Chciałbyś. - Colin wyprostował się, żeby móc spojrzeć na Tylera z góry. - Tak się składa, że mam tu sprawę. - Zwrócił się do Cezara: - Moja matka chce, żebyś przyszedł do niej na swoją herbatkę z kory wierzby. Mówiła jeszcze, że zrobiła więcej balsamu z olejku miętowego.

Cezar skinął głową.

— Ach, to błogosławieństwo. Brakowało mi tego. Moje dłonie bardzo mi ostatnio doskwierają. - Odwrócił się do Tylera i Lucindy. - Wybaczcie mi, dzieci - wywary pani Needle działają najlepiej, kiedy są świeżo zaparzone.

Staruszek już opuścił gabinet, ale Colin wyraźnie ociągał się z wyjściem.

— Tak naprawdę to nie spodziewam się, żeby twojemu bratu udało się uniknąć kłopotów - powiedział do Lucindy. - Ale jeśli będzie drażył dawne sprawy, to tobie też nawarzy piwa. Bardzo bym tego nie chciał.

— O co. tu chodzi? - zapytał Tyler po wyjściu Colina. - Czy jemu się wydaje, że chroni ciebie przede mną? Matko, ależ chciałbym go walnąć w ten chudy pysk!

Lucinda spojrzała na niego surowo.

— Daj już spokój, Tyler. Nie jest taki zły - nie taki jak jego matka. Myślę, że chciał mi wyświadczyć przysługę.

— Podśluchiwał naszą rozmowę, tak właśnie było - parsknął Tyler. - I on o mnie mówi, że szpieguję - jak myślisz, jak długo tam stał i wsłuchiwał się w naszą rozmowę z Cezarem? Słuchał, jak rozmawialiśmy

o Kingareem? I o kontiniuoskopie? Mówię ci, stara się zrobić swoje własne urządzenie!

Lucinda pokręciła głową.

— Tym się nie przejmuj. Skoro Gideonowi się to nie udało, Colin Needle też nie będzie w stanie tego zrobić.

Miała rację, bo przecież to Gideon pomagał Octawiowi przy konstruowaniu pierwszego. - Tak, ale on coś knuje i nie lubię, jak się tak zakrada i podsłuchuje nas. Mam zamiar dowiedzieć się, co robi, a potem pokazać mu, co to znaczy mieć problemy!

— Daj spokój. - Lucinda wywróciła oczami. - Czasem myślę, że Colin ma rację co do ciebie, Tyler.

Odwróciła się i poszła po schodach na górę, a jej kroki były przez chwilę tak głośne jak odgłosy nadciągającej burzy.

— Co takiego? - krzyknął za nią. - Poczekaj! Co to miało znaczyć?

# Rozdział 14

## Soy capitán

Letnia. burza należała do tych gwałtownych z błyskawicami i przetaczającymi się przez noc odgłosami gromu, które wprawiały dom w drganie, ale skończyła się nad ranem. Niebo było teraz czyste, a wzgórza ujawniały wszystkie swoje szczegóły w porannym słońcu. Nawet ziemia pachniała żyznością i świeżością.

— Słyszałeś, co się działo w nocy? - zapytała brata Lucinda. - Zasnąć było trudno.

— Widziałem kilka błyskawic - odparł. - Fajowsko. Myślałem, że któraś walnie w dom...

— I walnęły w dom - odezwał się Colin Needle swoim najbardziej znudzonym, pełnym wyższości głosem. - Jakieś dziesięć razy. Właśnie po to mamy odgromnik na dachu.

Lucindzie ulżyło, kiedy zobaczyła, że jej brat tylko wywrócił oczami i z odrazą odwrócił się od Colina. Wystarczyło, że martwili się zniknięciem Gideona. Chciała, żeby wszystko dzisiaj poszło gładko.

Pan Dobrochodzki miał ich zawieźć na przyjęcie z okazji czwartego lipca do Carrillów, więc oczywiście będą podróżować wozem konnym. Zanim wyruszyli jednak na farmę Cresta Sol, pan Dobrochodzki zabrał ich na pastwisko jednorożców, żeby mogli wraz z Ragnarem napełnić im koryta. Pełne gracji stworzenia zeszły ze wzgórz na karmienie, ale były bardzo płochliwe - kiedy Ragnar zbliżył się do młodej samicy, która utykała, ta przestraszyła się i uciekła. Reszta stada pognąła za nią i wkrótce wszystkie znikły im z oczu, topniejąca biała chmura szybująca



po wyschniętej, złotej trawie.

— Być może to przez burzę z zeszłej nocy - zawołał pan Dobrochodzki do Ragnara. - Ale jedno jest pewne, coś je niepokoi. - Spojrzał na Lucinę, Tylera i Colina, jakby chciał kogoś za to obwinić. - Wszystkie zwierzęta dziwnie się dzisiaj zachowują.

— Tak, nie tylko to jedno źrebię jest chore, Simosie - powiedział wiking. - Przynajmniej trzy, a może cztery chwieją się na nogach. Obawiam się, że możemy mieć na głowie jakąś zarazę.

Ragnar wszedł na najbliższy pagórek z lornetką w dłoni, żeby przyjrzeć się lepiej źrebiakom. Zdawał się zaniepokojony i nic dziwnego: jeśli jakaś choroba rozprzestrzeniła się w stadzie, każdy jednorozec z tych ostatnich na świecie mógł zdechnąć. Na samą myśl o takim pięknie zmiecionym z powierzchni ziemi w ciągu kilku dni Lucindzie łzy napłynęły do oczu.

— Może Posejdon wkrótce sprowadzi trzęsienie ziemi - zawołał za Ragnarem pan Dobrochodzki. - U wielu zwierząt wywołuje to lęk. Zwierzęta wyczuwają zamysł bogów dużo szybciej niż ludzie.

— Bogowie - naturalnie, to musi być ich sprawka!

Colin uśmiechnął się złośliwie, mówiąc to, ale Lucinda już nie była taka sceptyczna. W końcu zarządcą farmy był faun czy też satyr - istota, która nie powinna istnieć - i któż mógł zaświadczyć, że Zeus i inni greccy bogowie też nie istnieli?

— Naprawdę uważa pan, że bogowie się na nas zezłościłi? - zapytała.

Pan Dobrochodzki posłał jej rozbawione spojrzenie pełne goryczy.

Bogowie zawsze o coś się złością.

— Co powiemy Carrillom o zniknięciu Gideona, kiedy się u nich znajdziemy? - zapytała Lucinda, kiedy Ragnar w końcu się odwrócił i zaczął schodzić z pagórka w stronę wozu.

— Co ty powiesz? Nic - odparł pan Dobrochodzki. - Sam porozmawiam z Hectorem Carrillem. A co do pozostałych, którzy mogą o

to pytać - Gideon zniknął i wiesz tylko tyle, więc nic więcej nie musisz mówić.

— Tak w ogóle to nie ich sprawa - dodał Colin. - Ci ludzie już i tak za dużo wiedzą o naszej farmie. Nic im nie mów.

Tyler przesunął się obok niej.

— To nie jest twoja farma, Needle, tylko wujka Gideona.

— Łatwo ci mówić, Jenkins. Ty masz drugi dom.

Lucinda usłyszała nutę prawdziwego cierpienia w głosie Colina Needle'a i to ją całkowicie zaskoczyło. Starszy chłopiec mówił zaniepokojonym, ba, przestraszonym głosem. Tyler był taki pewny, że Colin i jego matka coś knują - ale co by było, gdyby się mylił?

Ragnar i pan Dobrochodzki rozmawiali na koźle wozu, ale tak cicho, że Lucinda ledwo słyszała cichy pomruk ich głosów przez cykady hałasujące w wysokiej trawie. Wóz toczył się leniwie, podskakując na wykrotach, już od pół godziny w upalnym dniu, który zaciskał się na nich niczym spocona dłoń i Colin Needle drzemał ze spuszczoną głową, a i Lucindzie zaczęły się zamykać oczy w tym ciepłe i przy kołyszącym rytmie podróży. Od tygodnia nie czuła się tak odprężona - od kiedy zniknął Gideon. Nagle i niespodziewanie odezwał się Tyler, jakby kontynuował rozpoczętą wcześniej rozmowę, i Lucinda przebudziła się całkowicie.

— Ej, Ragnar, mówiłeś, że Kingaree spalił laboratorium?

Ragnar warknął coś ze złością.

— Nic takiego nie mówiłem. Mówiłem tylko, że zniknął w noc, kiedy spłonęło laboratorium Gideona.

— No to w takim razie skąd masz tę pewność, że to nie on?

Ragnar już miał odpowiedzieć, ale wtrącił się pan Dobrochodzki.

— Dość już tych głupstw - rzucił. - Kingaree jest bardzo złym człowiekiem, ale nie ma nic wspólnego z pożarem.

Tyler nie zamierzał się tak łatwo poddawać.

— A skąd to wiadomo?

— Wiem, że Kingaree nie podłożył ognia - odparł pan Dobrochodzki - ponieważ widziałem ślady pozostawione przez tego, kto to zrobił.

Oczy siedzącego koło Lucindy Colina pozostawały zamknięte, ale Lucinda zauważyła, że nagle zeszywniał, jakby nie spał i słuchał.

— Widział pan ślady stóp? - zapytał cicho Tyler.

— Powiedziałem „ślady” - odparł pan Dobrochodzki. - Ślady szponów pozostawione przez smoka Alamu. A popiół po pożarze cuchnął smoczym oddechem...

— Ale... ale ja nigdy nie słyszałem, żeby ktoś o tym mówił! - Tyler był całkowicie oburzony nowo otrzymaną informacją. - Alamu spalił laboratorium? Dlaczego nikt nam wcześniej nic nie powiedział?

— Ponieważ dopiero teraz o tym mówię, dziecko. Nie mówiłem wcześniej, żeby chronić Gideona.

Lucinda niemal słyszała, jak jej brat walczy ze swoim niewyparzonym językiem.

— Przepraszam, ale nie rozumiem...

— Dopóki uważał, że Kingaree ukradł kontiniuoskop, Gideon wierzył, że może odzyskać urządzenie. - Pan Dobrochodzki ściągnął lejce i Pieprz skręcił w wąską dróżkę prowadzącą na farmę rodziny Carrillów. - Ale gdyby Gideon dowiedział się, że to smok spalił laboratorium i jego kontiniuoskop jest z całą pewnością zniszczony i stracony na zawsze... Cóż, bałem się, że wpadnie w rozpacz i zupełnie straci nadzieję - więc trzymałem to w tajemnicy. Utrata Grace już była dla niego wielkim ciosem.

Powiedział tylko tyle, ale Tyler i tak zamknął się już do końca podróży. Lucinda nie miała nic przeciwko temu.

Kiedy wóz dotarł do bramy farmy mleczarskiej Cresta Sol, wszyscy zamilkli na chwilę. Białe żelazne pręty i tablica z wymalowanym słońcem tak wyraźnie odcinały się od kapryśnego szarego nieba, że Lucinda

poczuła przypływ dobrego humoru. Zapomniała o wszystkich starych tajemnicach i smutnych opowieściach - przecież będzie lepiej! Gideon wróci, musiała w to wierzyć. A przynajmniej dzisiaj będzie ucza u przyjaciół i... ognie sztuczne!

Koń, człapiąc, wjechał na długi podjazd wysypany żwirem i duży dziedziniec przed domem. Już było widać Carmen - stała w cieniu werandy, przesłaniając oczy przed słońcem i wypatrując gości. Pomachała im. I wtedy drzwi obok otworzyły się z trzaskiem i wypadli z nich Steve i Alma, najmłodsza z dzieci, która odwróciła się w stronę domu.

— Mamo! Tato! - krzyknęła Alma. - Patrzcie, kto przyjechał!

Hector i Silvia Carrillowie też wyszli przed dom. Silvia wycierała ręce w fartuch. Ragnar nie mógł machać, bo niósł dwie skrzynki piwa, które były jego wkładem w przyjęcie, za to zadudnił na powitanie: - Kłaniam się nisko, państwo Carrillo! Dobrze was znów widzieć!

— I ciebie, Ragnarze, i Simosa, i was też, dzieci - powiedziała pani Carrillo, ale wyglądała na rozkojarzoną. - A gdzie jest Gideon? Myśleliśmy, że przyjedzie. Bardzo nam zależało, żeby przyjechał.

— Aha - rzucił cicho Tyler i zwrócił się do Steve'a Carrilla: - Chodź, może powinniśmy się gdzieś zaszyć, zanim zrobi się chryja.

— Dlaczego? - Steve wydawał się nieco rozdrażniony. - Co się dzieje?

Lucinda zamarła. W zeszłym roku wszyscy byli dla niej tak mili - dlaczego nie może być jak dawniej? Pan Dobrochodzki szedł w stronę państwa Carrillów, jakby czekało go jakieś niezwykle nieprzyjemne zadanie, ale zanim do nich dotarł, Carmen złapała Lucindę za nadgarstek, odciągnęła ją od pozostałych i zaprowadziła za dom do patio i miejsca przygotowanej uczy.

Kilkoro krewnych Carrillów, głównie kobiet, ustawiało wszystko na stołach przykrytych czerwonymi, białymi i niebieskimi papierowymi obrusami.

— Mój tato jest wściekły - powiedziała cicho Carmen. - Naprawdę musi porozmawiać z waszym wujem, ale pan Goldring nie odpowiada na żadne wiadomości.

— To... skomplikowana sprawa. - Lucinda nie wiedziała, ile wolno jej zdradzić. - Gideon... cóż, zniknął. - Wyciągnęła do Carmen róże zawinięte w gazetę, które Pema ucięła rankiem w jednym z ogrodów. - Proszę.

— Czyż nie są piękne? - rozległ się czyjś głos za jej plecami.

Lucinda odwróciła się i zobaczyła babcię Carmen, Paz, drobną, okrągłą kobietę z naczyniem z zapiekanką trzymanym w dłoniach w kuchennych rękawicach. - Ach, tak, ty jesteś Lucinda z sąsiedztwa, oczywiście. Miło mi, że wciąż żyjesz!

— Babciu! - obruszyła się Carmen.

Starsza pani pokręciła głową o nienaturalnie rudych włosach.

— Nie wiń mnie za to, że prawdę mówię. To złe miejsce. Nikt nie powinien tam sprowadzać dzieci, ale ten młodzieniaszek Gideon zawsze był zbyt pewny siebie.

— Młodzieniaszek? - sapnęła zaskoczona Lucinda, ale Carmen już ją odciągała na bok.

— Włóżmy kwiaty do wazonu.

Kiedy weszły do domu, Carmen nachyliła się bliżej.

— Nie łam się. Zawsze taka jest, choć przy tobie i przy Tylerze dopiero daje popis. - Carmen otworzyła szeroko oczy. - Czy to jest syn tej czarownicy?

— Co? A, Colin, tak.

— Prawie go nie poznałam. Nie jest już taki ciapowaty jak kiedyś. Mówiąc szczerze, wygląda niemal na człowieka. - Carmen zaśmiała się. - Chodź, zanim moja babcia wróci i zacznie się nad tobą modlić. Mam coś dla ciebie.

W swoim pokoju Carmen wyciągnęła niewielkie pudełeczko i podała je Lucindzie.

— No, dalej, otwórz!

Wewnątrz na delikatnej bibułce leżała bransoletka ze srebrnymi krzyżkami, koniczynkami i serduszkami, a nawet niewielkim pegazem.

— Och, Carmen, jest piękna! Bardzo ci dziękuję!

— Ciocia mi ją dała na urodziny, ale ja już mam jedną taką od wielu lat. - Uśmiechnęła się szeroko, zadowolona z reakcji Lucindy. - Cieszę się, że ci się podoba. A teraz zobacz - koniecznie muszę ci pokazać liścik, jaki wysłał mi jeden chłopak ze szkoły. Stara się być strasznie elegancki i zaprasza mnie na randkę. Mówię ci, ale ubaw!

Jedzenie było równie wspaniałe, jak towarzystwo. Carmen była niezrównana i Lucinda żałowała, że nie mieszkają bliżej siebie, by się widywać częściej niż raz -t na rok - choć w dalszym ciągu odczuwała niepokój. Wszystko było inaczej niż rok temu, bo tamto święto należało do najwspanialszych, jakie kiedykolwiek przeżyła. Po pierwsze, było jasne, że rodzice Carmen, Hector i Silvia, nie są zbyt zadowoleni. Przez dłuższy czas rozmawiali przyciszonymi głosami z panem Dobrochodzkiem. Ragnar brał udział w części tych rozmów, ale po chwili oddalił się sam i zaczął pochłaniać piwo w hurtowych ilościach. Obserwując go, Lucinda cieszyła się, że wracają do domu wozem zaprzężonym w bardzo wolno człapiącego konia.

— Cześć i dzięki za dźwięki - rzucił jej do ucha Tyler, kiedy czekała w kolejce do ciasta. Aż podskoczyła.

— O co ci znowu chodzi?

— Pobiegłyście dokądś z Carmen, zostawiając mnie na pastwę Colina Needle'a i... Almy.

— A co, Alma ci się nie podoba? Jest słodka.

— Łazi za mną jak szczeniak. Chciała mnie wziąć za rękę! - Tyler powiedział to z takim oburzeniem, że Lucinda musiała powstrzymać wybuch głośnego śmiechu. - A Colin tylko marudzi, że gry Steve'a są głupie albo że muzyka jest za głośna. - Tyler zakrył uszy dłońmi, kiedy

ktoś jeszcze bardziej podkreślił muzykę w stylu mariachi. - Jak znam życie, jest zachwycony...!

Była to piosenka, którą Lucinda rozpoznała - La Bamba.

Carmen podbiegła do nich.

— Zostaw swojego nudnego brata z moim nudnym bratem. Poskaczmy na trampolinie!

Zaskoczona Lucinda roześmiała się i dała się wyciągnąć z domu na frontowy dziedziniec.

— Zaraz wyślę do was Colina! - ostrzegł Tyler.

---

Yo no soy marinero!

Yo no soy marinero,

soy capitán,

Soy capitán,

Soy capitán!

— Ba, ba, bamba!

Ba, ba, bamba!

---

— śpiewała Lucinda, skacząc wraz z Carmen pod nisko wiszącymi, szarymi chmurami.

Nowa bransoletka pobrzękiwała radośnie, a jej uczucia zlały się z muzyką i niezdarnymi, choć pełnymi wigoru podskakiwaniami, dając jej coś na kształt radości - pomimo wszystko będzie się dobrze bawiła w to święto.

Carmen przestała podskakiwać i zachybotowała się w miejscu.

— Uuaa, kto to taki? - Wpatrywała się w coś przez pusty dziedziniec przed domem.

Lucinda podniosła wzrok i zobaczyła jakąś postać słaniającą się na nogach i mijającą oborę. Ktokolwiek to był, nie wyglądał najlepiej i

zataczał się jak stary pijak. Mówiąc szczerze, trochę przypominał stryjecznego dziadka Gideona - starszy mężczyzna w wydymanym wiatrem szlafroku.

Chwilę później dotarło to do niej. To naprawdę był Gideon.



# Rozdział 15

## Straszne święto

W jednej minucie Tyler i Steve Carrillo głośno tłumaczyli Colinowi Nieukowi Needle owi, że gada bzdury - gry komputerowe nie tylko nie ogłupiają ludzi, ale poprawiają koordynację ruchową, a nawet wykorzystuje się je przy szkoleniu Armii Stanów Zjednoczonych! - a w drugiej minucie już wszyscy biegli, wrzeszcząc: „Dzwońcie po lekarza!” i „Niech ktoś powie Hectorowi!”. Tyler usłyszał, jak jego siostra wykrzykuje imię „Gideon”, i wraz z Colinem natychmiast pobiegł przed dom.

Gideon Goldring, wychudły, wyczerpany i najwyraźniej chory, kucał w popołudniowym słońcu, otoczony przez Lucindę, Carmen, Almę i rosnący tłumek krewnych rodziny. Kiedy Lucinda dała Gideonowi Straszne święto jednej minucie Tyler i Steve Carrillo głośno tłumaczyli Colinowi Nieukowi Needle owi, że gada bzdury - gry komputerowe nie tylko nie ogłupiają ludzi, ale poprawiają koordynację ruchową, a nawet wykorzystuje się je przy szkoleniu Armii Stanów Zjednoczonych! - a w drugiej minucie już wszyscy biegli, wrzeszcząc: „Dzwońcie po lekarza!” i „Niech ktoś powie Hectorowi!”. Tyler usłyszał, jak jego siostra wykrzykuje imię „Gideon”, i wraz z Colinem natychmiast pobiegł przed dom.

Gideon Goldring, wychudły, wyczerpany i najwyraźniej chory, kucał w popołudniowym słońcu, otoczony przez Lucindę, Carmen, Almę i rosnący tłumek krewnych rodziny. Kiedy Lucinda dała Gideonowi napić się wody z butelki, którą ktoś przyniósł z kuchni, nagle zza węgła domu wyłonili

się biegnący w ich stronę pan Dobrochodzki i Ragnar.

— Skąd przyszedł? - zapytał Ragnar.

— On po prostu... po prostu się pojawił - odparła Lucinda. - Nadszedł od strony pola.

Tyler usłyszał coś jeszcze w gwarze głosów rozbrzmiewających wokół chorego - nikły, wysoki krzyk dobiegający z oddali. Colin Needle, który wpatrywał się w Gideona z otwartymi ustami, uniósł głowę i potrząsnął nią jak osoba, która przebudziła się zbyt szybko.

— Zaraz - to moja matka!

I rzeczywiście kolejna postać sunęła przez pola w stronę domu Carrillów, na zmianę idąc i biegnąc truchtem. Patience Needle w swoim staromodnym ubraniu machała rękami i krzyczała: - Nie dotykajcie go!

Tyler uświadomił sobie, że nigdy wcześniej nie słyszał, żeby wiedźma podniosła głos.

— Nie! - wołała, pędząc do nich. - Musicie go zostawić w spokoju!

Gideon był tak blady, że skóra przybrała niemal zielonkawy odcień, a czoło miał zroszone potem.

— Nie - odezwał się nagle, odtrącając butelkę tak, że woda wylała mu się na piersi. Starął się schwycić Lucindę za rękę, ale jego oczy, choć szeroko otwarte, zdawały się niczego nie dostrzegać, a jego dłonie były zbyt ruchliwe, by mógł je kontrolować. - Nie... wróć... tam...

— Dokąd nie chcesz wracać, Gideonie? - zapytał Ragnar. - Gdzieś ty się podziewał?

Ale staruszek był zagubiony we własnym świecie, głowa kiwała mu się na boki, kiedy starał się podnieść.

— Nie możesz...! - krzyknął, odtrącając dłonie tych, którzy starali się go powstrzymać. - Puszczaj mnie, ty cholerny... potworze!

— Musimy zabrać go do szpitala - powiedział Hector Carrillo.

— Nie! - wykrzyknęła pani Needle. Podeszła chwiejnie i uklękła przy Gideonie. Przytrzymując mu głowę jedną ręką, drugą badała mu tętno i

czoło. - Żadnego szpitala! Nic mu nie będzie. Wiem, jak mu pomóc. Musimy go tylko zawieźć z powrotem na farmę. Mam tam leki... specjalne wywary...

— Chyba pani zupełnie odbiło, jeśli myśli pani, że pozwolę go tam zaciągnąć. On jest chory. Najpierw musi go zbadać lekarz. - Pan Carrillo wstał. - Ragnar, Simos, zanieście go do mojego auta.

— A nie powinniśmy wezwać karetki, tato? - zapytała Carmen.

— Mogę go dowieźć do kliniki w Liberty w dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut - odparł Hector Carrillo. - Przynajmniej tyle samo czasu zajmie ściągnięcie tu ambulansu.

Pani Needle wbiła w niego lodowaty wzrok zdolny zerwać tynk ze ściany, ale pan Carrillo odwzajemnił się jej spokojnym, wyważonym i zdecydowanym spojrzeniem. Tyler nie potrafił ukryć szczerego podziwu.

— W takim razie ja też tam pojadę - powiedziała w końcu. - Znalazłam go, jak się wałęsał po terenie farmy, i goniłam za nim aż tutaj. Nie zostawię go tak szybko.

— Nie pozwólcie jej!

Tyler spojrzał zaskoczony na siostrę.

— Luce?

Ale jego siostra już ciągnęła pana Carrilla za ramię.

— Nie pozwólcie jej. Założę się, że to ona mu to zrobiła! Dała mu jakąś miksturę... albo coś takiego. I pewnie ona też uniemożliwiła mu skontaktowanie się z panem. Pewnie nawet mu nie mówiła, że pan dzwonił - tak właśnie robiła z nami rok temu.

— Jak śmiesz! - Pani Needle podniosła się z ziemi i stanęła nad Lucindą z taką furią na bladej twarzy, że nawet pan Carrillo cofnął się o krok. - Jak śmiesz mówić takie rzeczy przy obcych, Lucindo Jenkins? Takie straszne rzeczy!

— To nie są żadni obcy! To nasi przyjaciele!

Lucinda wyglądała na przerażoną, ale też i zdecydowaną. Tyler

poczuł, że rozpiera go duma z takiej siostry.

— Powiedz im, siostrzyczko - zachęcił ją.

Wzrok Patience Needle jeszcze przez chwilę błędził wokół Lucindy, ale po chwili skierował się do państwa Carrillów, a na jej obliczu nie było już widać nawet śladu gniewu.

— Wszyscy martwiliśmy się o Gideona. Nie było go wiele dni. Widzicie państwo, jacy wszyscy są podminowani. Leczyłam go wiele lat, tak jak umiałam. Proszę, aby słowa przestraszonego, zdezorientowanego dziecka nie doprowadziły do tego, że zostanę od niego odsunięta.

— Ale jak Gideon przeszedł przez ogrodzenie? - zapytał pan Dobrochodzki.

Pani Needle wyprostowała się.

— Oczywiście wyłączyłam napięcie, kiedy zobaczyłam, że idzie w oddali, zataczając się jak szaleniec. Myślisz, że pozwoliłabym na to, żeby naszego pracodawcę poraził prąd?

Pan Dobrochodzki parsknął, ale odwrócił się i ruszył ku Zwyczajnej Farmie.

— No to trzeba znowu wszystko włączyć, bo... bo wydarzy się jakieś inne nieszczęście - rzekł.

Lucinda domyśliła się, że zrzuci buty, kiedy tylko zniknie im z oczu. Potrafił pędzić na swoich kopytach jak wicher.

Pan Carrillo patrzył na Lucindę przez dłuższą chwilę, po czym odwrócił się do pani Needle i posłał jej uśmiech całkowicie wyzuty z sympatii.

— Tak, myślę, że może pani jechać z nami do szpitala. Ale musimy wziąć dwa samochody. Dzieci też mogą z nami pojechać - zobaczą pokaz sztucznych ogni w Liberty. - Zwrócił się do swojej żony: - Silvia, gdzie jest twój brat? Ach. - Przywołał brodatego mężczyznę, na którego tatuaże Tyler spoglądał z podziwem już wcześniej. - Jaime, przyjechałeś swoim furgonem, czy tak? Załaduj dzieci i jedź za mną.

Ragnar i pan Dobrochodzki rozmawiali o czymś po cichu.

— Ja też pojedę, Hectorze - powiadomił go wiking. - Simos wróci do domu i sprawdzi, czy wszystko w porządku, bo on nie przepada za samochodami.

— Gdzie on mógł się podziewać? - Tyler darł się Lucindzie do ucha, przekrzykując głośno grający sprzęt stereo w samochodzie, który wypływał z siebie meksykański heavy metal, coś, o czego istnieniu Tyler nawet nie miał pojęcia. - Szukaliśmy wszędzie! Myślisz, że Gideon był... no wiesz ... za Linią Uskoku? - Uświadomił sobie, że skoro sam się ledwo słyszy, to nie ma niebezpieczeństwa, że Jaime na siedzeniu kierowcy usłyszy ich rozmowę. - Ciekawy jestem, co pani Needle wiadomo na ten temat. Założę się, że razem z Colinem go ogłuszyła i schowała. Naszprycowała czymś, bo ja wiem.

Lucinda zmarszczyła brwi.

— To nie w porządku! - wykrzyknęła. - Colin był tak samo zaskoczony jak my wszyscy. Obserwowałam go!

Tyler miał wątpliwości - już wcześniej zauważył, że Lucinda jest zdecydowanie za miętka dla Colina Needle'a.

— Skoro był taki wstrząśnięty, to dlaczego go tu nie ma? Dlaczego nie jedzie do szpitala?

Lucinda pokręciła głową.

— Właśnie, że jedzie! W samochodzie z panem Carrillem.

Tyler nadąsał się.

— Och, rozumiem, jest za wielki, żeby jechać razem z nami, co?

Siostra obrzuciła go wrogim spojrzeniem.

— Tyler, ale z ciebie kretyń - powiedziała, co oczywiście było całkowicie niesprawiedliwe.

Miasteczko Liberty było tym, czym Standard Valley chciałoby zostać, gdy dorośnie, stwierdził Tyler. I nie chodziło wcale o wielkość - było prawdopodobnie o połowę mniejsze od rodzinnego miasta Lucindy i

Tylera, ale na tyle duże, żeby organizować parady z okazji czwartego lipca, a także by mieć własną straż pożarną, kilka szkół i kino, czego można było ze świecą szukać w Standard Valley. Tyler widział to wszystko, kiedy samochód Jaimego jechał za wozem pana Carrilla do kliniki mieszczącej się w pospolitym budynku z dachem krytym czerwonymi dachówkami, która gdyby była nieco mniejsza, mogłaby uchodzić za restaurację typu fast food.

Hector Carrillo wraz z pasażerami przybył na miejsce wcześniej. Ragnar, Colin i pan Carrillo siedzieli już w poczekalni pogotowia.

— Moja matka wypełnia formularze - poinformował ich Colin. - Zna wszystkie dane - numer ubezpieczenia i całą resztę.

— Macie ubezpieczenie? - Tyler zastanawiał się, jak to się udało bez świadectwa urodzenia i wszystkich papierów, które posiadali współcześni ludzie.

Colin posłał mu spojrzenie pełne pogardy.

— Gideon ma.

Podszedł do nich pan Carrillo.

— Słuchajcie, dzieci, może pójdziecie pozwiedzać sobie miasto. Jaime, pójdziesz z nimi? Wkrótce będzie zmierzch - mają tu pokaz ogni sztucznych w parku. Carmen, masz przy sobie telefon?

— Mam, tatusiu.

— Dobrze. Zadzwoń do mnie kontrolnie za jakąś godzinę.

Ragnar podszedł z nimi do drzwi, z surową i poważną twarzą.

— Nie martwcie się, dzieci. Gideon wyzdrowieje. Dopilnuję tego. - Tyler miał tylko nadzieję, w trosce o miejscowych lekarzy, że nikt nie zdenerwuje wielkoluda.

Poszli z Jaimem do miasta. Tyler zapomniał już, jak to jest, kiedy się widzi tylu ludzi czy też raczej kiedy się widzi tylu nieznanymi ludźmi. Mieszkanie na Zwyczajnej Farmie przypominało rejs na statku po morskich wodach - w tym przypadku morzu pól i łąk. Co jakiś czas

płynęło się szalupą do Standard Valley, żeby wypić koktajl mleczny w barze albo żeby spotkać się z rodziną Carrillów, ale przez resztę czasu widywało się wyłącznie tych samych ludzi. Natomiast tutaj, w Liberty, pomimo że parada z okazji czwartego lipca już się skończyła, czuł się tak, jakby wciąż trwała, patrzył na pozornie niekończący się strumień ludzkich twarzy - dzieci, dorosłych, starszych, ludzi śmiejących się, pijących, jedzących, wykrzykujących przez ulicę pozdrowienia do sąsiadów i znajomych.

— Wujku Jaime - powiedziała Alma. - Zabierz nas do Bieguna Północnego! Proszę!

— Przed chwilą jedliście kolację - powiedział - i to z deserem!

— Proszę. Ja chcę miętową korę! - powiedziała, dzięki czemu Tyler zrozumiał, że chodziło o lodziarnię.

Kiedy doszli do parku, wysysali resztki lodów z końcówek waflowych rożków. Carmen zadzwoniła do ojca, który powiedział, że Gideon ma się dużo lepiej i teraz mówi już składniej, choć nie pamięta niczego z ostatnich kilku dni. Ojciec powiedział, że lekarze nazwali jego przypadłość „wyczerpaniem z powodu upału”.

Tyler pomyślał, że to cudownie, ale wciąż nie wiadomo, dlaczego staruszek zniknął na cały tydzień.

Było już niemal ciemno, a ludzie wciąż napływali do parku. Carmen, Alma i Steve poszli po napoje. Wujek Jaime kupił sobie kufelek piwa i siedział na trawie cały szczęśliwy, popijając trunek i rozmawiając z jakąś znajomą. Lucinda nachyliła się do Tylera.

— Popatrz, co Gideon miał w dłoni - powiedziała.

Wyciągnęła do niego rękę. Tyler spojrzał na ciemne, włókniste pasma, które trudno było rozpoznać w niknącym świetle.

— Co to takiego?

— Nie wiem. Myślę, że to jakieś rośliny. Trzymał je kurczowo, jakby były bardzo ważne.

Tyler wzruszył ramionami.

— Ale od czego tak oszalał? To jest podstawowe pytanie...

Lucinda już go nie słuchała. Patrzyła na coś nad jego ramieniem z oczami wielkimi jak srebrna dolarówka na klamrze od paska u wujka Jaimego.

— Tyler! To on!

— Kto? O czym ty mówisz? - Niemal spodziewając się ujrzeć Gideona kłusującego przez park i furkoczącego połamami szlafroka, ściganego przez lekarzy i pielęgniarzy, Tyler odwrócił się, ale zobaczył jedynie tłum jednakowych ludzi kręcących się na skraju trawnika i czekających na rozpoczęcie pokazu ogni sztucznych. - Nie widzę...

— Tam. - Nachyliła się bliżej niego. - Nie gap się i nie pokazuj palcem. Tam przy fontannie. Ten człowiek to Kingaree.

Oczywiście Tyler nigdy go na oczy nie widział, ale opis Lucindy, przedstawiający go jak zbira z westernu, utkwiał mu w głowie, więc nie miał wątpliwości, o kogo chodzi. Wysoki, szczupły mężczyzna w długim czarnym płaszczu - dziwny strój jak na gorące lato, nawet wieczorem - rozmawiał z mężczyzną o okrągłej twarzy w bardziej współczesnych ciuchach, w beżowej, sportowej kurtce. Ów wysoki, smagły mężczyzna rozejrzał się wokół, jakby był zaniepokojony, że ktoś może podsłuchać ich rozmowę, po czym chwycił tego w sportowej kurtce za łokieć i pociągnął go w stronę otwartej altany w rogu parku.

— Idą do tamtego budynku - powiedział Tyler, skacząc na równe nogi. - Chodź, możemy go obejść i wyjść między drzewami z drugiej strony. Usłyszemy, o czym mówią!

— Co? Zwariowałaś? - Lucinda aż się wzdrygnęła. - Nie mam zamiaru zbliżać się do tego faceta!

— A jeśli to on porwał Gideona? A jeśli go teraz szuka? - Tyler nie mógł uwierzyć, że siostra zachowuje się jak głupi podlotek w tak ważnej chwili. - No chodź!



Jeszcze kiedy prowadził ją wokół trawnika, mijając ludzi na kocach, którzy wpatrywali się z nadzieją w niebo, jego siostra wciąż starała się mu to wyperswadować.

— A co z Carmen i innymi? Co z Jaimem? Nie powinniśmy ich zawiadomić...?

— My tylko idziemy na drugi koniec parku. Dorośnij wreszcie, Luce!

Przebiegli między drzewami, przeskoczyli przez niski płotek ze sztachetami i znaleźli się zaledwie o parę metrów od altany. Lucinda wyglądała niezwykle żałośnie, więc Tyler postanowił, że jednak nie wdrapie się na drzewo, choć dzięki temu mógłby zawisnąć na gałęzi tuż nad dachem budynku. Zamiast tego przysunął się, jak najbliżej mógł, gotów w każdej chwili zerwać się do ucieczki. Usłyszał głosy. Zgadywał, że wysoki, nieznacznie nerwowy głos należał do mężczyzny w beżowej kurtce.

— ...pan po prostu nie rozumie, tylko tyle.

— Tu nie ma czego rozumieć, panie Dankle. - To był Kingaree, Tyler nie miał wątpliwości. Był to głos tak złowieszczy jak podniesiony ogon skorpiona. - Dałem już panu dobre amerykańskie pieniądze. Aby zarobić resztę, ma pan się zjawić na wezwanie i zrobić, co do pana należy.

— Oczywiście, oczywiście! Nie pomogłem panu, tak jak obiecałem? - Mężczyzna niemal piszczął. - Muszę to tylko przemyśleć... muszę dbać o swoją reputację...

— Posłuchaj mnie, prawniku. - Słowa Kingareego przypominały wystrzały z rewolweru. - Zabijałem lepszych od ciebie gołymi rękami, więc radzę ci dobrze, nie złość mnie.

Było już ciemno, ale Tyler widział bladą twarz Lucindy i jej szeroko rozwarte oczy. Modlił się, żeby nie puściły jej nerwy i żeby nie zrobiła niczego, co mogłoby ujawnić ich kryjówkę.

— Pamiętaj - ciągnął Kingaree - za głęboko w tym wszystkim tkwisz, żebyś teraz nagle zaczął się robić delikatny. Kiedy nadejdzie właściwa

chwila, przyjadę i wezwę cię, a ty lepiej bądź gotowy wyruszyć ze mną. Odbędzie się to nocą. Proponuję, żebyś przez kilka tygodni nie umawiał się z nikim na wieczór.

— Jak to wyruszyć? Dokąd?

— Tego jeszcze nie wiem, panie Dankle. Ale proszę mi wierzyć, kiedy nadejdzie właściwy moment, pan dowie się jako jeden z pierwszych. I zrobi pan, co panu każe. Rozumiemy się?

Dankle pewnie przytaknął, bo Kingaree nagle wyszedł z altany i ruszył ścieżką okalającą park, powiewając połami płaszcza niczym wielkie, czarne ptaszysko. Kiedy minął siedzące rodziny, na niebie rozbłysły pierwsze fajerwerki, wielkie, połyskliwe, sypiące iskrami złotoczerwone kwiaty. Ludzie krzyknęli z zachwytu. Nikt z wyjątkiem Tylera i Lucindy nie dostrzegł przemykającego się chyłkiem niewielkiego człowieczka w beżowej kurtce - wszyscy byli zapatrzeni w ogień na niebie.

Gorące słońce. Prace do wykonania. Zwierzęta do nakarmienia. Może drzemka przed obiadem, jeśli będzie miała szczęście i wcześniej skończy pracę. Lucinda nie posunęłaby się do twierdzenia, iż wszystko wróciło do normalności, ale kiedy wraz z Tylerem szła przez pola do Gadziej Obory, uświadomiła sobie, że po raz pierwszy od kilku ładnych dni nie czuje lęku.

Ich stryjeczny dziadek Gideon wciąż przebywał w szpitalu, ale dzisiaj miał wrócić do domu. Lekarze z ośrodka medycznego w Liberty wciąż nie wiedzieli, co mu dolega, ale Ragnar mówił, że Gideon już prawie wrócił do normy, choć dalej nie był sobie w stanie przypomnieć, co się z nim działo.

— No dobrze, ale co on robi? - zapytał Tyler. - Wciąż nie rozumiem.

# Rozdział 16

## W poszukiwaniu zwyczajności

Lucinda nie mogła się nacieszyć nową bransoletką, podarunkiem od Carmen, która doskonale pasowała do przepaski z włosia jednoroźca, prezentem od Trzech Amigos. Potrząsnęła głową.

— Kto? Co robi?

— Kingaree! Co on knuje z tym Dankleem, tym prawnikiem?

— A skąd ja mam wiedzieć? A niby czemu myślisz, że ma to jakiś związek z nami?

Tyler popatrzył na nią.

— No wiesz? To naprawdę łajdak pierwszej wody i wylazł z Linii Uskoku. Wszystko, co robi, ma związek z nami, a przynajmniej z farmą.

Lucinda zmarszczyła brwi. Jedyne problem z nową bransoletką polegał na tym, że kiedy Lucinda opuszczała rękę, bransoletka zsuwała się i amulety zaczepiały się o różne rzeczy. Podsunęła ją do góry, aż się zaklinowała.

— To nie znaczy, że ma to coś wspólnego z innymi sprawami, z Gideonem i tym wszystkim, na czego punkcie masz obsesję, Alamu, pożarem i tym wariatoskopem Octavia.

— Kontiniuoskopem. Tak, to insza inszość. - Tyler zmarszczył brwi, starając się zebrać myśli. - Dobra, więc Gideon znika, a w tym samym czasie Kingaree wraca po tylu latach. Tymczasem Colin bredzi o tym, że „bada kontiniuoskop” - wycedził, niezwykle złośliwie naśladując ostrożny sposób mówienia Colina - który zaginął w noc pożaru laboratorium. I zupełnie przypadkowo tej nocy także zniknął Kingaree. A

ty mi mówisz, że to wszystko zbieg okoliczności?

— Nie mówię, że to wszystko zbieg okoliczności... - zaczęła.

— No to się zamknij. - Uśmiechnął się jednak, żeby pokazać, że żartuje. Przez chwilę przypominała sobie zarówno to, dlaczego kocha swojego młodszego braciszka, jak i to, dlaczego często ma ochotę go zabić. - Widzisz, gdyby Kingaree ukradł kontiniuoskop i wzniecił pożar, żeby to ukryć, to miałyby sens. Ale pan Dobrochodzki mówi co innego - mówi, że to smok Alamu podpalił laboratorium. Chwycił się za głowę, jakby go nagle rozbolała. - No nie mogę! Czy czegoś mi tu brakuje?

Lucinda uśmiechnęła się.

— Zaświadczenia od psychiatry.

Widziała już w oddali Gadzią Oborę i serce zabiło jej żywszym rytmem. Nadchodzę! pomyślała, starając się wysłać tę wieść niczym promień światła. Niosę marchewki! Chwilę później spostrzegła, co robi - oskarża brata o zaburzenia psychiczne, jednocześnie starając się w myślach rozmawiać ze smokiem.

— No i z czego się śmiesz? - Tyler nie czekał długo na odpowiedź. - Tak czy inaczej, czegoś tu brakuje. Nie wiem czego, ale z całą pewnością brakuje. Po co Alamu miałyby łązić koło laboratorium? Po co miałyby je podpalać?

— Może był to jedyny sposób, żeby zmusić kogoś, by się zamknął?

Przez chwilę Tyler naprawdę wyglądał na nieźle skołowanego, starając się pojąć, o co jej chodzi. Po czym pokazał jej język - zrobił coś, czego nie robił od lat.

— No jasne, dzięki, Luce. Pomocna z ciebie siostrzyczka.

Desta zbliżyła się na kłykciach zwiniętych skrzydeł i tylnych łapach do przodu zagrody, odwracając łeb na boki i nieśmiało zerkając w stronę worka z marchewką trzymanego przez Lucinę.

Wiem, że je widzisz, powiedziała w myślach Lucinda. Czasami trudno było orzec, ile Desta rozumiała z przekazu Lucindy. Tak, są dla ciebie,

łakoma dziewczynko!

! Było to niewiele więcej od pozbawionego słów impulsu, ale niosło z sobą znaczenie, które Lucinda rozumiała jasno i wyraźnie: Chcę!

Minął ich Haneb z wózkiem pełnym tuszy owczych dla Meseret, śpiącej pod rzędem lamp słonecznych, dzięki którym w Gadziej Oborze było jeszcze cieplej niż w kalifornijskie lato.

— Ona czekała na ciebie, ta mała - powiedział. - Wie, o której przychodzisz.

— Ale nie przychodzę o tej samej porze codziennie - zdziwiła się Lucinda.

Haneb wzruszył ramionami.

— I tak wie, o której przychodzisz. Bardzo mądre illujankan. To obce słowo zabrzmiało, jakby Haneb szykował się do splunięcia. Uśmiechnął się nieznacznie, znów się zawstydził i przetłumaczył: - Smoki.

— Skąd tyle o nich wiesz? - zapytała i wyciągnęła pierwszą marchewkę w stronę Desty.

Niebieski język zawinął się na niej, delikatnie pociągnął i marchewka wysunęła się z dłoni Lucindy. Grzeczna, pomyślała. Grzeczna dziewczynka!

— Ja... przyszedłem z nimi. Stamtąd, gdzie kiedyś byłem.

W takim razie Ragnar mówił prawdę.

— Opowiesz mi o tym?

Gapił się na nią jednym widocznym szeroko otwartym okiem, bo drugie skrywała zasłona z włosów.

— Mam pracę. Przepraszam, panienko Lucindo. Dużego trzeba nakarmić. - Wskazał na wózek i owcze tusze, które już w upalny dzień zaczęły przyciągać muchy. - Mam pracę.

Co, jak Lucinda podejrzewała, naprawdę znaczyło: Proszę nie zmuszać mnie, żebym o tym opowiadał. Ragnar mówił, że Haneb był przestraszony już wtedy, kiedy przybył na Zwyczajną Farmę jako

dziecko.

— Oczywiście, Haneb, przepraszam...

— No nie - rzucił głośno Tyler. - A ty co tutaj robisz?

Odwróciła się i zobaczyła Colina Needle'a, który zatrzymał się wiele metrów za Lucindą i pozostałymi, jakby przed nim rozpościerało się jakieś śmiertelnie niebezpieczne bagno.

— Nie zaczynaj ze mną, Jenkins.

— Nie, .naprawdę, za każdym razem kiedy się odwracam, widzę ciebie za plecami. Szpiegujesz nas? - Tyler ruszył w stronę Colina z dłońmi dyndającymi po bokach, wyprostowany, z wypiętą do przodu klatką piersiową.

— Daj spokój, Tyler.

Chłopaki, pomyślała Lucinda. Zawsze prężą muskuły.

Tak - samce. Tacy głupi, tacy zapalczywi.

Przez chwilę Lucindzie wydawało się, że ktoś to powiedział głośno - głębokim, dźwięcznym, dudniącym basem niczym kościelne organy. Jednak zorientowała się, że ten głos pojawił się w jej głowie, tylko w jej głowie, i że nie składał się ze słów, a jedynie ze znaczeń, jakie miały nieść. Meseret? zapytała Lucinda. Czy to ty? Nawiązała kontakt z dużą smoczyką po raz pierwszy od czasu, kiedy razem leciały przez noc.

Cóż, to ty leciałaś, poprawiła się Lucinda. Ja tylko trzymałam się kurczowo i krzyczałam. Pamiętasz?

Dotarło do niej lekkie rozbawienie, a zaraz za nim o wiele twardsze tony - wściekłe myśli, które paliły niczym kwas. Tej nocy, kiedy ukradli mi jajko. Tej nocy, kiedy to stworzenie ukradło mi jajko. Meseret najwyraźniej rozpoznawała Colina. Potężny smok wyciągnął się nagle niespokojny w swojej uprząży, aż zatrzeszczał mocny, przemysłowy materiał, z którego była wykonana.

Ale ona jest tu z nami, rzuciła pośpiesznie w myślach Lucinda. Nie miała ochoty zobaczyć, jak Colin Needle spala się na popiół. Twoje

dziecko, twoje jajko, żyje i jest bezpieczne. Widzisz?

Marchewki. Nadeszła kolejna zniecierpliwiona myśl Desty. Zjem jeszcze. Daj!

Tyler i Colin wciąż patrzyli na siebie spode łba.

— O czym ty bredzisz, Jenkins? - zapytał starszy chłopak. - Myślisz, że mnie się tu podoba? Z tymi potworami? - Rzucił pospieszne, lękliwe spojrzenie w kierunku Meseret. - Wysłano mnie, żebym was przyprowadził. Osobiście z radością zostawiłbym was z waszymi gierkami i... - przeniósł spojrzenie z Lucindy na małego smoka - ...waszymi zwierzęcymi przyjaciółmi.

Mógłby być miły, gdyby zechciał, pomyślała Lucinda. Co jakiś czas to udowadniał. Dlaczego Colin Needle zawsze wracał do roli wrednego świra?

Wściekły. Dotarło do niej wrażenie, a nie słowa, i pochodziło od Desty. Przestraszony. Splątany.

Lucinda niemal upuściła worek z marchwią. Po raz pierwszy usłyszała od Desty coś, co nie było jedynie prostą informacją i nie niosło ze sobą dziecinnej łapczywości, zadowolenia czy niezadowolenia.

— Chodzi o Gideona - powiedział Colin posępnym głosem. - Moja matka kazała powiedzieć, że przywożą go ze szpitala. Jeśli naprawdę macie jakieś inne zajęcia, kiedy będzie wracał, to proszę bardzo. Nie będzie to jednak dobrze wyglądać.

Desto, powtórz, co powiedziałaś, pomyślała Lucinda, ale smok był znów rozkojarzony marchewką w dłoni Lucindy. Po kilku bezowocnych próbach porozumienia się z nią dała jej ostatnie marchewki pod czujnym okiem Colina.

— No nie. Ona naprawdę cię lubi.

W głosie wysokiego chłopaka słychać było cień smutku. Oczywiście, to, że smoki go nie lubiły, było wyłącznie jego winą - w końcu porwał Destę, kiedy była jeszcze w jajku. Ale trzeba przyznać na jego obronę, iż

nie miał pojęcia, że w środku znajduje się żywy smok.

— Dobrze dzisiaj wyglądasz, Colin - powiedziała, starając się być uprzejma. Tyler, który miał ochotę jeszcze przed chwilą rzucić się na starszego chłopaka, spojrzał na nią z mieszaniną odrazy i niedowierzania. - Wystroiłeś się.

Wydawał się zaskoczony tym komplementem.

— Dziękuję. Cóż, skoro mamy powitać Gideona, pomyślałem, że... - Przerwał raptownie i potrząsnął głową, jakby przyłapał się na robieniu czegoś niebezpiecznego. - Nieważne, czekam na was na zewnątrz.

Nie mam ochoty dostać czymś płonącym. - Wycofał się do wyjścia.

— Chyba powinniśmy pójść za nim - powiedziała Lucinda.

Miała ostatnią marchew dla Desty, ale musiała poszukać głęboko w kieszeni. Kiedy ją znalazła i wyciągnęła dłoń, bransoletka z zawieszkami ześliznęła się i zatrzymała wokół nadgarstka.

Desty rzuciła się do przodu z taką szybkością, że Lucinda nawet tego nie dostrzegła. Natarła niczym atakujący grzechotnik, ale zamiast chwycić ostatnią marchewkę zerwała długimi zębiskami bransoletkę z nadgarstka Lucindy. Bransoletka wpadła do zagrody Desty, a Lucinda zatoczyła się do tyłu, całkowicie zaskoczona tym nagłym atakiem.

Desty, nie! - posłała najbardziej intensywną myśl, jaką udało się jej z siebie wykrzesać, zagniewaną, ale też zalęknioną z powodu tego, że mała smoczyca mogłaby połknąć błyskotkę i się zranić. Nie waż się! Ale Desty zignorowała ją, nachylając się nad błyskotką, jakby wszystko inne na świecie przestało istnieć.

Powiedziałam. NIE! Wszystko zdarzyło się tak szybko, że Lucinda przez chwilę nie wiedziała, co się dzieje: młoda smoczyca odskoczyła jak oparzona, po czym przykucnęła, sycząc, jakby coś ją uderzyło. Nie chodziło jednak wyłącznie o to, że przestraszyła się rozgniewanej myśli Lucindy.

Zmusiłam ją do tego, uświadomiła sobie Lucinda. Myślą zmusiłam ją,



by się cofnęła! Nie czuła się z tym dobrze, że przełamała zachłanność młodego smoka i odgoniła go od bransoletki, ale w przedziwny sposób Lucinda dotarła do niej... i zmusiła ją do tego.

Uaa, pomyślała. Co się właściwie stało?

Kiedy Lucinda i Desta stały, wpatrując się w siebie, a kolce z boku łba zaniepokojonego zwierzęcia stanęły na sztorc i drgały niespokojnie, Haneb doskoczył do ogrodzenia i trzonkiem grabi wyciągnął bransoletkę, po czym wcisnął ją Lucindzie w rękę, jakby przekazywał jej skradziony przedmiot.

— Ukryj to, bo znów będzie chciała zabrać. Nie przynoś tu takich rzeczy. - Powiedział to obłąkańczym głosem, jakby Lucinda zrobiła coś niesłychanie głupiego.

— Takich rzeczy? - Wpatrywała się w młodego smoka, który udawał, że nic go to nie obchodzi, ale którego pomarańczowe ślepia śledziły, jak połyskliwy przedmiot znika w kieszeni Lucindy. - Co chcesz mi powiedzieć?

Dlaczego nie? Straszyc Des tę! Piękne. Bardzo lubię. Mały smok najwyraźniej się dąsał.

— Smoki lubią błyskotki, srebrne, złote, metalowe i szklane. - Haneb delikatnie wyprowadzał ją z dala od zagrody Desty. - Alamu jest na nie najbardziej łąsy. Jego gniazdo musi być pełne błyszczących przedmiotów, które znalazł bądź ukradł.

Lucinda nawet się nie opierała, kiedy wyrzucił ją wraz z Tylerem z obory. Nie przejmowała się bransoletką, którą można było naprawić, ale była bardzo podekscytowana tym, co się stało.

Smoki do mnie mówiły! - pomyślała. Naprawdę dowiadywałam się czegoś więcej o nich! Ale jak zmusiłam Destę, by tak odskoczyła? Jakby była... kukielką w moich rękach...

Colin Needle czekał na nich na zewnątrz. Wyglądał tak żałośnie, że Lucinda powiedziała: - Przegapiłeś największą atrakcję. Może to nie to

samo co Meseret plująca na ciebie ogniem, ale Desta właśnie próbowała mi wyrwać ramię!

— Luce, przestań - Tyler rzucił ostrzeżenie ostrym tonem, co ją zezłościło. Jakie miał prawo zakazywać jej rozmowy z Colinem?

— Właśnie to zrobiła! Chwyliła bransoletkę na mojej ręce. Haneb mówi, że smoki uwielbiają błyskotki - kiedy tylko mają okazję, kradną je na potęgę..!

— Lucinda, przestań już! - Jej brat był najwyraźniej w złym humorze. Odwróciła się do niego.

— Nie, to ty się zamknij, Tyler! Mam już dość tego, że wciąż mówisz mi, co mam robić.

Niemal spodziewała się, że Colin spojrzy na nią z wdzięcznością za to, że się dla niego postawiła, ale starszy chłopak patrzył tylko na jej brata. Tyler nie pozostał mu dłużny i obydwaj szczyrzyli do siebie zęby niczym dwa szczeniaki przeciągające między sobą ręcznik.

Chłopaki! - pomyślała. Meseret miała rację po stokroć...

Co dziwniejsze, Hector Carrillo i trójka małych Carrillów czekali przed główną bramą farmy, kiedy Lucinda, Tyler i inni nadciągnęli w wozie przed dom. Lucinda siłą rzeczy zaczęła się zastanawiać, kto im powiedział, że Gideon wraca do domu.

— Zaproponowałem, że przywiozę Gideona ze szpitala - powiedział pan Carrillo, poklepując błotnik swojego wozu - Ale ta wasza pani Needle nie chciała nawet o tym słyszeć. „Za dużo zachodu - powiedziała. - Weźmiemy taksówkę”.

— To nie jest żadna nasza pani Needle - warknął Tyler.

Był wciąż zły, że Lucinda go tak zrugowała. Colin stał nieopodal, wyciągając szyję i wypatrując Gideona - a może to Patience Needle wyczekiwał z takim niepokojem? Może i Colin jest dziwnym, trudnym w obejściu chłopakiem, pomyślała Lucinda, ale jego matka to prawdziwy koszmar. Jak można było oczekiwać, że ten biedny chłopak będzie

normalny?

Zobaczyli tuman kurzu nad drogą wiodącą do farmy na długo przed tym, jak dostrzegli samą taksówkę, ale i ta pojawiła się wkrótce - biało-czerwona plama na tle brązowych wzgórz. Kilka chwil później zatrzymała się przy wysokim ogrodzeniu i bramie. Trochę trwało, zanim Ragnar wygramolił się z tylnego siedzenia, a potem pomagał Gideonowi wysiąść, podczas gdy pani Needle płaciła kierowcy. Sądząc po wyrazie jego twarzy, kiedy odjeżdżał, Lucinda podejrzewała, że napiwek nie był królewski - jeśli w ogóle go dostał.

Gideon był jakiś przykurczony i wyglądał na chorego, ale najgorsze było to, że prawie nie zauważał, co się dzieje - przyjmował pomoc Ragnara, ale nawet nie patrzył na zebranych mieszkańców farmy. Pan Carrillo zbliżył się z wyciągniętą ręką.

— Dobrze cię znów widzieć, Gideonie - powiedział. - Mam nadzieję, że teraz, kiedy odpocząłeś kilka dni, będziemy mogli odbyć rozmowę, na którą tak czekałem.

Gideon spojrzał na wyciągniętą dłoń Hectora Carrilla, jakby nie wiedział, co to takiego, po czym odwrócił się i ruszył dalej w stronę bramy.

— Wciąż z nim nie najlepiej - powiedziała pani Needle tonem, który sugerował, że pan Carrillo powinien to wiedzieć i zostawić go w spokoju. - Jestem pewna, że z radością z panem porozmawia, kiedy lepiej się poczuje.

Ruszyła za Gideonem, jakby nie mogła znieść rozłąki ze starszym panem, który sunął do bramy, powłócząc nogami, wsparty na ramieniu Ragnara.

— Rany - odezwała się Carmen Carrillo. - Wygląda dziwnie. A ktoś chyba mówił, że mu się poprawiło.

Pan Dobrochodzki był wyraźnie zmartwiony.

— Przepraszam za Gideona, Hectorze - zwrócił się do ojca Carmen. -

Ragnar mówił, że znacznie mu się poprawiło, ale teraz znów najwyraźniej ma nawrót choroby. Może po wyczerpującej jeździe z miasta. Te całe samochody to paskudztwo.

— Tak, Simosie, ale wkrótce ktoś będzie musiał ze mną porozmawiać - powiedział pan Carrillo. - Stillman dzwoni do mnie codziennie. Nie mogę czekać w nieskończoność. Od miesiący błagam Gideona, żeby zajął jakieś stanowisko w tej sprawie!

Pan Dobrochodzki odciągnął go na bok i przez chwilę rozmawiali ściszymi głosami. Colin i reszta mieszkańców farmy obserwowali, jak Ragnar kładzie Gideona na wozie, po czym ruszyli za nimi, kiedy skrzypiący pojazd potoczył się w stronę domu - wszyscy na piechotę, jakby szli w kondukcje żałobnym. Lucinda aż zadrżała na tę myśl.

— Co się w ogóle z nim dzieje? - zapytał Steve Carrillo. - Wygląda jak zombi.

— Zupełnie nie przypomina samego siebie - stwierdziła mała Alma. - Jakby prawdziwy Gideon zagubił się gdzieś tam w środku. - Objęła się ramionami, jakby poczuła dreszcze w gorący dzień.

Pan Carrillo wrócił, jego rozmowa z panem Dobrochodzkiem dobiegła końca. Nie wyglądał na zachwyconego.

— Vámonos, dzieci. Do wozu. Dzisiaj niczego tu nie zwojujemy.

Lucinda machała im, kiedy odjeżdżali, ale ich przyjaciele mieli nosy spuszczone na kwintę. Kiedy pan Dobrochodzki skierował wóz w stronę domu, Lucinda uświadomiła sobie, że jej brat milczy od pobytu w Gadziej Oborze, zatopiony głęboko w myślach - Tyler nie odezwał się nawet słowem do Steve'a Carrilla ani nie zapytał, w co ostatnio gra na swoim GameBossie.

To jest namacalny dowód, pomyślała ponuro. Świat naprawdę się kończy.

# Rozdział 17

## Słynna i starożytna skarbnica kapsli od butelek

Według pana Dobrochodzkiego Alamu kręcił się w pobliżu laboratorium w noc pożaru i być może nawet sam go spowodował. Właśnie wtedy zniknął kontiniuoskop Octavia Tinkera. Tamtej nocy zniknął również Jackson Kingaree, ale nie ma żadnych przesłanek, by sądzić, że kiedykolwiek posiadał ów kontiniuoskop. A Haneb powiedział, że smoki, a szczególnie Alamu, uwielbiają zabierać do swych gniazd błyszczące przedmioty. Kontiniuoskop był bardzo błyszczący.

To elementarne, mój drogi Watsonie, pomyślał Tyler. Znajdź gniazdo Alamu, a odnajdziesz kontiniuoskop. Co więcej, należało dopilnować, by Colin Needle go nie znalazł, bo jeśli Colin położy łapę na wynalazku Octavia, będzie mógł korzystać z Linii Uskoku. Będzie mógł podróżować w czasie. Colin mógłby nawet odnaleźć drogę do alternatywnego świata po drugiej stronie lustra przy umywalce, by uratować Grace, a wtedy Gideon wpisałby go do testamentu zamiast Tylera i Lucindy.

Największym problemem było oczywiście to, że Lucinda otworzyła buzię i zaczęła trajkotać o tym, jak to smoki lubią błyskotki, i opowiadać o tym, co mówił Haneb - w obecności Colina Needle'a. Tak, gdyby ktoś go zmusił, Tyler przyznałby, że kocha swoją siostrę, ale obecnie nawet niespecjalnie ją lubił. Colin może i jest totalnym palantem, ale głupi nie jest - z całą pewnością rozumował tak samo jak Tyler.

Wszystko więc sprowadzało się do dwóch kwestii: gdzie znajduje się gniazdo Alamu i jak tam dotrzeć przed Colinem?

Niemal w połowie drugich wakacji na farmie Tyler wolał nie wypytywać wszystkich jej mieszkańców, gdzie Alamu trzyma swoje skarby. Nie chciał rozmawiać też o tym z Lucindą, nawet gdyby nie był na nią zły, bo wiedział, że dostanie ataku hysterii na wieść o tym, że on chce się zbliżyć do smoczego gniazda. Jego siostra należała do dzieci, które zawsze czekają na to, aż wszystko za nich zrobią dorośli. Oczywiście dorośli nie mieli najmniejszego zamiaru, żeby to zrobić, dlatego Lucinda cały czas zrzędziła. Tyler przekonał się już dawno, że jeśli się czegoś chce, należało zrobić to samemu. Jeśli miał ochotę na ciastka, przeszukiwał sofę, podnosząc poduszki w poszukiwaniu drobnych, i kupował je sobie sam w sklepie, ponieważ, co było jasne i oczywiste, mama nie miała ochoty mu ich upiec. Ale odnalezienie stoiska z czekoladowymi babeczkami w spożywczym było dużo prostsze niż odnalezienie smoczego gniazda na powierzchni równej parkowi narodowemu.

Okazało się, że natrafił na idealny moment do zadawania pytań. Gideon wrócił do domu, ludzie wpadali i wypadali z domu przez cały dzień i Tyler miał mnóstwo okazji do wypywania pracowników farmy o to i owo. Kiwa, jeden z trzech mongolskich pasterzy, choć najgorzej z nich mówił po angielsku, i tak zdołał mu przekazać parę rzeczy, o których Tyler nie miał pojęcia, a jego koledzy, Jeg i Hoka, pomogli jeszcze bardziej, wyjawiając mu, które miejsca Alamu odwiedza najczęściej. Nawet Ragnar posiadał użyteczne informacje.

— Oczywiście spędza mnóstwo czasu przy Gadziej Oborze, bo tam mieszkają jego samica i dziecko - powiedział Tylerowi - i pojawia się też tam, kiedy wystawiamy pożywienie, ale w upalne popołudnia często przebywa na tamtym skalistym wzgórzu. - Wielki wiking wskazał mu odległą granitową ścianę, połyskliwy pas ciągnący się wzdłuż jednego z otaczających dolinę pagórków. - Po co to wszystko zapisujesz, chłopcze? Chyba nie masz zamiaru zbliżyć się do gada? Zabije cię i pożre. Tu nie ma

żartów.

— Zaufaj mi, nie mam najmniejszego zamiaru się do niego zbliżyć - powiedział Tyler i była to prawda. - Po prostu zawsze robię notatki. - W surowych, zielonych oczach Ragnara widać było powątpiewanie. Tyler zaczął żałować, że w ogóle go o cokolwiek spytał. - No dobrze, mamy z Colinem Needle'em taki prywatny zakład. Ze potrafię przewidzieć coś lepiej niż on. Ja nawet nie chcę oglądać Alamu, chcę tylko dowiedzieć się, gdzie przebywa. Naprawdę, to nic ważnego...

Wtedy właśnie Ragnara wezwał po coś pan Dobrochodzki, ale Tyler dobrze wiedział, że teraz powinien się trzymać od niego z dala. Wielkolud podejrzewał, że coś się święci. Tego z całą pewnością nie uczą w szkołach - jak radzić sobie z podejrzliwym wikingiem.

Ku swej radości Tyler odkrył, że mała Pema, młoda Tybetanka, która pracowała w kuchni, również zwracała uwagę na smoka.

— Uwielbiam patrzeć, jak lata - powiedziała i Tyler zobaczył, że to prawda, jej ciemne oczy błyszczały z podniecenia. - Kiedy byłam mała, moja babcia opowiadała mi o smokach - krainę, z której pochodzi moja rodzina, nazywamy Druk Yul, Smocza Ziemia. A więc to wielkie błogosławieństwo mieszkać tak blisko nich. A Alamu... - Zaczerwieniła się i uśmiechnęła. Była starsza, niż Tyler przypuszczał - nie była już dziewczyną, ale młodą kobietą, która była jedynie niskiego wzrostu. - Jest taki piękny. Ma skrzydła jak z cyzelowanej miedzi! Wiesz, że smoki to boscy posłańcy.

Tyler nie za bardzo wiedział, co ma na to powiedzieć, ale z całą pewnością chciał usłyszeć coś więcej.

— Widujesz go często w jednym miejscu?

Pema pokręciła głową.

— Czasami lata na wschód. - Wskazała odległe wzgórza. - Czasami też przelatuje nad ogrodem, szukając czegoś do upolowania, królików czy innych zwierząt. Ale z jakiegoś powodu nie chce przelatywać nad

ogrodem tego lata...

Tyler zapisywał wszystko. Pema była bystrą obserwatorką, a fakt, że uważała widok Alamu na niebie za dobrą wróżbę, oznaczał, że ma mnóstwo informacji.

Wychodząc z kuchni, Tyler natknął się na Colina Needle'a. Colin szukał dodatkowych koców, by pomóc matce przygotować dla Gideona drugie łóżko w Wężowym Salonie, gdzie będzie mogła się nim opiekować i jednocześnie mieć oko na wszystko w swym królestwie. Tyler był zachwycony, widząc, że Colin chodzi na krótkiej smyczy.

— Wciąż załatany, co? - zapytał.

Colin obrzucił go wrogim spojrzeniem.

— Lepiej nigdzie nie łaź, Jenkins. Wszyscy mają być w pobliżu i pomagać.

— Och, nie martw się - odpowiedział Tyler. - Ja pomagam... na swój sposób. - Czerpał dużą radość z zakłopotania Colina. - A skoro już o tym mowa, to muszę pędzić - i ty też powinienes. Żeby mamusia nie czekała.

— Lepiej nie wychodź z domu - Colin niemal zasyczał. - Niedobrze byłoby, gdybyś znów miał jakąś wpadkę!

— A kto niby mnie powstrzyma? Ty? - Tyler obszedł go. - No, biegnij już. Pomóż mamusi. Bądź grzecznym chłopcem.

Colin patrzył tylko na niego, jakby nie był w stanie uwierzyć, że Tyler ośmiela się do niego pyskować.

— Ty... ty masz za długi jęzor, Jenkins, przyjdzie taki dzień, że się doczekasz...

— Colin! - pani Needle zawołała go z Wężowego Salonu. - Gdzie ty się podziewasz?

Tyler pomachał mu na odchodnym.

— Miłego popołudnia!

Specjalnie wyszedł wolnym krokiem przez frontowe drzwi, na wypadek gdyby Colin się obejrzał. Do szafu musiała go doprowadzać



świadomość, że być może Tyler wyruszał na poszukiwanie gniazda.

Ludzie, to szaleństwo, pomyślał Tyler. Kto by mi uwierzył, że cieszę się, że mam w szkole matkę?

Ale jego nauczycielka pani Shah nauczyła go wyznaczać układ współrzędnych, który składa się z dwóch prostopadłych linii na papierze z punktem zero w środku krzyża i kolejnymi cyframi idącymi wzdłuż osi. Każda cyfra stawała się jedną współrzędną poszczególnych punktów na płaszczyźnie, więc Tyler narysował ją ołówkiem na kopii mapy Zwyczajnej Farmy z Biura Rzecznawców Hrabstwa Yokuts, odnalezionej w bibliotece, po czym zaczął zaznaczać wszystkie punkty potencjalnego przebywania Alamu na mapie. Kiedy skończył, rozłożył naznaczoną mapę na łóżku i przestudiował ją.

Tyler musiał znaleźć miejsce, do którego smok wracał za każdym razem - tam prawdopodobnie będzie jego gniazdo. Tak więc po zaznaczeniu każdego miejsca, w którym widywano smoka, zakreślił większy okrąg wokół każdego z nich. Rejon, w którym najwięcej tych okręgów zachodziło na siebie, powinien być najlepszym punktem wyjścia w poszukiwaniu gniazda... i rzeczywiście Tyler pomyślał, że znalazł taki obszar - wszystkie ulubione miejsca smoka znajdowały się w takiej samej odległości od wysokich wzgórz na zachodnim krańcu farmy, odosobnionym terytorium z dala od sąsiadów i dróg.

No to przypatrzmy się temu twojemu gniazdu, smoku-obiboku - pomyślał Tyler - i wszystkim błyszczącym skarbow. Ale nie dziś wieczorem - co to, to nie. Perspektywa włożenia smokowi po ciemku do gniazda przerażała nawet Tylera Zapalczywego. Nie, pójdę jutro - postanowił - kiedy słońce będzie stało wysoko, a ty będziesz robił swoje rundki...

Następnego dnia wykonał wszystkie swoje prace w takim tempie, że nawet pan Dobrochodzki (który sam prawie nie spał i nie robił sobie przerw) zasugerował, żeby Tyler tak się nie przemęczał. Kiedy skończył,

zrobił sobie kanapkę na drogę i czekał, aż Colin Needle zostanie wezwany na górę, gdzie pobierał nauki od swojej matki.

Tyler prawie godzinę przemierzał farmę, by dotrzeć do wzgórz, na których, według wszystkich doniesień, zazębiały się trasy Alamu. Według mapy hrabstwa najwyższe wzgórze nosiło nazwę Góry Górników - postanowił, że najlepiej będzie zacząć poszukiwania właśnie od niej, ponieważ nawet jeśli nic tam nie znajdzie, to będzie miał stamtąd dobry widok na okolicę.

Późnopołudniowe słońce już paliło ziemię, a suche trawy aż huczały od bzyczących owadów. Kiedy Tyler doszedł już na szczyt (gdzie nie znalazł śladów gniazda Alamu), zdołał już opróżnić pół manierki, a do kanapki wypił niemal drugą połowę. Karłowate drzewa na zboczu wzgórza również nie dawały schronienia przez słońcem.

Godzinę później dopił resztkę wody i patrzył, jak słońce przesuwają się nad całą doliną niczym gąbka po szybie. Obserwował okolicę przez lornetkę aż do bólu oczu, ale wciąż nie natrafił na nic, co przypominałoby smocze gniazdo. Odkrył również, że niektóre z owadów śpiewających sobie bez troski w trawie lubią gryźć ludzi - mówiąc szczerze, lubią to bardzo. Zaczynał już się zastanawiać nad sensem całej ekspedycji, kiedy zauważył coś połyskliwego w załomie pagórka nieopodal Góry Górników.

Nawet za pomocą lornetki nie był w stanie rozpoznać, co to takiego wśród krzaków, więc nie skakał z radości - już kilkakrotnie dał się nabrać przez różne połyskliwe przedmioty, porzucone butelki i szklane izolatory linii elektrycznych. Ale chociaż wpatrywał się ile sił w to miejsce przez drogą lornetkę, którą tato podarował mu w poczuciu winy jako spóźniony prezent urodzinowy, to konkretne miejsce pozostawało uporczywie nieodgadnione.

Tyler w końcu postanowił, że chociaż już robi się późno, musi zejść z Góry Górników i wspiąć się na tamto drugie wzgórze. Któż to wie, kiedy

będzie miał znów tyle wolnego czasu?

Tyler nie wiedział, jak nazywa się to drugie wzgórze, ale szybko odkrył, że choć nie było tak wysokie jak Góra Górników, to trudniej było się po nim wspinać - nie było tu ścieżki, wszystko było zarośnięte i zablokowane przez bryły wietrzejących, rozwarstwionych skał, które przypominały chwiejne stosy książek. Każdą taką wychodnię należało obejść bądź wspiąć się po niej, a kiedy Tyler dotarł w końcu na szczyt, dzień już miał się ku końcowi i słońce pędziło ku ziemi niczym jakieś zwierzę chcące się w niej zakopać. Po raz pierwszy Tyler zaczął się martwić. Nie chciał schodzić po skalistym, niebezpiecznym zboczach po ciemku, a z domu wyszedł tak wczesną porą, że nawet nie pomyślał o wzięciu latarki.

Lucinda ma rację - czasami naprawdę robię jedną głupotę za drugą, ze złością powtarzał sobie w myślach.

Wdrapał się po ostatnim wystającym głazie z jasnego kamienia i wkroczył w cień płataniny dębów i drzewiastej chruściny, gdzie przykucnął, by zaczerpnąć oddechu. Po ledwie kilku minutach zmusił się do wysiłku i wstał, po czym wspiął się ostatnie pięćdziesiąt metrów po nierównym zboczach, skąd wyszedł na płaski, wietrzny szczyt wzgórza. I tam zobaczył na wprost przed sobą nie pojedynczy przedmiot, ale połyskliwy, błyszczący i wijący się wśród potłuczonych szkieł kilkumetrowy szlak różnych przedmiotów. Znalazł gniazdo!

Serce Tylera zabiło mocniej w poczuciu triumfu. Ruszył w stronę połyskliwej ścieżki, po czym zwolnił, patrząc w górę i w dół, żeby sprawdzić, czy żadne stworzenie, z łuskami czy bez, go nie obserwuje. Z dudniącym sercem zatrzymał się przy swym odkryciu...

...i spostrzegł, że było to tylko kilkadziesiąt kapsli od butelek, rozsypanych po szczycie wzniesienia niczym konfetti.

— Co jest?

Tyler wpatrywał się w nie z niedowierzaniem, które zmieniało się we

wściekłość. Co to za śmieci? Co to ma być? Coś, czego szukał przez cały dzień - coś, dla czego wspiał się na dwa wielkie wzgórza?

— Kupa - rzucił ze złością, kopiąc jeden z kapsli. - No popatrz tylko na siebie - krzyknął zdegustowany. - No jasne, ale ze mnie bohater! Odnalazłem słynną skarbnicę starożytnych kapsli od butelek!

Nawet nie były takie stare - większość z nich wyglądała na zakrętki i kapsle ze współczesnych butelek. Tak więc nawet nie były specjalnie wartościowe.

Tyler sięgnął do manierki, ale przypomniał sobie, że jest pusta. Czy ten żałosny śmietnik naprawdę stanowi kolekcję skradzionych przez Alamu błyskotek? Kapsle, kilka błyszczących monet i kawałków folii? Zdegustowany i bardzo zmęczony Tyler miał już przyznać się do porażki i zejść ze wzgórza, kiedy zauważył, że kapsle wcale nie są porozrzucane, a przynajmniej nie wygląda na to, że leżą w kompletnym bezładzie, lecz mniej więcej tworzą linię. Niekiedy przerywaną, ale kiedy zmrużyło się oczy w popołudniowym słońcu, widać było, że tworzą swoisty szlak na szczycie wzgórza, jakby ktoś je tu poukładał niezgrabnym, uzębionym pyskiem...

I dokąd prowadzą?

Zmrużył oczy, starając się nakreślić niewidzialną linię, która urywała się przy zboczu wychodzącym na odległy budynek farmy. Spojrzał w dół i zobaczył kolejny błysk odbitego światła w kępie krzewów, jakieś piętnaście metrów w dół - odbicie czegoś o wiele większego od zwykłego kapsla. Kilkakrotnie niemal tracił równowagę, kiedy pędził w dół po zboczu, ścigając się z gasnącym światłem dnia. Gdy się zbliżył, zobaczył, że nie jest to zwykła kępa krzaków, ale sterta drzewek i gałęzi, szeroka na niemal piętnaście metrów, patyki pokrywały brązowe liście, a cała ta konstrukcja została wciśnięta między kilka drzew chruściny rosnących pod kątem na zboczu.

Było to gniazdo. Bardzo duże gniazdo.

Znalazłem! - pomyślał. Miałem rację! Sam do tego doszedłem!

Tyler zaczął schodzić po zboczu, wychylając się tak bardzo do tyłu, żeby zachować równowagę, że w połowie drogi zrezygnował i ześliznął się na tyłku. Alamu, dzięki czy to rozumowi czy instynktowi, zbudował gniazdo na zboczu z drugiej strony wzgórza, skryte przed wzrokiem mieszkańców farmy, i tylko szlak kapsli od butelek mógł doprowadzić istotę, na której Alamu chciał zrobić wrażenie... najpewniej Meseret... do jego prawdziwej kryjówki pod granią.

Zbliżając się do płataniny gałęzi, Tyler uświadomił sobie, że robi sporo hałasu, i momentalnie przykucnął. Nie zauważył dotąd Alamu, ale nie widział całego gniazda z powodu drzew i nachylenia wzgórza, a przecież z całą pewnością nie miał ochoty natknąć się na wściekłego smoka na gołym zboczu...

Wiatr zmienił kierunek i kiedy dotarł do niego zwierzęcy zapach smoczego gniazda, Tyler uzmysłowił sobie, że cały czas poruszał się od strony zawietrznej - gdyby Alamu był w domu, wyczułby go już dawno. W myślach niemal usłyszał pytanie Lucindy, czy chciałby na własne życzenie zostać pożarty.

Im bardziej się zbliżał, tym gniazdo wydawało się dziwniejsze i bardziej imponujące - wielka bryła wciśnięta między konary chruściny niczym gęsty kwiatostan. Choć nie było go widać z farmy, to Alamu i tak i wybudował je na otwartej przestrzeni, wiedziony arogancją stworzenia znajdującego się na szczycie łańcucha pokarmowego, po czym wypełnił je zgromadzonymi skarbami - były tam kołpaki samochodowe, koła od roweru, kula inwalidzka, drut kolczasty, aluminiowe meble ogrodowe, wszystko niegdyś błyszczące i połyskliwe, choć teraz wiele już z tego zardzewiało. Tyler zastanawiał się, ile smokowi zajęło zebranie tego całego złomu tylko za pomocą szponów i zębów. Był to przedziwny zbiór - znalazło się tu nawet sztuczne drzewko bożonarodzeniowe z aluminiowej folii, przypominające teraz szczotkę do toalety. Jeśli Alamu

rzeczywiście ukradł kontiniuoskop, to na pewno tutaj go schował.

Tyler jeszcze raz rozejrzył się w poszukiwaniu smoka, po czym zszedł ostrożnie do gniazda, które zachybotowało się niebezpiecznie - Tyler musiał złapać się wielkiej beli drutu, by zachować równowagę. Dopiero po kilku sekundach pojął, że cały ten kram nie zsunie się spomiędzy drzew i nie zacznie koziołkować w dół w całej masie poszarpanego, pordzewiałego metalu. W jaki sposób gniazdo mogło utrzymać smoka, który ważył pewnie z czterysta kilo?

Tyler ruszył naprzód niczym człowiek kroczący po zamarznętej rzece wiosną, zatrzymując się na każdy dźwięk czy ruch pod stopami, i jednocześnie robił staranny przegląd smoczego skarbu. Grzebał wśród fragmentów rur, części samochodowych, pordzewiałych resztek wielkiego sufitowego wiatraka, tak dużego jak śruba oceanicznego liniowca. Nie miał pojęcia, gdzie Alamu znalazł coś takiego.

Nie dość, że musiał z racji nadchodzącej ciemności coraz bardziej gorączkowo szukać kontiniuoskopu, to jeszcze schylał głowę, bo dno gniazda stanowiła prawdziwa płatanina gałęzi.

— Auuu! Parszywy jaszczur ze swoim głupim śmietnikiem!

Nagły dźwięk ludzkiego głosu rozległ się tak niespodziewanie, że Tyler niemal się puścił i stoczył na dno gniazda. Nad nim pojawiła się blada twarz Colina Needle'a, który ssał krwawiący palec. Kiedy starszy chłopak zobaczył Tylera, jego twarz ukazała całą mieszankę emocji - zaskoczenie, niepokój, ale przede wszystkim triumf.

— Ty świrze! - krzyknął na niego Tyler. - Śledziłeś mnie!

— Naprawdę? Zorientowałeś się, co, Jenkins? - Colin wytarł kciuk o rękaw koszuli, zostawiając krwawy ślad. - No i co z tego? Sam bym już je dawno znalazł, gdyby matka nie dawała mi tyle do roboty.

Tyler zaczął się wspinać po dywanie z gałęzi i śmieci, kierując się wprost na starszego chłopaka.

— Tak? Cóż, teraz ją samą będzie czekała ciężka praca - będzie

musiała ci buźkę poskładać, jak z tobą skończę!

Colin otworzył szeroko oczy.

— Stój! Zatrzymaj się!

— Dlaczego? - zapytał Tyler. - Chcesz mnie powstrzymać?

Colin wyglądał na mocno przestraszonego.

— Po prostu... nie ruszaj się, Jenkins. Mówię poważnie. Za tobą...

— No jasne...! - zaczął Tyler i nagle padł na niego wielki cień, a kiedy okręcił się w miejscu, zobaczył szybującego w dół Alamu z rozpostartymi skrzydłami.

Tyler starał się rzucić w stronę Colina, kucającego przy krawędzi gniazda, ale było za daleko. Usłyszał pełen wściekłości niski warkot, kiedy szybujący smok wysunął w jego stronę kłapiące szczęki i minął go o włos. Pomarańczowo-brązowy potwór ze świstem zatoczył koło w powietrzu i znów rzucił się na niego, ciągnąc za pyskiem sznur gorejących płomieni. Tyler starał się wdrapać do Colina Needle'a, ale zanim zdołał dosięgnąć krawędzi, gniazdo zadrżało niebezpiecznie, po czym jego część gwałtownie się pod nim zapadła. Chłopak runął w dół w plątaninie połamanych gałęzi i pordzewiałego metalu.

# Rozdział 18

## Anioł z ognistym mieczem

Gideon leżał w Wężowym Salonie i wszyscy mieszkańcy farmy wchodzili tam na paluszkach, żeby na niego spojrzeć, zachwyceni, że pan domu do nich wrócił, ale kiedy Lucinda go zobaczyła, była wstrząśnięta. Jej stryjeczny dziadek siedział na łóżku i jadł rosół łyżką, ale nie wyglądał dobrze, choć nie była w stanie stwierdzić, co z nim jest nie tak. Był to naprawdę Gideon i wciąż mógł mówić - słyszała, jak gderliwie łajał Pemę, która jako kobieta nerwowa o mało co nie oblała go wodą - ale oczy miał zapadnięte i przekrwione i spoglądał na niemal każdego, kto się do niego zbliżał, z podejrzliwością, jakby się obawiał, że ludzie chcą mu zrobić krzywdę. Tak, stwierdziła, to było to - Gideon Goldring wyglądał jak jedno z jego mniej sympatycznych stworzeń, zerkające zza krat klatki na swoich prześladowców.

Pani Needle jednak najwyraźniej zdawała się myśleć, że wszystko jest tak, jak być powinno, i rzeczywiście do niej takich min nie robił, przeciwnie, spoglądał na nią niczym ufne dziecko. Nawet mamrotała do niego zachęcająco, kiedy siorbał bulion czy pił wodę, a słuchającej tego Lucindzie wywracał się od tego żołądek. Zastanawiała się, czy Gideon miał jakiś wylew czy jeszcze coś gorszego, ale nikt im tego nie mówił.

Cóż, pomyślała, jeśli chcą to przed nami ukryć, to może nie powinni przenosić mu sypialni na dół, gdzie wszyscy mogą go zobaczyć...

— A dokąd to? - pani Needle zapytała Lucinę, która skierowała się do drzwi. - Być może będę potrzebowała twojej pomocy.

Spędzenie całego dnia w tym pokoju, pod chłodnym, bacznym



spojrzeniem Patience Needle, było ostatnią rzeczą, jakiej Lucinda by sobie życzyła.

— Ach, zaraz wrócę - powiedziała. - Chciałam tylko... nazrywać kwiatów z ogrodu. Żeby jakoś ożywić ten pokój.

— Ogród - odezwał się Gideon, kiwając głową z rozbieganymi oczyma. - Kiedyś mieszkaliśmy w ogrodzie.

— Co? - Lucinda cofnęła się o krok. - Co powiedziałaś, wujku Gideonie?

— Ogród. - Jej stryjeczny dziadek mówił tak, jakby była to zwykła rozmowa, ale kolejne zdania świadczyły, że tak nie jest. - Musieliśmy go opuścić. Anioł... anioł nas wygnał. Z płonącym mieczem. Widziałaś go, prawda? A może to był wąż?

— Cicho, Gideonie, jesteś rozkojarzony - powiedziała pani Needle, co było dużym eufemizmem. - Dokończ rosół.

Nagle staruszek zdał się po raz pierwszy dostrzec Lucinę. Nachylił się do przodu i wyciągnął palce, jakby miał ją zamiar schwytać, ale znajdowała się daleko poza jego zasięgiem.

— Ale słuchaj... - Rozejrzał się wokół, jakby obawiał się, że ktoś może go podsłuchiwać, po czym poczerwieniał, znów wbijając wzrok w Lucinę. - Możemy tam wrócić! O tak! Możemy prześliznąć się obok anioła i wrócić do tego uroczego ogrodu...

Lucinda nie mogła znieść dłużej bełkotu Gideona. Odwróciła się i pobiegła do drzwi.

Wiem, że nie mówił o tym ogrodzie - myślała Lucinda, idąc między grządkami - ale i tak w tej części posiadłości czasami mam ciarki ze strachu.

Wielki ogród opadał od miejsca, w którym stał dom czy też jego główna, największa część, i zajmował przynajmniej jedną miejską przecznicę, ale był zaniedbany i zarośnięty. Jedynie ogródek ziołowy pani Needle i ogród warzywny Sary, który zajmował spory fragment

blisko kuchni, wyglądały, jakby były regularnie plewione. Reszta połaci, pokryta różnymi chwastami, z zarośniętymi ścieżkami, oplecionymi winoroślą altanami i niemal zagrzebaną w zieleni, zrujnowaną szklarnią, bardziej przypominała pozostałości jakiejś starożytnej cywilizacji, którą pochłonęła dżungla.

Dopiero po pewnym czasie Lucinda odnalazła różane krzaki, o których myślała - w ogrodzie, podobnie jak w samym budynku farmy, można się było łatwo zgubić - ale natknęła się na nie za drewnianym płotkiem, dziesięć czy jedenaście grządek od starej szklarni. Pomyślała, że to dziwne, bo choć krzaki różane wyglądały na zarośnięte, miały splątane łodygi, a wiele kwiatów zwiędłych i zbrązowiałych, altana w ogrodzie różanym pachniała tak, jakby ktoś świeżo podlał je nawozem, rozsiewała taki smród, że Lucinda musiała zatkać nos. Potem, kiedy szła między różami, ścinając świeżo rozkwitłe kwiaty, nastąpiła na coś gąbczastego i nieprzyjemnego.

Doznanie było tak niemiłe, że nie chciała podnieść stopy i sprawdzić, bojąc się, że wlaźła na ślimaka albo łajno jakiegoś zwierzęcia. Jednak kiedy w końcu zdobyła się na odwagę i spojrzała, było jeszcze gorzej - wdepnęła w zdechłą mysz.

Tylko że ta zdechła mysz wciąż się ruszała.

Lucinda odskoczyła, krzycząc z odrazy i przerażenia. Łapki konającej myszy machały niemrawo, jakby starała się płynąć, po czym zwolniły i znieruchomiały.

Patrzyła na nią z bezpiecznej odległości. Któż to słyszał, żeby mysz nie zdążyła uciec przed człowiekiem i dała się stratować? A może była wściekła? Na samą myśl Lucinda aż podkurczyła palce u nóg. Zdarła but z nogi i zaczęła szurać podeszwą o drewnianą sztachetę płotka w obawie, że zachoruje, po czym waliła butem w ziemię, żeby z podeszwy zniknął najmniejszy nawet ślad po myszy, ale nagle wyobraziła sobie, że stoi wśród zarazków wścieklizny. Czy nie mówiono, że nie ma na to

lekarstwa? A może to na inną chorobę? A co mówiła jej mama? Co będzie, jeśli każą jej brać szczepionkę przeciwko wściekliźnie... koleżanka ze szkoły powiedziała jej, że wstrzykiwali ją w brzuch...!

Aż podskoczyła, niespodziewanie usłyszawszy czyjeś głosy, ale to tylko Pema i Azinza zaśmiewały się przy zbieraniu warzyw z kuchennych grządek. Lucinda spojrzała ponownie na truchło myszy i przez kilka wypełnionych czystą grozą sekund wydawało się jej, że znów się porusza niczym jakaś niemożliwa do zabicia mysz zombi, ale po chwili z ulgą uświadomiła sobie, że to pchły i inne pasożyty opuszczają martwe ciało.

— Paskudztwo - powiedziała na głos.

Zobaczyła też pajaka kosarza na długich nogach - przecież one nie żyją na myszach. Ale wszędzie wokół rozmaite owady, podskakując i pełzając, jakby szły w jednym kierunku w przedziwnej procesji. Przerazona, ale też zafascynowana Lucinda nachyliła się i przez kilka kroków szła jej śladem.

— Ale dlaczego niby miałyby to robić?

Robiła, co mogła, żeby nie nastąpić na tę procesję, i szła kilka metrów za nią. Do pochodu dołączyło kilka stonóg. Wszystko to zaczęło przypominać marsz protestacyjny w wykonaniu owadów. Szturchnęła gałązką jedną ze stonóg, która zwinęła się w kulkę i zatrzymała się, ale po chwili ruszyła dalej, kierując się za innymi w stronę tyłu ogrodu.

Lucinda poszła za procesją jeszcze kilka metrów. Dołączały do niej całe sznury małych stworzeń, żuków, pajaków i pluskwiaków. Odkryła także, że nie jest to jedyny ciąg zwierząt - kilkanaście innych sznurów wiło się pod płożącymi się na ścieżkach splątanymi roślinami, ale wszystkie zdawały się iść w jednym kierunku. Lucinda zaczęła żałować, że nie ma z nią Tylera albo nawet Colina Needle'a, ale chłopcy wyszli z domu dużo wcześniej.

Spostrzegła jakąś kupkę leżącą o krok od miniaturowej procesji. Fuj, pomyślała, zdechły ptak. Ale wszystkie owady omijały go! Czy robaki nie

jedzą przypadkiem padliny? Dokąd one wszystkie pełzną?

Wyprostowała się, żeby sprawdzić, dokąd zmierzają te wszystkie owady - do starej szklarni, która wyłaniała się z płataniny chwastów niczym skała pośród wzburzonego morza. Wysoki spiczasty dach i całe to szkło przywodziły na myśl jakiś porzucony kościół. Żelazna rama przytrzymująca szybki, niegdyś pomalowana na zielono, od dawna już zmieniła się w upiorny, przerdzewiały szkielec, a dach i ozdobny kurek na górze były spalone na czarno. W niektórych miejscach prety nawet się stopiły, odkształciły i osiadły jak ciepłe toffi. Wyglądało to, jakby tu wybuchł pożar, jak ten z laboratorium Gideona, na którego tle Tyler miał już obsesję. Ale nie śmierdziało tu spalenizną - Lucinda wciąż czuła słodki odór, który trafił do jej nozdrzy wcześniej, jakby coś o wiele większego niż mysz czy ptak leżało tu i gniło. Czy to przyciągało wszystkie owady, jakaś duża padlina, zdechły szop w resztkach szklarni? Ale nie miało to sensu - jeśli wszystkie małe stworzenia chciały zerować na zdechłym zwierzęciu, dlaczego omijały martwego ptaka, jakby w ogóle go nie zauważały?

Martwy kot leżał przy ścianie szklarni, jakby spadł z wielkiej wysokości, i Lucinda niemal zawróciła i pobiegła do domu, ale kot, zamiast stanowić rozwiązanie zagadki, jeszcze ją zagmatwał, bo truchło otaczało kilkanaście ciał mniejszych stworzeń, głównie owadów i ptaków, a sznury małych stworzeń omijały to miejsce wypadku, nawet nie zwalniając, i niknęły w szparach między szybkami albo w dziurach u podstawy starej budowli.

— Co tam jest, do diabła? - zapytała na głos Lucinda, bo była już nieźle wystraszona.

Przestąpiła przez martwe ciała zwierząt, z których większość padła niedawno, aż stanęła tuż przy zakurzonych szybach szklarni. Gdyby nie słyszała śpiewu Azinzy z odległości kilkudziesięciu metrów i Pemy, która przyłączyła się nieśmiało, z pewnością obróciłaby się na pięcie i

popędziła do domu. Już sam smród zaczął jej mocno przeszkadzać, ale miała świadomość, że jeśli teraz poda tyły i nie sprawdzi, co jest w tej szklarni, to Tyler będzie mówił, że zachowała się jak typowa dziewczynka. Mimo to nie zamierzała robić niczego głupiego. Odwróciła się i zawołała do dwóch kobiet po drugiej stronie ogrodu: - Hej, Pema, Azinza!

Wysoka Azinza odwróciła się, przestaniając dłonią oczy od słońca.

— Cześć, Lucindo!

— Coś naprawdę dziwnego dzieje się w tej szklarni - krzyknęła. - Dziwnie tu pachnie i wszędzie pełno martwych zwierząt...

— Co takiego? - Azinza powiedziała coś do Pemy. - Nie słyszę cię!

Lucindę ogarnął nagły niepokój. Czy pani Needle ważyła tu jakąś czarodziejską truciznę? Ale na pewno zdołałaby lepiej ukryć ten fakt...

— Mogłybyście podejść i same zobaczyć? - zawołała do dwóch pomocy kuchennych.

— Idziemy do ciebie! - odkrzyknęła Azinza, po czym poprowadziła małą Pemę w kierunku ścieżki między grządkami. Z oddali, mimo odmiennego koloru skóry, wyglądały jak matka i córka.

Lucinda, czekając na nie, wpatrywała się w spalone ślady i zwęglone szczątki roślin, leżące u podstawy szklarni niczym cień. W jaki sposób tutaj mogło się palić, a ogień nie wyrządził żadnych szkód roślinom wewnątrz szklarni? Kiedy Pema i Azinza szły w jej stronę z ogrodu, Lucinda nachyliła się bliżej szyby, starając się dostrzec coś przez brudne szkło. Wewnątrz było tyle liści, że nie mogła rozpoznać niczego, tak jakby tłum zielonych ludzi zakrywał szyby od wewnątrz dłońmi, żeby obcy nie mogli dostrzec, co jest w środku. Tuż obok miejsca, w którym stała, jedna z szyb została nieco wypchnięta z żelaznej ramy, pokrytej łuszczącą się farbą, przez bujną roślinność. Nie zastanawiając się, wyciągnęła dłoń, żeby wepchnąć kwadratową szybę na miejsce, ale ta przekrzywiła się i wypadła na zewnątrz, rozbijając się na dwie części na ziemi.

Przez chwilę Lucinda tylko patrzyła, jak blada, postrzępiona smuga wychynęła przez otwór - czy to dym? Czy tam się coś paliło? Nagle wiatr zmienił kierunek i cisnął mleczną chmurę prosto w jej twarz. Zaskoczona wciągnęła powietrze w płuca i trochę dymu dostało się do jej nozdrzy i ust. W jednej chwili do jej oczu napłynęły łzy, zapiekły ją policzki i Lucinda po omacku wyciągnęła przed siebie ręce. Dlaczego nikt jej nie pomaga?

Padła na ziemię. Chwyciły ją czyjeś dłonie, starając się podnieść ją na nogi, ale Lucinda nawet tego nie zauważyła. W gardle poczuła płomień, a jej myśli ulatywały z niej w ciemność niczym gasnące iskry.

# Rozdział 19

## Co się robi z wściekłym smokiem

Najpierw uświadomił sobie, że coś trzyma go za rękę w powietrzu niczym olbrzym, który za chwilę zmiażdży mu kości. Otepiały otworzył oczy i zmrużył powieki w tumanach kurzu. Tylera na pewno nie trzymał smok - coś jednak boleśnie ścisnęło go za nadgarstek. Wierzgnął, ale stopy nie natrafiły na nic. Bez względu na to, jak się wyciągał, nie znalazł żadnego punktu podparcia - został złapany niczym ryba na haczyk. A gdzie ten smok? Tyler wciąż był cały, więc najwyraźniej nie mógł go sięgnąć. Czyżby teraz węszył za nim?

Uświadomił sobie, że wkrótce będzie ciemno. Jeśli nie uwolni się przez zmiernicem, nikt go nie znajdzie - nikt oprócz smoka. Colin był tutaj, przypomniał sobie nagle. Ten mały oszust szedł za mną! Chciał go zawołać, ale nie odważył się hałasować.

To, co go trzymało, owinęło mu się wokół nadgarstka. Zamiast starać się znaleźć punkt podparcia dla stóp, podciągnął się na unieruchomionym ramieniu, wykorzystując całą swoją siłę, aż mógł sięgnąć wolną dłoń nad głowę, aby poszukać czegoś, czego będzie mógł się złapać. Nigdy wcześniej nie próbował podciągać się na jednej ręce i starał się nie wrzasnąć z wysiłku, ale w końcu po chwili gorączkowych poszukiwań udało mu się chwycić słupek od ogrodzenia, który utkwiał poziomo w płataninie gniazda. Teraz mógł się podciągnąć na obu ramionach i postawić obie stopy na gałęzi chruściny jednego z drzew, które przytrzymywało gniazdo. Kiedy odzyskał już równy oddech, odciążył ramię, na którym tak długo wisiał, i zdołał wykręcić nadgarstek,

uwalniając się od uchwytu tego, co go trzymało. Dopiero kiedy tego dokonał, spostrzegł, że uratowała go opaska z włosia jednoroźca, którą Jeg zawiązał mu na ręce. Sięgnął jeszcze raz wyżej i wyplątał ją ze starej anteny telewizyjnej, na której zawisała. Nie miał zamiaru zostawiać takiego talizmanu szczęścia, szczególnie że wciąż musiał znaleźć drogę ewakuacji z gniazda bez zwracania na siebie uwagi czającego się w pobliżu smoka.

Coś zagrzechotało i zachwiało śmietnikiem nad jego głową, który się nieco przesunął. Przez jedną straszną chwilę Tyler był pewien, że to Alamu go szuka, ale cień nad nim był dużo mniejszy od cienia skrzydlatego smoka - w rzeczywistości był tylko nieco większy od Tylera.

— Czy to ty, Needle? Zejdź tu, żebym mógł cię palnąć.

Kształt poruszył się i płatanina znów się zakołysała tak, że Tyler musiał zasłonić twarz przed deszczem spadających niewielkich metalowych przedmiotów.

— No tak, Jenkins - rozległ się głos Colina. Tyler wciąż go nie widział. - Może byś tak zawołał jeszcze głośniejszym głosem, żeby mieć pewność, że cię smok usłyszy, co?

— Ty smarku. Szedłeś za mną!

— Już ci mówiłem, Jenkins, gdybyś nie miał forów, ja pierwszy bym to znalazł..!

— Łgarz! Gdzie jest kontiniuoskop?

— Nie znalazłeś go? - Colin był najwyraźniej zaskoczony pytaniem Tylera - chyba nawet się ucieszył.

— Wiesz, że nie znalazłem. Kiedy byłem nieprzytomny, zszedłeś tu pewnie i szukałeś.

Colin parsknął.

— Pudło. Po pierwsze, nawet cię nie widzę...

Duży cień przemknął nad ich głowami i obydwaj podnieśli wzrok.

— O matko - sapnął Tyler - wrócił. Smok wrócił! Kupa!



Robił, co mógł, by opuścić się niżej na osuwające się smocze skarby tak, aby nie poruszyć czegoś większego, co nie pozwalało mu spaść na dno gniazda. Był to bolesny proces - wiele różnych przedmiotów dźgało go i wbijało mu się w ciało, kiedy przesuwał się w dół po śmietniku - czajnik, stare puszki, pogięta, pogryziona blacha do piekarnika...

Alamu wylądował z głośnym hukiem, aż całe gniazdo zagrzechotało i zakołysało się tak, że Tyler niemal krzyknął ze zgrozy. Smoczy odór, piżmowy i ostry niczym smród amoniaku, wpadł mu z impetem do nosa i naprawdę trudno było nie kaszleć czy nie kichać. Bestia zaryczała raz i drugi tak blisko, że czaszka Tylera zagrzechotała. Echo przetoczyło się przez dolinę, a on mógł tylko kurczowo się trzymać rozbujanego gałęzi, kiedy spadające skarby leciały z góry i odbijały się od niego. Tak cicho, jak tylko potrafił, zaczął piąć się ku bezpieczniejszemu miejscu i wreszcie dotarł do prowizorycznego hamaka z pordzewiałej siatki ogrodzeniowej.

Chwilę później smoczy pysk zaczął gwałtownie dźgać śmietnik nad Tylerem, dochodząc do niego na niespełna metrową odległość. Ogrodzenie przekrzywiło się i ześliznęło w dół i po chwili Tyler wisiał już tylko na palcach, zaciskając powieki z całej siły, bo w każdej chwili spodziewał się poczuć palący oddech stworzenia, który przypiecze go jak dużą kiełbaskę, ale po kilku próbach Alamu wycofał się, parszcząc ze złością.

Tyler słyszał, jak wielki drapieżca szura na prawo i lewo nad jego głową. Trwał tam w całkowitym bezruchu, ale zaczęły go boleć ramiona, a spocone palce ześlizgiwały się po zardzewiałym drucie. Nagle Alamu przestał się ruszać. Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

Nasłuchuje, pomyślał Tyler, czując krew tętniącą w skroniach. Co będzie, jak usłyszysz bicie mego serca?

Nagle pysk Alamu jeszcze raz zaczął się przedzierać przez sterty złomu, a jego długie, krokodylowe szczęki kłapnęły o kilkadziesiąt centymetrów od głowy Tylera. Przez jeden straszliwy ułamek sekundy

chłopak spojrział prosto w pomarańczowe ślepię smoka, ale szyja stworzenia zaklinowała się między fotelem komputerowym i wózkiem ze sklepu - gdzie, do diabła, Alamu znalazł wózek sklepowy? - więc śmiercionośna paszczyka nie mogła go dosięgnąć. Tyler rozbujał się tak daleko, jak to było możliwe. Alamu znów kłapnął paszczą, ale na razie płatanina gałęzi drzewa i zgromadzony śmietnik uniemożliwiały potworowi dosięgnięcie Tylera.

— Colin - krzyknął. - Pomóż mi! Jest tuż nade mną! Colin! Colin?

Cisza. Jeśli nawet Colin tam jest, to nie miał zamiaru rozgłaszać tego faktu.

Alamu cofnął łeb. Wózek sklepowy uwolnił się i ześliznął o jakiś metr, wpadając w dziurę. Masa nad głową Tylera przesunęła się ponownie. Musiał rozbujać się jeszcze raz i złapać gałęzi i wtedy jego stopy znalazły oparcie, a chwilę później cała cynkowa siatka, na której wcześniej siedział, ugięła się, rozdarła pod ciężarem Alamu i spadła na ziemię, odbijając się i niemal pociągając za sobą smoka. Alamu wdrapał się ciężko na inny fragment gniazda, sycząc z irytacji.

— Colin, proszę, pomóż mi! Niemal już mnie dopadł! - Ale Tyler wciąż nie słyszał odpowiedzi. Czyżby starszy chłopak uciekł i zostawił go na pastwę smoka? A może Colin Needle sam leżał gdzieś na wzgórzu pod gniazdem nieprzytomny albo nawet martwy? - Colin!

Kiedy Alamu znów ruszył po chybotliwym gnieździe w stronę Tylera, coś zaczęło piszczeć na stoku pod nimi - taki straszliwy, dojmujący dźwięk mogło wydawać z siebie zwierzę schwymane w śmiertelną pułapkę. Przez jedną okropną chwilę Tyler był pewien, że Colin nie tylko spadł, ale wylądował na ostrych i skałach i teraz konał w męczarniach. Alamu zasyczał i machnął łbem do tyłu, po czym wzbił się w powietrze. Gniazdo zachybotało się gwałtownie, kiedy się unosił - Tyler mógł wyłącznie ucześcić się kurczowo drutu. Piskliwy dźwięk znów odezwał się z dołu, ale został zagłuszony wściekłym smoczym warkotem, od

którego trzeszczały kości.

Tyler poczuł nagły chłód - pierwszy wrzask był jednym z najstraszliwszych dźwięków, jakie kiedykolwiek słyszał. Jeśli pochodził od Colina, smok musiał go szybko znaleźć, bo nagle na zboczu wzgórza zapadła złowieszcza cisza.

Tyler przedzierał się przez chybotliwy śmietnik, aż mógł zobaczyć, co się dzieje na dole. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi, jak coś się porusza między drzewami dużo niżej, coś, co mogło być blade niebieską koszulą Colina Needle'a, ale nie można było tego stwierdzić z całą pewnością. Tyler zawołał cicho, ale nikt mu nie odpowiedział.

A co będzie jeśli zginął? - pomyślał. Nawet jeśli sam się stąd wydostanę, jak wyjaśnię to, co się stało z Colinem? Gideon mnie zabije! Nie mówiąc już o tym, co mi naszykuje wiedźma za to, że pozwoliłem smokowi pożreć jej syna...

Śmietnik przesunął się o kilka metrów. Jakaś puszka uwolniła się z płątaniny i zniknęła mu z oczu w dole. Kilka innych przedmiotów poruszyło się i zamarło.

Coś się zbliżało. Już chciał zawołać, mając nadzieję, że to Colin, któremu jakoś udało się ująć smokowi, ale uświadomił sobie, że bardziej prawdopodobne było to, iż to Alamu stara się do niego podkraść. Tyler przygotował się, jak mógł, na spotkanie i wstrzymał li oddech, ale nie potrafił opanować coraz mocniejszego dudnienia serca.

— Tyler - usłyszał szept. - Jesteś tu?

— Ooola! - Nigdy nie przypuszczał, że będzie tak szczęśliwy, słysząc czyjś głos. - Jejku, Ooola, co ty tu robisz? Widziałaś, co się stało z Colinem? Czy smok poleciał sobie?

Wystawiła głowę spomiędzy naczynia na zapiekankę i pustej puszki po farbie, żeby mógł ją zobaczyć.

— To ja hałasowałam - wyjaśniła. - Zwierzęcy hałas. Słyszałeś?

— To byłaś ty? Smok poszedł za tym krzykiem.

— Tak, on goni, ale mnie nie widzi. Rzucałam kamienie, żeby polował dalej. - Zdyszana wyszczerzyła do niego zęby w uśmiechu. - Uratowałam cię?

— Uratowałam? Tak! - Tyler starał się znaleźć lepszy punkt podparcia, bo gniazdo wciąż się przesuwało w bardzo niebezpieczny sposób. - Ale musimy stąd zniknąć, zanim smok wróci. Rozumiesz? Musimy już iść.

— Rozumiem. - Wyciągnęła do niego brudną rękę.

— Nie sięgnę stąd - powiedział. - Muszę się wspiąć. - Zaczął przedzierać się do góry przez całą płataninę. - Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

— Szukałam cię. Poszłam za Colinem, bo myślałam, że on też cię szuka. - Zmarszczyła brwi. - Ale kiedy tu przyszłam, on biegł do domu. Schowałam się - nie widział. Potem poszłam poszukać Tylera.

— Mówisz, że biegł w stronę domu, co? Piękne dzięki, Needle, ty świrze. - Z pomocą dziewczyny udało mu się wdrapać na jedną z większych gałęzi wspierającego gniazdo drzewa. Ooola była tak silna jak Tyler, a może i bardziej, choć była od niego mniejsza. - Niech to, naprawdę uratowałaś mi życie, Ooola.

— Ja tobie - powiedziała po prostu. - Ty mnie.

Tyler miał nadzieję, że po prostu odwzajemniła się za taki sam czyn, a nie że od tej pory będzie za nim łązić krok w krok. Zlazł z drzewa na drżących nogach i zaczął ostrożnie schodzić po stromiźnie, sprawdzając każdy element skarbu, który uwolnił się z gniazda i spadł na dół. Na ziemi, podobnie jak w gnieździe, wśród skarbów Alamu nie było niczego, co choćby w przybliżeniu było podobne do kontinuoskopu.

— Lepiej stąd chodźmy - powiedział, starając się ukryć rozczarowanie. Miał szczęście, że żyje i nie odniósł żadnych obrażeń. Nie zanosilo się na to, że będzie się chwalił tą przygodą. - Jestem pewien, że nie wrócimy tam, by dalej szukać.

— Ty zgubiłeś? - zapytała Ooola. - Co zginęło?

— Tak naprawdę nic. Ale przyszedłem tu, by coś znaleźć, i mi się nie udało...

Ooola pokiwała głową, jakby teraz coś zaczęła rozumieć.

— Błyszczące. O takie. - Ramionami nakreśliła okrąg wielkości obręczy kosza do piłki.

— Tak, właśnie takie. Co chcesz mi powiedzieć?

— Colin. Kiedy zbiegał z góry, niósł taką błyskotkę.

Tyler wpatrywał się w dziewczynę.

— Błyskotkę?

Palcami kreśliła niedające się poskładać w całość kształty, jakby chciała w powietrzu narysować okręgi, wyrzuszenia i załamania, ale „błyskotka” było jedynym słowem, jakim umiała je opisać.

Pomimo stłuczeń, siniaków i skaleczeń Tyler puścił się w dół kłusem po zboczach wzgórza, nawet nie zważając dłużej na Alamu. Ooola dogoniła go bardzo szybko.

— Czemu biegnie? Pomóc siostrze?

— Bo muszę złapać Colina. Ma coś, co należy do mnie. - Zwolnił na chwilę, kiedy w końcu dotarło do niego, co powiedziała. - Dlaczego miałbym biec, by pomóc siostrze?

— Bo ona bardzo chora. Dlatego Ooola cię szukała.

— Co takiego?

— Twoja siostra Lucinda, bardzo chora. Upadła w ogrodzie, nie mówi. Ragnar zaniósł do łóżka. Ma białą twarz i jęczy.

— O mój Boże.

Tyler przyspieszył i gnał tak szybko, że kilka razy niemal się ześliznął i poranił. Teraz nie tylko był zły na Colina Needle'a, ale i martwił się, że kiedy on głupio się narażał, coś naprawdę złego przytrafiło się Lucindzie.

# Rozdział 20

## Herbatka z Destą

Lucinda znajdowała się w jaskini, która była również budynkiem farmy. Siedziała po jednej stronie stołu w pokoju pełnym fotografii. Po drugiej stronie stołu, trzymając imbryk uzbrojoną w szpony łapą, siedziała młoda smoczyca Desta, która uśmiechała się uprzejmie.

— To naprawdę niezwykle proste - wyjaśniła Desta. - Zostałaś pożarta żywcem. Ciągłe się to zdarza. Moja mama mówi mi, że czasami łatwiej jest przełknąć jelenia albo krowę, niż taszczyć go z powrotem do gniazda. Jeszcze herbaty?

Lucinda pokiwała głową, choć nie pamiętała, żeby w ogóle coś wcześniej piła.

— To herbata różana - powiedziała Desta, nalewając wywar i podnosząc filiżankę. - Bardzo dobra dla dziewczynek. Dziewczynki lubią róże. Lubisz róże, prawda?

Lucinda nie mogła sobie przypomnieć, czy lubi czy nie, ale i tak twierdząco skinęła głową.

— O tak, oczywiście. Róże są przepiękne.

Trudno było mówić - zdawało się jej, że ma obrzmiały język i gorące czoło. Ściany jaskiniowego salonu były wyłożone zieloną tapetą w motywy roślinne, które wydawały się prawdziwe, i najeżone czarnymi kolcami, pozwijane łodygi zwisały nawet z sufitu. Lucinda zastanawiała się, czy Desta zaparzyła herbatkę z tych roślin z tapety - rzeczywiście w gardle kłuło ją i paliło.

— Gdzie się tak dobrze nauczyłaś mówić? - zapytała.

Desta wzięła kolejny łyk napoju, unosząc do ust skrzydło z wystającym najmniejszym pazurem.

— Zawsze umiałam mówić. Ty musiałaś się tylko nauczyć słuchać.

— Ale sądziłam, że smoki nie lubią ludzi. Dlaczego jesteś dla mnie taka miła?

— Ponieważ najprawdopodobniej umierasz. - Pokiwała smutno głową. - Więc jeśli nie porozmawiamy teraz, to najpewniej już nam się to nie uda, a ja chciałam ci powiedzieć, że Azinza miała rację.

Lucinda była zagubiona i smutna. Nie chciała umierać.

— Azinza?

— Co do potwora. Czegoś, co ma bardzo długie macki. Bardzo, bardzo długie...

— Co ty mówisz? Nic nie rozumiem.

— Lucindo! - Głos smoczycy stał się bardziej zimny i ostry. - Musisz usiąść.

— Ale ja nie rozumiem!

— Saro, podnieś ją tak, żeby usiadła.

Lucinda nie mogła pojąć, skąd się tu nagle wzięła kucharka ani też dlaczego jej nie widzi, ale zanim o to zapytała, ktoś chwycił ją mocnymi dłońmi i podniósł z krzesła. Kiedy Lucinda walczyła z niewidzialnym napastnikiem, herbata wylała się jej na twarz.

— Głupia dziewczyno! - odezwał się smoczy głos... ale już nie należał do smoka. - No, zobacz, co narobiłaś - porozlewałaś wszystko! Teraz będę musiała zaparzyć od nowa.

Lucinda otworzyła oczy i stwierdziła, że leży na kanapie w Wężowym Salonie. Jak przez mgłę widziała łóżko Gideona, blade niczym statek widmo, po drugiej stronie pokoju. Kucharka Sara siedziała przy niej i ocierała jej czoło wilgotnym ręcznikiem. Lucinda wyprostowała się. Nie tylko czoło miała mokre. Pot pokrywał całe jej ciało.

— Co się...?

— Nie opieraj się, Lucindo - powiedziała troskliwie Sara. - Rozlałaś lekarstwo. Pani Needle poszła zaparzyć nową porcję.

— Co mi się stało?

— Nie wiadomo na pewno. Pema i Azinza przyniosły cię z ogrodu - mówią, że upadłaś i od razu się rozchorowałaś. Pani Needle da ci lekarstwo, żebyś wyzdrowiała.

Zanim Lucindzie udało się zadać kolejne pytanie, pani Needle wróciła do pokoju z filiżanką w dłoni. Przyłożyła smukłą, silną dłoń do piersi Lucindy i przytrzymała ją w miejscu.

— Koniec zabawy, dziecko. Wypij to.

Lucinda nie miała siły, by się opierać. Poza tym, pomyślała, gdyby chciała mnie otruć, to już by to dawno zrobiła. Pomimo to ostrożnie powąchała ciemną ciecz, zanim ją wypija. Trochę pachniała pleśnią, ale została posłodzona miodem - Lucindzie udało się ją wypić bez większych problemów. Kiedy skończyła, pani Needle nachyliła się i badawczo przyjrzała się twarzy Lucindy, a jej delikatne nozdrza falowały, kiedy poszukiwała jakichś zapachów. Odkryła koc, którym była przykryta Lucinda, i zaczęła boleśnie naciskać jej brzuch.

— Śledziona - mruknęła pani Needle, zagłębiając długie, mocne palce tuż pod klatką piersiową. - Nerki. - Angielka najwyraźniej zamierzała zbadać każdy organ wewnętrzny - było to straszliwie poniżające doznanie, ale Lucinda była zbyt słaba, by się opierać.

Kiedy skończyła, pani Needle zapisała kilka uwag w swoim notesie.

— Brak uszkodzeń organów wewnętrznych - powiedziała na głos.

— Co mi się stało?

Lucinda pamiętała tylko, że była w ogrodzie, patrzyła na martwe i konające zwierzęta. Poza tym widziała tylko pojedyncze obrazy, szklarnię, splątane róże, ale wszystko było mgliste i ulotne, jakby przytrafiło się innej osobie.

Gospodyni spojrzała na nią chłodno.



— Któż to może wiedzieć, moje dziecko? W ogrodzie pełno jest roślin o działaniu leczniczym - niektóre z nich są bardzo niebezpieczne. Słyszałaś to tyle razy. Jedynie głupiec dotyka roślin, o których nic nie wie. Masz szczęście, że żyjesz.

— Przysięgam, że nie zrobiłam niczego złego! - Ale czy była to prawda? Nie była całkowicie pewna. - Nigdy nie dotknęłabym nieznannej rośliny...

— Naprawdę? - Pani Needle nie dała się zbić z tropu ani powstrzymać. - A więc jesteś bardzo grzeczna, czy tak? Można na tobie polegać? Kilka dni temu obraziłaś mnie przed tymi Latynosami, tymi Carrillami - ni mniej, ni więcej sugerując, że starałam się... zamordować Gideona! Zeszłego lata wygadywałaś, że wysyłałam jakieś zwierzęta, by szpiegowały twojego brata, więc wybaczone, jeśli dość nieufnie odniosę się do twoich zapewnień!

Lucinda odwróciła się, by poszukać obrony u Gideona, ale on prawie nie wiedział, co się wokół niego dzieje. Staruszek patrzył na nią zaczerwienionymi oczami, jakby jej nigdy wcześniej nie widział, i poruszał ustami, jakby coś żuł - albo mamrotał coś bezgłośnie. Sam jego widok sprawiał, że Lucinda czuła dziwne mdłości.

Nie, doszła do wniosku, nie tylko mdłości - była zwyczajnie rozgorączkowana. Miała gorące dłonie, które wydawały się za duże w stosunku do ramion, a wszystkie mięśnie zaczynały ją boleć. Zachwiała się lekko. Nie chciała się już dłużej sprzeczać - najbardziej jednak nie chciała przebywać ani sekundy dłużej w towarzystwie bladej, jędzowatej pani Needle i wuja Gideona. I kiedy dalej wpatrywała się w ulotne obrazy, niespodziewanie otworzyły się drzwi do salonu.

— Gdzie jest Lucinda? Co się stało? - Był to Tyler, a Ooola, Pema i Azinza stały tuż za nim w drzwiach. Ooola właściwie starała się odciągnąć jej brata. - Luce - wykrzyknął - nic ci nie jest?

Robiła, co mogła, by się uśmiechnąć, ale teraz ból głowy rozszalał się

na dobre.

— Bywało lepiej. Coś w ogrodzie sprawiło, że zasłabłam. - I wciąż jestem chora, uświadomiła sobie, a co najgorsze, ból głowy nasilał się z każdą sekundą, podobnie jak pieczenie w gardle i w nosie.

— Cóż to ma znaczyć, że wpadasz tu jak burza, paniczu Jenkins? - zapytała stanowczym głosem Patience Needle. - Tu leży chory Gideon, a ty wpadasz tutaj jak do stodoły i drzesz się jak rozbrykane zwierzę. I popatrz, jak ty wyglądasz, brudny, w poszarpanym ubraniu! Jak sądzę, mało cię obchodzi, że ktoś inny będzie musiał ci to zacerować?

Tyler przykląkł przy Lucindzie i obejrzał je od stóp do głów. Dotknął jej czoła.

— Jeju, naprawdę jesteś rozpalona! Powinnaś leżeć w łóżku, a nie tutaj, Luce!

— Tak, właśnie tam powinna się znaleźć - powiedziała pani Needle. - A ty, chłopcze, też powinieneś być gdzie indziej, żeby twój wuj mógł odpocząć. No idźcie już wszyscy - wynocha! - Machnęła bladą dłonią na Ooolę i kobiety z kuchni, ale chociaż się cofnęły, nie miały zamiaru odchodzić i zatrzymały się w holu, by patrzeć na wszystko szeroko otwartymi oczami.

— Nie, to ją odeślij, wujku Gideonie - powiedział Tyler. Jego głos zabrzmiał zbyt donośnie w uszach Lucindy, ale wszyscy inni też mówili za głośno; w głowie jej dudniło po każdym słowie. - Muszę porozmawiać z tobą o pani Needle i jej synu.

Kiedy Lucinda odwróciła się do stryjecznego dziadka, pomyślała, że znów zapadła w sen - Gideon z każdą chwilą coraz bardziej przypominał smoka siedzącego na swoim skarbie. Nie młodego smoka, jak Alamu, ale wiekowego jaszczura, który nie miał sprzymierzeńców, lecz jedynie wrogów. Patrzył na Tylera, ale wydymał wargi, jakby przełknął coś niezwykle kwaśnego. Zupełnie nie przypominał znanego im Gideona - niemal nie wyglądał na istotę ludzką.

To gorączka, powtarzała sobie w myślach, sprawia, że mam zwidy. To z pewnością gorączka...

— Ale z ciebie paskudne, wredne chłopaczysko - usłyszała głos pani Needle.

— To pani syn jest wredny! - Tyler niemal krzyczał. - Chciał mnie zabić, a przynajmniej zostawił na pewną śmierć.

Lucinda odwróciła ociężałą głowę od Gideona i zobaczyła Colina Needle'a, który stał za kobietami z kuchni z szeroko otwartymi oczami i twarzą pobielającą od szoku. To, co mówił Tyler, musiało go mocno zdenerwować, chociaż Lucinda nie rozumiała z tego ani słowa. W gruncie rzeczy, nawet dobrze nie wiedziała, gdzie się znajduje.

Co się ze mną dzieje? - pomyślała.

— Jak wszystkim wiadomo, Gideon nie czuje się dobrze i ja go pielęgnuję - odezwała się głośno pani Needle. - Gideonie, chcesz, żebym wyszła? Wystarczy słowo, a wyjdę. Gideonie? Chcesz, żebym sobie poszła? - W końcu udało się jej zwrócić na siebie uwagę staruszka. Popatrzył na nią obojętnie przez chwilę, po czym pokręcił głową. - No i proszę. Widzicie?

— To jest.... to jest... - Tyler nie znajdował słów.

— Jeśli nie masz niczego więcej do powiedzenia oprócz tych strasznych oskarżeń, to, proszę, opuść ten pokój i daj odpocząć swojemu wujowi - rzuciła stanowczo pani Needle. - Omówimy twoje... zadziwiające zachowanie innym razem...

— Nic z tego! Mogłem zginąć! Byłem w gnieździe Alamu i smok wrócił! Colin zostawił mnie tam na pewną śmierć! Bo pragnął tylko ukraść dla siebie kontiniuoskop!

Kobiety w drzwiach aż jęknęły. Lucinda już nie widziała Colina. Uciekł? Czy to, co mówił jej brat, to była prawda?

— Kontiniuoskop, tak? Który zniknął, zanim urodził się Colin? - Pani Needle wyglądała, jakby miała zamiar zasłonić Gideona własną pierśią

przed Tylerem. - A jaki masz dowód na to absurdalne oskarżenie? -  
Podniosła wzrok. - Gdzie jest Colin?

— Prawdopodobnie pobiegł, by ukryć dowód - powiedział Tyler.

Pani Needle była taka blada, a na jej twarzy widać było taką złość, że bardziej przypominała jakiegoś mściwego demona niż czarownicę.

— Innymi słowy, nie masz żadnego dowodu.

Nagle Gideon usiadł na łóżku, a twarz wykrzywił mu grymas zniecierpliwienia.

— Co się tutaj dzieje? O co chodzi?

Drzwi otworzyły się szerzej i do pokoju wszedł Ragnar, wielki jak dąb i najwyraźniej z czegoś niezadowolony.

— Gideonie - powiedział, wypełniając dudniącym głosem cały niewielki salon, w którym robiło się już coraz ciemniej - Hector Carrillo ponownie stoi przy bramie.

— Odeślij go - rzuciła pośpiesznie pani Needle.

— Odeślij go - powtórzył Gideon chwilę później, choć bez większego zapału.

Ragnar pokręcił głową.

— Nie. Tym razem nie. To dług honorowy - coś, czego bardzo pilnowałeś, Gideonie Goldringu, kiedy jeszcze byłeś prawdziwym tanem. Carrillo i jego rodzina oczekują od ciebie odpowiedzi. Zaoferowano im bardzo dużo pieniędzy. Jeśli sprzedadzą swoją farmę Stillmanowi, nasz dom tutaj - twoja farma, Gideonie - znajdzie się w wielkim niebezpieczeństwie. To źle, że ignorujesz go od wielu tygodni. Dość tego.

— O czym ty mówisz, ty bezczelny Duńczyku? - Pani Needle była teraz tak wściekła, że na jej policzkach pojawiły się czerwone plamki. - Nie masz prawa!

— Mówię, że Hector Carrillo czeka przy wewnętrznej bramie - powiedział spokojnym głosem Ragnar. - Wprowadziłem go do środka i czeka teraz u nas.

— Przy wewnętrznej bramie? - Głos pani Needle zmienił się w skrzek. Lucinda nigdy nie widziała jej tak wściekłej. - Wprowadziłeś go na farmę? Czyżbyś postradał resztkę rozumu, jaką jeszcze posiadałeś?

— Być może - odparł Ragnar. - Ale cenię sobie honor. Gideon wyzdrowiał na tyle, by z nim porozmawiać. Nie obawiajcie się - Ragnar zwrócił się do pozostałych. - Carrillo nie widział niczego oprócz domu - nie widział zwierząt. Ale tym razem go nie odeślę...

Patience Needle zwróciła się do Gideona: - Słyszałeś, co ten głupiec zrobił, Gideonie? Sprowadził obcych na teren farmy, ujawnił twoje tajemnice! A te przekłete dzieci, które tak łaskawie zaprosiłeś do siebie, znów cię nie posłuchały. Nad chłopakiem w ogóle nie można zapanować, a teraz nawet ta dziewczynka zaczęła mieszać się w sprawy w ogrodzie, które w ogóle jej nie dotyczą...

— To kłamstwo! - wykrzyknęła Lucinda.

Starła się podnieść, ale kręciło się jej w głowie, która ciążyła jej niczym worek cementu. Przewróciłaby się, gdyby nie podtrzymały jej mocne dłonie Azinzy.

— Dość twoich łgarstw, więdźmo - warknął Ragnar. - Niech Gideon sam powie, co o tym myśli.

Ale pani Needle była niczym śpiewaczka operowa na wielkiej scenie - potęgowała napięcie do samego końca.

— Gideonie, czy ty rozumiesz - to chłopaczysko szperało w smoczym gnieździe! Sam Bóg nie jest w stanie przewidzieć, co z tego wyniknie - wiesz, jak niebezpieczny potrafi być Alamu, kiedy się mu przeszkadza. Naprawdę musisz coś zrobić, Gideonie. Te dzieci są nie do okiełznania, a jeszcze teraz na terenie farmy pojawił się obcy, który patrzy... szpieguje!

— Szpieguje? Ty i twój popaprany synalek chcecie ukraść farmę! - krzyknął do niej Tyler.

— Obcy... - Gideon zerknął spod krzaczastych brwi, jakby dopiero zrozumiał, co zostało powiedziane. Jego ziemistą twarz wykrzywił

grymas odrazy. - Tutaj. Na farmie...

— Tak - niemal triumfalnie potwierdziła pani Needle. - Obcy! Nasze tajemnice zostaną odkryte. Stracimy farmę, a ty raz na zawsze utracisz Grace.

— Ona kłamie, Gideonie - powiedział Ragnar. - Chodź, porozmawiaj z Carrillem. To honorowy człowiek. On chce tylko porozmawiać o... o Stillmanie i innych sprawach...

Gideon wyprostował się na łóżku, szamocąc się tak, że wyglądał niczym istota rodząca się z plątaniny kocy.

— Sprowadziłeś... tutaj... obcego?

— To Hector Carrillo, twój sąsiad! - zaprotestował Ragnar. - Tyle mu zawdzięczamy!

— Wypędź ich - zasyczała pani Needle. - Odeślij ich stąd. To zdrajcy - Ragnar, chłopak, dziewczyna. Wszyscy oni starają się ukraść ci farmę!

— Ukraść moją farmę?

Teraz Gideon starał się wstać z łóżka z twarzą niemal fioletową z wściekłości i wymachiwał ramionami niczym tonący, ale wydawał się niezdarły, jakby naprawdę poruszał się pod wodą.

— Wynocha! Precz! Wszyscy precz! Wynocha z pokoju, precz z mojej farmy! Ufałem ci, a ty mnie zdradziłeś! - Wbił oszalałe, świdrujące spojrzenie w Tylera i Lucinę. - A wy, dzieci - powiedział z szokującą nienawiścią w głosie - chciałyście tylko zniszczyć moje dzieło. Idźcie sobie, cała trójka zdrajców - zejść mi z oczu! I nigdy więcej nie wracajcie na Zwyczajną Farmę!

# Rozdział 21

## Zaskakujące spotkanie

Automatycznie włączane światła zaczęły migotać, kiedy słońce przygasło, a ich jarzące się na pomarańczowo żarówki były tylko o jeden odcień jaśniejsze od nieba. Tyler stał w drzwiach wejściowych, a serce biło mu tak szybko, że poczuł zawrót głowy, bo zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy to wspaniałe, niespotykane miejsce. Z Wężowego Salonu wyszedł Ragnar, niosąc troskliwie na rękach Lucinę, jakby była małym dzieckiem.

— Co z nią?

Wielkolud potrząsnął głową.

— Nie wiem. Nie za dobrze. Poprosimy Hectora Carrilla, żeby nam pomógł.

— Czy ty to słyszysz, Luce? - zapytał Tyler. - Carrillowie nam pomogą. Wszystko będzie dobrze.

Otworzyła oczy i robiła, co mogła, by się do niego uśmiechnąć, ale nie był to najlepszy popis pewności siebie, jaki Tyler widział w życiu.

Pema i Sara dudniły, schodząc po schodach - każda ciągnęła jedną walizkę z rzeczami dzieci. Obie kobiety płakały.

— Wszystko tam jest - powiedziała Sara Tylerowi. - Pema zabrała wszystko i spod łóżek, i z szaf. - Nagle znów zaczęła szlochać.

— Dokąd pójdziecie? - powtarzała w kółko Pema. - Gdzie wy się podziejecie?

— Myślę, że zatrzymamy się u Carrillów, jeśli nas przyjmą. - Ragnar kiwał głową, zastanawiając się nad czymś. - Przynajmniej na jedną noc.

Lucinda musi wypocząć w wygodnym łóżku.

— A jeśli nas nie przyjmą? - zapytał Tyler, zmartwiony bladą, apatyczną twarzą Lucindy. - Kiedy się ostatni raz widzieliśmy, pan Carrillo był na nas wściekły.

— Nie na was - rzucił posępnie Ragnar. - Był wściekły na Gideona i na wiedźmę, która daje mu takie złe rady. - Skrzywił się. - A gdzie jest Simos? Chciałbym z nim pomówić, zanim wyjedziemy. - Zwrócił się do Sary: - Powiedz Dobrochodzkemu, co się stało. On będzie wiedział, co robić.

— Ale co się dzieje? - Tyler wciąż czuł się tak, jakby cały świat nagle przewrócił się do góry nogami. - Dlaczego Gideon się tak dziwnie zachowuje?

— Nie wiem - odparł Ragnar. - Wszystko jest dzisiaj dziwne. Zupełnie tak samo jak w dzień mojej śmierci.

Pomachał Sarze i pozostałym kobietom, potem stojącemu w drzwiach kuchni Cezarowi, a następnie wyprowadził Tylera przez główne drzwi. Niebo było niczym ciemna kurtyna koloru grafitu.

— W dzień twojej śmierci? - Tyler zrozumiał dopiero po chwili. - W dniu, w którym nieomal zginąłeś, ale zamiast tego przeniosłeś się do naszych czasów? Ale Gideon cię uratował! Nie umarłeś!

— Byłem gotów. Zaśpiewałem już swą pieśń śmierci.

Zamilkli, kiedy Ragnar prowadził Tylera przez teren posiadłości do najbliższej automatycznej bramy. Pan Carrillo zaparkował samochód po drugiej stronie ogrodzenia i czekał z włączonym silnikiem, który wypuszczał kłęby spalin przez rurę wydechową. Kiedy się zbliżyli, podniósł wzrok.

— Gdzie jest pan Goldring?

Ragnar zatrzymał się koło wozu.

— Gideon nie przyjdzie. Za to wygnał mnie i dzieci z farmy.

— Co takiego? - Hector Carrillo patrzył na Lucindę, wiotką i niemal



nieprzytomną w ramionach wielkiego wikinga. - Co się jej stało?

— Nikt tego nie wie. Zachorowała od czegoś w ogrodzie. Ale potrzebuje jakiegoś bezpiecznego schronienia, żeby dojść do siebie.

— Moja żona będzie wiedziała, co robić - powiedział pan Carrillo. - Wsiadajcie, ty też, synku - zachęcił Tylera. - Zadzwońię do niej, kiedy stąd wyjedziemy. Nigdy nie mam tu dobrego sygnału.

Kilka chwil później jechali przez otwartą przestrzeń, a wóz podskakiwał na wykrotach, wyjeżdżając poza krąg wewnętrznych budynków farmy - dwóch mężczyzn z przodu, a Tyler z siostrą na tylnym siedzeniu. Lucinda trwała w półśnie, opierając się na ramieniu Tylera.

— I to wszystko przez to, że wpuściłeś mnie na teren posiadłości? - zdziwił się pan Carrillo.

— Nie jest to główna przyczyna - odparł Ragnar - Ale jej część.

Zatrzymali się przy bramie, gdzie kończyła się strefa środkowa i zaczynała zewnętrzna część farmy. Ragnar wyszedł i zbliżył się do panelu kontrolnego, po czym wcisnął odpowiednie numery. Nic. Zmarszczył brwi i powtórzył czynność.

— Czyżby już zmienili kody? - zdziwił się Tyler. - To głupie, nawet nie będziemy mogli wyjechać....

Ale kiedy to mówił, coś o długim, niskim korpusie niczym u tygrysa wyszło z cienia o kilka metrów od Ragnara. Kiedy zwróciło swój błąd, bezwłosy pysk w ich stronę, Tyler zobaczył pomarańczowy odcień ślepi odbijających reflektory pojazdu.

— O matko - westchnął. Miał problemy z zaczerpnięciem oddechu. - R...Ragnar! Po lewej stronie jest jedna z tych, no, z tych...

— Mantykor - dokończył cicho wiking. - Na młot Thora, ten stwór nie powinien być wypuszczony z zagrody tak wcześnie - ktoś popełnił błąd. Nie odzywajcie się i niech nikt nawet nie drgnie.

Pan Carrillo zmrużył oczy, starając się przyjrzeć całej scenie przez szybę.

— Co to, do diabła...?

— Cisza - rzucił Ragnar. - Uciekaj stąd, Hectorze. Jedź z powrotem do domu.

— Nie wiem, jak przejechać przez drugą bramę - powiedział pan Carrillo. - I nie zostawię cię tutaj.

Słyszając jego głos, wyraźnie ożywiona mantykora wyprostowała się i wbiła nieruchome spojrzenie w Ragnara i samochód.

— Czy ktoś z was ma nóż? - zapytał wiking.

— Nóż? - Pan Carrillo nie rozumiał, co się dzieje. - W wozie nie mam...

— Masz. - Tyler wyciągnął swój scyzoryk. Serce mu dudniło niczym maszerująca kompania wojska, a w głowie kołowały tysiące przerażających myśli. Wolno opuścił szybę i rzucił przedmiot Ragnarowi. W tej właśnie chwili mantykora wydała dziwne szczeknięcie i odskoczyła o krok do tyłu. Nóż odbił się o ziemię i wylądował tuż przy stopach Ragnara.

— Bardzo małe to ostrze, w rzeczy samej. - Wiking zmarszczył brwi, po czym wolno przykucnął i podniósł scyzoryk. - Ale to i tak na nic.

Mantykora wpatrywała się w niego intensywnie, a jej ogon szurał tam i z powrotem po ziemi, rozgarniając kurz i zwiędłe liście. Tyler powstrzymał się od wołania o pomoc - bo i któż by ich teraz usłyszał?

— Wracaj do wozu, Ragnar! - krzyknął pan Carrillo.

Brodacz jedynie pokręcił głową.

— Nie. Jeśli się ruszę, rzuci się na mnie - tak czy inaczej wkrótce zaatakuje. Wywieź stąd dzieci.

Zaczął poruszać się wolno, starając się odciągnąć uwagę mantykory od starego pickupa.

Lucinda poruszyła się niespokojnie obok Tylera.

— Niedobrze mi - jęknęła. - Chcę wrócić do domu.

Najwyraźniej nie miała pojęcia, co się stało. W ułamek sekundy później mantykora rzuciła się na Ragnara, dopadając go z szybkością,

która do głębi wstrząsnęła Tylerem. Nawet Ragnar ledwo był w stanie ujść szponom stworzenia - kiedy odskoczył do tyłu, przód jego koszuli wisiał w strzępach.

— Hectorze, psiakrew, jedź już! - wykrzyknął Ragnar. - Wywieź stąd dzieci!

Zwierzę znowu skoczyło na niego, wydając z siebie dziwnie wysoki warkot. Ragnar odskoczył, ale mantykora była od niego szybsza, i chociaż wiking ciął ją nożem Tylera, nie zatrzymało to jej ani nawet nie spowolniło. Człowiek i bestia padli na ziemię, tworząc płataninę kończyn i walącego na boki ogona. Chwilę później mantykora się podniosła. Warkot zastąpiło coś innego, co było słychać bliżej - pan Carrillo desperacko starał się uruchomić silnik, ale maszyna nie chciała zaskoczyć.

Mantykora zaczęła okrążać nieruchome ciało, przyglądając mu się przed posiłkiem. Chwilę później silnik pickupa zaskoczył.

Lup! Tyler i pan Carrillo krzyknęli ze zgrozy, kiedy coś walnęło o dach samochodu z takim impetem, jakby spadł na niego drugi wóz z góry. Szyba pokryła się siecią pęknięć i zapadła się do wnętrza. Co to było? Tyler poczuł, że traci dech. Druga mantykora?

Tuż za oknem obok Lucindy pojawił się krokodyli pysk Alamu na długiej, smukłej szyi.

Najpierw mantykora, a teraz jeszcze to, zdołał tylko pomyśleć Tyler, bo nagle smok otworzył pysk i wydał z siebie dudniący skrzek, od którego zakołatało mu pod czaszką. Lucinda obudziła się, zerknęła tylko przez okno i zaczęła krzyczeć, a pan Carrillo począł wypowiadać po hiszpańsku słowa, których Tyler nie rozumiał.

Smok zeskoczył z samochodu i wylądował na ziemi z wystarczającym impetem, by wzniecić tuman kurzu. W świetle lamp łuski Alamu wyglądały niczym płatki złota, ale smok nie pozował do zdjęcia, tylko najwyraźniej szykował się do ataku. Sekundę później rozpostarł skrzydła

i rzucił się na mantykorę.

Alamu natarł na nią pełnym impetem ciała, po czym jego skrzydła wyduły się od powietrza i uniosły go w górę - potwór został odtrącony od nieruchomej sylwetki Ragnara. Niemal natychmiast Alamu znów spadł na mantykorę. Choć ta się wycofała, smok schwycił jej łeb długimi szponami i przydusił wroga do ziemi swoją wagą. Mantykora miotła się, lecz nie mogła uciec, końcówka jej kolczastego ogona waliła w ziemię niczym maczuga.

— Dlaczego, do ciężkiej cholery, te potwory uparły się, żeby nas pożreć? - krzyczał pan Carrillo. - I skąd one w ogóle się wzięły?

— Później panu powiem. - Tyler był tak przerażony, że bał się, że się posika.

Pan Carrillo wrzucił w końcu bieg i samochód rzucił się w przód jak rumak dźgnięty ostrogą. Przez chwilę Tyler myślał, że będą taranować ogrodzenie, ale samochód zakreślił, wznosząc tumany kurzu i wrócił do miejsca, w którym dwie nieziemskie bestie zwały się w walce na śmierć i życie. Kiedy dotarli do nieruchomego ciała Ragnara, pan Carrillo wduślił hamulec. Samochód przesunął się jeszcze kawałek, ale pan Carrillo już otworzył drzwi i wyskoczył z wozu.

— Pomóż mi go wnieść do środka! - zawołał do Tylera.

Każda sekunda poza samochodem była niczym poklepywanie po ramieniu przez kościstą łapę śmierci - Tyler miał w oczach łzy przerażenia. Ciało Ragnara było strasznie ciężkie, ale w końcu panu Carrillowi udało się przerzucić wielkoluda przez klapę na pace pickupa. Ragnar jęknął, ale nie otworzył oczu.

— Jedziemy! - wrzasnął Tyler do pana Carrilla, wskakując na tylne siedzenie obok siostry. Lucinda wyglądała, jakby nie była pewna, czy to jawa czy senny koszmar. - Jedziemy, jedziemy!

Kurz wystrzelił spod kół samochodu, który zabuksował i slalomem ominął dwie walczące bestie. Ich starcie weszło w nową, mniej

gwałtowną fazę, bo oto smok nachylał się nad mniejszą mantykorą niemal z czułością, wężąc nad drgającym na ziemi ciałem.

— Myślę, że ogrodzenie elektryczne jest wyłączone - krzyknął pan Carrillo. - Ale na wszelki wypadek nie dotykajcie drzwi samochodu - w ogóle niczego nie dotykajcie!

— Co? - Jak mieli uniknąć dotykania foteli, na których siedzieli?

Tyler nie miał wiele czasu, by się nad tym zastanawiać - samochód w kilka sekund uderzył w ogrodzenie i przebił się na zewnątrz, zmieniając je w plątaninę drutu i połamanych słupów. Przez sekundę wydawało się, że wóz utknie, ale wyskoczył nad rumowisko i po chwili znaleźli się na otwartej przestrzeni.

— Niech się pan kieruje do głównej bramy zewnętrznej - powiedział Tyler, oglądając się za siebie.

Ku jego wielkiej uldze Alamu, choć ich obserwował, nie wykazywał żadnych oznak chęci ruszenia ich tropem. Wyciągnął łeb na długiej szyi, by na nich popatrzeć, ale po chwili znów nachylił się nad skurczonym, nieruchomym ciałem mantykory.

# Rozdział 22

## Gwiaździste przekładnie

Jego matka, stojąc w drzwiach wejściowych, patrzyła, jak mongolscy pasterze przewożą taczkami części ciała mantykory. Martwe stworzenie było zbyt masywne, by przewieźć je w jednym kawałku, a pan Dobrochodzki miał jakieś zabobonne obiekcje przed tym, żeby je spalić, więc targali zwłoki w kawałkach, by zakopać je gdzieś na wzgórzach.

— Te zwierzęta to jeden z najbardziej idiotycznych i niebezpiecznych pomysłów Gideona - powiedziała Colinowi. - Mówiłam mu, ale nie chciał mnie słuchać. „Zabiją kogoś”, powiedziałam, i niemal do tego doszło. To wciąż może się zdarzyć. - Pokręciła głową. - Cóż to za uparciuch.

Colin Needle zamarł, obserwując to sprzątanie - na widok krwi kręciło mu się w głowie i żołądku, no i oczywiście miał nieczyste sumienie z powodu swego w tym udziału. Powinien to być moment jego triumfu, skoro Jenkinsowie i wikiński brutal zostali wyrzuceni z farmy, ale z jakiegoś powodu Colin nie był tak zadowolony, jak myślał, że będzie.

— Jak się czuje Gideon? - zapytał, zerkając do salonu. Starszy pan spał, albo udawał, że to robi, z otwartymi ustami i zamkniętymi powiekami. - Jakaś poprawa?

Patience Needle zacisnęła nieco usta, ale spróbowała się uśmiechnąć, co Colin docenił, bo było to niezwykle rzadkie zjawisko.

— Tak myślę. Wkrótce postawię go na nogi.

Colin poczuł, jak ucisk w piersiach ustępuje nieco. Kiedy mówiła o Gideonie, w jej głosie słyhać było prawdziwą troskę i zakłopotanie - to stanowiło dowód, że ona nie może mieć nic wspólnego z jego chorobą!

Miał ochotę jakoś uczcić ten niespodziewany szczęśliwy obrót spraw, ale zarówno on, jak i jego matka będą dzisiaj bardzo zapracowani. Już kilkakrotnie dzwoniła do adwokata Gideona, pana Dankle'a. „Nie jestem zadowolona, panie Dankle, w ogóle nie jestem zadowolona” - powiedziała w pewnym momencie prawnikowi. Dankle najwyraźniej wyjechał z miasta i jeśli chciała czegoś od niego, musiała zaczekać. Pewnie chciała wyjaśnić jakąś kwestię prawną związaną z chorobą Gideona, zgadywał Colin, albo sprawę związaną z ubezpieczeniem. Taki naprawdę niewiele go to obchodziło.

Bo niby dlaczego miałyby go obchodzić? Jego wrogowie zostali wypędzeni, a Colin Needle został sam na farmie z najlepszą zabawką na świecie.

W istocie Colin miał wiele szczęścia. Kiedy usłyszał, że Tyler Jenkins krzyczy coś o smoczym gnieździe i drogocennym kontinuioskopie Gideona, był pewien, że wkrótce zrobi się bardzo źle. Za pomocą komputera stworzył zagrodę mantykor tylko po to, by odciągnąć uwagę innych - skąd miał wiedzieć, że Carrillo, facet z sąsiedniej farmy, znajdzie się przed wewnętrzną bramą, w samym środku terenu łowieckiego stworzeń? To ślepy los sprawił, że wyszła tylko jedna mantykora i że Alamu był w pobliżu i zauważył zamieszanie, a do tego miał na tyle podły nastrój, iż przystąpił do walki. Colin wiedział, że śmierć mantykory to olbrzymia strata - była jedną z sześciu na całym świecie! - ale wiedział też, że Dobrochodzki i reszta mogli się pozbyć truchła. Dużo trudniej byłoby ukryć martwego Hectora Carrilla. Naprawdę czuł mroźne ciarki na myśl o tym, jak blisko był doprowadzenia do czyjejś śmierci.

Ale ja prowadzę wojnę, by uratować tę farmę, napominał się w myślach. Jest wojna, są ofiary. A nagroda - ach, nagroda jest ich warta!

Oczywiście włącznie z największą nagrodą ze wszystkich - możliwością wykorzystania Linii Uskoku i wszystkiego, z czym to się wiązało - a to obecnie leżało w zasięgu możliwości Colina Needle'a.

Kontiniuoskop znajdował się wciąż tam, gdzie go zostawił, wracając wieczorem ze smoczego gniazda - w bibliotece, wciśnięty bezceremonialnie pod jeden z zakurzonych foteli. Colin uniósł urządzenie, by przypatrzeć mu się w porannym świetle wpadającym przez wysokie okna. Był to piękny przedmiot, nawet jeśli nie wiedziało się, co potrafi - skomplikowana, lecz piękna mozaika, składająca się z złotych obręczy, kolczastych, mlecznych kryształów i błyszczących przekładni o wielu kształtach - niektóre z nich były tak duże jak talerzyki deserowe, a inne mniejsze od koniuszka palca Colina. Całym swoim jestestwem pragnął je wypróbować, ale wiedział, że nie jest gotów. Nawet po przestudiowaniu wszystkich znalezionych w domu przez lata zapisków Octavia wciąż ledwo pojmował zamysł, jaki towarzyszył konstruktorowi, nie mówiąc już o używaniu tego złożonego urządzenia.

„Cierpliwość” była kluczowym hasłem, jakim kierował się Colin Needle w życiu. Nie było sensu spieszyć się z użyciem urządzenia, bo mogło się to skończyć zaginięciem gdzieś poza Linią Uskoku. W końcu Jenkinsów już nie było. Nie musiał się spieszyć.

Zaczął od starannego i ostrożnego czyszczenia każdego elementu kontiniuoskopu za pomocą miękkiej szmatki, ściereczek nasączonych detergentem, alkoholu i, w niektórych trudno dostępnych miejscach, małej puszki sprężonego powietrza, którym czyścił klawiaturę i części komputera. Chociaż urządzenie Octavia bardzo długo tkwiło w smoczym gnieździe, znajdowało się w nadzwyczajnie dobrym stanie - spod warstwy brudu wyłoniło się niemal nieuszkodzone.

Kiedy Colin zgłodniał, podreptał do kuchni i dobrał się do bułek pozostałych po kolacji, pikli i kilku plastrów szynki z lodówki. Wziął też dzbanek z zimnym mlekiem i zaniósł to wszystko do biblioteki, gdzie mógł dalej pracować.

Było wczesne popołudnie, kiedy skończył czyścić przyrząd. Colin dotykał kryształów osadzonych w koszyczkach ze ściśle nawiniętych



zwojów złotego drutu. Chyba były ciepłe, ale mogło mu się też tak wydawać z podniecenia. Po tak długim okresie ślęczenia nad literaturą, po tylu wieczorach spędzonych na poszukiwaniu źródeł i informacji, po otepiałających próbach zrozumienia tego, co napisał Octavio Tinker - po tym, jak ryzykował życie, przeszukując smocze gniazdo - po tej całej pracy siedział teraz w bibliotece, trzymając w drżących palcach sam rzeczony przedmiot.

Najpotężniejsze urządzenie na świecie należy do mnie.

Colin zaskoczył sam siebie - jakby ktoś inny był autorem tej myśli, nie on. Ale była to prawda, co nie? Rządy wielu krajów na świecie zapłaciłyby miliony - nie, miliardy! - za ten przedmiot, a jeszcze więcej za Linie Uskoku. No bo na przykład ten zbir Ed Stillman przywiózł pół miliona tylko po to, by kupić coś, co uważał za jajo dinozaura. Ile byłby skłonny zapłacić, wiedząc, że jajko pochodziło od prawdziwego, żywego smoka? I ile mógłby dać za możliwość przeniesienia się w dowolny punkt historii?

Nie. Colin robił, co mógł, by trzymać takie myśli na wodzy. Może później, kiedy przejmie realną kontrolę nad farmą, będzie mógł rozważać różne możliwości - teraz miał ważniejsze sprawy na głowie. Będzie teraz badał urządzenie i studiował manuskrypty do upadłego, a kiedy będzie już gotów, weźmie kontiniuoskop i to on, Colin Caiaphas Needle, obejmie w posiadanie Linie Uskoku.

# Rozdział 23

## W Cresta Sol

Tyler zrozumiał, jak poważnie chora jest jego siostra, dopiero wtedy, kiedy dotarli na farmę Carrillów. Kiedy pan Carrillo zajechał przed dom, Lucinda, która przez prawie całą podróż opierała się na ramieniu Tylera, ześliznęła się z fotela. Złapał ją za ramię i potrząsnął nią, ale była nieprzytomna - Tyler poczuł, jak ciepło bije od niej niczym od żarówki, która świeciła się godzinami.

— Naprawdę jest rozpalona - powiedział, mocując się z nią, by posadzić ją prosto, ale jego siostra była bezwładna niczym szmaciana lalka. Bardzo ciężka szmaciana lalka. - Ma wysoką gorączkę!

— Rodzina Carrillów zajmie się nią - powiedział Ragnar, choć bez przekonania.

Widok wielkiego wikinga, który nie ma pojęcia, co zrobić, był dziwny i też przerażający. Tyler był tak bardzo zajęty próbami obudzenia Lucindy, że nie zauważył, jak pan Carrillo wysiadł z samochodu i wrócił ze swoją żoną, Silvia. Pani Carrillo wyglądała na niemal równie przejętą i przestraszoną jak Tyler, ale szybko przejęła dowodzenie.

— Podnieś ją i zanieś do środka - powiedziała do Ragnara. - Hectorze, przynieś mi wodę i czyste ręczniki.

Kiedy wnosili ją do domu, przybiegły dzieci, by zobaczyć, co się dzieje.

— Czy to coś poważnego? - zapytała Carmen. - Co się stało?

— Twój tato mówi, że ona ma gorączkę. Przynieś swoją piżamę i szlafrok - nakazała jej matka. - Trzeba będzie ją przebrać. Wszystko, co ma na sobie, jest mokre.

Carmen pobiegła, a Ragnar położył Lucindę na kanapie. Pani Carrillo owinęła głowę Lucindy mokrymi ręcznikami i włożyła jej termometr do ust.

— Nie mogłeś mnie uprzedzić? - zapytała męża.

— Tam nigdy nie ma zasięgu. - Zmarszczył brwi. - Czy powinniśmy zabrać ją do Liberty?

Pani Carrillo przyjrzała się uważnie termometrowi.

— Trzydzieści osiem i trzy kreski. Nie jest tak źle. Posiedzę z nią. Jeśli temperatura się podniesie, zawieziemy ją.

Lucinda zatrzepotała rzęsami. Rozejrzała się dookoła, ale najwyraźniej nie potrafiła skupić wzroku na niczym.

— Tyler? - odezwała się schrypniętym szeptem.

— Tutaj jestem, Luce. Wydobrzejesz. Jesteśmy u Carrillów...

— Tam w szklaaa.... - Zamknęła oczy, pokonana przez chorobę, ale po chwili znów spróbowała: - W szklaaa... w szklarni...

— Wiemy. Byłaś w ogrodzie koło szklarni, kiedy nagle zachorowałaś. Wiesz, co tam było?

— W szklarni! - niemal krzyknęła. Wysiętek najwyraźniej ją wyczerpał, zamknęła oczy i znów zapadła w sen.

Tyler ścisnął wilgotną dłoń siostry. Jej widok w takim stanie przerażał go i po raz pierwszy od dawna zatęsknił za mamą.

— Niech mnie kule biją - rzucił w przestrzeń. - Co tam się stało?

Zanim się polepszyło, nadeszło pogorszenie. Trzeba było dwukrotnie przенosić Lucindę do pokoju Carmen, żeby zmienić przepocone ubranie. Jęczała i rzucała się przez cały wieczór, czasami mówiąc coś do Tylera, którego tam nie było (a nie do Tylera, który siedział na kanapie obok i przyglądał się temu z zatroskaniem); kiedy indziej znów zdawała się mówić do smoków - raz nawet poprosiła Destę, by podała herbatę. A kilka razy mówiła do zgoła czegoś innego, bytu, który niesłychanie ją przerażał.

— Nie! - powtarzała. - Nie chcę! Nie chcę iść! - Podczas tych chwil Tyler mógł tylko trzymać jej śliską dłoń.

Kiedy skóra Lucindy zrobiła się bardziej zimna, jej sen stawał się coraz to spokojniejszy. Przestała też mówić.

Pani Carrillo sprawdziła temperaturę.

— Trochę ponad trzydzieści siedem. Myślę, że szybko dojdzie do siebie. Wy, dzieci, marsz do łóżka. Steven, daj Tylerowi śpiwór i materac dmuchany z garażu - i nie zapomnij wytrząsnąć pajaków!

Tyler zaśmiał się.

— Jestem tak zmęczony, że mógłbym się zdrzemnąć w pajęczej sieci.

Babcia Paz, która pomagała Silvii Carrillo doglądać jego siostrę, pospiesznie się przeżegnała. - Nawet nie mów takich rzeczy, bo ściągniesz na siebie susto.

— Susto to taka klątwa czy coś w ten deseń - wyszeptał Steve. - Nazwa pochodzi od strachu.

— No i do tego będę musiała omieść twoją siostrę - powiedziała Paz. - I być może ciebie też.

— A co to ma znaczyć? - wyszeptał Tyler. - Nie chcę być omieciony.

— Nie pękaj - uspokoił go cicho Steve. - Po prostu leżysz, a ona macha nad tobą miotłą. Ale nie pozwól się jej nawet zbliżyć do skaleczenia. Kiedyś spadłem z drabinek na sali gimnastycznej i rozciąłem sobie nogę, a ona wtedy nasypała mi sproszkowanego grzechotnika do rany.

Mówiąc szczerze, teraz, kiedy Lucinda odzyskiwała siły, Tyler zaczął odczuwać wszystkie swoje skaleczenia i siniaki, których dorobił się jeszcze w gnieździe Alamu - każdy centymetr jego ciała był zadrapany bądź obity, ale wstrętna mu była wszelka medycyna oparta na jadowitych wężach.

— No dobra - powiedział do Steve'a. - To, co mówisz o babci i jej domowych sposobach, jest bardzo interesujące. Może jednak prześpię się dzisiaj przed domem.

Oczywiście spał w domu. Tyler budził się kilkakrotnie w nocy, zdjęty strachem o siostrę, ale za każdym razem kiedy szedł sprawdzić, co z nią się dzieje, ona spała coraz spokojniej na kanapie w towarzystwie babci Paz lub pani Carrillo, które drzemały na zmianę na dużym fotelu Hectora. W końcu nieco przed świtem zasnął na dobre, ale we śnie potykał się o coś i słyszał odgłosy wydawane przez duże stworzenie, które starało się go odszukać.

Tyler stał przed domem Carrillów i patrzył na dolinę, ale oczywiście nie był w stanie zobaczyć niczego na Zwyczajnej Farmie oprócz otaczających ją wzgórz. Lucinda, która po raz pierwszy od dwóch dni poczuła się na tyle dobrze, że mogła wstać z kanapy, stała obok niego zawinięta w koc, choć dzień był upalny.

— Mówię ci, coś jest w tej szklarni, Tyler. To było jak dym albo jak... bo ja wiem. Ale weszło we mnie i wywołało chorobę!

— Teraz wiesz, że czarownica hoduje tam trujące jabłka czy inne świństwo - powiedział Tyler. - Masz szczęście, że żyjesz.

— To jednak nie była zwykła trucizna - powiedziała jego siostra, drżąc i opatulając się szczelniej kocem. - To było...Jakby coś we mnie weszło. Wprost do głowy. Nie mogę tego wyjaśnić. Wciąż trochę tego czuję...

— Uważaj lepiej z babcią Paz, bo znów wyciągnie swoją miotłę. - Tyler zmrużył oczy. - Tak czy inaczej, teraz ci się poprawiło, więc więcej o tym nie mów. - Podniósł grudę ziemi i cisnął ją najdalej, jak potrafił. - Prawdziwym problemem jest Colin Needle.

— Och, Tyler, on nie jest taki zły...

Odwrócił się do niej.

— Właśnie, że jest, Lucindo. Jest zły. I do tego ma kontinuoskop, wiem to na pewno.

— No to chyba dobrze, prawda? - Była blada i rozkojarzona, wciąż niepodobna do siebie. - Zaginął na tyle lat, a wuj Gideon potrzebuje go, by odnaleźć Grace. Czy to ważne, kto go odnalazł?

— Nie o to chodzi! - Przynajmniej Tyler był całkiem pewny, że nie o to. - Nie obchodzi mnie, komu przypiszą zasługi, ale ty nie rozumiesz jednego - Colin ma kontiniuoskop! Może poruszać się za Linią Uskoku! A jeśli jego matka dostanie to w swoje łapy, to i ona może wykorzystać Linię Uskoku! Mogą wrócić do przeszłości i namieszać tak, że my nawet się nie urodzimy! - Coś w kąciku oka odwracało jego uwagę, coś na tle bladobłękitnego nieba.

— Colin by tego nie zrobił - stwierdziła Lucinda.

— Zrobi wszystko, co mu matka każe - upierał się Tyler. - Przede wszystkim to najprawdopodobniej ona posłała go moim tropem... - Zmrużył oczy, patrząc pod słońce. - A to co takiego?

Przez chwilę był niemal przekonany, że to Alamu niczym mściwy demon podąża ich śladem, ale chociaż punkcik zbliżał się szybko, to nie rósł w oczach, więc jego serce znów zwolniło. Wtedy rozpoznał, co to jest.

— Zaza! - Zaśmiał się i klasnął w dłonie, kiedy małe stworzonko wykonało manewr wślizgowy i zbliżyło się do nich. - Popatrz, Luce, to Zaza!

— To miło, ale ja znów muszę się położyć.

Odwróciła się i chwiejnym krokiem weszła do domu. Tyler nawet tego nie zauważył, bo mała skrzydlata małpka wylądowała na nim i łąziła mu już po głowie, ciągnąc za włosy i cicho gaworząc, najwyraźniej równie zadowolona ze spotkania co on.

— Grzeczna dziewczynka! Eeej! Mówiłem: grzeczna! - Zaśmiewał się pod dotykiem łaskoczących go paluszków. - Cześć, Zaza! Co tam u ciebie? Przyleciałaś taki kawał drogi sama, co? - W innych okolicznościach obawiałby się, że Carrillowie mogą ją zobaczyć - Silvia i Paz znajdowały się o kilkanaście metrów dalej w kuchni, przygotowując posiłek - ale skoro nie mówiły nic o mantykorze i Alamu, nie sądził, że będą robiły wielkie halo z powodu Zazy. - Co cię tu sprowadza, panno Z.?

Było to dziwne, bo małpka przebyła taki szmat drogi, żeby go zobaczyć, chociaż prawie jej nie widział na farmie tego lata. Rok wcześniej byli niemal nierozłączni, ale tym razem trzymała się z dala poza okazjami, kiedy Tyler wychodził na obrzeża farmy. Dlaczego teraz przeleciała nad Gadzią Oborą i dotarła aż tutaj do Cresta Sol, a nigdy nie zaglądała do okna jego pokoju, jak to niegdyś robiła co noc?

— Nie mogę z tobą iść - powiedział. - Wyrzucili mnie z farmy. Ale bardzo bym chciał, żebyś umiała mówić jak smoki Lucindy. Założę się, że chciałabyś mi opowiedzieć, co się tam dzieje.

W końcu zdziwiona i nieco przybita Zaza wzbiła się w powietrze, jeszcze raz i drugi okrążyła głowę Tylera, głośno trajkocząc po małpiemu, po czym śmignęła w stronę Zwyczajnej Farmy.

— No dobra - powiedział Tyler do młodych Carrillów. - Co się dzieje z waszymi rodzicami? Minęły trzy dni. Dlaczego nikt nie komentuje tego, co się wydarzyło?

— Nie komentuje tego, co gdzie się wydarzyło? - zapytał Steve, nie podnosząc wzroku z ekranu GameBossa.

Tyler wywrócił oczami.

— No nie, stary! Wasz ojciec prowadził samochód - i ścigała nas mantykora, a smok wylądował na masce. Już było po nas! Dlaczego nic nie mówią na ten temat?

— Wiem - odezwała się Carmen. - To przerażające. Jakby nigdy się nie wydarzyło.

— Nie. - Mała Alma pokręciła głową z poważną miną. - Wydarzyło się. Widać to po ich twarzach. Po prostu nie rozmawiają o tym.

— Ale dlaczego? - Carmen rzuciła się na swoje łóżko, aż Lucinda podskoczyła na nim w swoim śpiworze.

— Przestań - jęknęła. - Boli mnie głowa.

— Przepraszam. Ale twój brat ma rację. - Dlaczego nie skomentowali tego choćby słowem? Dostaję świra ze strachu, jak sobie o tym myślę!

Steve Carrillo wstał.

— Jest na to prosta rada. Chodźmy ich zapytać.

Zbliżając się do kuchni, słyszeli, jak Hector i Silvia Carrillo kłócą się ściszonymi, lecz pełnymi emocji głosami - ...żeby coś z tym zrobić - mówił Hector. - To oczywiste, że musimy coś zrobić...

— Coś zrobić? - zapytała pani Carrillo. - A niby co my możemy? Równie dobrze mógłbyś starać się zakorkować, bo ja wiem, wulkan!

Carmen zapukała do zamkniętych drzwi.

— Mamo? Tato? Co się dzieje?

Chwilę później drzwi otworzyły się na oścież. - Później z wami pomówimy - powiedziała pani Carrillo, wyglądając na zewnątrz. - Rozmawiam tu z tatą.

— O tym samym, o czym i my byśmy chcieli porozmawiać. Może byście tak porozmawiali też z nami?

, Pani Carrillo popatrzyła przez chwilę na dzieci. - Dobrze - powiedziała w końcu. - Idziemy do salonu.

— Cóż - zaczął pan Carrillo, kiedy wszyscy się już usadowili - jak się zapewne domyślacie, ta sprawa z farmą Tinkera, z tymi... smokami, czy jak te zwierzęta się tam nazywają... nie była całkowitym zaskoczeniem dla mnie i dla mamy.

— Ze jak? - zdziwił się Steve. - Chcesz powiedzieć, że wiedzieliście? O farmie i o... o tych zwierzętach, które tam trzymają?

— Ale skąd? - zapytała Carmen.

— No bo... Cóż, bo wasz pradziadek znał Ovtavia i pomagał mu w budowie farmy - odparł Hector. - I... są jeszcze inne rzeczy, o których...

Nagle coś zagrzechotało przy wejściowych drzwiach, które otworzyły się z hukiem. Babcia Paz weszła do środka z dwoma sporymi workami z zakupami, które położyła na podłodze, po czym odwróciła się i zatrzasnęła drzwi.

— Znów nadchodzi - oznajmiła wszystkim. - Ten mężczyzna. Trzymał



się tuż za mną od samego miasteczka.

Hector Carrillo odwrócił się do Tylera i Lucindy.

— Wy dwoje trzymajcie się w ukryciu, bo będzie zadawał pytania - ostrzegł ich, po czym zwrócił się do swoich latorośli: - Idźcie z nimi.

— O kim oni mówią? - wyszeptał Tyler, kiedy wraz z innymi szli korytarzem do pokoju Steve'a.

— A jak myślisz? - odparł Steve. - Ten wariat Stillman - miliarder. Przyjeżdża tu co kilka dni.

Tyler usłyszał dzwonek i dźwięk otwieranych drzwi. Był ciekaw - nigdy nie widział Stillmana na żywo - i uchylił lekko drzwi pokoju Steve'a, ale nie był w stanie zajrzeć do salonu. Jednak usłyszał głosy. Ktoś nieznajomy powiedział: - Nie mogę w to uwierzyć, że odrzuca pan podwójną cenę rynkową swojej farmy, panie Carrillo.

— A mnie jest trudno uwierzyć w to, że nie rozumie pan, kiedy się panu mówi nie - odparł Hector.

Rozmawiali przez jakąś minutę, ale mówili coraz ciszej i Tylerowi udało się wyłowić ledwo kilka słów, po czym znów rozległ się odgłos zatraskiwanych drzwi wejściowych.

— Dlaczego ten pan wciąż stara się kupić nasz dom, tatusiu? - zapytała Alma, kiedy wszyscy ponownie znaleźli się w salonie. - Przecież powiedzieliśmy mu, że go nie sprzedamy.

— Ponieważ jest to taki człowiek, któremu się wydaje, że wszystko jest kwestią pieniędzy - powiedział Hector, ale widać było, że pogłębiły mu się zmarszczki na czole. - I zaczynam wierzyć, że ma rację.

Silvia Carrillo siedziała na sofie, szczypiąc się w nasadę nosa. Tyler był przerażony i spoglądał to na jedno, to na drugie.

— Chyba nie zamierza pan mu sprzedać farmy, panie Carrillo, mam rację? Nie Stillmanowi. To najgorszy wróg wujka Gideona!

— Nie wiem, co zrobię, jeśli Gideon Goldring dalej nie będzie chciał ze mną rozmawiać. - Hector Carrillo trzasnął swoim piwem o blat okrągłego

stolika. - Ile to razy błagałem go, by ze mną pomówił? Ile to razy pozwalałem, żeby mnie traktował jak psa?

— Ale to nie jest przecież wina Gideona! - wykrzyknęła Lucinda.

Wszyscy spojrzeli na nią.

— Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Tyler.

Lucinda potrząsnęła głową.

— Nie jestem pewna, ale to wiem na sto procent! No bo z nim jest coś naprawdę nie w porządku...

Babcia Paz wybrała sobie właśnie ten moment na wyłonienie się z kuchni ze szklanką soku pomidorowego w dłoni. Padła z impetem na kanapę tuż obok swej córki.

— A więc - zaczęła - powiedzieliście im już o mina frequentada?

— Mamo! - Silvia Carrillo niemal krzyknęła.

— Łaaa! Czy to nie znaczy przypadkiem „nawiedzona kopalnia”? - zapytał Steve. - Nazwa jak w parku rozrywki. O czym wy mówicie?

— O niczym - powiedział jego ojciec surowym głosem. - Twoja babcia lubi opowiadać niestworzone historie. - Posłał Paz bardzo poważne spojrzenie. - To pewnie z powodu wieku.

Silvia wstała z wyrazem bólu i zmęczenia na twarzy.

— Wystarczy na dzisiaj - powiedziała. - Czyżby wszyscy zapomnieli o wieczornym dojeniu? Krowy już pewnie pękają w szwach. Do roboty! Skończymy później.

Ale patrzyła tak, jakby miała cichą nadzieję, że nigdy już, przenigdy, nie wróćą do tego tematu.

# Rozdział 24

## List pana Koto

W Cresta Sol mijały kolejne dni bez większych zmian. Lipiec przeszedł w sierpień i na horyzoncie pojawił się kres ich letnich wakacji, ale Lucinda i Tyler Jenkinsowie wciąż nie mieli wstępu na farmę i do domu swego stryjecznego dziadka. Co kilka dni Ragnar spotykał się na terenie Cresta Sol z panem Dobrochodzkim, ale według relacji greckiej istoty nic na farmie nie wskazywało na poprawę: Gideon Goldring wciąż niedomagał i wciąż robił to, co mu kazała pani Needle. Nie pozwalała nawet wymieniać imion wygnańców w obecności Gideona.

Ragnar spał w oborze na farmie Carrillów i pomagał Hectorowi i Silvii w pracach na gospodarstwie. Lucinda i Tyler trzymali się z młodymi Carrillami. Było fajnie, bo Lucinda spędzała więcej czasu z Carmen i resztą, ale wspomnienia o Zwyczajnej Farmie zaczęły się jej zacierać niczym piękny sen, z którego właśnie się przebudziła.

Mogłabym ten cały czas poświęcić na lepsze poznanie Desty, poznawać sposoby prawdziwej komunikacji ze smokami, myślała Lucinda. Czy ktoś jej daje marchewki? Ona tak bardzo je lubi! Haneb pewnie jest bardzo zajęty teraz, kiedy jest mniej rąk do pracy, szczególnie kiedy zabrakło Ragnara - czy ma czas, żeby poświęcić Deście więcej czasu?

Tyler klapnął koło siostry. Rozejrzał się po pustym salonie, jakby mogli gdzieś tu za poduszkami sofy czaić się szpiedzy, ale było późne popołudnie i wszyscy byli na dworze, wykonując żmudne codzienne prace i inne zadania.

— Babcia Paz wie więcej, niż mówi - odezwał się dramatycznym głosem.

— Ale nowina.

— Co masz na myśli?

Lucinda podniosła się ostrożnie do pozycji siedzącej - w głowie wciąż coś jej dudniło, kiedy wykonywała zbyt gwałtowne ruchy, ale poza tym czuła się dobrze, choć nie miała pojęcia, co się wydarzyło wtedy w ogrodzie.

— Wszyscy wokół nas wiedzą więcej, niż mówią - z wyjątkiem dzieci. W tym cały problem. To miejsce jest pełne tajemnic.

— Cóż, mam zamiar odkryć to, co ukrywa przed nami. Widać wyraźnie, że bardzo ją korci, żeby komuś o tym opowiedzieć...

Lucinda głośno westchnęła.

— I potem co? Popłyniesz na wężu morskim, Eliocie, ciskając granatami, aż Colin Needle i jego matka poproszą o zawieszenie broni?

— O co ci chodzi? Dlaczego taka jesteś, Luce?

Łzy napłynęły jej do oczu.

— Bo mam dość twojego paplania o tym, czego to nie powinniśmy zrobić, gdy tymczasem jesteśmy bezradni. Żałuję, że w ogóle dowiedzieliśmy się o istnieniu tego głupiego miejsca. Spotkały nas tylko... kłopoty. I straszne, niebezpieczne wydarzenia. Chcę jechać do domu.

Tyler patrzył na nią, jakby właśnie oświadczyła, że nie ma zamiaru więcej obchodzić Bożego Narodzenia.

— Zwariowałaś, Luce.

— Cóż, zmęczona jestem - powiedziała - i wciąż paskudnie się czuję!

— Ale przecież uwielbiasz te całe smoki!

— Tyler, ty nic nie rozumiesz. Mnie już nie zależy! To wszystko jest zbyt trudne! Nawet dorośli nie są w stanie nic na to poradzić - a my, co my mamy zrobić? Jesteśmy tylko dziećmi!

— Ale dorośli nie są w stanie niczego zmienić właśnie dlatego, że są

dorośliymi! - wykrzyknął Tyler.

Lucinda wywróciła oczami.

— Mam zamiar uciąć sobie drzemkę.

Tyler poszedł za nią korytarzem do pokoju Carmen. On teraz też już był zły.

— A więc masz zamiar się po prostu poddać? Pozostało nam ledwo kilka dni lata - tylko tyle. I masz zamiar pozwolić, żeby rodzina Needle zawładnęła farmą, wszystkimi zwierzętami, żeby mogli robić, co chcą, a my sobie po prostu wrócimy do domu - pójdziemy tak po prostu do szkoły?

— A cóż więcej możemy zrobić?

Lucinda wiedziała, że jest niedobra dla młodszego brata. Nie czuł się tak podle jak ona, więc jeszcze irytował się i buntował, widząc jej apatię. Ale ona naprawdę była wyczerpana - to, co wywołało ową dziwną gorączkę, nie opuściło jeszcze jej organizmu. Nagle stać ją było tylko na to, by rzucić się bez czucia na łóżko.

Lucinda przebudziła się po południu. Prześcieradło przywarło do jej spoczonej skóry, a powietrze w domu Carrillów było gorące i gęste. Chciała wziąć prysznic, ale po nim musiałyby nałożyć czyste ubranie, inaczej cały zabieg byłby na nic. Zaczęła przeszukiwać galimatias w walizce w poszukiwaniu czystych skarpetek i bielizny, aż opróżniła ją do końca, ale i tak nie natrafiła na nic czystego. Z powodu choroby puściła wszystko, na żywioł, ale teraz albo nauczy się obsługiwać pralkę Silvii, albo będzie chodzić w brudnym ubraniu. Zaczęła przeszukiwać liczne, zapinane na zamki błyskawiczne kieszenie walizki, mając nadzieję na znalezienie w nich cudownie ocalałych majtek. Ku swemu zaskoczeniu w jednej z nich znalazła coś, co nie było jednak częścią garderoby.

Uniosła do oczu starą, pożółkłą kopertę ze znaczkiem z Madagaskaru. Był to list, który trzymała w ręce, kiedy pani Needle wpadła do pokoju pierwszej nocy na farmie, tej nocy, kiedy Tyler odnalazł paczkę wysłaną

do Grace Goldring. Lucinda starała się zebrać wszystkie listy w chwili, kiedy do pokoju wkraczała pani Needle, ale kilka z nich spadło na podłogę. Ten musiał wpaść chyba pod łóżko, po czym Pema i Azinza znalazły go, kiedy pakowały jej walizkę, i po prostu włożyły go do środka.

Weszła na łóżko. Koperta wciąż była zaklejona - list nie został nigdy otwarty, a Grace nigdy go nie przeczytała, co było bardzo dziwne, jak się nad tym głębiej zastanowić. Czy nadawca zastanawiał się, dlaczego nigdy nie dostał odpowiedzi? Lucinda nie mogła się powstrzymać i zaczęła się zastanawiać, jaka naprawdę była pani doktor Grace Goldring. Na tych wszystkich zdjęciach w salonie wspomnień wyglądała na bardzo spokojną, bardzo piękną i mądrą kobietę - dokładnie taką, na jaką chciała wyrosnąć Lucinda. A teraz w dłoni Lucindy znajdował się Ust zaadresowany do tej kobiety, wysłany z drugiego krańca świata w pudle pełnym okazów biologicznych z Madagaskaru. Podniosła kopertę do światła i przeczytała blaknące, wypisane ręcznie litery. Widniała tam data 13 lipca 1989 i nazwisko nadawcy, niejakiego Fabiena Koto.

Serce zaczęło jej bić żywszym rytmem. Starannie przecięła kopertę nożyczkami z niezwykle schludnego biurka Carmen i wyciągnęła pożółkły już nieco papier. Tak można było sądzić po wyglądzie, ktoś napisał ten list na przedpotopowej maszynie do pisania.

Szanowna pani doktor Goldring, zasyłam pani wyrazy uszanowania. Pogoda utrzymuje się dobra - Antananarivo to piękne miejsce wiosną i mam nadzieję, że kiedyś zawitacie tu razem z Gideonem! Wielką przyjemność sprawiłoby mi oprowadzenie państwa po okolicy. Tymczasem wysyłam pani owoce mojej ostatniej wyprawy na bazar. "Chamaeleo belalandaensis" byłby o wiele bardziej ekscytującym znaleziskiem, gdyby wciąż żył, ale nawet te zasuszone są rzadkością, a ten jest doskonale zakonserwowany i myślę, że nie aż taki straszny!

Miała pani rację, że mieszkańcy południowozachodnich wybrzeży

dokonują najdziwniejszych odkryć, natykają się na rzeczy, które niejednokrotnie unoszą się na kłodach drzew na wodzie bądź korzeniach. Obawiam się, iż nie rozumiem, dlaczego przypisuje pani temu konkretnemu miejscu w Moromboke szczególne znaczenie pod kątem biologicznych anomalii i niezwykłych wydarzeń, ale z radością dziele się owocami moich pomyślnych poszukiwań! Trzeba przyznać, iż rzeczywiście przytłoczyła mnie różnorodność i mnogość nowych gatunków botanicznych. Wysyłam zatem sporą ich część Fani.

Mam dziwne przeczucie, że nie należą do flory Madagaskaru. Sklasyfikowanie ich i zbadanie zajmie mnóstwo czasu i pracy. Chciałbym jednak zwrócić pani uwagę na najciekawszy z nich (jak mi się wydaje). Jest to gatunek grzyba zupełnie niepodobny do znanych mi okazów. Załączam drobną próbkę dla pani, ale zabezpieczoną w szklanej probówce! Tak, nie jest to grzyb z Madagaskaru, ale wystarczająco dużo jego sporów trafiło na brzeg przez te lata, żeby plemiona Mikea włączyły go do swych podań, nazywając go - tłumacze najlepiej, jak potrafię "»przywołującą rośliną". W mitach opisują go na podobieństwo syren znanych od czasów szacownego starożytnego poety Homera! Wiele opowieści plemiennych mówi o ludziach wezwanych na śmierć przez «przywołującą roślinę" i o tym, że są bezradni w walce z nią - jakby odebrano im własną wolę. Moje testy wykazały, że jest to po prostu grzyb, choć niezwykle złożony! Tak czy inaczej, wysyłam go pani, doktor Goldring, z nadzieją, że znajdzie w nim pani coś równie intrygującego jak ja.

List był podpisany: Pani przyjaciel i bratnia naukowa dusza, Fabien Koto.

Lucinda odłożyła list, a serce biło jej jak oszalałe. Całe pudło pełne rzadkich i nieznanymi gatunków zostało wysłane na Zwyczajną Farmę - do żony Gideona, Grace, naukowca i wykładowcy, której powierzono pieczę nad najprawdopodobniej niebezpiecznymi okazami. Zamiast

jednak dotrzeć do adresatki, paczka przebywała w schowku i teraz trafiła do rąk Patience Needle. Czy próbki zostały opisane? Lucinda wiedziała, że pani Needle i jej syn, w odróżnieniu od innych pracowników farmy, wiedzieli, jak się korzysta z komputera. Czyżby pani Needle udało się poznać jakieś groźne sekrety, które czały się przez te wszystkie lata w zakurzonej pudle? Czyżby postanowiła... hodować którąś z roślin?

Jednocześnie kilka elementów układanki z trzaskiem wpadło na swoje miejsce w umyśle Lucindy. Tej nocy, kiedy znaleźli pudło, Tyler mówił, że próbki były wypełnione nasionami, pędami roślin i grzybnią. Pani Needle uwielbiała takie rzeczy. I najbardziej odpowiednim miejscem na hodowlę nieznanymi tropikalnymi gatunków była...

Stara szklarnia.

Jeśli wiedźma zapragnęłaby hodować jeden z tych dziwnych gatunków, to który wypróbowałaby jako pierwszy? Lucinda знаła odpowiedź również na to pytanie.

Wiele opowieści płomiennych mówi o ludziach wezwanych na śmierć przez „przywołującą roślinę” - pisał pan Koto - i o tym, że są bezradni w walce z nią - jakby odebrano im własną wolę.

Te spory to pewnie ta przywołująca roślina - z całą pewnością to właśnie dostało mi się do nosa pod szklarnią! - uświadomiła sobie Lucinda. Mam szczęście, że wchłonęłam tylko trochę!

A jak lepiej kontrolować czyjś umysł, jeśli nie za pomocą tajemniczej przywołującej rośliny, o której nawet nie słyszała większość lekarzy? W jaki sposób najlepiej wymusić na Gideonie Goldringu zachowanie, jakiego sobie pani Needle życzy? I czyż moment zmiany testamentu na korzyść Lucindy i Tylera nie jest na to najlepszy?

A kiedy wiedźma się upewni, że wszystko idzie tak, jak zaplanowała, będzie mogła użyć tej strasznej trucizny na kimkolwiek... albo na wszystkich. Wtedy nie tylko myszy i ptaki będą zdychać pod szklarnią,



zaciągnięte tam przez straszego grzyba, ale każda ofiara, którą wybierze sobie pani Needle.

Kiedy Lucinda pomyślała o tym, jakiego losu uniknęła i co prawdopodobnie jeszcze się czai w jej organizmie, znów poczuła się gorzej.

# Rozdział 25

## Dolina Huraganu

Musimy coś zrobić, Luce! - wykrzyknął Tyler, zanim nawet skończył czytać list Fabiena Koto. - To straszne! Colin ma kontiniuoskop, a jego matka robi Gideonowi pranie mózgu za pomocą jakiegoś grzyba, który zamienia ludzi w zombi - musimy wrócić na farmę!

— A co to da? - Lucinda pokręciła głową. - Tak długo, jak kontroluje Gideona, może nas wyrzucić - może spowodować, że aresztują nas za wkroczenie na cudzą posiadłość, ot co. Może zeznać, że coś ukradliśmy!

— Nie mogą nas aresztować bez wezwania policji. A tego nie zrobią - powiedział Tyler. - Needle'owie tak samo jak Gideon nie chcą widzieć obcych na farmie.

— Nie wiem. Powinniśmy porozmawiać o tym z Ragnarem.

— Nie ma go tutaj, Luce. Przekradł się z powrotem na farmę, by pomagać panu Dobrochodzkiemu przy jednoroźcach. Wiele z nich choruje.

Jego siostra zmarszczyła brwi.

— No nie. Może to od tego grzyba. No bo skoro zatruł wszystkie ptaki i owady w ogrodzie...

Tyler machnął ręką.

— Teraz to nie ma znaczenia. Nie możemy dłużej czekać. Musimy coś zrobić!

— Nie! Nie możemy nic zrobić, dopóki nie ustalimy, co to konkretnie ma być!

— Jeśli nie chcesz brać w tym udziału - powiedział - zostaw to mnie.

Babcia Paz karmiła kurczaki z tyłu domu, rzucając im ziarno z plastikowego kubelka.

— Karma dla niosek, tak to nazywają - powiedziała mu, jakby o to pytał. - Nie chodzi jednak o noszenie czegokolwiek, tylko o znoszenie jajek.

Mała staruszka, co zaczął odkrywać Tyler, lubiła snuć opowieści na każdy temat, nie tylko na temat Zwyczajnej Farmy. Przy obiedzie zwykle dzieliła się ze wszystkimi przydługimi i czasami zabawnymi opowieściami o którymś z jej krewnych, który albo wpadał w tarapaty, albo popełniał jakąś żenującą gafę. Czasami nawet opowiadała o swojej indiańskiej babci i bardziej odległych czasach, ale nigdy nie wyrwało się jej nic na temat, który Tyler chciał zgłębić najbardziej, dlatego czekał na okazję, by porozmawiać z nią na osobności.

Chodził za nią po podwórku, a ona sypała kurom karmę, która według Tylera wyglądała jak najzwyklejsze ziarno.

— W Australii mówią na nie chooks - powiedziała Paz, jakby o to też zapytał.

Kury łąziły za nią, kiwając łebkami i gardłowo gdacząc.

Tyler nabrał powietrza w płuca.

— Pewnego wieczoru wspomniała pani o... nawiedzanej kopalni.

— Aha, usłyszałeś, co? Zastanawiałam się, czy ktoś mnie o to zapyta. Ty chcesz wszystko wiedzieć, mam rację? Pewnie zawsze się w coś pakujesz. - Zaśmiała się.

Tyler robił, co mógł, by udać rozbawienie.

— Taaak, to cały ja. Czy naprawdę w okolicy jest miejsce, które ma taką nazwę?

Myślał o tym, od kiedy tylko usłyszał tę nazwę - z całą pewnością przypominało to znaczeniowo nazwę Linia Uskoku. A jeśli ktokolwiek w okolicy wiedział o jakichś dziwnych zjawiskach na Zwyczajnej Farmie, to z całą pewnością była to babcia Paz.

— La mina frecuentada. Tak ją nazywali mój ojciec i mi abuelo. Steven miał rację, to znaczy „nawiedzona kopalnia”. Ale nie chodzili tam. Za dużo się słyszało. O całym tym miejscu krążą niestworzone historie.

— Na przykład jakie? - Tyler miał nadzieję, że w jego głosie nie słyhać zbyt dużego zainteresowania, bo w taki właśnie sposób można było wystraszyć dorosłego. Zaczynali wtedy kombinować: „A co będzie, jak mały w coś się wplącze? To będzie moja wina!”. Wtedy milkli. - Opowieści o duchach?

— Takie też. - Znajdowała się już w połowie zagrody, kury i kurczaki tłoczyły się przy ogrodzeniu u jej stóp niczym turyści patrzący na pulchną Statuę Wolności. - Wszystkie opowieści, chłopcze. O potworach też. Te wzgórza kryją w sobie historie dużo starsze niż czasy mojej abuela. Opowiadałam ci o Indianinie, który odkrył Krainę Zmarłych, prawda?

Tyler pamiętał dobrze tę opowieść, ale była to rzadka okazja, by skłonić ją do mówienia.

— Proszę mi opowiedzieć jeszcze raz.

— Nie igraj ze mną, chłopcze. Opowiedziałam raz i wystarczy. Poszedł, żeby sprowadzić z powrotem swoją zmarłą żonę i doszedł aż do Świata Duchów. To było na tych samych wzgórzach - Las Lomas Embujadas, jak nazywali je starzy ludzie, kiedy byłam dziewczynką, Czarodziejskich Wzgórzach.

— Czarodziejskich Wzgórzach?

Stała. Tyler jeszcze nie był zbyt duży, ale i tak mógł spojrzeć jej prosto w oczy. Wzrok jej stwardniał, jakby Tyler powiedział jej coś brzydkiego.

— Powiedziałałam już, nie igraj ze mną, chłopcze. Ty wiesz wiele na ten temat. Widzę to po tym, jak patrzysz, jak słuchasz - jakie pytania zadajesz. Masz to samo spojrzenie, co Octavio, kiedy pierwszy raz się tu pojawił.

— Znała pani Octavia Tinkera?

— Czy go znałam? Mój dziadek wybudował sporą część tego jego wariackiego domu. Kiedy Octavio pojawił się po raz pierwszy, byłam młodą kobietą, więc tak, pamiętam go bardzo dobrze. Zawsze prosił moją babcię, żeby opowiadała mu różne historyjki, tak jak teraz ty to robisz. Jej lud pochodził z plemienia Jaudanczi... ale to też ci już mówiłam. - Znów się uśmiechnęła. - Jesteś bardzo do niego podobny. Uwielbiał tę nazwę, Las Lomas Embrujadas. I podobnie jak ten bogaty ładron Stillman, Octavio chciał kupić starą kopalnię i ziemię wokół niej, by dołączyć ją do tej, którą już posiadał. Ale mój dziadek nie chciał jej sprzedać, o, co to, to nie. Ha!

Tyler już chciał zadać kolejne pytanie, ale dotarło do niego, co powiedziała babcia Paz.

— Zaraz, chwileczkę. Octavio chciał odkupić kopalnię od pani dziadka? Chodzi o tę nawiedzoną kopalnię, o której pani mówiła?

— Tak ją wtedy nazywali. Ja nie powiedziałam, że naprawdę była nawiedzona. - Zmarszczyła brwi, jakby żałowała, że zaczęła tę całą rozmowę. - Ale... w tamtych czasach mój dziadek pozwalał innym kopać tam w poszukiwaniu srebra. Nie sprzedał im kopalni, ale... jak to się mówi...? dzierżawił ją innym. Ale ci ludzie nie zagrzewali w niej miejsca! - Zaśmiała się. - Można nawet powiedzieć, że bardzo szybko się rozmyślali. Dlatego właśnie miała taką nazwę! Pierzchali jak przerażone króliki. I nie wracali!

Zdezorientowany Tyler pokręcił głową.

— Zaraz. Chce pani powiedzieć, że gdzieś na tej farmie jest nawiedzona kopalnia? Miejsce, w którym ludzie widują duchy?

— Kiedyś widywali. Teraz nikt tam nie chodzi. To zbyt niebezpieczne. - Pokiwała głową. - I nie tylko duchy. Wszystko inne. Zwierzęta magiczne. - Wzdrygnęła się i przeżegnała.

— Ale mówi pani, że to jest na waszej posiadłości. Nie na naszej. -

Brzmiało to tak, jakby mówiła o Linii Uskoku. Nie mógł znaleźć w tym sensu.

Babcia Paz znów spojrzała na niego.

— Byłeś tu latem dwa razy i wciąż nie wiesz, gdzie są Czarodziejskie Wzgórza? - Wskazała na łańcuch pagórków kilka mil na zachód, skrytych w purpurowobrązowych cieniach od zachodzącego za nimi słońca. - To są Las Lomas Embrujadas - powiedziała. - A tam, u podnóża największej z nich, znajduje się miejsce, w którym próbowali kopać.

— Ale wydawało mi się, że wszystkie tego typu magiczne obszary znajdują się na naszej farmie - zawsze pani mówiła, że to niebezpieczne miejsce!

— No bo jest! Tam, gdzie mieszkasz, jest Valle del Torbellino, tak ją nazywają, Dolina Huraganu. Lud mojej babki mówił, że dawno, dawno temu Indianin o imieniu Huragan otworzył ziemię, żeby odnaleźć zaginionego syna, i tak właśnie powstało przejście do Świata Duchów!

— A więc wy też na swojej ziemi macie takie przejście? W takim razie dlaczego mówiła pani te wszystkie okropieństwa na temat Zwyczajnej Farmy?

Pokręciła głową z odrazą.

— Ziemia Octavia, czyli ziemia Gideona, jest bardzo zła. Nasza ziemia jest dobra, jak okiem sięgnąć. Tylko tam na północy... - wskazała odległe wzgórze - tam są złe rzeczy. Nie chodzimy tam, więc nie ma sprawy. Krowy są zadowolone, mleko jest słodkie, a duchy nas nie niepokoją. Dlatego właśnie mieszkamy tutaj. Dlatego właśnie nigdy nie zamieszkałabym tam, gdzie ty mieszkasz. - Kiwnęła głową, jakby udowodniła niezwykle skomplikowaną i nieprawdopodobną teorię matematyczną.

Tyler odwrócił się, by pójść do domu z głową pełną złożonych i sprzecznych myśli.

— Nie wejdź tylko w kurzą kupę! - zachichotała Paz.

A więc Carrillowie mają nawiedzone tunele w swoich wzgórzach... - stwierdził w duchu. Nagła myśl kazała mu stanąć i zatamowała powietrze w płucach. Był nią tak zaskoczony, że świat wokół niego zdał się zamilknąć w jednej chwili.

Czy to znaczyło, że ich nawiedzona kopalnia jest... jest w jakiś sposób połączona z Linią Uskoku? Pod ziemią? Co oznacza, że łączy się również ze Zwyczajną Farmą.

To stawiało wszystko w zupełnie innym świetle. Wszystko.

Nawiedzona kopalnia. Czarodziejskie Wzgórza, ta - jak to Paz powiedziała? - Dolina Huraganu. Całe to miejsce jest dziwaczne - cała dolina! Jeśli Octavio nie chciał przyciągać uwagi postronnych, to nic dziwnego, że zaczął nadawać różnym miejscom takie nazwy jak Standard Valley czy Zwyczajna Farma...

Ponieważ to miejsce nigdy nie było zwyczajne.

— Nie wejdź tylko w kurzą kupę! - zachichotała Paz.

A więc Carrillowie mają nawiedzone tunele w swoich wzgórzach... - stwierdził w duchu. Nagła myśl kazała mu stanąć i zatamowała powietrze w płucach. Był nią tak zaskoczony, że świat wokół niego zdał się zamilknąć w jednej chwili.

Czy to znaczyło, że ich nawiedzona kopalnia jest... jest w jakiś sposób połączona z Linią Uskoku? Pod ziemią? Co oznacza, że łączy się również ze Zwyczajną Farmą.

To stawiało wszystko w zupełnie innym świetle. Wszystko.

Nawiedzona kopalnia. Czarodziejskie Wzgórza, ta - jak to Paz powiedziała? - Dolina Huraganu. Całe to miejsce jest dziwaczne - cała dolina! Jeśli Octavio nie chciał przyciągać uwagi postronnych, to nic dziwnego, że zaczął nadawać różnym miejscom takie nazwy jak Standard Valley czy Zwyczajna Farma...

Ponieważ to miejsce nigdy nie było zwyczajne.

# Rozdział 26

## Bestie i brednie

Wieczorami po kolacji Lucinda lubiła poleżeć na dmuchanym materacu w pokoju Carmen i wsłuchiwać się, jak gajówki i drozdy świergoczą w drzewach ocieniających podwórze z tyłu domu Carrillów. Ich dźwięczne trele kołysły jej nerwy i przypominały jej, że chociaż nie znajduje się tam, gdzie by chciała, czyli na Zwyczajnej Farmie, to jednak wciąż przebywa w urokliwym miejscu, w otoczeniu takich przyjaciół jak Carmen czy Alma oraz pozostałych członków ich rodziny. Ale tego dnia ptaki zamilkły, jakby wystraszył je odległy odgłos gromów, które dało się słyszeć od mniej więcej pół godziny.

— Co, znowu burza? - Carmen podniosła wzrok znad laptopa, którym musiała się dzielić z bratem i siostrą i który stanowił przedmiot nieustannych walk o władzę wśród trójki dzieci. - To chyba najbardziej mokre lato, od kiedy pamiętam.

— Nigdy mocno nie pada - stwierdziła Alma. Młodsza siostra Carmen leżała wyciągnięta na podłodze i rysowała kredkami pastelowymi. - I potem tak ładnie pachnie. Jakby wszystko rosło.

— Tak, jeśli tylko nie trzeba wychodzić w deszcz. - Carmen zmarszczyła brwi. - Á propos spraw irytujących, nie wiesz, Lucindo, gdzie podzieli się Steve i twój brat? Wybiegli zaraz po obiedzie, chyba jeszcze przeżuając posiłek. Lucinda zrobiła zdziwioną minę.

— Myślę, że majstrują coś w garażu. Ostatni raz kiedy tamtędy przechodziłam, słyszałam głośne stukanie i łoskot.

— Pewnie budują statek kosmiczny z puszek po napojach -



zawyrokowała Carmen.

— Nie - skorygowała ją Alma. - Wydaje mi się, że Steve mówił, że będą składać sprzęt, żeby... - Zamilkła i podniosła wzrok, kiedy otworzyły się drzwi.

Wychyliła się przez nie Silvia Carrillo.

— Carmen, twój tato i ja obiecaliśmy, że pojedziemy na coś słodkiego do Sotów. Wrócimy około wpół do dziewiątej, ale jeśli nie, to kładźcie się do łóżek i możecie poczytać, dopóki nie wrócimy, dobra? Babcia Paz jest w swoim pokoju i ogląda telewizję, jeśli będziecie czegoś potrzebować. - Zamknęła drzwi i po chwili usłyszały, jak wychodzi przez drzwi frontowe.

Lucinda starała się czytać, ale była rozkojarzona. Może to przez ten zapach i wrażenie zbliżającej się burzy, ale i tak nie szło jej z Lwem, czarownicą i starą szafą. Dzieci z tej książki też znalazły się w magicznym miejscu, ale wszystko im szło gładko i bez problemów, poza tym jak się robiło naprawdę niedobrze, to pojawiał się ten wspaniały „lew Jezus” (jak nazywała go Carmen) i wszystko wracało do normy.

Szkoda, że nie mamy takiego czarodziejskiego lwa Jezusa, pomyślała. Jestem już zmęczona tym, że sami musimy znajdować odpowiedzi na wszystkie pytania.

Pan Dobrochodzki naturalnie nie był Aslanem, ale był najpewniejszym kołem ratunkowym, na jakie mogli liczyć - w końcu był praktycznie greckim bogiem! Przynajmniej Lucinda tak uważała. Z tego, co dowiedziała się z internetu i książek, był chyba faunem, takim greckim duchem lasu, ale za każdym razem kiedy już zdobyła się na odwagę, by go zapytać o jego pochodzenie, wystarczyło jedno spojrzenie na ogorzałą twarz i w jego ciemne, bystre oczy, by odwaga ją opuściła, a w gardle coś jej stawało niczym gęsta owsianka. Było tyle spraw, o które chciała go zapytać - czy bogowie żyli naprawdę? Czy naprawdę żył Herkules? A Jazon i Argonauci, jak w tym zabawnym starym filmie, tak lubianym

przez Tylera? Ale tego popołudnia, kiedy stała z Ragnarem przy ogrodzeniu między Cresta Sol a Zwyczajną Farmą, nawet nie pomyślała, że może go o coś spytać. Było zbyt wiele innych spraw - poważnych spraw. Spraw dotyczących życia i śmierci.

— Nie powinieneś ryzykować powrotu, Ragnarze - powiedział pan Dobrochodzki. Tutaj na skraju posiadłości w biały dzień miał na sobie wysokie buty, by ukryć kopyta, i było mu w nich niewygodnie: podczas rozmowy przestępował z nogi na nogę, a wyściółka w butach, dzięki której noga wyglądała mniej więcej normalnie, marszczyła się z każdym ruchem. - Jak na razie sytuacja z Gideonem i wiedźmą się nie pogorszyła. Powinniśmy taki stan utrzymywać...

Ragnar pokręcił głową.

— Nie, Simosie. Spójrz na siebie - jesteś wyczerpany. Nawet kiedy jeszcze tu byłem, wykonywałeś pracę za dziesięciu ludzi!

Pan Dobrochodzki parsknął tylko.

— A więc teraz wykonuję ją za dziesięciu i pół. Poradzę sobie.

Ragnar uśmiechnął się, słysząc ten żart, ale Lucinda wiedziała, że nie pochwalał tego, jak pan Dobrochodzki tyle na siebie bierze.

— Nigdy go takim nie widziałem - powiedział Ragnar Lucindzie tego dnia rano. - Wydaje się niemal stary.

Co było dość dziwnym stwierdzeniem, zważywszy na to, że pan Dobrochodzki musiał mieć przynajmniej ze dwa tysiące lat, ale teraz, patrząc na kościste oblicze starego Greka i jego podkrążone oczy, zrozumiała troskę Ragnara.

— To nie ja potrzebuję waszej litości - powiedział im pan Dobrochodzki. - Za każdym razem kiedy wiedźma zmusza Gideona do wydawania poleceń, zdaje się on wolniejszy, słabszy i głupszy, niczym drzewo, które nie ma pod dostatkiem wody. Boję się o niego.

Na myśl, że jej stryjeczny dziadek robi się coraz bardziej chory pod opieką pani Needle, jej serce ścisnął strach.

— To wszystko przez tę szklarnię! Wiem, że coś tam jest! Mogę dać panu list, który znalazłam, jeśli zechce pan sam sprawdzić - tam w środku czai się coś naprawdę złego i jestem pewna, że pani Needle wykorzystuje to, by kontrolować wujka Gideona!

Pan Dobrochodzki tylko spojrzał na nią, nie jakby jej nie wierzył, tylko jakby nie miało to znaczenia. Ragnar potrząsnął głową ze smutkiem.

— Gdybym mógł tak po prostu skrócić wiedźmie kark, to bym to zrobił - powiedział wiking. - Ale bogowie jedynie raczą wiedzieć, czy wtedy kiedykolwiek Gideon by wyzdrowiał. To samo by było, gdybym go jej wykradł. Dopóki ona ma władzę, wie, że nie ośmielimy się niczego zrobić.

— Ragnar mówi prawdę, moje dziecko - powiedział pan Dobrochodzki.

— Ale co będzie z tym potworem, który więzi Gideona i który zaatakował mnie?

— Nie pozwolę nikomu kręcić się przy szklarni, o to nie musisz się martwić. - Pan Dobrochodzki odwrócił się, by spojrzeć przez ramię w stronę Zwyczajnej Farmy. Wiatr się zmieniał, nawet Lucinda to poczuła. - Nadciąga kolejna burza - westchnął. - Co będzie dalej, na Zeusa?

— To już postanowione - stwierdził Ragnar. - Wracam z tobą. Trzeba oddzielić chore zwierzęta od reszty stada. Sam nie dasz rady zrobić tego na czas. - Wielkolud przeskoczył ogrodzenie z łatwością osoby znacznie od niego młodszej. - Wiem, że ciężko ci będzie czekać, Lucindo, aleja wrócę wieczorem i opowiem ci o tym, co zobaczyłem. Teraz wracaj do domu. Podczas burzy mogą walić pioruny.

— A będą waliły, będą - stwierdził ponuro pan Dobrochodzki. - I jedynie Mojry, boginie losu, mogą wiedzieć, co przyniosą.

Marchewkowa Dziewczynko!

Usłyszała to tak wyraźnie, jakby ktoś mówił jej do ucha - imię (czy też właściwie pojęcie), jakim młoda smoczyca Desta nazywała Lucindę.

Dźwięk, który nie był dźwiękiem, pojawił się ponownie. Marchewkowa Dziewczynko - na pomoc!

Lucinda zasnęła na dmuchanym materacu w pokoju Carmen - uświadomiła sobie, że znajduje się w półśnie, ale nie odważyła się otworzyć oczu w obawie utraty kontaktu z przerażonym smokiem. Nigdy nie sądziła, że myśli zwierzęcia są w stanie dosięgnąć ją tak daleko od farmy. Jestem tu, Des to. Co się dzieje?

Za dużo się dzieje złego! Wszystko złe. Boję się!

I młoda smoczyca nie martwiła się tylko o siebie. Meseret - Lucinda odebrała to jako obraz, nie jako imię, wielki, ciepły cień w zakamarkach umysłu, który reprezentował matkę Desty - ona też głodna! Inne zwierzęta uciekły! Warczą! Straszą Destę! Inni biegają i krzyczą!

I mimo że te obrazy migotały i wirowały w jej umyśle niczym wystraszone nietoperze, Lucinda czuła coś jeszcze - Desta próbowała polecieć. Lucinda wyczuwała, jak młoda smoczyca szarpie się w swojej obroży, stara się rozwinąć skrzydła i wzbić w niebo.

Jest gotowa! Nawet pomimo tego zamieszania i lęku Lucinda poczuła przypływ emocji. Jest gotowa, by latać!

Powiedz mi, co się dzieje, Desta. Co się dzieje?

Wszystko źle. Brzydko pachnące zwierzęta wyszły na polowanie. Przez chwilę Lucinda niemal zobaczyła to wszystko oczami Desty - skradający się cień na czterech łapach, blady pysk z pomarańczowymi ślepiami zaglądający do Gadziej Obory - i zimny dreszcz przebiegł jej po krzyżu.

Jedna z mantykor znalazła się na wolności.

Lucinda usiadła na materacu. Pokój Carmen był opustoszały i panował w nim półmrok, a światło konającego wieczoru zmieniło wysokie okno w prostokąt z fioletową poświatą. Słyszała jak przez mgłę telewizor grający w pokoju babci Paz w drugiej części korytarza. Na zewnątrz drzewami miotał silny wiatr, a pierwsze krople deszczu już rozpryskiwały się na

szybach.

Nagle myśli smoczyzy zniknęły jej z głowy.

Skoncentruj się, upomniała się Lucinda. Desta? Desta, czy mnie jeszcze słyszysz? Chwila kontaktu była równie nieuchwytna, jak mydło na dnie wanny czy pestka z arbuza śmigająca po talerzu za każdym razem, kiedy próbowało się ją schwytać w palce. Skoncentruj się. I oto nadszedł, jedynie na krótką chwilę, ostatni, urywany przekaz od przerażonego smoka...

Biegają. Ta myśl przemknęła przez umysł Lucindy niczym cień na okiennej zasłonie. Wiatr i coraz większa ciemność. W ciepłym deszczu wszystko dziwnie pachnie. A polujący wciąż czają się na zewnątrz Gadziej Obory, ale zbierają się na odwagę, by do niej wejść - teraz było ich więcej niż jedno i wydawały podekscytowane, bezdźwięczne szczeknięcia, przypominające odgłos siekiery zagłębiającej się w drewno...

Lucinda poczuła chłód na skórze. Czy to naprawdę \ miało miejsce? A może to tylko jakiś smoczy koszmara? Ale w głębi serca wiedziała, że to wszystko jest aż nadto realne. Od pierwszej chwili, kiedy zobaczyła nowe zwierzęta strażnicze Gideona, mantykory przeraziły ją do szpiku kości. Ale w jaki sposób się wydostały? I co ważniejsze, jeśli dopiero Alamu zabił jedną z nich, to w jaki sposób pracownicy z farmy będą w stanie zapędzić całą resztę z powrotem do klatek?

Łzy bezsilności pociekły jej po policzkach. Lucinda wyskoczyła z łóżka i pognęła przez korytarz.

— Tyler! - krzyknęła, wypadając przez tylne drzwi i kierując się do garażu. Zobaczyła, że w środku chłopcy rozbili namiot - przez brezent widać było światło, ale ich nie słyszała. - Tyler, coś się dzieje na farmie! Coś naprawdę złego!

Żadnej reakcji. Żadnego ruchu.

— Tyler, nie wygłupiaj się! - Szarpnęła za burtę namiotu i zajrzała do

środka. - Ja właśnie... Desta właśnie...

Zamilkła, kiedy zobaczyła, że to bezcelowe. Namiot był pusty, jeśli nie liczyć sterty komiksów i magazynów o grach komputerowych. Tylera i Steve'a nie było w środku.

Z pomocą Carmen i Almy - a także, kiedy w końcu zrozumiała, co się stało, babci Paz - Lucinda wywróciła dom Carrillów do góry nogami, ale nigdzie nie znalazła chłopców.

— Gdzie oni mogli się podziać? - krzyczała Paz. - Żarty sobie z nas stroją?

Carmen wyszła z kuchni.

— Nie, naprawdę ich nie ma. Zabrali ze sobą prowiant. Kanapki. I niczego nie odłożyli na miejsce - nawet majonezu!

— O ósmej wieczorem? - Babcia Paz była zirytowana. - Po co? Przy kolacji napychali się jak świnki...

— Ponieważ nie zamierzają od razu wracać - powiedziała Lucinda, nagle czując zawrót głowy. - Oni są...

Alma wróciła do domu z ociekającymi wodą włosami i z kartką papieru w dłoni.

— W namiocie znalazłam list.

Paz wyrwała jej kartkę z ręki. Lucinda i dziewczynki nachyliły się nad jej ramieniem, by przeczytać.

Wyszliśmy w ważnych sprawach wkrótce wrócimy. Nie martwcie się o nas nic nam nie będzie.

— Mój brat ma alergię na przecinki - powiedziała Alma, ale wyglądała na mocno przestraszona. - Jak myślicie, dokąd oni poszli?

— Po co mieliby dokądkolwiek iść? - zapytała stanowczo babcia Paz. - Smarkacze! A do tego jeszcze ta burza!

— O nie, nie. - Lucinda nagle przypomniała sobie, z jakim przejęciem Tyler mówił o tym, co mu powiedziała Paz. - To sprawka Tylera. Założę się, że wraz ze Steveem będą chcieli wrócić na Zwyczajną Farmę.

Carmen wyglądała na mocno wstrząśniętą.

— A w jaki sposób? Tam jest ogrodzenie pod napięciem! Nawet mój brat nie jest aż tak głupi!

Lucinda opadła na kanapę w salonie.

— Nie sądzę, żeby chcieli dostać się tam przez ogrodzenie. - Zwróciła się do babci Paz: - Tyler mówił, że opowiadała mu pani o tunelu czy czymś takim, co ponoć łączy tę posiadłość z farmą Gideona, jakimś... podziemnym pasażu.

Starsza kobieta szeroko rozwarła oczy.

— Och, mój Boże, przecież nie poleźliby tam, prawda? Do starej kopalni? To straszne miejsce!

— Czyli takie, w które mój brat lubi się pakować. - Lucinda miała ochotę się rozzłościć na niego, ale była przerażona. Co powie mamie? - On uwielbia takie klimaty... Och, Tyler, ty kretynie! Wszystko dlatego, że tak się zawziął na Colina Needle'a i kontiniu... - Nagle uświadomiła sobie, że Paz wciąż stoi obok. Nieważne. Co robimy? Gdzie to jest. Jak możemy ich dopaść, zanim się pozabijają?

— Wezmę mój wóz - powiedziała Paz. - Wiem, dokąd idą, i jeśli nie wyszli za wcześnie, możemy ich dogonić. Wy, dziewczynki, włóżcie kurtki i buty i wsiadajcie do samochodu. Dios mio, a to dwa gałgany! Zleję ich na kwaśne jabłko!

Kiedy Carmen i Alma pobiegły, Lucinda powiedziała do Paz: - Ja nie jadę. Ktoś musi tu zostać, by powiedzieć Ragnarowi, co się stało - będzie wkrótce z powrotem. Jeśli dotrą do tej kopalni, czy co to tam jest, przed wami, to właśnie Ragnar będzie właściwą osobą, żeby po nich pójść.

A jeśli jeszcze nie wie o tym, że mantykory wylazły, pomyślała, cóż, to kolejna sprawa, którą trzeba się zająć. Chciało jej się płakać, ale nie mogła marnować resztek sił na wyciskanie łez. Szykowała się straszliwa, naprawdę przerażająca noc.

Babcia Paz uniosła w górę dłonie w geście poddania.

— O czym ja myślę? Muszę zadzwonić do Silvii i Hectora, powiedzieć im, co ci mali idiotas nawyczyniali. Kiedy usłyszą, od razu wrócą od znajomych, więc długo sama nie będziesz.

Niecałe trzy minuty później Lucinda stała na podjeździe i patrzyła, jak wielki, stary samochód babci Paz podskakuje na żwirowej nawierzchni i niezwykle powoli kieruje się w stronę bramy głównej Cresta Sol. Mżawka ustała, ale niebo było zachmurzone i powietrze wilgotne, a ciepła bryza szarpała ją za włosy.

— Pospieszcie się! - zawołała za nimi Lucinda, ale wrócił do niej tylko odgłos potężniejszego wiatru.



# Rozdział 27

## Dziwne sceny w kopalni srebra

Nie chcę cię krytykować, ale czy właśnie na tym polega twój plan? - Steve Carrillo był dzieckiem słusznych rozmiarów - w parce wydymanej wiatrem, pobrząkując manierką, latarką i kilkoma innymi urządzeniami zwisającymi mu z plecaka, wyglądał niczym namiot, który sam wyrwał śledzie z ziemi i komuś uciekł. - Mamy iść milion kilosów w tym deszczu? A błoto? A to, że robi się ciemno? Czy wspominałem już, że do tego jeszcze pada?

— Ciesz się, że to lato, przynajmniej jest ciepło - powiedział Tyler. - A z deszczu wkrótce zejdziemy.

Przynajmniej taką miał nadzieję. O opuszczonej kopalni srebra babci Paz wiedział tylko to, że znajdowała się na mapie, ale zupełnie nie miał ochoty zastanawiać się nad tym, co zrobią, jeśli tam dotrą i nie będą mogli wejść do środka. Już wyobrażał sobie, co powie Lucinda na temat jego najnowszego pomysłu, i nie będzie to: „Nieźle to wymyśliłeś!”.

Steve rozpoczął przygodę w swoim zwykłym dobrym nastroju.

— Nie powinniśmy wziąć jakiejś spluwy albo czegoś takiego? - zapytał, kiedy wyruszyli w ciepły, szarobłękitny wieczór w nawrotach letniej burzy. - No bo wiesz, na wypadek gdybyśmy trafili na jakieś, no, potworności. Smoki? Bo ja wiem?

— Spluwę? - Tyler był wstrząśnięty i nieco zaintrygowany tym pomysłem. - Ty nie masz spluwy, Carrillo.

— No, niby nie mam, ale mój wujek ma strzelbę, z której strzela do wron. Mógłbym ją zdobyć. A ja mam moją strzelbę do paintballa. Stary,

czy ty wiesz, jakiego mam z niej cela?

Tyler parsknął.

— Jasne, i gdybyśmy chcieli smoka przemalować na żółto, wybór padłby na ciebie. Ale za chwilę wejdziemy do tuneli. Tam pewnie buszują tylko myszy.

— I węże. I pająki. I jeszcze węże. - Steve zatrzymał się. - Może powinniśmy przemyśleć sposób, w jaki to zrobimy, Jenkins. Babcia Paz mówi, że to nawiedzone miejsce!

Tyler pokręcił głową.

— Jakie tam nawiedzone. Łączy się z Linią Uskoku, jak ci już tłumaczyłem. Więc prawdopodobnie co jakiś czas wylezie z niej coś dziwnego, jak na farmie. Ale ja wiem, jak sobie poradzić z Linią Uskoku, stary. Mogę wejść i wyjść, kiedy zechcę. Już to robiłem!

— Jasne, byłem tam. Do bani. - Steve wzdrygnął się. - Stary, tam, gdzie ostatnio byłem z tobą, starał się mnie zeżreć jakiś badziewiasty potwór ze starych szmat.

— To nie było za Linią Uskoku, tylko po drugiej stronie lustra. To duża... różnica. - Tyler powiedział to, choć nie wiedział, czy była to prawda. Przecież nie mógł tego sprawdzić w encyklopedii.

— Mnie tam jest wszystko jedno, czy potwory z zębami, które chcą nas zeżreć, wyskakują z lustra, z dziury w ziemi czy nawet z paczki płatków śniadaniowych - zadeklarował z mocą Steve. - Potwór plus zębiska równa się nieszczęście.

— Tak czy inaczej, sam wlałeś w to lustro - to ja cię stamtąd wyciągnąłem, zapomniałeś?

Mimo to Tyler nie mógł się nie zgodzić z podstawowym założeniem Steve'a Carrilla. Z każdą minutą marszu przez ciemną przestrzeń w stronę wylaniających się wzgórz coraz mniej podobał mu się jego własny plan.

Tyler miał nadzieję, że bezproblemowe odnalezienie wąskiej drogi

wiodącej do kopalni u podnóża wzgórz to dobra wróżba. Snopy światła latarek znaczyły jasny szlak przez wirujące krople deszczu i po półtorakilometrowej wspinaczkę pod górę dotarli do głównego wejścia do kopalni - framugi z bali drewnianych, okalających dziurę w ziemi u podstawy skalistego klifu. Ktoś przybił na niej gwoździami przedpotopowe deski jako zaporę, ale nie było tu tablic z napisami „Wstęp wzbroniony!”, „Tak, o was chodzi!” ani niczego takiego, czego mógł się spodziewać Tyler po projekcji sobotnich kreskówek. Napis nad głównym wejściem pewnie kiedyś obwieszczał nazwę kopalni, ale deszcz, wiatr i słońce zeszkrobały drewno do czysta już dawno temu. Wystarczyło tylko się schylić i można było stanąć po drugiej stronie.

W oddali zadudnił grom.

— Nic z tego - powiedział Steve, spoglądając z odrazą na wejście. - Daj spokój, tylko popatrz na to! W takich norach żyją zombi. I my mamy tam... wejść?

— Zombi nie żyją. Ale tak, właśnie tam idziemy. - Tyler zdjął plecak i napił się łyka z manierki. - Możesz sobie tu zostać, jeśli chcesz. Twoi starzy pewnie już zadzwonili do szeryfa. Podwiezie cię do domu.

— Jeśli w ogóle zastaną mnie przy życiu. Chyba ci odwaliło, Jenkins. Nie będę tu siedział i czekał, aż wilki i niedźwiedzie mnie pożrą.

Zadudnił kolejny grom, tym razem bliżej. Tyler zaczął dostrzegać rozmazane świetlne plamy nad odległymi górami po drugiej stronie Zwyczajnej Doliny, za farmą Gideona. - No to wybieraj, policja czy dzikie zwierzęta. Może też cię trafić piorun - powiedział Tyler. - Zawsze istnieje taka ewentualność.

Steve zrobił minę znamionującą krańcowe obrzydzenie.

— Stary, jak ja cię nienawidzę. Bardziej cię nienawidzę niż zadań domowych.

— Jasne. Idę pierwszy.

Pierwsza część była łatwa - szli po schodach. Opadały łagodnie w

nieobrobioną sztolnię, układając się w ciąg chwiejących się drewnianych drabin i stopni, aż Tyler doszedł do wniosku, że zeszli na głębokość czterech, pięciu pięter budynku. Dziadek Steve'a i jego robotnicy (czy kto to wszystko wykopał) solidnie skonstruowali całość - schody skrzypiały i chwiały się, ale nigdy nie odczuwali prawdziwego zagrożenia, choć Steve Carrillo był najwyraźniej przekonany, że jeden fałszywy krok dzieli ich od bezwładnego runięcia do samego jądra Ziemi.

— Patrz - powiedział Tyler, kierując snop światła w dół. - Widać dno. To jak wspinanie się po drzewie. Udawaj, że rozgrywasz wszystko na sześćdziesięciu czterech bitach.

— Czy to oznacza, że za chwilę znikąd pojawi się wielki goryl i zacznie rzucać w nas beczkami?

— Ho, ho. - Tyler dotarł do głównego szybu. Oświetlił ściany. Ostatnia drabina kończyła się w naturalnym zagłębieniu na tyle wysokim, że można było w nim stanąć bez kucania, choć trzy tunele, które od niego prowadziły, wyglądały na o wiele mniej przestronne. - Jak myślisz, którądy powinniśmy pójść?

— No jasne - odparł Steve. - Zaraz uwolnię mojego psa tropiącego cyborgi... - Jego palce błyskawicznie zawirowały na wymagowanym panelu gier, po czym zmarszczył czoło i zwrócił się do Tylera: - Naprawdę, stary, to twoja działka.

Tyler przykucnął u podstawy drabiny, by się zastanowić. Przekrzywił głowę i nawet wciągnął w nozdrza ciepłe, zatęchłe powietrze. Gdyby to był film, pewnie poczułby coś, albo wywęchał, albo usłyszał, i znalazłby odpowiedź za pomocą swej genialnej dedukcji, ale to nie był film. Świecił latarką wzdłuż ścian.

— Baterie nie działają wiecznie - przypomniał mu Steve, ale w głosie przyjaciela dawało się wyczuć drugie dno, lęk, który zaniepokoił Tylera bardziej niż słowa. Może Lucinda miała rację. Może zbyt pochopnie rzucał się na wszystko. Może nie powinien wciągać Steve'a Carrilla do

swego szalonego planu...

Robił, co mógł, by uspokoić myśli. Jeśli jaskinia jest w jakiś sposób połączona z Linią Uskoku, zastanawiał się, to może w jednym z tuneli wyczuje ciąg powietrza. Polizał palce i ostrożnie przesunął nimi przed sobą, po czym odwrócił się i zrobił to samo z drugiej strony.

— Z pewnością istnieje lepsza droga na farmę twego wuja, Tyler, mówię poważnie - przemówił Steve. - Przecież ta angielska dama go nie zabije ani nie zrobi niczego złego. Ona go potrzebuje! - Spodobała mu się ta myśl. - Możemy więc równie dobrze wrócić do mojego domu. Może moi rodzice nawet znają jakieś inne miejsce, gdzie możemy wleźć do tunelu wychodzącego na posiadłość twojego wuja...

Tyler zignorował go. Robił, co mógł, by przypomnieć sobie, co poczuł, kiedy po raz pierwszy wszedł przez Linję Uskoku. Było to przerażające uczucie, ale też takie, jakiego nigdy wcześniej nie doznał. Po chwili ruszył pierwszym tunelem i stanął w nim z zamkniętymi oczami i wyciągniętymi dłońmi, następnie w drugim zrobił to samo.

— Co ty robisz? - zapytał Steve. - Prosisz duchy o pomoc? Ene, due, rike, fake...

— Stary, zamknij się, dobrze?

Z początku trzeci tunel nie różnił się niczym od dwóch pierwszych, ale po kilku chwilach Tyler zaczął odczuwać coś na kształt ruchów powietrza. To wystarczyło, by podjąć decyzję. Musiała to być właściwa droga - każdy inny wybór byłby błędny.

— W tę stronę - zawyrokował, po czym pochylił głowę i ruszył w głąb tunelu. Słyszał, jak Steve gramoli się za nim, mrucząc coś posępnie do siebie.

— Ile tu już jesteśmy? - Steve starał się przejść bokiem przez wąski przesmyk korytarza, ale utknął, bo miał plecak na ramionach. Tyler poluzował mu pasy, żeby mógł go zdjąć. - Mnie się wydaje, że już kilka dni - narzekał Steve. - To ciągnie się w nieskończoność!

Tyler zerknął na zegarek.

— Jest dziesiąta. Jesteśmy tutaj od godziny.

— Żadnych takich. Tylko od godziny? - Steve zaczął wciągać plecak na ramiona, po czym westchnął. - Zapomniałem o ciemnościach.

— Co to znaczy, że zapomniałeś?

— Poruszanie się w egipskich ciemnościach jest naprawdę przerażające, stary. Nawet jeśli się ma latarkę.

— Jasne. To jakby podróż po innym wszechświecie.

— Nie mów tego na głos! - Steve rzucił plecak na ziemię i zaklął. - Naprawdę muszę odetchnąć. Może byśmy coś przekąsili?

Tyler pokiwał głową.

— Kiedy wyjdziemy z tego tunelu do następnej większej jaskini.

Ktokolwiek zbudował tę kopalnię, drażył tunele łączące kompleks naturalnych jaskiń, niskich, kanciastych przestrzeni z szarymi, połyskliwymi ścianami, które przypominały nieco topiące się lody, ale w kilku miejscach otwierały się na komnaty o różnej wielkości, czasami rozmiarów małego domku. Obydwaj chłopcy dziękowali w duchu, że nie natrafili na węże czy pająki, ale odkryli, że w jaskiniach mieszka mnóstwo nietoperzy, więc kiedy dotarli do kolejnej jaskini, Tyler musiał przez chwilę szukać miejsca na postój, żeby nie siedzieli po uszy w nietoperzym guanie. Atmosfera tego miejsca jednak najwyraźniej nie przeszkadzała Steve'owi: Tyler ledwo dwa razy ugryzł swoją kanapkę, a kanapka Steve'a już zniknęła.

— Pozwij mnie do sądu! - powiedział Steve, widząc wyraz twarzy Tylera. - Po tych wszystkich wygibasach głodny się zrobiłem. - Głośno gulgocząc, wziął spory łyk z manierki. - I spragniony!

— Zwolnij trochę z tą wodą. Nie wiem, ile czasu zajmie nam dotarcie do farmy.

Tyler poczuł, że dobrze wybrał tunel - już sam fakt, że szli tak długo (czasami pełznąc i ciągnąc swoje plecaki za sobą), świadczył o tym, że to

przejście prowadziło do Zwyczajnej Farmy.

— Nie mówiłeś mi, co zrobimy, jak już tam dotrzemy.

— Właśnie, że mówiłem.

— A właśnie, że nie. Było tylko „kiedy tam dotrzemy, to się zastanowimy, co robić dalej”! Jak w kreskówce. Jak w Agencji Mrówniku.  
- Zmarszczył brwi. - Czyli wychodzi na to, że ja jestem surykatka Mugsy.  
Kupa.

— Cóż, musimy się dowiedzieć, co tam knują. Colin Needle z matką.

— Stary, wiesz, że masz lekką obsesję, tak?

— Wcale nie! On ma kontiniuoskop, co oznacza, że uczy się go obsługiwać i będzie mógł podróżować w czasie! A jego matka ma teraz pełną kontrolę na Gideonem. Zahipnotyzowała go! Co oznacza, że mogą zrobić z farmą, na co tylko im przyjdzie ochota.

Steve posłał mu spojrzenie, które aż nadto dobitnie mówiło: „do wariata trzeba podchodzić ze spokojem”.

— A więc mamy z nimi zadrzeć. A jak ona rzuci na nas czar? Co będzie, jak cofną się w czasie i na przykład zamordują naszych dziadków?

Tyler nawet nie zastanawiał się nad tym, co mógłby zrobić Colin Needle, by w ten sposób zmienić bieg wydarzeń. W filmach science fiction właśnie wtedy wszystko zaczynało się walić, a potem padała cała cywilizacja i wszyscy zmieniali się w mutantów morderców. Tak więc Colin Needle i jego zwariowana, wredna matka mogli nie tylko ukraść Zwyczajną Farmę - mogli przypadkowo czy nawet celowo zniszczyć cały świat.

— No pięknie! - rzucił Tyler i uderzył dłońmi po udach, zniesmaczony, że wcześniej o tym nie pomyślał. Dźwięk odbił się pogłosem w niewielkiej, wysokiej jaskini i powędrował tunelami w obie strony - Tyler nic nie widział, ale wszystko słyszał.

Echo z korytarzy powtarzało ten dźwięk w nieskończoność, dłużej, niż powinno. Odgłos plaśnięcia zdawał się zmieniać w coś innego, w coś

odrobinę subtelniejszego...

— Czekał - rzucił cicho Tyler. - Co to takiego?

— Co, co takiego? - Steve rozglądał się na boki, ale w nikłym świetle wokół widać było tylko kamień. - Nie rób tego - nie strasz mnie! O czym mówisz?

Odgłos narastał.

— To. Brzmi jak... kroki. - Wolny odgłos człapania, drap i klap, drap i klap. - Ciii. - Tyler uniósł dłoń. - Ktoś nadchodzi.

— Stary! - Steve wyglądał, jakby zaraz miał dostać zawału. Starął się mówić szeptem - miał tak wielkie oczy, że białka niemal świeciły po ciemku. - Żartujesz sobie, tak? - Ale Steve teraz też już to usłyszał. - To pewnie ktoś poszedł za nami - może tato!

Tyler powiedział:

— Nie, posłuchaj. Dźwięk nadchodzi z drugiej strony.

— O nie, na pewno nie! - Steve rzucił się do tunelu, z którego przyszli, ale Tyler złapał go za rękaw kurtki i przytrzymał, mimo że chłopak prawie postawił go na nogi.

— Steve, nie ruszaj się!

Znów usłyszeli kroki... klap... zgrzyt... klap... zgrzyt. Tyler skierował latarkę w stronę drugiego tunelu. Coś się tam poruszało, jakiś kanciasty kształt. Serce Tylera biło nieregularnym rytmem, przystając co chwila. Nagle ciemna sylwetka wyłoniła się w jaskini i weszła w krąg światła latarki.

Starszy pan z gęstą czupryną w czarnym garniturze stanął ledwo o kilka metrów od nich, mrugając i starając się zasłonić oczy dłońmi. Miał sumiaste wąsy niczym Mark Twain na ilustracjach z podręczników szkolnych i jednodniowy, siwy zarost na brodzie. Jego twarz była znajoma - niezwykle znajoma. Tyler gapił się tylko z rozwartą buzią, ale dźwięki wydawane przez Steve'a Carrilla świadczyły, że coś wielkości piłki futbolowej utkwilo mu w gardle.



— Stary, widziałem tego gościa! W bibliotece na twojej farmie, na tym portrecie! - Steve wciągnął powietrze przez zęby, a jego szept zmienił się w skrzek, jakby nałykał się helu. - Ale... ale ja myślałem, że on nie żyje!

— Bo nie żyje - powiedział Tyler, cofając się przed zjawą. Serce chciało mu wyskoczyć z klatki piersiowej. - Bardzo, ale to bardzo nie żyje. Steve, to Octavio Tinker!

# Rozdział 28

## Dziwni sojusznicy

Przez ostatnie pół godziny Lucinda chodziła tam i z powrotem po salonie Carrillów. Była na tyle rozkojarzona, że nie mogła czytać, a w telewizji nie potrafiła znaleźć niczego ciekawego - mówiąc szczerze, była tak zdenerwowana i przejęta, że wsłuchiwała się w odgłosy gromu letniej burzy i deszczu bębniącego o dach.

Dlaczego Ragnar nie wraca? Potrzebujemy go! Tyler, jeśli jeszcze jest na dworze, musi być przemoknięty do suchej nitki, pomyślała, ale była bardziej zła na brata, niż mu współczuła. Jak on mógł coś takiego zrobić! Nie wie, jakie to niebezpieczne? Nie chodziło tylko o zejście do starej kopalni, choć już ten występek miał Certyfikat Głupoty Tylera. Nawet jeśli zdoła się dostać na Zwyczajną Farmę, to co wtedy zrobi? To był koszmar - niebezpieczne zwierzęta chodziły sobie luzem i, według Desty, wcale nie w miejscach, w których powinny...

Nagle złość z niej odpłynęła, zostało tylko przerażenie - prawdziwe i dojmujące. Najwyraźniej wszystko dziś zostało położone na szali - bezpieczeństwo Tylera, farma, smoki, a ona musi czekać na powrót Ragnara. A co będzie, jeśli nie wróci?

Lucinda rzuciła się na kanapę i starała wrócić do lektury, ale nie była w stanie śledzić tekstu - słowa odpływały niczym przestraszone ryby.

Z początku niemal nie usłyszała tych odgłosów z powodu szczególnie głośnego trzasku pioruna, który zdawał się uderzyć tuż nad jej głową, ale kiedy ucichły pomruki gromu, wciąż odnosiło się wrażenie, że dom trzęsie się w posadach. Puk, puk, puk! Ten, kto stał przed drzwiami domu

Carrillów, nie dawał za wygraną: puk, puk, puk, puk! Lucinda zeskoczyła z kanapy, ale zatrzymała się przed drzwiami.

— Kto tam?

— To ja - odpowiedział męski głos i przez chwilę świadomość, że nie jest to Ragnar ani nikt znajomy, sprawiła, że serce jej zatrzepotało. - Umawialiśmy się, pamiętasz?

Zanim Lucinda otworzyła drzwi, upewniła się, że łańcuch jest założony. Kiedy zerknęła na zewnątrz, zobaczyła drzewa miotane wichrem i deszcz padający na tle lamp oświetlających dziedziniec przed domem. Nie był to Ragnar, ale jakiś przystojny, starszy pan w drogiej wiatrówce, któremu wiatr rozwiewał siwe włosy na wszystkie strony.

— Kim pan jest? - zapytała.

był koszmar - niebezpieczne zwierzęta chodziły sobie luzem i, według Desty, wcale nie w miejscach, w których powinny...

Nagle złość z niej odpłynęła, zostało tylko przerażenie - prawdziwe i dojmujące. Najwyraźniej wszystko dziś zostało położone na szali - bezpieczeństwo Tylera, farma, smoki, a ona musi czekać na powrót Ragnara. A co będzie, jeśli nie wróci?

Lucinda rzuciła się na kanapę i starała wrócić do lektury, ale nie była w stanie śledzić tekstu - słowa odpływały niczym przestraszone ryby.

Z początku niemal nie usłyszała tych odgłosów z powodu szczególnie głośnego trzasku pioruna, który zdawał się uderzyć tuż nad jej głową, ale kiedy ucichły pomruki gromu, wciąż odnosiło się wrażenie, że dom trzęsie się w posadach. Puk, puk, puk! Ten, kto stał przed drzwiami domu Carrillo w, nie dawał za wygraną: puk, puk, puk, puk! Lucinda zeskoczyła z kanapy, ale zatrzymała się przed drzwiami.

— Kto tam?

— To ja - odpowiedział męski głos i przez chwilę świadomość, że nie jest to Ragnar ani nikt znajomy, sprawiła, że serce jej zatrzepotało. - Umawialiśmy się, pamiętasz?

Zanim Lucinda otworzyła drzwi, upewniła się, że łańcuch jest założony. Kiedy zerknęła na zewnątrz, zobaczyła drzewa miotane wichrem i deszcz padający na tle lamp oświetlających dziedziniec przed domem. Nie był to Ragnar, ale jakiś przystojny, starszy pan w drogiej wiatrówce, któremu wiatr rozwiewał siwe włosy na wszystkie strony.

— Kim pan jest? - zapytała.

— A ty kim jesteś? - warknął na nią. Lucinda pomyślała, że to niezbyt grzecznie. - Przyszedłem spotkać się z Silwią i Hectorem Carrillem.

— Nie ma ich w domu. - Było w nim coś znajomego, co nie dawało jej spokoju. - Będzie musiał pan przyjść kiedy indziej...

— Jeszcze czego. Zaczekam. - Zmrużył oczy. - Zaraz, chwileczkę. Widziałem cię już wcześniej. - Jego jasne oczy rozszerzyły się pod wpływem zaskoczenia. - Wiem, kim jesteś. Nazywasz się Jenkins.

— Nie wiem... nie wiem, czego pan... - Lucinda nagle zrozumiała, kto to jest, i starała się zamknąć drzwi, ale mężczyzna włożył nogę w szparę.

— Nie rób tego - powiedział beznamiętnie. Nie była to prośba. - W samochodzie mam kilku dużych facetów. - Wskazał głową szykowny, czarny pojazd zaparkowany na podjeździe. Pomimo kolejnej błyskawicy, która rozświetliła wszystko na zewnątrz, nie mogła niczego zobaczyć przez zaciemnione szyby. - Jak ich zawołam, to wykopią drzwi i bardzo szybko zrobi się nieprzyjemnie. To jak, wpuścisz mnie, panienko?

— Pan jest Edward Stillman, prawda? Ten, który chce przejąć farmę wujka Gideona?

Nie wiedziała, co ma zrobić. Przecież nie mogła go wpuścić, prawda? Ale Carrillowie znali go i rozmawiali z nim, słyszała o tym wiele razy. W końcu zsunęła zasuwkę łańcucha z prowadnicy i cofnęła się od drzwi.

— Bardzo rozsądnie. - Stillman wszedł do środka i strzepnął wodę z włosów i ramion. - To pierwsze mądre posunięcie, jakie ktokolwiek ze Zwyczajnej Farmy zrobił od dawna. - Podniósł wzrok i spojrzał na nią, na całe szczęście nie jak obleśny staruch, ale jak normalny, miły dorosły. -

Masz na imię Linda, prawda?

— Nie, Lucinda.

— A tak. A twój brat to Tyler. Gdzie on jest? I dlaczego, Kopciuszku, musiałaś zostać w domu w swój wielki wieczór? Nie wiesz, co robią dzisiaj w domu twojego stryjecznego dziadka?

Nie miała pojęcia, o czym mówi, chyba że ktoś jeszcze wiedział o mantykorach hasających luzem, ale to raczej było nieprawdopodobne.

— Mojego brata nie ma. Carrillów też nie ma i myślę, że powinien pan sobie pójść. Bo inaczej... wezwę policję...

Stillman roześmiał się.

— Co, chcesz dzwonić do biura szeryfa Yokuts County? W taką noc wszyscy pewnie siedzą u Rosie, przesłuchując ciasto i kawę, i gratulują sobie, że są pod dachem.

— W takim razie zadzwonię na numer alarmowy...

Pokręcił głową.

— Nie bądź głupia, dziecko - nic ci nie zrobię. Nie jestem jakimś tam... bandziorem, no wiesz. Twój Gideon... to on mi ukradł moją farmę. I teraz podejrzewam, że stara się odebrać mi ją na zawsze. Ale rozumiesz, ja mu na to nie pozwolę. - Stillman wyciągnął z kieszeni płaski telefon, nie większy niż kilka kart do gry, i wcisnął przycisk. - Dotarliście już do kogoś? - zapytał osoby po drugiej stronie i chwilę później warknął z niesmakiem: - No to próbujcie dalej! I łapcie też Dankle'a. - Wsunął telefon z powrotem do kieszeni na piersi.

Lucinda, która rozglądała się wokół, starając się zdecydować, czy jest w stanie uciec z domu Carrillów tylnymi drzwiami, nagle podniosła na niego wzrok.

— Dankle? - powtórzyła. - Znam to nazwisko. To ten prawnik.

Ten, który spotkał się z Kingareem w parku czwartego lipca. Czyżby Stillman to wszystko ustawił?

Miliarder posłał jej poirytowane spojrzenie. Jak na człowieka o miłej

twarzy, pomyślała Lucinda, nieczęsto ma uprzejmą minę.

— No pewnie, że go znasz - nie graj ze mną w głupka, panienko. To prawnik twojego stryjecznego dziadka, ten, który wpisze ciebie i twojego brata Tylera do testamentu, żebyście mogli odziedziczyć farmę. Jasne jak słońce, że go znasz.

— Prawnik wujka Gideona...? - Nagle Lucinda poczuła, jak grunt kruszy się jej pod nogami. - Dankle jest też prawnikiem wujka Gideona? To ten sam człowiek?

— Ten sam...? Słuchaj, mała, w co ty grasz?

Stillman wskazał jej kanapę. Usiadła, a on dostawił do niej krzesło i zajął miejsce na wprost niej. Deszcz wciąż mocno bębnił w dach, ale odgłosy gromu zdawały się odchodzić gdzieś dalej. Spojrzenie Stillmana było twarde i pozbawione układności.

— Mów. Co wiesz o tym prawniku?

Lucinda wzięła głębszy wdech.

— Nie. Pan mówi pierwszy, chyba że ma mnie pan zamiar pobić czy coś takiego. Powie mi pan, o co tu chodzi, albo się zatnę i będziemy musieli poczekać na Carrillów. A to może być lada chwila!

Stillman wpatrywał się w nią - niemal widziała, jak jego mózg pracuje na najwyższych obrotach, niczym komputer analizując dziesiątki scenariuszy i możliwości w kilka sekund. Był inteligentny - musiała o tym pamiętać. Był mądry, podły i bogaty.

W końcu wyprostował się na krześle.

— No dobra, mała, wygrałaś. Zamiast bawić się w inkwizycję, zawrzemy układ. Ja ci coś powiem, a potem ty mi coś powiesz. Umowa stoi?

Starła się nadać swemu głosowi nutę pewności siebie - Stoi.

— Zaczniemy od prawnika - powiedział Stillman. - To Barnaby Dankle. Wyszukuje klientów wśród pacjentów pogotowia ratunkowego w Liberty. Gideon korzysta z jego usług od lat - głównie dlatego, że tamten

jest tani, a Gideon to skąpiradło, ale również dlatego, że Dankle umie nagiąć kilka przepisów i spojrzeć w drugą stronę za dodatkową kasę. Innymi słowy, można go kupić. Ja to wiem, bo też go kupiłem. - Zaśmiał się chrapliwie. - Tak, od kilku lat znam szczegóły wszystkich spraw prawnych Gideona. Dankle mówi mi o wszystkim. W ten właśnie sposób dowiedziałem się kilka tygodni temu, że Gideon planuje zmienić testament, żebyście wy dziedziczyli Zwyczajną Farmę, gdyby coś mu się stało.

A więc to była prawda - mieli odziedziczyć Zwyczajną Farmę. Serce Lucindy podskoczyło, ale jednocześnie poczuła, jak dławi ją wielki strach. Jak niby dwójka dzieci mogła dopilnować, żeby takie wariackie przedsięwzięcie jak Zwyczajna Farma funkcjonowało normalnie? Jak miało im się udać, skoro nie wychodziło to Gideonowi?

— Ale zmiana testamentu nie nastąpiła - powiedział Stillman. - Znaczą się aż do dzisiejszego dnia. Dankle pojechał taksówką na farmę godzinę temu. Czekali na niego. Wprowadzili do środka. - Nagle jego spokojny głos zmienił się nie do poznania. - Twoja kolej, mała. Czy dziś wieczorem zmieniają testament? I dlaczego ciebie tam nie ma?

I nagle wszystko zaczęło mieć sens - zły, niedobry, pokrętny sens.

— Myślę, że jednak zmieniają ten testament - zaczęła mówić wolno. - Ale teraz nie ma to nic wspólnego z moim bratem czy ze mną. Tylko z panią Needle. Z całą pewnością!

Stillman popatrzył na nią z powątpiewaniem.

— Co, z gospodynią? Mówiłem ci dziecko, nie kłam. Ja za dużo wiem.

— Niczego pan nie wie! - Dorośli mężczyźni, o czym się przekonywała naocznie, są tacy pewni swego jak jej brat, choć nie mają racji. - To jest pana prawdziwy przeciwnik - prawdziwy wróg, nie ja i Tyler. My jesteśmy tylko dziećmi!

I była to prawda - bardzo niewiele mogła na to poradzić. Ed Stillman jednak był w stanie osiągnąć bardzo wiele.

Powiedziała mu, co podsłuchali z Tylerem w parku w Liberty, kiedy Dankle spotkał się z łowcą niewolników, Kingareem, choć oczywiście nie wspomniała o Linii Uskoku.

— Wszystko rozegra się dziś wieczorem. - Lucinda nie mogła dłużej skrywać strachu. - Kingaree pewnie pracuje dla niej. Pani Needle... zrobiła Gideonowi pranie mózgu, nie wiem jak. Podała mu jakieś proszki. Od kilku tygodni on ciężko choruje. A teraz założę się, że zmienia testament tak, żeby ona i jej syn dostali farmę! - Lucinda wiedziała, że ma rację, czuła to. Nagle zapragnęła z całych sił znaleźć się na Zwyczajnej Farmie. - Dziś wieczorem!

Oblicze Stillmana stało się mniej gniewne, choć w dalszym ciągu patrzył na nią niezwykle intensywnie. Spoglądał na nią niczym na jakiś sprzęt, nad którego zakupem się zastanawiał i który pomoże mu wykonać zamierzoną pracę lub nie.

— Dzisiaj wieczorem, tak? - powiedział w końcu. - No to ten dwulicowy prawniczyna Dankle będzie miał niemiłą niespodziankę, podobnie jak ta cała Needle, jeśli naprawdę wydaje się jej, że może ukraść to, co prawnie należy do Edwarda Stillmana. - Wstał i skierował się do drzwi.

— Niech mnie pan ze sobą zabierze! - wykrzyknęła Lucinda, pędząc za nim. Nie mogła siedzieć beczynn timer na kanapie, kiedy cały świat się walił. - Mogę panu pomóc dostać się do środka. Znam to miejsce.

Stillman zaśmiał się do niej, jakby powiedziała mu, że może mu pożyczyć pieniądze.

— Żartujesz sobie, tak? Ty chcesz mi pomóc?

Za oknem wystrzeliła kolejna błyskawica.

— Mój brat już tam idzie! Stara się wkraść na teren posiadłości. Muszę go odnaleźć. - Nienawidziła siebie za to, ale ton jej głosu zdradzał wielki niepokój. Błagała o pomoc człowieka, który był najgorszym wrogiem farmy. - Proszę mi pomóc, proszę!



Zastanowił się przez chwilę, po czym uśmiechnął się szelmowsko półgębkiem.

— W porządku. Weź kurtkę. Leje jak z cebra.

Zachował się niemal jak normalna ludzka istota, pomyślała Lucinda, ale nie dawała się zwieść do końca.

— Dziękuję. Muszę tylko zostawić kartkę.

— No to się pośpiesz! - Chwila rozbawienia minęła bezpowrotnie.

Nagryzmoliła pośpiesznie kilka słów - Nic mi nie jest, wrócę wkrótce. Lucinda - i wybiegła za Edem Stillmanem na dwór, nakładając kurtkę na głowę i rozbryzgując wodę pod stopami. Dziedziniec zmieniał się w bagno. Kiedy się zbliżali, tylne drzwi samochodu otworzyły się gładko. Stillman wepchnął ją do środka na miejsce obok wielkiego, czarnego mężczyzny.

— Zrób miejsce, Deuce, mamy towarzystwo. - Stillman wśliznął się na fotel koło niej, po czym wydał polecenie zwalistemu białemu mężczyźnie na fotelu kierowcy. - Jedź. Farma Tinkera. - Odwrócił się, by popatrzeć przez okno, kiedy kierowca skręcił w główną drogę. - Boże, to piekielna noc. A będzie tylko jeszcze gorzej... dla niektórych.

Po drugiej stronie Lucindy wielki Deuce zaśmiał się - ten człowiek z radością wyczekiwał poważnych kłopotów. Obwód jego ramion był taki sam, jak Lucindy w pasie. Wtuliła się w miękką skórzaną tapicerkę i zaczęła się zastanawiać, czy to był rzeczywiście taki dobry pomysł.

# Rozdział 29

## Niezwykły colinoskop

Colin upewnił się, że nikt nie stoi w oknie z przodu domu, zanim ruszył przez podwórze w stronę silosu. Na całe szczęście jego matka była czymś zajęta - prawie nie odzywała się do niego przez cały dzień, a na jej twarzy pojawił się ten skupiony wyraz, który oznaczał, że powinien się z tego cieszyć - ale nie chciał, żeby ktoś zobaczył go przypadkiem i wspomniał o tym jej bądź panu Dobrochodzkiemu. Na szczęście starogrecki potwór był zajęty od południa do późnej nocy, starając się nadrobić to, co zwykle wykonywał Ragnar.

Colin zatrzymał się przy drzwiach do silosu, żeby po raz ostatni rozejrzeć się dookoła, po czym za pomocą dorobionego klucza otworzył kłódkę i wszedł do pustego pomieszczenia. Wyobrażał sobie, że jego przygody mają charakter wojskowej misji, gdzie wszystko jest zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach, dorobił więc uprzednio swój własny zestaw kluczy podczas jednej z wypraw do Standard Valley. Był to kolejny dowód przemawiający za tym, że to on powinien pewnego dnia zostać panem na tej farmie, i to jak najszybciej.

Otworzył! zamek wjazdu, po czym zszedł na dół po drabinie do zewnętrznej części jaskini Linii Uskoku, której nikt nie odwiedzał, od kiedy pan Dobrochodzki szukał Gideona.

Colin położył latarkę dużej mocy, usiadł na kamiennym podłożu jaskini i ostrożnie wyjął kontinuoskop z plecaka. Był dość ciężki, kiedy niósł go ze wzgórza z gniazdem Alamu, nawet kiedy trzymał go w rękach w bibliotece, ale tutaj, tak blisko Linii Uskoku, nagle zrobił się dużo

lżejszy. Wydawało mu się nawet, że urządzenie drży nieznacznie niczym zwierzę szykujące się do biegu.

Włączył drugą lampkę na głowie, którą kupił przez internet w sklepie ze sprzętem kempingowym, po czym wyciągnął przed siebie kontiniuoskop. Zebrał wiele zapisków Octavia Tinkera, opisujących, w jaki sposób należy konstruować urządzenie pozwalające poruszać się za Linia Uskoku - wehikuł czasu, co Colin zrozumiał z odrobiną zadziwienia i lęku - i przestudiował je uważnie, ale nie był pewien, czy uda mu się to uruchomić. Może i Tyler Jenkins znalazł drogę powrotną przez swoje głupie szczęście, ale Colin nie sądził, że jemu mogłoby się to udać.

Przede wszystkim chciał sprawdzić, czy ten przedmiot w ogóle jest w stanie otworzyć Linia Uskoku - na zamartwianie się, czy uda mu się poruszać między niezliczonymi „tymczasowymi warstwami”, jak to ujął stary Octavio, przyjdzie jeszcze czas. Z zebranych informacji wynikało, że zasada działania kontiniuoskopu była bardzo podobna do zasad funkcjonowania starego radia z kryształem - można go było dostrajać do różnych częstotliwości energii. W gruncie rzeczy największy wynalazek Octavia Tinkera nie różnił się wiele od tunera radiowego, w którym każda częstotliwość była niczym szlak przypisany innemu czasowi i miejscu. Linia Uskoku zapewniała każdemu, kto ją przekraczał, dostęp do tych szlaków, choć było ich nieskończenie dużo: ktoś, kto w przeciwieństwie do Octavia nie posiadał dziwnego instynktu poruszania się po nich, musiał korzystać z kontiniuoskopu, aby zlokalizować konkretny punkt albo znaleźć drogę powrotną.

Colin sprawdził, czy wszystkie przekładnie znajdują się w pozycji wyjściowej. Jedną z najbardziej fascynujących rzeczy było to, że urządzenie funkcjonowało bez żadnego źródła energii - nie było tu kabla ani baterii. Mechanizm działał na zasadzie wibracji i wprawiał go w ruch zestaw sprężyn i zębatek, podobnych do tych w mechanizmach skomplikowanych zegarków.

Po ustawieniu zwojów wibracyjnych na wyjściowych pozycjach Colin przekręcił kilkakrotnie pokrętko naciągające sprężyny, tak jak nakazywały instrukcje w papierach Octavia. Kiedy tylko wypuścił pokrętko z palców, kontiniuoskop delikatnie zadrżał mu w dłoniach, nieznacznie kolebiąc się na boki niczym obracający się żyroskop. Niektóre z mniejszych kółek zaczęły się obracać z różną prędkością na krzywej obudowie urządzenia, a inne z wolna ruszały do biegu. Było to dziwne doświadczenie - kiedy zbliżył połyskliwy mechanizm do głowy, usłyszał delikatny szum, ale poczuł, że mocno rezonuje w zębach i kościach czaszki.

Colin wstał i wszedł głębiej w jaskinię, aż dotarł do miejsca, gdzie otwierała się Linia Uskoku. Ujrzał, że zwoje zupełnie się rozwinęły, co w odbiorniku radiowym znaczyło, że doszło się do końca skali, a następnie pociągnął małą dźwignię na obudowie i ją puścił. Niewielka iglica uderzyła w kamerton, który przeniósł wibrację wyżej na coś, co przypominało aureolę w postaci nasturcji lub trąbki na czubku złotego pręta, wystającego poprzecznie z urządzenia. Chwilę później ciemność przed nim zaczęła się rozstępować niczym zamek błyskawiczny otwierany w powietrzu. Kiedy Colin Needle zobaczył blade, zasnutego niebo wlewające się do środka, założył plecak na ramiona, wziął głęboki wdech i przeszedł przez Linie Uskoku, przyciskając obiema rękami kontiniuoskop do piersi.

Długo jeszcze się trząsał, kiedy wszedł z powrotem do swego miejsca i czasu, i nawet kiedy już otrzepał buty ze śniegu, wciąż czuł się jak sople lodu, ale przepełniało go uczucie triumfu. Nie tylko udało mu się przejść przez Linie Uskoku i wrócić w to samo miejsce, ale, jeśli się nie mylił, wyszedł na zewnątrz dokładnie w tym samym momencie, w którym wrócili do współczesności troglodytka Ooola i jej wybawca Tyler Jenkins! Nawet widział ślady na śniegu prowadzące do miejsca, z którego Jenkins wyszedł, choć biały puch pokrywał je bardzo szybko. Jeśli była to

prawda, to dowiedział się czegoś więcej - że sama z siebie Linia Uskoku nie tak często zmienia czas i lokalizację przejścia. Zwyczajna Farma była najprawdopodobniej w jakiś sposób połączona od zeszłego lata ze starożytnym lodowcem i nawet ta chwila po drugiej stronie zdawała się nie zmieniać.

I dobrze - bardzo dobrze. Gdyby jeszcze tylko mógł przejąć inicjatywę od Tylera Jenkinsa! Ale w odróżnieniu od Jenkinsa Colin miał zamiar prowadzić ostrożne eksperymenty naukowe, aż pewnego dnia kontiniuoskop - i sama Linia Uskoku - podporządkuje się jego woli. Wyobrażał sobie nawet ten dzień, kiedy wszyscy będą nazywali to urządzenie „colinoskopem”. Nie, może „niezwykłym colinoskopem”, ponieważ miał zamiar dokonać czynów, które nikomu nawet nie przyszły do głowy. A jak lepiej dopilnować, żeby władza nad Zwyczajną Farmą pozostała tam, gdzie być powinna - w rękach Colina i jego matki?

Pomyślał, że powinien podziękować Tylerowi Jenkinsowi nie tylko za pomoc w odnalezieniu kontiniuoskopu, ale i za to, że był na tyle głupi, iż dał się wyrzucić wraz z siostrą z farmy, pozostawiając przedpole dla Colina Needle'a.

Roześmiał się w głos, co dość dziwnie zabrzmiało w pustej jaskini, a zziębnięte palce u rąk i nóg zaczęły się rozgrzewać w aurze triumfu. Teraz, kiedy miał pod kontrolą Linię Uskoku, zamierzał dokonać wielkich czynów. Sprawić, że wszyscy go zauważą. W rzeczywistości miał ochotę na wiele więcej - sprawi, że wszyscy mu się pokłonią i przyznają, że farma powinna należeć do niego.

Farma Needle'a!

# Rozdział 30

## Tinker z krwi i kości

Stary - wyszeptał Steve. - Przypomnij mi jeszcze, dlaczego poimy ducha wodą.

— Bo to nie jest prawdziwy duch. - Tyler przyglądał się, jak Octavio Tinker opróżnia manierkę, po czym ociera usta pomarszczoną dłonią - dłonią z krwi i kości. - Myślę, że wyszedł z Linii Uskoku... z przeszłości.

— Nie gadaj - sapnął Steve. - Naprawdę? No nie, stary, to niesamowite.

— Co takiego? - Starszy pan podniósł wzrok i spojrzał na niego jasnymi, bystrymi oczami. - Co powiedziałaś?

— Mówiłem o Linii Uskoku, panie Tinker. Wiemy o wszystkim.

— Hmm. I jak słyszę, wiecie też, jak się nazywam. - Octavio oddał mu pustą manierkę marki Cub Scout. - Dziękuję za wodę. Skąd mnie znasz, chłopcze?

Starszy mężczyzna miał pewnie osiemdziesiąt lat, ale jego zmysły pracowały bez zarzutu. Tyler nie chciał go okłamywać i nawet nie wiedziałby, jak to zrobić.

— Znam pana, bo... bo pan pochodzi z przeszłości. Naszej przeszłości. Jest pan w przyszłości - znaczy, dla pana to przyszłość. Przynajmniej tak mi się wydaje. - Spoglądał to na wynalazcę, to na Steve'a Canilla, który chłonał każde słowo. - Tylko tak mogę to wytłumaczyć. Zgaduję, że eksperymentował pan z Linią Uskoku i znalazł się pan w przyszłości.

Starszy pan uniósł krzaczastą brew.

— Naprawdę? Nie o to mi chodziło. Który mamy rok?

Kiedy Tyler mu powiedział, drugą brew też uniósł.

— Hmm. Masz rację, to jakieś dwadzieścia lat po tym, jak wszedłem do Wyłomu. - Uśmiechnął się i teraz przypominał dziecko, które skrywa jakąś tajemnicę. - A więc otwiera się zarówno na przeszłość, jak i przyszłość! Moja teoria się sprawdziła! Ale powiedziałaś: Linia Uskoku. Czy tak ją teraz nazywacie?

Tyler wzruszył ramionami.

— Chyba tak. To wciąż tajemnica. Pan używa obu terminów w swoich... notatkach. Mąż pańskiej wnuczki, Gideon, nazywa to Linią Uskoku.

— Gideon! - Mężczyzna pokręcił głową. - Ha! Powinienem się domyślić, że uda mu się jakoś związać z tym miejscem. Mam nadzieję, że Grace sprowadza go do pionu... - Umilkł i nagle na jego twarzy pojawił się wyraz krańcowego przerażenia. - Och, Boże, zapomniałem! Widzieliście ją? To właśnie jej tutaj szukam - mojej wnuczki Grace!

Tyler był prawie pewien, że ją widział, ale nie w tym sensie, o którym mówił Octavio Tinker.

— Nie, proszę pana. Nie tutaj. Dzisiaj nie...

— Niech to szlag. - Staruszek najwyraźniej był gotów już sobie pójść, ale zawahał się. - Czy możesz mi powiedzieć, czy ją znajdziesz? - zaczął, ale nagle przerwał i zamachał rękami. - Nie! Nie, zapomnij, że o to pytałem. Nie chcę znać przyszłości. Jest zbyt wielka możliwość wystąpienia paradoksu. Nie mówcie mi o niczym oprócz tego, co widzimy. Słyszycie, chłopcy, o niczym!

Tyler, który już i tak się przejmował tym, co powinien powiedzieć wynalazcy kontinuoskopu, a czego nie, odetchnął z ulgą. A w ogóle to, co on mógł mu powiedzieć? Nie wiedział, z którego miejsca w czasie przywędrował staruszek - teść Gideona mógł mieć przed sobą pięć lat albo pięć dni życia. Tyler wiedział tylko na pewno, że padnie trupem obok swojego samochodu na Zwyczajnej Farmie w noc zniknięcia Grace...

Zaraz, pomyślał nagle Tyler. Powiedział, że szuka Grace. A jeśli... a jeśli

trafił tu właśnie w tę noc? W noc, której jego wnuczka i żona Gideona znikła na zawsze? W noc, kiedy nagle wylądowała w świecie z lustra, gdzie spotkał ją Tyler?

— Szuka pan swojej wnuczki - powiedział. - Co się jej stało?

— Tyle wiem co ty - odparł ze smutkiem staruszek. - Nie wiem! Wróciłem z miasta, bo miałem tam pewną sprawę, i już jej nie było! Była, kiedy wyjeżdżałem, ale nie zostawiła żadnej kartki z informacją, gdzie się udaje, a kontiniu... - Przerwał w pół słowa, spoglądając z nagłą podejrzliwością to na Tylera, to na Steve'a.

— Zaklinam się, że ja tam nic nie wiem, proszę pana! - zaczął pospiesznie Steve, unosząc dłonie i cofając się. - Usiądę sobie o tam i wcale nie musi mnie pan dotykać swoimi Dłońmi Czasu ani robić niczego takiego.

Tyler nie mógł się powstrzymać i wywrócił oczami.

— Chciał pan powiedzieć „kontiniuoskop” - powiedział. - Już o tym wiemy. Mieszkam na farmie latem i... i wiem sporo o panu i o Linii Uskoku, panie Tinker. Niech się pan nie przejmuje - pańskie tajemnice są bezpieczne.

Octavio przyglądał mu się przez chwilę, po czym pokiwał głową.

— To dobrze. Ale nie uświadamiałem sobie, że przekroczyłem Linie Uskoku. Pewnie wdała się fluktuacja. - Wskazał na latarkę Tylera. - Przez długi czas błądziłem w ciemnościach, synu. Pomóżcie mi poszukać Grace, a ja wam powiem, co wiem. Może razem dojdziemy do jakichś wniosków.

Tyler nie potrafił rozgryźć Octavia Tinkera. Raz był bystry i lotny, ale po chwili, tak jak wtedy, kiedy stał na skrzyżowaniu tuneli i łamiącym się głosem wołał swoją wnuczkę, zdawał się należeć do grupy, którą mama Tylera nazywała „kuku na muniu”. Czy starszy pan był w szoku? Czy cierpiał z powodu jakichś dramatycznych przeżyć? Albo po prostu wiek już dawał znać o sobie jak u innych osób, u których obraz postrzeganego świata z wolna się zaciemnia?



Szli przez dłuższą chwilę. Czasami, kiedy Tyler prowadził, wyczuwał coś dziwnego, lekki nacisk czy też opór w niektórych korytarzach. Inne odnogi witały ich niemal z otwartymi ramionami, jakby zamiast zimnego, mocnego wiatru w twarz nagle czuł kojącą bryzę na plecach. Zatopiony w tych obserwacjach dopiero po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że ramię w ramię z Octaviem Tinkerem idzie i skręca we właściwą stronę, jakby wcześniej się umówili.

— Zdaje się, że masz do tego dryg, młodzieńcze - powiedział stary Octavio, jakby pomyślał sobie to samo. - Wiesz, o czym mówię?

— Mówi pan o... odnajdywaniu drogi w tym labiryncie?

— Tak, o drygu do podróżowania za Linią Uskoku. Ja też go posiadam, jak pewnie zauważyłeś, chociaż w najlepszym przypadku to bardzo mglista dziedzina nauki. Ale dla większości ludzi pierwsza wyprawa tutaj będzie ich ostatnią. Oczywiście z kontiniuoskopem jest dużo łatwiej, to znaczy można bardziej precyzyjnie odnajdywać drogę - ale ja potrafię się tu poruszać bez niego. Czujesz Linię Uskoku przed nami, prawda? Tam właśnie szliście.

— No... chyba tak.

Octavio Tinker odwrócił się, by spojrzeć mu w twarz.

— Czy my jesteśmy spokrewnieni, synku? A może Gideon cię tu sprowadził na eksperymenty?

Nie chciał okłamywać tego srogiego, mądrego staruszka, szczególnie teraz, kiedy Octavio Tinker dobiegał kresu swoich dni. Dwadzieścia lat temu albo trochę więcej, napomniał się. Ale dla niego wkrótce...

— Tak, jestem z panem spokrewniony.

Staruszek najwyraźniej przyjął to z zadowoleniem. Klepnął Tylera po ramieniu dłonią o kruchych kościach.

— To świetnie! Ach, same dobre wiadomości. A więc zostawiłem jednak po sobie jakąś spuściznę!

— Och, bardzo wiele pan zostawił.

Tyler zastanawiał się, czy istnieje jakiś sposób, by sprowadzić staruszkę na współczesną Zwyczajną Farmę. Nawet pani Needle nie śmiałyby sprzeciwić się samemu Octaviowi Tinkerowi! Ale oczywiście coś takiego prawdopodobnie na dłuższą metę skomplikowałoby wszystko jeszcze bardziej - wpłynęłoby nie tylko na to, kto ma kierować pewną farmą u podnóża gór Sierra.

Tyler niechętnie odgonił od siebie tę myśl. Rozważania na temat wszystkich aspektów podróży w czasie w świetle science fiction sprawiły, że przyszło mu do głowy coś jeszcze.

— Dlaczego nie ma pan ze sobą kontinuoskopu? - zapytał.

Staruszek wyglądał na nieco przestraszonego.

— Co takiego?

— Kontinuoskopu. Mówił pan, że dzięki niemu odnajdywanie drogi jest bardziej precyzyjne. Dlaczego wszedł pan przez Linie Uskoków bez niego?

— Ponieważ Grace go zabrała - na pewno go ma, bo zniknął z miejsca, w którym go trzymałem. Dlatego musiałem tu za nią przyjść.

— Naprawdę? - Nie zgadzało się to z tym, co Tyler już wiedział. Czy Gideon nie opowiadał im zeszłego lata, że kontinuoskop został znaleziony w jaskini Linii Uskoków przy wejściu tej nocy, kiedy zniknęła jego żona? - Jest pan tego pewien?

— Dlaczego o to pytasz? Wiesz coś, czego ja nie wiem? - Octavio, nachylony do przodu, nagle gwałtownie i niespodziewanie zamachał Tylerowi przed twarzą. - Czekaj! Nie mów mi! Nie chcę wiedzieć! - Chwilę później uśmiechał się już z zażenowaniem. - Czasami czuję się, jakbym codziennie negocjował ze Stwórcą w sprawie cudów, które pozwala mi zobaczyć. Nie chcę za wiele pytać, żeby On nie zajął się czymś innym.

Tyler wciąż czekał na Steve'a, który zwolnił do prawdziwie żółtego tempa.

— W porządku, panie Tinker, mam kolejne pytanie. Tylko dwa miejsca pozwalają dojść do Linii Uskoku, tak?

Octavio też przystanął.

— To taka moja robocza hipoteza. Ale skoro jedno wejście znajduje się na dnie Oceanu Indyjskiego, raczej nie będę w stanie tego sprawdzić.

— Na dnie Oceanu Indyjskiego? - Tyler nie miał pojęcia, o czym on mówi.

— Tak, na południe od Madagaskaru. To wejście znajduje się dokładnie po przeciwnej stronie Ziemi - jakby na drugim biegunie. Pięciowymiarowa energia, widzisz, jest wchłaniana tędy i wydostaje się tamtędy. Oczywiście przez miliony lat mogła nastąpić zmiana polaryzacji... - Octavio urwał, by wyjąć notes i długopis z kieszeni i zapisać coś szybko. Tyler przytrzymał latarkę bliżej, by mu to ułatwić, ale nie był w stanie pojąć dziwnych symboli wynalazcy. - Widzisz? Zmiana polaryzacji - powiedział Octavio z zadowoleniem i zamknął notes.

Gdzieś za nimi z tyłu Steve jęknął, że chce mu się pić.

— Nie o to mi dokładnie chodziło - powiedział Tyler. - Mówię o dwóch miejscach, z których można się dostać do Linii Uskoku tutaj. Oczywiście jest sama Linia Uskoku, ale jest też umywalka z lustrem w bibliotece. - Zastanawiał się, czy może aż tyle wyjawiać. - Może Grace weszła tamtędy?

Octavio spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Że co?

— W bibliotece, wielkiej bibliotece na farmie. Jest tam taki niewielki pokój z łóżkiem i umywalką.

Starszy pan pokiwał głową.

— Nazywamy go pokojem odpoczynkowym. Czasami ucinam sobie tam drzemkę, kiedy jestem w trakcie jakichś badań. Ale tam nie ma żadnego lustra przy umywalce, jest tylko niewysoki stolik z miską w środku. - Zmarszczył brwi, zastanawiając się. - Nie ma lustra. Nie ma tam

żadnego lustra. - Spojrzał pytająco na Tylera. - Skąd ci przyszło do głowy, że drugie wejście do Wyłomu znajduje się w pokoju odpoczynkowym w bibliotece? Bez urazy, młodzieńcze, ale z pewnością lustro bym zauważył...

— Czy możecie zwolnić, bardzo proszę? - zawołał Steve Carrillo z tyłu.

Tyler był zaskoczony - jak Octavio mógł nie wiedzieć o lustrze nad umywalką? - ale zanim zaczął zadawać kolejne pytania, staruszek nagle zatrzymał się pośrodku niskiego tunelu i uniósł do góry kościstą dłoń.

— Ach! Jest - czujesz to?

Tyler poczuł dziwne łaskotanie na skórze, delikatny powiew świeżego powietrza na twarzy.

— Chyba tak.

— Coś czujesz? - zapytał Steve, gramoląc się za nimi. - Możemy zrobić przerwę? Czy my już... czy znajdujemy się przy Linii Uskoku?

— Zdaje się, że tak - odparł Tyler.

— Cieszy mnie to, że tak myślisz, bo ja nic nie czuję - powiedział Steve, gmerając przy swojej manierce. - Poza bólem. I głodem.

Octavio klepnął Tylera po ramieniu.

— Och, tak, to jest to. Chłopcze, z ciebie jest Tinker z krwi i kości, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości!

— To ja jestem zwykłym człowiekiem z krwi i kości - powiedział Steve, ocierając usta. - I cieszę się, że panowie się świetnie bawią w swoim Tinkerlandzie, ale ja już chcę stąd wyjść.

— I nagle uświadomiłem sobie, że ty musisz być wnukiem albo prawnukiem Ignacia, mojego sąsiada z pobliskiej farmy - powiedział Octavio z szelmowskim uśmiechem. - Masz jego oczy. I usta. To bardzo miły kolega, choć bardzo lubi mówić bez końca, kiedy inni starają się skupić... - Wskazał coś. - Już jest blisko. Za mną, chłopcy.

Ruszył ostro do przodu, poruszając się jak młodzieniaszek, jakby bliskość Linii Uskoku dodawała mu skrzydeł. Wyprowadził ich na

większą przestrzeń, do naturalnej jaskini, w której tunel zmieniał się w literę T, ale zamiast skrócić w jedną z odnóg Octavio Tinker wskazał zupełnie gładką skalną ścianę.

— Czujesz?

Tyler pokiwał głową. W rzeczywistości pod wpływem tego nowego doznania zakręciło mu się w głowie - jakby kiwał się na wysokim klifie, nie mając nic pod stopami.

— Czuję... coś czuję.

— Hmm, bez urazy - zaczął Steve - ale o czym, do jasnej ciasnej, wygadacie? Bo to wygląda na litą skałę.

— Proszę - powiedział Octavio. - Dotknij jej.

Steve podszedł kilka kroków i wyciągnął dłoń.

Przeszła przez kamień, jakby w ogóle go tam nie było.

— Stary! To niesamowite! - Kilkakrotnie zanurzał i wyciągał dłoń. - Upiorne!

— No właśnie! - Octavio Tinker zaśmiał się jak młodzieniec i Tyler żałował, że nie poznał starszego pana za życia. Jakże różnił się od Gideona z jego dąsami i podejrzeniami! - Ale obawiam się, że musimy już pójść w różne strony... czy też raczej w różne czasy.

— Może moglibyśmy... pójść z panem? - zapytał Tyler. - Pomóc odnaleźć Grace.

— W żadnym razie! - W głosie Steve'a słychać było czyste przerażenie. - Moi starzy już są pewnie na mnie poważnie wkurzeni. Jak to przyjmą, kiedy dowiedzą się, że przeniosłem się w przeszłość? Odpowiem wam: nie za dobrze.

Staruszek pokręcił swą białą głową.

— Nie, nie i jeszcze raz nie. Twój przyjaciel ma rację - to jest bardzo zły pomysł, chłopcze. Ty masz swoją przyszłość, a ja mam swoją - choć to jest twoja przeszłość. Jestem pewien, że bezpiecznie jest tylko w takich miejscach jak to, kiedy możemy spotkać się na chwilę.

— Naprawdę? - Tyler był zawiedziony, choć nie był pewien dlaczego.

— Tak, naprawdę. I jeśli się jeszcze kiedyś spotkamy w podobnym miejscu, to wyjaśnię ci dlaczego. Ale na razie muszę znaleźć moją wnuczkę, a ciebie czeka to, co cię czeka... - Wyciągnął dłoń. - A propos, jak masz na imię, młodzieńcze?

— Tyler. - Wyciągnął dłoń i pozwolił staruszkowi ją uścisnąć. W najśmielszych snach nie byłby sobie w stanie wyobrazić takiej chwili.

Octavio mocno uścisnął mu dłoń.

— Było mi przyjemnie - powiedział. - Wszystkiego najlepszego w przyszłości, która cię czeka. - Przez chwilę miał zaciekawioną minę. - Nie pytałem ciebie, co tu właściwie robisz, prawda? Ach, może to i lepiej, na pewno lepiej...

Staruszek skłonił się sztywno, po czym wszedł w kamień i zniknął.

— Stary, ja tego nie widziałem - powiedział Steve. - To naprawdę był duch! Prawdziwy duch!

— Nie, on po prostu wszedł w Linie Uskoku. - Tyler czuł się dziwnie osamotniony. Już tęsknił za staruszką. - A teraz my też to musimy zrobić.

— Ale nie wracamy do przeszłości! Mówił, że nie wracamy!

— Nie, nie wracamy - odparł Tyler. - Ale teraz też nie znajdujemy się w swoim czasie. Wiem to na pewno. - I wiedział. Jak stwierdził Octavio Tinker, znajdowali się w jakimś czasie, z którego nie pochodzili - w jakimś niemiejsku i nieczasie. - A więc jeśli chcesz wrócić do naszej teraźniejszości, to musimy też tam wejść. - Wyciągnął dłoń. Steve spojrzał na nią z nieufnością. - Nie ma w tym niczego niezwykłego. Musisz tylko mnie dotknąć. - Znowu nie wiedział dlaczego, ale był tego pewien.

— Stary, to nie tak - powiedział Steve. - Tylko... tylko obiecaj, że nie będzie już żadnych duchów z zębiskami.

— Niczego nie obiecuję. Sam ledwo rozumiem, co się dzieje.

Powinieneś już to wiedzieć.

Steve przełknął ślinę, wyciągnął dłoń i ścisnął rękę Tylera wilgotnymi palcami.

— Jenkins, jak nas zabijesz, to zobaczysz, że oddam ci z nawiązką...

I wtedy Tyler zrobił krok w skałę, wchłonęła ich ciemność i wypadli z wilgotnych tuneli w rozgrzaną, iskrzącą się pustkę.

# Rozdział 31

## Pod prądem

Lucinda wiedziała, że wielokrotnie przebywała w dużo mniej komfortowych miejscach niż tylne siedzenie drogiego samochodu Eda Stillmana, gdzie była wciśnięta między właściciela i naburmuszonego mężczyznę o imieniu Deuce, ale tak z marszu nie przychodziło jej do głowy żadne, w którym nie było żywych smoków.

Kiedy wjechali we wciąż potężniejącym deszczu na Springs Road, Stillman przerwał długotrwałe milczenie.

— Wiesz, nie jestem taki zły, jakiego mnie Gideon maluje - powiedział.  
- W końcu to on jest intruzem na farmie. I kiedy się tak bliżej zastanowić, to skoro jesteś spokrewniona z Octaviem, łączą mnie z tobą bliższe więzy pokrewieństwa niż z Gideonem Goldringiem.

— Taa, jak pan tam sobie chce. - Lucinda nie miała specjalnej ochoty na rozmowę. Czuła ucisk i pulsowanie w żołądku i bała się, że zaraz zwymiotuje.

— Proszę cię. Nienawidzę tego, jak dzisiaj mówią młodzi. Jak tam pan sobie chce” to gburowate określenie na grubiańskie emocje. Okaż starszym nieco szacunku, dziecko. Możesz się czegoś od nich nauczyć.

Prosiłam go, żeby mnie zabrał, upomniała się w myślach Lucinda. Teraz była na niego skazana, więc może lepiej było go nie złościć.

— Przepraszam, panie... panie Stillman, ale bardzo się martwię. Naprawdę jesteśmy spokrewnieni?

— Twój dziadek był siostrzeńcem Octavia. Był też moim kuzynem.

— No dobrze, czyli jak sądzę, jesteśmy rodziną. Ale dlaczego chce pan



zrobić krzywdę Gideonowi?

Stillman parsknął z pogardą.

— Nie słuchałaś, co ci mówiłem? To on mnie skrzywdził! Ukradł mi to, co było dla mnie najważniejsze na świecie: Grace Tinker. Och, i do tego uniemożliwił mi dostęp do papierów Octavia. Czy w ogóle sobie możesz wyobrazić, jakie to irytujące dla naukowca, takiego jak ja, nie mieć dostępu do przełomowych prac własnego wuja?

Lucinda nie wiedziała, co powiedzieć.

— Tak, to musi być bardzo... irytujące.

— Kiedy dorastałem, spędzałem tam letnie wakacje, zupełnie jak ty z bratem. Farma była moja... czy też raczej powinna być! Wtedy zjawiał się Gideon Goldring i zaczął wtrącać się do wszystkiego. - Stillman był już wściekły, oczy miał zmrużone i poblądłe usta. - Chcesz coś zobaczyć? - Nie czekał na odpowiedź, ale wyjął swój telefon i dotknął przycisku, po czym pokazał ekran Lucindzie. - Popatrz. Popatrz tylko na to! Wiesz, kto to jest?

Było to zdjęcie spacerującej czwórki ludzi, dwóch mężczyzn w de i dwójki ludzi na pierwszym planie na żwirowym podjeździe przed domem Zwyczajnej Farmy - miejscu, które rozpoznała od razu pomimo upływu czasu. Dwóch mężczyzn z tyłu rozmawiało o czymś poważnie - byli to młody Gideon Goldring i starszy niż na obrazie w bibliotece Octavio Tinker. Było w tej fotografii również coś dziwnego, jakiś niedający spokoju szczegół, którego nie mogła wyraźnie wskazać.

— Który to...? - zapytała.

Stillman dźgnął palcem w ekran.

— Tutaj. Zaraz na przedzie. Z Grace Tinker.

I rzeczywiście, kiedy Lucinda przyjrzała się bliżej, rozpoznała uroczą żonę Gideona o kasztanowych włosach, znaną jej ze zdjęcia znajdującego się w salonie wspomnień. Długowłosa mężczyzna, który szedł obok niej i najwyraźniej ją rozśmieszał, był młody i wysportowany, ubrany w luźne

spodnie, sandały i hawajską koszulę...

— To pan - powiedziała cicho. - Idzie pan obok Grace.

— A jasne, że ja - odparł Stillman. - Przyjaźniliśmy się od jej dzieciństwa i doszłoby do czegoś więcej, gdyby Gideon mi jej nie ukradł.

— Eee, ale czy ona nie była przypadkiem pańską kuzynką! To obrzydliwe!

Posłał jej niezwykle zimne spojrzenie.

— Moją dalszą kuzynką. To całkowicie dopuszczalne. Chcesz, dziewczynko, wiedzieć, co naprawdę budzi we mnie obrzydzenie? Gideon wziął ją za żonę, a kiedy wiedział już, że ma farmę, pozbył się jej.

Lucindzie przypomniała się rozpacz, jaką widziała na twarzy wujka Gideona, kiedy mówił o zaginionej żonie.

— Nie wierzę, że mógłby ją skrzywdzić - że mógłby jej coś złego zrobić. On naprawdę ją kochał!

— Też coś. - Stillman pokręcił głową. To dziwne, ale jego twarz nie różniła się specjalnie od oblicza na zdjęciu. Ed Stillman był wciąż szczupły, wciąż przystojny. Jeśli nie liczyć siwych włosów, mógłby być tym mężczyzną ze zdjęcia, który uciekł z przeszłości i znalazł się w teraźniejszości, wyłaniając się z Linii Uskoku. - Gideon zawsze miał jedną miłość w życiu: siebie - rzucił gniewnie. - Skoro tak mu na niej zależało, to gdzie ona jest? I dlaczego robi wszystko, co w jego mocy, by nie dopuścić do przeszukania posiadłości przez policję?

Lucinda wiedziała - ponieważ znaleźliby mnóstwo rzeczy, których nigdy wcześniej nie widzieli. Znaleźliby dziurę prowadzącą do przeszłości. Znaleźliby potwory...

— Bo ja wiem - odparła.

Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl: skoro Ed Stillman naprawdę był ulubieńcem starego Octavia i jego wnuczki, to dlaczego nie wiedział nic o Linii Uskoku? Octavio Tinker musiał bardzo się starać, by utrzymać to w tajemnicy przed częstym gościem, co zresztą mu się udało. Czy

Octavio dawno temu zdecydował, że Stillman nie jest godny zaufania?

— Gideon pewnie miał swoje powody, by trzymać policję na dystans, bo ja wiem, że on naprawdę kochał Grace.

we mnie obrzydzenie? Gideon wziął ją za żonę, a kiedy wiedział już, że ma farmę, pozbył się jej.

Lucindzie przypomniała się rozpacz, jaką widziała na twarzy wujka Gideona, kiedy mówił o zaginionej żonie.

— Nie wierzę, że mógłby ją skrzywdzić - że mógłby jej coś złego zrobić. On naprawdę ją kochał!

— Też coś. - Stillman pokręcił głową. To dziwne, ale jego twarz nie różniła się specjalnie od oblicza na zdjęciu. Ed Stillman był wciąż szczupły, wciąż przystojny. Jeśli nie liczyć siwych włosów, mógłby być tym mężczyzną ze zdjęcia, który uciekł z przeszłości i znalazł się w teraźniejszości, wyłaniając się z Linii Uskoku. - Gideon zawsze miał jedną miłość w życiu: siebie - rzucił gniewnie. - Skoro tak mu na niej zależało, to gdzie ona jest? I dlaczego robi wszystko, co w jego mocy, by nie dopuścić do przeszukania posiadłości przez policję?

Lucinda wiedziała - ponieważ znaleźliby mnóstwo rzeczy, których nigdy wcześniej nie widzieli. Znaleźliby dziurę prowadzącą do przeszłości. Znaleźliby potwory...

— Bo ja wiem - odparła.

Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl: skoro Ed Stillman naprawdę był ulubieńcem starego Octavia i jego wnuczki, to dlaczego nie wiedział nic o Linii Uskoku? Octavio Tinker musiał bardzo się starać, by utrzymać to w tajemnicy przed częstym gościem, co zresztą mu się udało. Czy Octavio dawno temu zdecydował, że Stillman nie jest godny zaufania?

— Gideon pewnie miał swoje powody, by trzymać policję na dystans, bo ja wiem, że on naprawdę kochał Grace.

Stillman popatrzył na nią z odrazą.

— Naprawdę zrobił wam niezłe pranie mózgu, prawda? Och, biedny

stary Gideon! Wszyscy go prześladowają! - Spojrzał w ekran telefonu i zmienił się na twarzy, jego oblicze złagodniało. - Tak wiele lat minęło, dobry Boże! Częściej tu bywałem niż w domu swoich rodziców, o wiele częściej...

Nagle uświadomiła sobie kolejną zastanawiającą rzecz.

— A kto zrobił to zdjęcie?

— Co takiego?

— Skoro wszyscy jesteście na zdjęciu, nawet Octavio, to kto je zrobił?

Ponieważ zostało wykonane w czasach, w których nie było jeszcze ani pana Dobrochodzkiego, ani innych zza Linii Uskoku, prawda? Czy w ogóle można było wtedy mówić o farmie czy tylko o zwariowanym domu Octavia Tinkera?

Stillman popatrzył na nią, jakby go poprosiła o wyjaśnienie fenomenu Świętego Mikołaja.

— Kto je zrobił? A jakie to ma znaczenie? Pewnie Dorothea - kuzynka Grace ze wschodu. Mieszkała na farmie przez kilka dobrych lat. Za dawnych czasów zawsze kręciło się tam mnóstwo ludzi - było to radosne miejsce, gwarne i pełne muzyki. Zanim przejął je Gideon.

Wciąż jest tam mnóstwo ludzi, pomyślała Lucinda, ale nie powiedziała tego na głos. Tylko że ci pochodzą z epoki lodowcowej, ze starożytnej Mongolii i z tym podobnych miejsc...

Kierowca zjechał na pobocze. Wycieraczki ze szmerem poruszały się w prawo i w lewo, ale deszcz padał z taką siłą, że trudno było zobaczyć różnicę. Błyskawica rozświetliła niebo na dłuższą chwilę. Lucinda zobaczyła zamazany obraz głównej bramy Zwyczajnej Farmy jakieś sto metrów dalej, ale zniknął, kiedy w końcu rozległ się grzmot.

— Dojechaliśmy, panie Stillman - powiedział mężczyzna za kierownicą. - Chce pan ich odwiedzić w domu czy coś takiego?

— Odwiedzić? A czyja jestem obcy? - Stillman zaśmiał się. - Nie, wjeżdżamy, Cater. Jedź przez bramę.

— Jest zamknięta - zauważył kierowca.

— No i co z tego?

Cater odpalił silnik.

— Ale tam jest ogrodzenie pod napięciem! - wykrzyknęła przestraszona Lucinda.

Stillman zaśmiał się jeszcze głośniej.

— O mój Boże, myślisz, że ogrodzenie pod napięciem zrobi nam jakąś krzywdę? Tutaj? Dziewczyńko, możesz walić do tego wozu z kałasznikowa z bliskiej odległości i nie będzie nawet ryski!

Wóz ruszył ostro do przodu i walnął w frontową bramę, co wywołało zgrzytliwy huk powalanych metalowych słupów i rozrywanego z trzaskiem drutu. Nie było żadnego spięcia, a przynajmniej Lucinda go nie poczuła i chwilę później znaleźli się wewnątrz, powłócząc kilkoma zwojami drutu zaplątanego o błotnik i ciągnącego się po żwirowej nawierzchni, kiedy kierowali się ku wewnętrznej bramie, gdzie bez wątplenia kierowca zamierzał powtórzyć sztuczkę.

Ale co będzie, jak zwierzęta wyjdą? - miała ochotę krzyczeć. Co będzie, jeśli mantykory znajdą się na wolności? Przerażała ją myśl, że te zwierzęta o długich szponach i dziwacznych pyskach w kształcie ludzkich twarzy zaczną łązić po okolicy. Ale co mogła powiedzieć? Spróbowała: - Panie Stillman, Gideon ma psy strażnicze, wielkie i niebezpieczne! Jeśli my...

Ed Stillman uśmiechnął się i sięgnął pod kurtkę, ale tym razem zamiast telefonu wyciągnął paskudnie wyglądający kanciasty pistolet, tak płaski i matowy, że w przyćmionym świetle samochodu ledwo go widziała. Pomimo to przyciągał jej wzrok niczym jakiś zły magiczny artefakt z bajki.

— Nie przejmowałbym się za bardzo psami, panienko - powiedział Stillman. - Chyba że to o ich bezpieczeństwo się martwisz. Wybuchające pociski z tego maleństwa są w stanie zabić nosorożca.

— Nie mamy nosorożców na Zwyczajnej Farmie - odezwała się cichutko, kiedy żwir strzelał spod kół, a samochód sunął w kierunku straszliwego szaleństwa, które sama wprawiała w ruch.

— Cóż, w takim razie nosorożce mają szczęście - powiedział Edward Stillman, wsuwając pistolet do kabury. - Bo jestem w bardzo, ale to bardzo podłym nastroju.

# Rozdział 32

## Marsz głowotyłków

No dobra, Jenkins - powiedział Steve, kiedy zataczając się, wyszli na otwartą przestrzeń w jaskini Linii Uskoku. - Muszę ci jedno przyznać. Kiedy szlajam się z tobą, zawsze przytrafia się coś fajnego.

Tyler omiótł jaskinię snopem światła z latarki, aż natrafił na drabinę i włąz nad nią, i ucisk w jego piersi zmalał nieco. Poza tym znajdowali się we właściwym czasie - tak się przynajmniej zdawało.

— Przepraszam, co mówiłeś?

Steve ciągnął wątek dalej, jakby Tyler niczego nie powiedział.

— No nie, stary, pełny czad, szkoda, że cię nie znałem, kiedy byłem mały. Mamo, mogę pobawić się z Tylerem? Będziemy przechodzić przez lustro i być może spotkamy jakieś duchy, a potem pobawimy się ze smokami...

— Kupa. - Przeczucie, że popełnił błąd - że popełnił mnóstwo błędów - nagle opanowało Tylera. - Kupa, kupa, kupa.

— Coś nie tak? - Steve nagle wyglądał na mocno zaniepokojonego, kiedy wymachiwał latarką na wszystkie strony po kamienistej komnacie. - Co się stało?

— Zapomniałem na śmierć - zamknięte. - Tyler palnął się w udo ze złości. - Ale ze mnie idiota! Po drugiej stronie wjazdu znajduje się kłódka wielka jak twoja głowa. Nie możemy tędy wyjść. Niech to szlag! - Wspiął się po drabinie i pchnął włąz od dołu, żeby pokazać Steve owi, o co mu chodzi, ale ku jego zaskoczeniu włąz nie tylko się poruszył, ale i otworzył.

— Zdaje się, że już teraz takich mocnych kłódek nie robią - powiedział

Steve. - Czy możemy teraz stąd wyjść?

— Ale... przecież...

Tyler wypchnął klapę i wsadził głowę we właz. Silos był pusty i zarośnięty pajęczynami jak ostatnio. Jejku, nie mogę uwierzyć, że lato się kończy, a ja tu jestem pierwszy raz! - pomyślał. Przez cały rok marzył, żeby przejść przez Linie Uskoku, ale to tylko pokazywało, jakie to lato było wariackie. Na potwierdzenie tej tezy deszcz zadudnił mocniej o dach silosu, jakby to nie był sierpień, tylko luty.

— Jest jeszcze druga kłódka - na zewnątrz drzwi do silosu...

— Taa, no to może sprawdzimy, czy tam jest, żebyś nie marnował czasu, mówiąc mi, że jest wielka jak koń albo jeszcze coś innego - powiedział Steve. - No wiesz, tak na wszelki wypadek, gdyby były otwarte.

A potem chodźmy coś zjeść.

Tym razem Tyler nie był tak zaskoczony, kiedy popchnął drzwi i okazało się, że są otwarte. Zerknął na zewnątrz w chwili, w której błyskawica rozświetliła niebo, po czym puścił drzwi chwilę potem, kiedy rozległ się odgłos grzmotu.

— No, chodźmy już! - ponaglał go Steve. - Do ataku na zimne przekąski!

Tyler obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

— Ale wiesz, że mamy na głowie ważniejsze sprawy niż karmienie cię, prawda?

— Mówi to człowiek, który nie musi stale napychać jedzeniem tak wspaniałego ciała, jak moje. - Steve poklepał się po brzuchu. - Twój wniosek został przeanalizowany i odrzucony.

Tyler nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Postaram się wykraść coś dla ciebie, kiedy będziemy przechodzić obok kuchni.

— A tak w ogóle, skoro tu już jesteśmy, to dokąd idziemy dalej? - Steve



usadowił się na podłodze silosu i klepał się po kieszeniach, jakby w nadziei, że znajdzie w nich jakiegoś batonika czy inny przegapiony wcześniej smakołyk. Tyler pomyślał, że to raczej nieprawdopodobne ze względu na to, że Steve robił to co kilka minut od ostatnich dwóch godzin. - Bo nie mówiłeś.

Tyler nie powiedział tego Steve'owi tylko dlatego, że niewiele się nad tym zastanawiał. Jego jedynym prawdziwym celem był powrót na Zwyczajną Farmę. Musiał, naprawdę musiał powstrzymać Colina Needle'a przed wykręceniem jakiegoś numeru za pomocą kontiniuoskopu, który zmieniłby radykalnie wszystko na jego korzyść. I oczywiście jeśli Lucinda miała rację co do tych grzybów, Tyler powinien coś z tym zrobić.

Gideon. Skoro Gideon nie wie, co się dzieje, to czy najlepszym sposobem na to, by go uzdrowić, nie był widok jego ukochanej Grace?

— Idziemy do domu - oznajmił Steve owi, otwierając drzwi silosu, gdy nad ich głowami trzasnął kolejny piorun. Nie powiedział natomiast, choć mógł, że właśnie wkraczają do zamku czarownicy i nie mają nawet kubła wody, żeby ją oblać.

Zrobili ledwo kilka kroków, kiedy Steve nagle wydał z siebie okrzyk zaskoczenia i odrazy i rzucił się ku zbawczemu silosowi.

— Stary, właśnie wlałem w coś paskudnego! - Pociągnął snopem światła latarki po błotnistej ziemi. - Och, wygląda jak olbrzymia salamandra. Z dwiema głowami!

Tyler spojrzał na zdeorientowane zwierzę, blade i połyskliwe w kroplach deszczu, które lekko utykając, odmaszerowało byle dalej od światła latarki. Kiedy zwierzę przyspieszyło, fałszywa głowa z tyłu zdawała patrzeć na nich z wyrzutem.

— To jedno ze zwierząt z Gadziej Obory - powiedział. - Nie pamiętam, jak one się nazywają - amfibaby czy jakoś tak. Z Lucindą mówiliśmy na nie „głowotyłki”, bo mają drugą głowę na tyłku...

— Amfisbaeny - podpowiedział Steve. - No nie. Istnieją naprawdę.  
Tyler odwrócił się, by spojrzeć na przyjaciela.

— O czym ty mówisz? Skąd to wiesz?

Steve Carrillo skrzywił się.

— Stary, jestem najlepszym graczem w Dungeons and Dragons w mojej szkole. Grałem w tyle gier, że ludzie mówią: „Dzisiaj pogramy trochę w Steve’a”. - Coś długiego i wąskiego musnęło mu twarz, aż odskoczył. - Ale nie mam bladego pojęcia, co to takiego...!

— Latający wąż. - Tyler patrzył, jak pacnął delikatnie na ziemię i, podobnie jak dwugłowa jaszczurka, popęłznął najwyraźniej w stronę domu. Na jego oczach wiele różnych stworzeń pełzało po rozmokłej ziemi w tym kierunku. - Łaaa, dlaczego wszystkie te stworzenia są na wolności? Jakby wyszły z Gadziej Obory... - Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. - Musimy ruszać. - Chwycił Steve’a za ramię, ściągnął go ze schodów wiodących do silosu i poprowadził do odległego domu.

— Co ty robisz? - Steve przeskakiwał nad rozmiękłym gruntem w sposób, który można było uznać za niesłychanie komiczny, lecz Tyler nie był w tej chwili w żartobliwym nastroju. - Zaraz znów na coś nadepnę.

— Nieważne. Nie zatrzymuj się.

Tyler uświadomił sobie, że ta parada głowotyłków i latających węży oznacza, że otwarto bramę do Gadziej Obory i w każdej chwili mogą natrafić na jakieś większe gady - nie tylko na bazyliszki czy kuroliszki, ale nawet na smoki.

Pędzili przez otwartą przestrzeń oddzielającą silos od domu. Letnia burza zdawała się podążać za nimi, jakby była żywą istotą. Tyler mógł przysiąc, że tam, gdzie się znajdowali, deszcz padał mocniej, niż gdzie indziej. Huknął piorun i tym razem zobaczył go - połyskliwy, gwałtowny pocisk strzelający zygzakiem na niebie po drugiej stronie domu - przez chwilę dziwna sylwetka Zwyczajnej Farmy wyglądała na jego tle niczym dekoracja teatralna. W tej chwili dostrzegł, że na białym niebie

nad czarną linią zabudowań coś szybuje w przestworzach, kształtem podobne do latającego węża, ale sto razy większe.

— Dobra, biegnij, nie gap się! - krzyknął, ciągnąc Steve'a z całej siły tak, że obaj mało się nie przewrócili.

Dwadzieścia sekund później, ślizgając się jak łyżwiarze na kiepskiej nawierzchni, dotarli do żwirowego podjazdu. Przedarli się dalej do ganku przy kuchni, gdzie Tyler wepchnął Steve'a w ozdobne krzewy.

— Ciii - syknął, potrząsając przyjacielem tak, by przestał jęczeć. - Zamknij się! Zgubisz nas!

Błyskawica znów rozświetliła niebo, ale ku wielkiej uldze Tylera nie było nigdzie widać smoczego kształtu nad głowami. Spojrzał przez ramię na dom. W jadalni i w kuchni paliły się światła, ale zasłonięto wszystkie kotary - nie można było stwierdzić, czy ktoś tam aktualnie przebywa.

— Idziemy do drugich drzwi. Rusz się!

Ale kiedy zaczęli się podkradać przy ścianie, zasłonięci żywopłotem, Tyler usłyszał niespodziewany odgłos - skrzypienie kół samochodowych na żwirowym podejździe. Wystawił głowę znad nierównego żywopłotu i zobaczył długi, niski czarny samochód, taki, jaki zajeżdżał zwykle przed kino podczas hollywoodzkiej premiery, tyle że Tyler był więcej niż pewien, że żadni znani aktorzy czy aktorki nie pojawią się dzisiaj na farmie.

Steve wystawił głowę zza żywopłotu tuż obok niego.

— Kto to taki?

— Nie mam pojęcia. - Zawahał się przez chwilę, ale nie potrafił wyobrazić sobie niczego dobrego w związku z obecnością tego samochodu. Zwierzęta rozpełzły się po farmie, pojawiają się jacyś obcy - co się tutaj dzieje? - Zapomnij o tym. Musimy szybko dostać się do środka.

Zanim nas coś zje, pomyślał, ale nie wypowiedział tego na głos.

Podkradli się do kuchennego skrzydła domu na czworakach niczym

oddział komandosów wkraczający na dobrze ufortyfikowane pozycje wroga. Grom zadudnił niczym bateria dział.

— Hej, Jenkins - wysapał Steve. Zatrzymał się, by strząsnąć z dłoni trytona, którego skóra pomimo intensywnego deszczu gorzała żółtymi płomykami. - Myślisz, że dzisiaj będzie koniec świata? Bo muszę powiedzieć, że tak mi się właśnie wydaje...

# Rozdział 33

## Dymny wąż

Leuce, Cater, zostajecie tutaj - nakazał Edward Stillman swoim ludziom, kiedy samochód zatrzymał się o jakieś sto metrów od frontowych drzwi budynku farmy. - Wezwę was, jak będę was potrzebować - choć myślę, że jednak nie będę.

— Eee... komórki nie za dobrze tu działają - powiedziała Lucinda.

Stillman wywrócił oczami i poklepał się po kurtce, pod którą znajdowała się kabura.

— Mam też pistolet. Spluwy chyba działają bez zarzutu, co?

Co ja sobie wyobrażałam? - pomyślała Lucinda. Nagle zrozumiała, że popełniła straszny błąd, ale było za późno, by się teraz wycofać. Co pomyśli wuj Gideon, kiedy dowie się, że sprowadziła na farmę jego najgorszego wroga?

Ale Gideon nie jest sobą, pomyślała, a farma jest w wielkim niebezpieczeństwie, więc muszę zaryzykować. Zagroziła miliarderowi drogę.

— Nie! Żadnej broni! Musi pan zachować ostrożność. Mieszkają tu niewinni ludzie. I zwierzęta.

Stillman uśmiechnął się do niej lodowato.

— Będę robił, co w mojej mocy, by o tym pamiętać, panienko.

W ciepłym, intensywnym deszczu poprowadziła go podjazdem do kuchennych drzwi.

Jak dotąd wszystko idzie sprawnie, pomyślała Lucinda, wchodząc do środka: Jesteśmy w domu, a Stillman nie widział ani zwierząt, ani też

niczego innego, czego nie powinien widzieć. Ale jak długo będzie trwała ta szczęśliwa passa?

Ominęła kuchnię i poszła z nim schodami do góry, a następnie jednym z tylnych korytarzy prowadzących do pokoi pani Needle, ale wystraszył ją nieoczekiwany hałas - czy ktoś jest na schodach? może sama wiedźma? - i popędziła na koniec korytarza, po czym zbiegła kolejnymi schodami do holu na parterze i pokoi ciągnących się za Wężowym Salonem. Gideon pewnie wciąż tam spał, co oznaczało, że mogli się też natknąć na panią Needle, czego Lucinda wolała uniknąć, zanim rozezna się w sytuacji. Ale co miała robić? Jaki był plan? Zawsze wściekała się na Tylera, że zabierał się do czegoś bez zastanowienia, ale właśnie zrobiła to samo i zaczynała uświadamiać sobie, jak niebezpieczne jest błąkanie się po tym wielkim, szalonym domu pełnym ludzi w letnią burzę, mając za kompana Eda Stillmana z jego pistoletem.

A jeśli pani Needle i Stillman dobili targu? Dlaczego miliarder miałby pomagać Gideonowi, kiedy w istocie chciał się go pozbyć? Nie, uświadomiła sobie, to był głupi pomysł i z każdą sekundą robiło się coraz gorzej!

Odwróciła się do Edwarda Stillmana.

— Chyba się zgubiłam - powiedziała potulnie. - Tu naprawdę można się pogubić. Pewnie pan pamięta, jaki duży jest ten dom. Lepiej wyjdźmy na zewnątrz i poszukajmy z drugiej strony...

Jeśli będzie musiała, ucieknie mu i gdzieś się schowa - nie było go tu od tak dawna, że z pewnością miała lepszą orientację od niego. A co potem? Cóż, z pewnością pan Dobrochodzki nie pozwoli, żeby Stillman i jego goryle wałęsali się po terenie farmy!

— Nie - odparł Stillman, zadziwiająco mocno chwytając ją za ramię. - Nie, mam inne zdanie, panienko. Słyszę głosy za tą ścianą. - Spojrzał na szeroki mebel stojący przy ścianie, szafę z kołkami na kapelusze, szaliki i parasole, postawioną tu dawno temu i zapomnianą, z dala od głównych

szlaków. - A za tą rośliną w holu jest wejście.

— Te drzwi zostały dawno zabite na amen - wyszeptała Lucinda. Była to prawda, starała się je kiedyś otworzyć z Wężowego Salonu i przekonała się, że to niemożliwe.

— Bardzo prawdopodobne, ale nad drzwiami widzę świetlik. Jeśli znajdę coś, na czym będę mógł stanąć, dowiem się, kto tam jest.

Zaczął wspinać się na drzewo rosnące w holu, zanim zdołała znaleźć pretekst, by tego nie robił. Przycisnął twarz do szyby i oczy zrobiły mu się wielkie jak spodki. Wydał z siebie chrapliwy szept.

— A niech, ja w domu nie nocuję...!

— Co tam jest? No co?

Była tak zła, że chciała na niego nakrzyczeć, ale oczywiście nie ośmieliła się. Pobiegła i złapała krzesło z holu, po czym zaniósła je do lufcika, wspięła się na nie i zerknęła przez szybę. Nie podobało się jej to, że stoi tak blisko Stillmana, który pachniał wodą kolońską o nucie limony, ale bardzo chciała się dowiedzieć, co się dzieje w Wężowym Salonie.

Chwilę później pożałowała tego.

Łóżko wraz z samym Gideonem wciąż stało na środku pokoju, ale poza tym wszystko przypominało scenerię rodem z horroru zamiast zwyczajnego wieczoru na farmie. Chudy, stary Gideon został przywiązany do łóżka, jego nadgarstki unieruchomiono przy prowizorycznej aluminiowej ramie, tak jak u dziewczynki w Egzorcyście. Wcale nie szarpał się, by wyzwolić się z pęt, wbijał tylko podkrążone oczy w panią Needle z wyrazem zwierzęcej furii.

A może nie patrzył w ogóle na panią Needle, nagle uzmysłowiła sobie Lucinda. Może to spojrzenie było skierowane na wysokiego mężczyznę w ciemnym płaszczu i kapeluszu. Lucinda rozumiała to doskonale - na widok tej twarzy i jej skurczy! się żołądek.

Jackson Kingaree wrócił do domu Gideona.

— Powinienem go zabić... podłego zdrajcę - mruknął Stillman.

— Pan zna Kingareego? - Lucinda była przerażona. Czy oni wszyscy działali razem?

— Kogo? - Stillman zdawał się tak wściekły, że mógłby chyba przegryźć się przez ścianę. - Nie, mówię o tej małej gnidzie, o Dankle'u. - I rzeczywiście, prawnik wyszedł z półcienia i Lucinda mogła go też zobaczyć. Był blady i spocony. Wyglądał na równie przestraszonego jak sama Lucinda.

Dankle chodził tam i z powrotem przy łóżku Gideona. Kiedy się odezwał, Lucinda ledwo go usłyszała przez szybę.

— Chodzi o to... chodzi o to, że ten testament nie będzie wart funta kłaków - powiedział, machając rękami. - To znaczy, od strony prawnej. Popatrzcie tylko na niego! Pan Goldring jest najwyraźniej nie w pełni władz umysłowych!

— Ale ty zaświadczysz, że był w pełni władz umysłowych, adwokacino - przemówił Kingaree głębokim, chrapliwym głosem. Lucinda przycisnęła się bliżej do szyby. - Po to tu jesteś. I teraz za głęboko w tym siedzisz, żeby się wycofać. - Uśmiechnął się. Nie był to miły uśmiech. - A może się mylę, panie Dankle?

— Nie... ja nie mówię, że...

Prawniki były mocno wzburzone. Podszedł bliżej do pani Needle, jakby szukał u niej wybawienia. Z tego miejsca Lucinda widziała wielki witraż w pokoju, ale na dworze było ciemno i szczegóły były zaciemnione - węzowe sploty wyglądały niczym kłęby ciemnego dymu.

Dymny wąż, pomyślała zalekniona Lucinda. Niczym pani Needle - jadowita niczym kobra, ale nieuchwytna, niedająca się schwytać!

— Ale sami wiecie, że ludzie zaczną gadać - ciągnął dalej Dankle - szczególnie jeśli ktoś ze świadków będzie czerpał korzyści ze zmienionego testamentu.

— Niech to szlag! - zaklął Ed Stillman nieco za głośno jak dla Lucindy,



ponieważ od spiskowców z Wężowego Salonu dzieliła ich tylko jedna szyba. - Miałaś rację, dziewczynko. Ona chce zmienić testament na swoją korzyść!

— Przecież nie ja będę dziedziczyć, tylko Colin - powiedziała pani Needle kojącym i rzeczowym głosem. - Chłopak, którego Gideon chował od lat, jakby był jego własnym synem - chował na swego dziedzica. Poza tym widzi pan jasno i wyraźnie, że Gideon nie jest w stanie dłużej zarządzać tym miejscem, panie Dankle. To straszne, ale zupełnie stracił zmysły. On sam nie chciałby, żeby wszystko się zawaliło z powodu jego... złego samopoczucia.

— Ale... - Prawnik pokręcił głową, nie mógł jednak spojrzeć jej w oczy. - To wszystko, co pani mówi, pani Needle, to prawda, ale jeśli ktoś będzie chciał podważyć testament...

— A któżby chciał coś takiego zrobić, Barnaby? - zagruchała do niego niemal z czułością, nachylając się do wzburzonego Dankle'a. - Mali Jenkinsowie? Ci bardzo odlegli krewni, których Gideon wyrzucił ze swojej posiadłości? - Przez chwilę przyglądała się prawnikowi. - Panie Kingaree, czy wyświadczy mi pan pewną przysługę? Zostawiłam dla pana Dankle'a dość znaczne honorarium na moim biurku na piętrze. Czy byłby pan tak dobry i poszedł mi je przynieść, żebyśmy mogli dokończyć sprawę? Gideon wkrótce będzie musiał odpocząć.

Ku zaskoczeniu wszystkich Gideon przemówił dziwnym, gardłowym szepem niczym ktoś z ustami pełnymi piachu.

— Chcę... muszę... to boli!

— Biedactwo - powiedziała pani Needle, gładząc Gideona po głowie, jakby był chorym psem. - Pójdzie pan, panie Kingaree? Widzi pan sam, że on musi się wyspać.

Kiedy wysoki mężczyzna wyszedł z salonu, Lucinda bezwiednie zacisnęła dłonie w pięści. Ta Needle była wiedźmą pierwszej wody! Lucinda nigdy w życiu nie miała tak wielkiej ochoty kogoś uderzyć. Była

tak wściekła, że przez chwilę nawet nie zauważyła, jak Ed Stillman poruszył się i zaczął zsuwać na dół. - Co pan robi? - wyszeptwała.

— A jak myślisz? - warknął w odpowiedzi. - Chcę zakończyć tę szopkę tu i teraz!

W kilka chwil Stillman zszedł na dół i podążył przez hol w stronę kuchni, poruszając się jeszcze szybciej, niż można by się spodziewać po mężczyźnie mniej więcej w wieku Gideona - kiedy zlazła na dół, już go nie było.

Co on ma zamiar zrobić? Czy chce kogoś zastrzelić? Przez chwilę miała nadzieję, że dom go pokona, tak jak wszystkich nowo przybyłych, ale potem przypomniała sobie, że Stillman przebywał tu bardzo często za młodu.

Kiedy Lucinda doszła do schodów, usłyszała skrzypienie starych, drewnianych klepek, Stillman był gdzie indziej. Czyżby ktoś nadchodził? Kingaree? Spanikowana wskoczyła do szafki na miotły i przytrzymała drzwi od środka. Kroki ucichły tuż przy jej kryjówce i przez chwilę Lucinda słyszała tylko dudnienie własnego serca. Potem ten tajemniczy ktoś ruszył dalej wolno i ciężko po skrzypiących schodach. Kiedy odgłosy ucichły, Lucinda wystawiła głowę z szafy, by się upewnić, że nie ma nikogo w pobliżu, po czym śmignęła do kuchni. Kiedy przeszła przez wahadłowe drzwi, niemal przewróciła Azinę, kuchenną afrykańską księżniczkę.

— Lucinda! - Wysoka kobieta cofnęła się, unosząc ręce jakby w obronnym geście. - Co ty tu robisz? Masz zakaz wstępu do domu. Odejdź, zanim cię znajdzie! - Zmarszczyła czoło. - Jak się tu dostałaś?

— Nieważne. - Azina najwyraźniej nie widziała Stillmana. Lucinda wspięła się na palcach, zarzuciła wysokiej kobiecie ramiona na szyję i pocałowała ją w policzek. - Och, jak ja za tobą tęskniłam! Za Pemą i Sarą też!

Azina uśmiechnęła się i chciała coś powiedzieć, ale powstrzymała się

i przekrzywiła głowę.

— Ktoś nadchodzi. Możliwe, że ona. Idź już stąd - pospiesz się!

Lucinda nie oponowała. Pomachała Azinzie, po czym kłusem przebiegła przez kuchnię, kierując się do tylnych drzwi. Zatrzymała się na chwilę wystraszona błyskawicą, wyjrzała na ciemny ocean ogrodu i choć nie zobaczyła wiele, dojrzała samotną wyspę starej oranżerii.

Nigdy. Nigdy więcej nie zbliżę się do tego miejsca, pomyślała.

Coś dotarło do niej poza pomrukami burzy. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że słyszy to w głowie.

Boję się! Marchewkowa Dziewczynko, pomocy - boję się!

W całym zamieszaniu ze Stillmanem niemal zapomniała o małej smoczycy.

Jestem tutaj, pomyślała, starając się, by przekaz był jak najbardziej wyraźny. Desta, jestem tutaj! Przyjdę najszybciej, jak będę mogła! Ale jeszcze nie teraz, dopowiedziała sama sobie w myślach. Szaleństwem byłoby chodzenie po farmie w tych ciemnościach, kiedy nie było wiadomo, na co czy na kogo mogłaby się natknąć. Nie, może i będzie miała wyrzuty sumienia, ale młoda smoczyca będzie musiała poczekać.

Zaczęła okrążyć dom, kucając pod oknami, kryjąc się po kolei przy zbawczych fragmentach muru. Wokół słyszała dziwne zwierzęce odgłosy, niesione przez wiatr, a ziemia pod stopami roiła się od owadów, węży i nawet wyrwanych z ziemi dżdżownic, wijących się w błocie i kierujących się do odległego krańca domu, jakby wszystkie zostały zaproszone na przyjęcie galowe. Zupełnie tak samo jak te procesje, które widziała przy szklarni, ale teraz miało to miejsce tutaj, setki metrów od niej!

Spokojnie, Lucindo, napomniała się. Wszystko po kolei. Teraz masz na głowie Faceta ze Spluwą, Groźną Wiedźmę i Otumanionego Gideona - tyle na razie wystarczy.

Woda tryskała z zapełnionych rynien na dachu, a ona przekradała się

od jednej kryjówki do drugiej, ale na razie nie było błyskawic. W końcu dotarła do głównego okna Wężowego Salonu, podkraǳła się bliżej i zerknęła przez jaśniejszą szybkę blisko spodu witraża. Przez cienkie szkło słyszała głosy. Była tam pani Needle z bladą, stężalą twarzą, pozbawioną wszelkich emocji. Prawnik Dankle stał obok niej i pod każdym względem wyglądał jak dorosły, który zaraz zsiąka się w spodnie. A wszystko z powodu trzeciej osoby stojącej w pomieszczeniu - był to Ed Stillman z pistoletem w dłoni, z twarzą wykrzywioną grymasem wściekłości.

Stillman przypatrywał się Gideonowi Goldringowi, który pod tym kątem wyglądał jeszcze gorzej, z twarzą niczym woskowy manekin, otwartymi ustami i zapadniętymi oczami wpatrzonymi w przestrzeń. Lucinda poczuła w sobie nagły przypływ nienawiści. To wszystko zrobiła mu Patience Needle - zmieniła jej stryjecznego dziadka w ową żalostną kupę nieszczęścia.

— Co ty mu zrobiłaś, kobieto - zapytał stanowczo Stillman. - Trujesz go? To trochę staromodna metoda.

— Jest pan tu intruzem - powiedziała pani Needle tak spokojnym głosem, że gdyby tak zachował się ktoś inny, Lucinda podziwiałaby jego odwagę. - I grozi nam pan bronią. Nie obchodzi mnie, kim pan jest, panie Stillman, teraz jest pan przestępcą. A obecny tu pan Dankle jest członkiem palestry.

Adwokat uniósł dłonie niczym człowiek, który powstrzymuje znajomych przed prawieniem mu komplementów.

— Ależ pani Needle, nie popadajmy w...

Stillman roześmiał się.

— No to niech pani wezwie policję. No proszę! Dankle, znasz numer. - Rozejrzał się wokół. - Jakoś nikt się nie pali, co? Tak myślałem. Najwyraźniej Gideon ma tu coś, o czym myśli, że jest sporo warte - mam rację, moja pani? A pani pomyślała, że dobrze by było położyć na tym

łapę.

— Sam pan widzi, panie Stillman - odezwał się Dankle, zacinając się nieco z nerwów - jesteśmy wszyscy cywilizowanymi ludźmi. Proszę schować broń i omówić to z nami.

— Naprawdę? - Stillman nagle odwrócił się i wycelował broń prosto w Barnaby ego Dankle'a. - Chcesz powiedzieć, że wyjawisz mi tajemnicę grania na dwie czy raczej trzy strony? Ją też oszukujesz? Ponieważ widzę jasno i wyraźnie, że wyrolowałaś swoich dwóch pracodawców, mnie i biednego, starego Gideona.

— To jest... nieporozumienie...! - Adwokat zaczął się cofać. - Widzi pan, chodzi o to, że...

Lucinda nie usłyszała dalszego ciągu, bo w tej samej chwili coś ostrego i lodowatego dźgnęło ją z boku w szyję, a twarda dłoń zakryła jej usta.

— Ani piśnij, to może przeżyjesz - odezwał się cichy, lecz straszliwie znajomy głos. - Proszę, proszę... kto tu się przekrada po ciemku? - Jackson Kingaree zbliżył usta do ucha Lucindy tak, że poczuła jego gorący oddech. - A co, nie mówiłem ci, mała dziewczynko, że się jeszcze spotkamy? Nie mówiłem?

# Rozdział 34

## Śnieżką w niego!

Colin Needle wspiął się po drabinie z jaskini do silosu. Na zakurzonej podłodze pojawiły się odciski stóp, których nie pamiętał. Zamarł ze strachu na chwilę, ale nie dostrzegł nikogo w jaskini Linii Uskoku i sam silos był pusty, więc doszedł do wniosku, że nie zauważył tych śladów, kiedy tutaj wchodził.

Poza tym któż mógłby kombinować coś przy Linii Uskoku w taką noc jak ta? Jenkinsowie wyjechali, Gideon jest chory, a pan Dobrochodzki ma mnóstwo roboty.

Colin zamknął włącz na kłódkę, po czym zsunął plecak z ramion i położył na nim kontiniuoskop, żeby tak starannie wypolerowany przez niego mosiądz się nie zarysował. Sięgnął do kieszeni kurtki, którą włożył do eksperymentu - o wiele za grubej nawet na dzisiejszą burzliwą noc - i wyciągnął z niej pamiątkę ze swojej wyprawy, zawiniętą w chustkę.

I oto symbol jego triumfu połyskiwał w świetle latarki niczym bombka świąteczna, choć był to przedmiot o wiele prostszy i dużo wspanialszy od zwykłej szklanej kulki pokrytej lakierem.

Śnieżka, która ma dwadzieścia tysięcy lat, pomyślał Colin. Śnieżka nie była szczególnie wartościowa dlatego, że pochodziła z epoki lodowcowej, ale dlatego, iż pochodziła sprzed dnia, w którym Tyler Jenkins wkroczył do śnieżnego świata. Colin to wiedział, bo precyzyjnie ustawił kontiniuoskop, a kiedy znowu wyszedł z Linii Uskoku w tym samym miejscu, które odwiedził podczas pierwszego eksperymentu, nie było tam śladów stóp - ani jego, ani Tylera Jenkinsa.

Okiełznałem kontiniuoskop! Colin miał ochotę śmiać się i tańczyć z radości. Ustawiłem go, a on zabrał mnie tam, dokąd chciałem się udać! Nawet stary Octavio musiałby przyznać, że Colin Needle zasługuje na to, by stać się nowym właścicielem urządzenia!

Ale kiedy patrzył w mocno zbitą białą kulkę, dostrzegł, że chustka wokół niej ciemnieje - śnieżka zaczynała się topić, i to było niedopuszczalne. Miał zamiar zanieść ją do zamrażarki jako symbol pokonania kontiniuoskopu - pierwszy krok na drodze do stania się właścicielem i panem Zwyczajnej Farmy.

Zawinął śniegową kulkę w chustkę i ostrożnie włożył ją do kieszeni kurtki, po czym wspiął się schodami na górę.

Do eksperymentu - o wiele za grubej nawet na dzisiejszą burzliwą noc - i wyciągnął z niej pamiątkę ze swojej wyprawy, zawiniętą w chustkę.

I oto symbol jego triumfu połyskiwał w świetle latarki niczym bombka świąteczna, choć był to przedmiot o wiele prostszy i dużo wspanialszy od zwykłej szklanej kulki pokrytej lakierem.

Śnieżka, która ma dwadzieścia tysięcy lat, pomyślał Colin. Śnieżka nie była szczególnie wartościowa dlatego, że pochodziła z epoki lodowcowej, ale dlatego, iż pochodziła sprzed dnia, w którym Tyler Jenkins wkroczył do śnieżnego świata. Colin to wiedział, bo precyzyjnie ustawił kontiniuoskop, a kiedy znowu wyszedł z Linii Uskoku w tym samym miejscu, które odwiedził podczas pierwszego eksperymentu, nie było tam śladów stóp - ani jego, ani Tylera Jenkinsa.

Okiełznałem kontiniuoskop! Colin miał ochotę śmiać się i tańczyć z radości. Ustawiłem go, a on zabrał mnie tam, dokąd chciałem się udać! Nawet stary Octavio musiałby przyznać, że Colin Needle zasługuje na to, by stać się nowym właścicielem urządzenia!

Ale kiedy patrzył w mocno zbitą białą kulkę, dostrzegł, że chustka wokół niej ciemnieje - śnieżka zaczynała się topić, i to było niedopuszczalne. Miał zamiar zanieść ją do zamrażarki jako symbol

pokonania kontinuoskopu - pierwszy krok na drodze do stania się właścicielem i panem Zwyczajnej Farmy.

Zawinął śniegową kulkę w chustkę i ostrożnie włożył ją do kieszeni kurtki, po czym wspiął się schodami na górę.

Kiedy wychodził z silosu, deszcz zaczął lać z całych sił. Bębnił głośno o kaptur, ale pod kurtką Colin pocił się cały - okrycie nadawało się na mrozy epoki lodowcowej, ale było o wiele za ciepłe na deszczowy, letni wieczór w Standard Valley. Jednak nawet tego nie zauważał. Już snuł plany, dokąd uda się kolejnym razem - czy też raczej, do którego miejsca w czasie, ponieważ lepiej opanował obsługę przekładni czasowych niż tych odpowiedzialnych za lokalizację. Czy miał dokonać poprawki na zmianę pozycji Ziemi? Oznaczało to, że będzie musiał napisać albo znaleźć jakiś skomplikowany program komputerowy. Oczywiście jeśli dzięki temu będzie mógł udać się do starożytnego Egiptu, by zobaczyć, jak budują piramidy, czy znaleźć się na murach Troi, by obejrzeć walkę Achillesa z Hektorem, to byłoby warto.

Zastanawiał się, czy mógłby wziąć ze sobą kamerę wideo w przeszłość i czy istnieje jakiś sposób, by na tym zarobić - pełnometrażowy film z prawdziwymi dinozaurami w roli głównej, a potem mógłby powiedzieć, że sam zrobił animację - kiedy nagle uświadomił sobie, że coś jest nie tak. Najgorsza nawałnica z błyskawicami już przeszła, chociaż wciąż było widać błyski i słyszeć pomruki za zachodnimi wzgórzami. Niemniej cała przestrzeń między silosem i podjazdem była dziwnie pusta, jeśli nie liczyć traktora porzuconego nieopodal w najgwałtowniejszą burzę. Przyjrzał się bliżej i zauważył dużą ilość pełzających i wijących się kształtów w błocie, jakby deszcz wypłoszył wszystkie te stworzenia z ich nor i gniazd. Była to zagadkowa i dojmująca scena, choć nie wyjaśniała, dlaczego miał mgliste, choć wyraźne wrażenie, iż coś go obserwuje.

Zatrzymał się, spoglądając w stronę odległego domu, ale choć dostrzegł światła w oknach i może nawet ludzkie sylwetki poruszające



się za kotarami w kilku pomieszczeniach, nie wyobrażał sobie, że ktoś mógłby go wypatrzyć w ciemnościach. Zrobił jeszcze kilka kroków, ale wiatr się zmienił i nagle owionął go nowy zapach, ostry i kwaśny niczym ocet.

Przestraszony Colin odwrócił się i spojrzał w stronę silosu. Coś okręgało wysoki, stary budynek, idąc wolno w jego kierunku na czworakach miarowym, niespiesznym krokiem. Jakieś zwierzę. Naprawdę wielkie zwierzę. Uniosło łeb, jakby zauważyło Colina dopiero teraz, a światła odległego domu rozświetliły jego wielkie, pomarańczowe ślepia, jakby one same były oknami, w których pod niską, skośną czaszką płonął straszliwy płomień.

Jedna z mantykor wydostała się z klatki.

Colin pisnął ze zgrozy, potem odwrócił się i podbiegł kilka kroków w stronę domu, ale przeważył go plecak i niewygodna kurtka. Pośliznął się na błocie i padł na kolana, po czym przez chwilę nie mógł wstać, bezradnie miotając się w błotnistej mazi. Spojrzał w tył, pewien, że zobaczy bladą, straszliwą humanoidalną twarz tuż nad sobą, ale mantykora nie przyspieszyła kroku, jakby wiedziała, że nie może jej uciec. I potwór miał rację - od domu dzieliło Colina co najmniej sto metrów i nie był w stanie jej uciec. Znów załkał ze strachu. Stworzenie nadciągało, ale teraz Colin zauważył, że coś z nim było nie tak. Jego łeb kiwał się nieco na boki, jak u Gideona, kiedy brał lekarstwo jego matki, a jego kroki zdawały się niezdarne, jakby zwierzę było ranne. Jednak mimo to szło w jego stronę, wolno, acz nieustępliwie. Colin podniósł się z ziemi i znów zaczął biec, ale nastąpił na coś, co pękło mu z płaskim pod stopami, i znów upadł. Plecak z drogocennym urządzeniem zsunął mu się z ramion i Colin musiał go zdjąć, wciąż jęcząc z przerażenia. Kiedy w końcu się od niego uwolnił, potwór znajdował się o kilka metrów od niego. Colin starał się wstać, choć wiedział, że nic to nie da. Nawet gdyby teraz rzucił się do biegu, mantykora dopadłaby go w sekundę. Dom był

poza zasięgiem, w całkowicie nierealnej odległości.

Rozbłysła błyskawica i ślepie mantykory też zaślniły.

— Na pomoc! - krzyknął Colin. - Na pomoc! Panie Dobrochodzki! Mamo!

Ale odgłosy gromu zagłuszyły jego krzyki. Zebrał garść błota i cisnął nim w potwora, ale trafił tylko w już i tak zabłocone łapy. Kiedy zwierzę zbliżało się, widział wyraźnie paskudne żółte zębiska w ociekającej śliną paszczęce. Dziwaczne, niby małpie nozdrza falowały, kiedy stworzenie łapało trop.

— Idź sobie! - wrzasnął. - Zostaw mnie w spokoju!

Jego dłoń natrafiła na zawiniętą śnieżkę i cisnął nią w bestię razem z chustką. Walnęła mantykorę prosto w pysk i rozprysła się na biały puch. Łeb i kark bestii wciąż drżały i kiwały się na boki, ale poza tym zwierzę nie zdradzało żadnych oznak, że w ogóle coś poczuło. Chusteczka na chwilę zawisała na szczeciniastym policzku potwora, po czym spadła i odleciała, furkocząc na wietrze.

Bestia sunęła wprost na niego, rozwierając szczęki, a jej pomarańczowe ślepie świeciły niczym płomienie w wydrążonej dyni w Halloween.

# Rozdział 35

## Operacja się nie udała

Lucinda nie wyobrażała sobie, że można się aż tak bać, a należy pamiętać, że kiedyś już wisiała głową w dół na lecącym rozwścieczonym smoku. Ale tamta noc, kiedy zaplątała się w uprząż Meseret, była tak absurdalna, taka szalona, że nawet teraz wydawała się zupełnie odrealniona. Tym razem było inaczej. Zły, naprawdę zły człowiek przystawiał jej nóż do gardła, mężczyzna, który - wiedziała to z całą pewnością - nie zawaha się jej zabić, jeśli przyniesie mu to korzyść. I na dodatek śmierdział tak okropnie, cuchnął potem i tytoniem, jakby od wielu dni nosił to samo ubranie - bała się, że zwymiotuje i że zdenerwuje go to, gdy będzie się dławić.

— Proszę, niech mi pan nie robi krzywdy - wyszeptała. - Nie będę krzyczeć ani uciekać.

— To dobrze - powiedział jej równie cicho. - Bo chcę usłyszeć, co mówi mała Patience.

„Mała Patience” to oczywiście pani Needle, która stała teraz w salonie przy łóżku Gideona Goldringa, naprzeciwko trzymającego pistolet Stillmana. Gideon szarpał się w swoich więzach, ale wzrok miał nieobecny i zdawał się nieświadomy tego, co się działo. Dankle, adwokat - jak się okazało, adwokat wszystkich zgromadzonych - kulił się przy ścianie obok drzwi, robiąc, co w jego mocy, by nikt go nie zauważył.

— Boże - odezwał się Stillman. - Niemal mi żal Gideona Goldringa, a jest to wyznanie, na które, jak sądziłem, nigdy nie będzie mnie stać. Jak to jest mieć u siebie w domu taką zmięję jak pani? Z pewnością to duże

wyzwanie.

— Nie zrobiłam niczego złego, poświęcałam się jedynie dla Gideona. - Pani Needle świadomie unikała widoku broni Stillmana. Lucinda zastanawiała się, ile wiedźma wie na temat współczesnej broni - w końcu urodziła się pięćset lat temu. Przez chwilę Lucinda niemal życzyła sobie nawet w duchu, żeby zrobiła coś głupiego i zarobiła kulkę. - Ale doszło do tego, że Gideon o jeden raz za dużo naraził farmę na niebezpieczeństwo - kontynuowała swoim spokojnym, rzeczowym głosem. - Niektórzy z nas... niektórzy z nas nie mają się gdzie podziać.

— Jasne, to smutne. Powinnaś, siostró, znaleźć kogoś, kogo to obejdzie, i opowiedzieć mu to jeszcze raz. - Stillman machnął bronią, jakby był to laserowy wskaźnik, jakby prowadzili zupełnie niewinną dyskusję w sali posiedzeń. - Ta farma należy do mojej rodziny - co w praktyce oznacza, że należy do mnie. Ta słodka opowiastka o tym, jak to żona Gideona gdzieś uciekła, nie trzyma się kupy. Znałem Grace Tinker, odkąd była małą dziewczynką. Kochała Gideona, co już samo w sobie jest zadziwiające. Nie odeszłaby stąd nigdzie.

— Nasze cele nie są znów takie odległe, panie Stillman - pani Needle nie patrzyła na broń, ale wpatrywała się w Edwarda Stillmana z taką intensywnością, jakiej Lucinda nigdy nie widziała, niemal jak hipnotyzerka w starym filmie. - Chce pan jak najlepiej dla tego miejsca. Tak jak ja. Może... może moglibyśmy coś wspólnie postanowić...

Za oknem Kingaree ścisnął Lucindę jeszcze mocniej, po czym nachylił się jeszcze bliżej, tak że jego usta dotknęły jej ucha, a łzy strachu napłynęły jej do oczu.

— Posłuchaj tej małej szczypawki, która zaraz mnie sprzeda z butami - warknął. - Och, to miód dla oczu, ale ona jest przeżarta zgnilizną do szpiku kości. Powinienem był wiedzieć, że nigdy nie dotrzyma żadnej obietnicy.

Piorun zadudnił nad ich głowami - na tyle blisko, że Lucinda

wstrzymała oddech. Zaczęło spadać coraz więcej grubych kropli deszczu. Jedna z nich rozprysnęła się na jej czole, ale nie odważyła się poruszyć, czując ostry nóż na gardle.

Stillman roześmiał się.

— A co z tym kumplem kowbojem, kimkolwiek jest? Czy już wykorzystowałaś go do końca, siostrze?

— Proszę, panie Stillman... - zaczął Barnaby Dankle, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

— Kingaree? To płotka - odparła pani Needle. - Łobuz, zwykły przestępca. Wciągnęłam go w to wszystko tylko po to, by ani Gideon, ani pan Dankle nie zrobili jakiegoś numeru...

— Och, a to królowa oszustów! - zasyczał Kingaree i mocniej przycisnął nóż do szyi Lucindy.

Ale nawet pomimo trudnej sytuacji i przy rosnącym przerażeniu Lucinda nie mogła nie zastanawiać się nad tym, czy tylko ona obserwuje Gideona. Jej stryjeczny dziadek wciąż był pozornie nieobecny i nieczuły wobec wszystkiego wokół siebie, ale zdołał wyciągnąć chude ramię z jednego pęta i teraz majstrował przy drugim z otwartymi ustami i twarzą wykrzywioną w grymasie bólu czy złości, albo jednego i drugiego.

— Eee, panie Stillman! - Dankle dostrzegł wysiłki Gideona. - Panie Stillman, myślę, że...

— A zamknij się, adwokat! - Gniewne słowa Edwarda Stillmana utonęły jednak w nowym, głośniejszym huku pioruna. Przez chwilę nad głową Lucindy niebo zrobiło się białe, po czym piorun uderzył ponownie, tak głośno, że na chwilę zapomniała o wszelkim niebezpieczeństwie.

Nagle rozpoczął się ciąg kilku wydarzeń. Najpierw eksplozja targnęła domem.

Lucinda uświadomiła sobie później, że to było uderzenie pioruna, który odnalazł tylko piorunochron na najwyższej z wieżyczek domu i przeleciał nim wprost do gruntu, ale huk był tak duży, a pęd gorącego

powietrza tak gwałtowny, że wydawało się, jakby wybuchła bomba.

Nagle zgasły światła. Żarówki w Wężowym Salonie i pozostałych pomieszczeniach domu oraz światła przemysłowe, wiszące na kablach między budynkami farmy - wszystkie padły jednocześnie i spowiła ich ciemność. Lucinda usłyszała, jak Stillman krzyczy coś w pogrążonym w ciemnościach salonie, a pani Needle też wrzeszczy, ale nie usłyszała co, bo Kingaree odciągnął ją od okna, miotając tak niezbrane jej przekleństwa, jak i znane. Lucinda zobaczyła błysk po drugiej stronie okna i usłyszała głośny huk, a potem krzyk człowieka skowyczącego z bólu.

— Gdzie jest Gideon? - wykrzyknęła pani Needle, ale nie ze strachu, bardziej z oburzenia. - Głupcy! On uciekł!

W ciemności Kingaree zastygł niczym polujące zwierzę, wciąż obejmując ramieniem szyję Lucindy.

— Nawet nie piśnij, mała, bo cię chlasnę - wyszeptał. - Jesteś moją przepustką z tego...

Nie dokończył zdania. Z ciemności blisko końca podjazdu rozległ się strasznie głośny stukot i ktoś zaczął krzyczeć - mniej więcej z tego miejsca, w którym Stillman zostawił ludzi w samochodzie. Głuche odgłosy walenia i drapania oraz jeszcze głośniejsze krzyki przerażenia - brzmiało to tak, jakby tłum wściekłych chłopów zaatakował samochód widłami i sztachetami. Widać było serię błysków i dało się słyszeć głucho eksplozje przypominające odgłos pękających rac.

O mój Boże, tylko tyle mogła pomyśleć Lucinda. Ochroniarze Stillmana strzelają do czegoś - czyżby do mantykory? A może do Alamu? Kolejne głośne „bach!” strzaskało okno w salonie. Nie miała pojęcia, czy strzał padł z wewnątrz czy z zewnątrz, ale Kingaree padł na ziemię. Lucinda nie wiedziała, czy się chowa przed kulami, czy dostał, ale skorzystała z okazji.

Odskoczyła od budynku i zniknęła w ciemnościach. Posuwała się na

czworakach, aż mogła wstać. Kierując się w stronę przeciwną do odgłosu broni i tego, co zaatakowało ochroniarzy Stillmana, pobiegła jak najszybciej przez zarośnięty fragment wyschniętego trawnika, na którym było teraz mnóstwo kałuż. Łodygi trawy smagały ją po łydkach.

Przebiegła ledwo kilka kroków, a już usłyszała skrzypienie żwiru pod kowbojskimi butami Kingareego, który starał się odciąć jej drogę. Nie wierzyła, że może mu uciec na otwartej przestrzeni, ale była wciąż tak przerażona, że może ją ciachnąć nożem za próbę ucieczki, że wbiegła między dwie rzadko używane szopy do suszenia siana i skierowała się do drogi wewnętrznej, prowadzącej przez całą posiadłość do Gadziej Obory.

— Panie Dobrochodzki! Ragnar! Na pomoc! - krzyknęła. Teraz zachowanie ciszy nie miało znaczenia, bo zbrodniczy Kingaree znajdował się kilkanaście kroków za nią. - Na pomoc!

Ale słyszała tylko trzaski, ochryple głosy i zwierzęcy warkot, dobiegające z podjazdu za jej plecami. Stworzenie, które zaatakowało goryli Stillmana, teraz najwyraźniej rozrywało jego drogi, opancerzony samochód na strzępy.

Kiedy wyłoniła się między szopami po drugiej stronie, uświadomiła sobie, że źle oszacowała przestrzeń, przez jaką musiała przebiec - przez kilkaset metrów nie było tu żadnej kryjówki ani schronienia na wewnętrznej drodze, poza tym ani śladu kogoś, kto mógłby jej przyjść z pomocą. Kingaree był tuż za nią, kiedy Lucinda skręciła i pobiegła w stronę cynkowego ogrodzenia, osłaniającego groblę przepływającego przez tę część posiadłości Kusmish Creek. Wskoczyła na ogrodzenie i zaczęła się wspinać. Kingaree podszedł do niej wolnym krokiem, pewny, że Lucinda nie ma dokąd uciec.

— Wiesz, że mogę przeskoczyć przez ten płot w okamgnieniu, więc równie dobrze możesz już zejść, mała. Złoszczenie mnie to naprawdę bardzo kiepski pomysł. - Zatrzymał się kilka kroków od niej w chwili, w której przekładała nogę na drugą stronę. Jego oczy przypominały wąskie

szparki, ale spróbował się uśmiechnąć. - No, już dość. Potrzebujemy siebie nawzajem. Ja potrzebuję ciebie, żebyś pomogła mi się stąd wydostać - widzisz, operacja się nie udała. Jackson Kingaree nie ma zamiaru dać się zastrzelić za tą dwulicową Needle. Więc jeśli możesz zejść z tego płotu, to zawrzemy rozejm.

— Nie.

Burza nieco ucichła. W przerwach między hukami piorunów Lucinda usłyszała dziwne odgłosy dobiegające do niej z różnych kierunków, stłumione krzyki i skomlenie wystraszonych zwierząt. Przesunęła się jeszcze dalej po szczycie ogrodzenia, starając się zachować stosowną odległość od prześladowcy. Światła wciąż nie było na całej farmie, ale księżyc świecił na tyle mocno, że widziała pociągłą, bladą twarz Kingareego, błysk jego noża, który celowo trzymał na widoku.

— Nie - powiedziała tym razem głośniejszym głosem. - Nie zejdem. Panie Dobrochodzki! - krzyknęła. - Ragnar! To Kingaree! Jest tutaj!

Wysoki mężczyzna roześmiał się.

— Żaden z nich tu nie przyjdzie, a ja też nikogo się nie boję. Dobrochodzki ma krzepę, to fakt, ale nic mi nie zrobi, bo... będę miał ciebie!

Z ostatnim słowem wskoczył na ogrodzenie, łopocząc płaszczem niczym czarnymi skrzydłami. Spanikowana Lucinda starała się zeskoczyć, ale jej stopa uwięzła w romboidalnej dziurze między zwojami drutu. Kiedy starała się uwolnić, napastnik w długim, czarnym płaszczu wspinał się w górę równie szybko i zręcznie jak pająk po ścianie. Chwycił ją za stopę i zacisnął palce na jej bucie, ale ten zsunął się z nogi i teraz mogła przerzucić ją na drugą stronę i zeskoczyć po stronie strumienia. Zrzuciła drugi but i pobiegła wzdłuż grobli nad czarną wodą. Kingaree przeskoczył na drugą stronę, spadł na beton i niespiesznie zaczął podążać jej śladem.

— Nie uciekniesz mi, mała. Jestem dwa razy większy od ciebie i silny



jak wół!

Znajdowała się między strumieniem i Kingareem. Za nią ciągnęła się długa grobla, ale wiedziała, że nie jest w stanie mu uciec. Zatrzymała się i odwróciła, tak zastraszona przez napastnika, że nie mogła zaczerpnąć oddechu. Lepiej się poddać, powtarzała w myślach. Nie skrzywdziłby jej przecież - potrzebował jej. Ale mocno bijące serce Lucindy nie wierzyło w takie zapewnienia.

— No proszę, grzeczna dziewczynka - powiedział, zwalniając i zbliżając się do niej po betonowej grobli z nożem w dłoni.

— Zatrzymaj się - powiedziała. - Dlaczego miałabym ci zaufać?

Przystanął i przekrzywił głowę. Gdzieś po drodze zgubił kapelusz i deszcz przykleił mu czarne włosy do czaszki.

— Zaufać mi? Zaufanie nie ma tu nic do rzeczy. - Strząsnął krople wody z oczu. - Będiesz ze mną szła, dopóki nie znajdę się poza terenem posiadłości, i zrobisz, co każę. Wiesz, nie muszę cię zabijać, żebyś naprawdę pożałowała, że mnie kiedykolwiek spotkałaś.

Uwagę Lucindy odwróciło coś w mroku za Kingareem. Jakieś stworzenie wyłaniało się z ciemnej toni. Zobaczyła, drżąc z zimna i przerażenia, jak wielki cień oddziela się od ciemności nad strumieniem. Przez chwilę Lucinda myślała, że to trzciny, długie sitowie i wodorosty oderwały się od korzeni i wpełzły na groblę, ale potem zobaczyła, jak dwa wielkie ślepie, połyskujące w bladym świetle, wznoszą się za nic niepodejrzewającym Kingareem niczym para księżyców, po czym zastygają nad głową w ociekającej masie przypominającej mokry stóg siana.

Rzeczny potwór wujka Gideona, pomyślała. Ma taką dziwną nazwę. Przypomniała sobie po chwili: bunyip.

Na mokrej twarzy Kingareego odmalowało się zdziwienie.

— No i na co się tak gapisz? To stara, głupia sztuczka, moja mała. Nikogo za mną nie...

Nagle usłyszał coś i się odwrócił. Jackson Kingaree nie miał nawet okazji krzyknąć, zanim wielka góra mokrej sierści wepchnęła go w szuwary. W końcu odzyskał głos i drąc się z przerażenia, raz za razem dźgał nożem mokrą górę mięśni. Człowiek i mityczna bestia stoczyli się z grobli, rozległy się jeszcze przekleństwa Kingareego, po czym z pluskiem zagłębili się w czarną toń strumienia.

Lucinda nie czekała, żeby zobaczyć, co będzie dalej. Wspięła się z powrotem na ogrodzenie, najszybciej jak potrafiła, nie bacząc na skaleczenia i siniaki. Pośliznęła się, schodząc, i spadła na ziemię tak ciężko, że przez chwilę myślała, iż złamała nogę w kostce. Niebo zrobiło się białe i grom ponownie przetoczył się po okolicy, a Lucinda z trudem wstała z ziemi. Za nią wciąż toczyła się walka, ale dziwne, przemieszane odgłosy wydawane przez Kingareego i napastnika stopniowo nikły w oddali, kiedy pokuśtykała w stronę domu przez ciemną, uwięzioną w ścianie deszczu farmę.

# Rozdział 36

## Ainhcuk

Steve popatrzył na skryte w półmroku schody.

— O czym ty mówisz? Dlaczego mamy tam wchodzić? Mówiłeś, że wiedźma ma tam pokoje!

W innej części domu, bliżej drzwi frontowych, nieznane głosy toczyły głośny spór. Serce Tylera biło bardzo mocno: w każdej chwili ktoś mógł wejść i ich nakryć.

— Tam jest teraz lustro - rzucił niecierpliwie i znów go popchnął, ale Steve Carrillo był na tyle duży, że kiedy nie chciał, to nie można go było ruszyć na siłę. - Mówię poważnie! Pani Needle je zabrała. Zona Gideona, Grace, tkwi tam tak, jak ty rok temu, i my musimy ją uwolnić.

— To zupełnie coś innego niż to, co mówiłeś wcześniej - rzucił oskarżycielsko Steve. - Mówiłeś, że musimy powstrzymać Colina - że ma kontynuować i przejmie władzę nad światem czy coś takiego, jeśli nie przyjdziemy tutaj i go nie powstrzymamy. Ze może zniszczyć czas niczym jakiś czarny charakter.

— No właśnie! - rzucił Tyler, znów go popychając. - Dlatego musimy wydostać Grace z lustra i potem Gideon... no, ja wiem... otrząśnie się z tego koszmaru, w którym tkwi! Gideon musi wyzdrowieć i powstrzymać Colina.

— Co? To w ogóle nie ma żadnego sensu! Zapomnij - ja tam nawet nie zbliżę się do tego lustra. Tam to w ogóle zwariować można i mam wrażenie, że ostatnio byłem w nim z dwa lata!

— Nikt cię nie zmusza, żebyś włąził do lustra. Poczekaś sobie na

mnie.

— Jasne, pięknie. Będę sobie czekał w pokoju czarownicy w wielkim, starym, upiornym domiszczu. Doskonały plan. Nic z tego, Jenkins.

— Słuchaj, jeśli tu zostaniemy, to wiedźma na pewno nas znajdzie. - Za oknem zadudnił grom i kiedy ucichł, Tyler znów usłyszał podniesione głosy. Jeden z nich należał chyba do Patience Needle. - Tam teraz siedzi. Włóż na górę!

Steve Carrillo jęknął w proteście, ale pozwolił Tylerowi zaciągnąć się po schodach. Tyler wśliznął się przez uchylone drzwi biura wiedźmy, po czym odwrócił się i przywołał Steve'a. W pokoju panował porządek, jak zwykle, wszystko na biurku i wysokim, aptekarskim regale było starannie poukładane, rośliny doniczkowe stały po obu stronach blatu, a każda doniczka miała czytelnie wypełnioną etykietkę. Od tego wszystkiego odstawała tylko sterta papierów, beztrosko porzrzucanych po biurku, jakby mocny podmuch wiatru przeszedł przez pokój, nie dotykając niczego poza nimi. Po drugiej stronie niewielkiego pomieszczenia stała ręcznie rzeźbiona, drewniana umywalka i wysoki, połyskliwy prostokąt lustrzanej tafli.

— Naprawdę tu stoi - bezgłośnie rzucił Tyler. Poczł przyplływ nieopisanej i zadziornej radości, jakby został nagrodzony za uporczywą obronę prawdy.

— Mówiłem ci - zaczął Steve. - Ja nie będę...

Zgasły wszystkie światła.

— C...co jest?

— W porządku - odparł równie roztrzęsiony Tyler. - Wciąż tu jestem!

— Co się dzieje? - Steve Carrillo był zdjęty paniką. - O co chodzi?

— Prąd szlag trafił, tylko tyle - odparł Tyler. - Dobrze jest, mamy latarki.

Włączył swoją i omiół pokój snopem światła. Odgłosy burzy zdawały się głośniejsze w półcieniach, a pokój wiedźmy większy i bardziej

niepokojący. Tyler oparł się o biurko, przesuwając promień światła po porozrzucanych papierach, ale najwyraźniej nie było w nich nic niezwykłego - same rachunki i inne oficjalne papiery.

Bach! Na dobiegający z dołu stłumiony odgłos eksplozji podskoczyli obydwaj.

— To był wystrzał! - powiedział Steve.

— Ktoś coś wyrócił, tylko tyle - uspokoił go Tyler.

— Ależ ty łziesz, aż ci się z nosa kurzy, Jenkins! Wynośmy się stąd.

Tyler również poczuł bardzo dużą chęć wyrwania się stąd, ale zaszedł za daleko, by się teraz poddać.

— Nie mogę, wchodzę do lustra po Grace - powiedział. - Mówiłem ci już.

— Nie zostawisz mnie tu samego w ciemnościach!

— W takim razie chodź ze mną.

Kolejny głośny wystrzał, a zaraz po nim trzeci.

Steve odnalazł swoją latarkę. Wybałuszył oczy.

— Nie mów mi, że to nie były strzały! - Jeszcze szerzej otworzył oczy, aż Tyler zaczął się niepokoić, czy nie wypadną mu na zewnątrz. - Słyszałem, jak coś się zbliża!

Tyler już chciał zaprzeczyć, ale nie było wątpliwości - obydwaj usłyszeli pospieszne kroki na schodach.

— O kupa. Schowaj się, szybko! - Omiótł światłem latarki cały pokój, ale oprócz miejsca pod biurkiem jedyną realną kryjówką było wnętrze lustra. Tyler wiedział, że nigdy nie skłoni Steve'a po dobroci, żeby poszedł z nim, więc chwycił postawnego chłopca za ramię i zaciągnął go do biurka. - Tam!

Ledwo zdążyli wyłączyć latarki, wpełznąć, jak się najgłębiej dało, pod biurko i zakleszczyć się plecakami, które wciąż mieli na plecach, kiedy drzwi do pokoju otworzyły się z rozmachem i walnęły w ścianę z głuchym stuknięciem.

— Zdrajca! - pani Needle wręcz wysyczała głosem zimnym i ostrym niczym odłamek szkła. - Wiem, że gdzieś tu jesteś. Nie ukryjesz się przede mną.

Steve Carrillo nie mógł się powstrzymać i zakwilił cichutko. Tyler złapał dłoń przyjaciela i ścisnął ją najmocniej, jak potrafił. Pani Needle nie poruszyła się, co oznaczało, że wciąż stoi w drzwiach i nasłuchuje. Chwilę później podeszła do biurka i Tyler poczuł wielki chłód, jakby wyciekła z niego cała krew. Znow ścisnął dłoń Steve'a zarówno po to, by przyjaciel był cicho, jak i po to, by upewnić się, że nie jest tu sam.

Pani Needle stała teraz tuż koło biurka: słyszał szelest jej sukni, kiedy się poruszała.

— Jeśli mnie słyszysz, to lepiej wyjdź - powiedziała. Tylko to, że raczej chyba nie widziała po ciemku, jak kot czy lis, powstrzymało go od wydania okrzyku strachu. Zagryzał wargi, aż poczuł smak krwi. - Wychodź, mówiłam - podniosła głos. - Wiem, że tu jesteś. Przede mną się nie ukryjesz.

Steve drżał cały, a jego ciało poruszało się, jakby bezgłośnie płakał. Tyler nie wiedział, co robi jego przyjaciel, ale modlił się, żeby przynajmniej robił to w ciszy. W końcu pani Needle odsunęła się od ich kryjówki.

— Jeśli tu jesteś i nie reagujesz - powiedziała w końcu - to dam ci powód, żebyś tego pożałował, panie Kingaree. Przysięgam, że dam ci bardzo, ale to bardzo bolesną lekcję.

Zamilkła, jakby czekała na odpowiedź, po czym odwróciła się i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Tyler usłyszał, jak idzie korytarzem, po czym otwiera kolejne drzwi.

Tyler włączył latarkę, przesłaniając światło koszulą. Ze zdumieniem stwierdził, że Steve Carrillo klęczy obok niego, trzymając w dłoni długi metalowy szpikulec.

— Nie mogłem odnaleźć noża - wyszeptał. - Chciałem ją dźgnąć

śledziem od namiotu.

— Nie został odlany ze srebra i pewnie tylko byś ją rozzłościł - powiedział Tyler. - Chodź, musimy się stąd wydostać, zanim wróci.

Steve wsadził śledzia do kieszeni.

— A dokąd idziemy? Na dół?

— Żartujesz sobie? Nie słyszałeś? Szukała Kingarego. To ten łowca niewolników, o którym ci mówiłem! Pewnie biega gdzieś po domu ze spluwą i strzela do ludzi.

— W takim razie dokąd...? - Nagle Steve'a olśniło. - O nie, nie, nie i jeszcze raz nie.

— No, stary. Chcesz tu na nią czekać, kiedy wróci z latarką? - Tyler wyczołgał się spod biurka i wspiął się na marmurową umywalkę.

— Nie! - krzyknął Steve, wpełzając spod mebla z nieco większą trudnością niż Tyler. - Nie idę, nic z tego!

— Jak tam sobie chcesz. - Nawet nie zastanawiając się nad tym, czy mu się uda, Tyler rzucił się w przód, prosto w lustro, którego tafla rozstąpiła się przed nim, jakby była z rtęci.

Wylądował niezgrabnie z plecakiem nad ramionami i głową tak, że upadł, starając się podnieść z kłęczek. Kiedy w końcu wyprostował się, usiadł i włączył latarkę, był zaskoczony, że znalazł się w innym pomieszczeniu niż poprzednio, kiedy przechodził przez lustro. Na chwilę zamarł ze strachu - czy wpadł do jeszcze dziwniejszego i bardziej niebezpiecznego miejsca niż wcześniej? - ale uzmysłowił sobie, dlaczego tak się stało: lustro nie stało już w bibliotece, a więc po drugiej stronie nie znajdowała się aketoilbib. Było to natomiast lustrzane odbicie biura pani Needle.

Podpełzł z powrotem do lustra i machnął przed nim latarką tak, żeby Steve mógł zobaczyć światło po drugiej stronie.

— Nic mi nie jest, Steve - powiedział, choć wątpił, żeby przyjaciel mógł go usłyszeć. - No chodź!

Po kilku sekundach Steve Carrillo wypadł z lustra i padł bezwładnie jak dziurawy balon z przekrzywionym plecakiem, pobrząkując kubkiem i manierką.

— Chodź, odnajdziemy Grace - powiedział Tyler. - Może uda nam się wrócić i wyjść, zanim włączą światła.

Steve zadrżał.

— Nic z tego, stary. Nie stęskniłem się za tym Upiorowem Górnym. Tu sobie poczekam.

Tyler pokręcił głową.

— To nie jest dobry pomysł. Nie wiemy wystarczająco dużo o tym miejscu - możemy się już nie odnaleźć. Lepiej chodź ze mną.

— Zaraza - powiedział Steve bardzo szczerze.

Przed lustrzanymi pokojami pani Needle korytarz był pusty, ale nie poprawiło to wcale samopoczucia Tylera. Prawdziwe zdjęcia na prawdziwej ścianie były wystarczająco niesamowite - obrazy w lustrzanej wersji były jeszcze bardziej dziwaczne, przedstawiały opustoszałe domy i wałące się kamienne wieże, ludzi w ubraniach z czasów i miejsc, których Tyler nawet nie rozpoznawał, których nie widział i nie miał najmniejszego zamiaru zobaczyć.

— Fuuuj! - powiedział Steve, zerkając na jedną zakurzoną ramę po drodze. - Czy ta kobieta ma olbrzymiego pasikonika? Trzyma go jak niemowlę...

— Nie patrz na to. Ruszaj się.

Tyler nasłuchiwał intensywnie. Miał nadzieję, że szmaciany potwór nawiedzający drugi koniec domu nie przyczłapał tutaj za nimi - Grace nazywała go Banderzwierzem, co było nazwą z książek o Alicji w Krainie Czarów - ale któż mógł wiedzieć, jaka kolejna paskudna kreatura mogła się czaić w tym groteskowym odbiciu Zwyczajnej Farmy? Z całą pewnością nie miał ochoty na spotkanie z lustrzanym smokiem ani z lustrzaną mantykora.



Przez okna w korytarzu Tyler mógł zobaczyć ogród. On również nie wyglądał na miejsce, w którym chciałby przebywać. W realnym świecie był burzowy wieczór, ale tutaj panował smętny, przygnębiający spokój późnego, zimowego popołudnia i na ciemnoszarym niebie wciąż widać było niewielki ślad niknącego światła dnia. Najbliższą część ogrodu stanowiły dziedziniec i trawnik otoczony przez kamienny mur, pusty, jeśli nie liczyć wielkiego, czarnego ptaka z długim, cienkim dziobem i długimi, cienkimi łapami, który niemrawo przeskakiwał z miejsca na miejsce, polując na coś w przywiedłej trawie nieopodal rozbitej tarczy zegara słonecznego. Za murem rozciągała się dalsza część ogrodu, tak zarośnięta i zaniedbana, że przypominała jakiś upiorny las.

Stanowczo zbyt łatwo coś może się do człowieka tutaj podkraść, pomyślał Tyler.

— Dokąd idziemy? - Steve Carrillo starał się nadać swemu głosowi spokojny ton, ale bez większych sukcesów. - Wiesz w ogóle?

— Zastanawiałem się nad tym. Gdy tu wcześniej byłem, Grace kręciła się wokół biblioteki tak jak ty - ale był tam też Banderzwierz, ten potwór, który starał się nas dopaść.

Steve miał bardzo nietęgą minę.

— O Boże. Pamiętam to.

— Ale Grace to osoba z krwi i kości. Musi jeść, a nie widziałem w bibliotece spiżarni, więc myślę, że powinniśmy sprawdzić w kuchni.

— Wspaniale, Jenkins. Gdybyśmy mieli mapę.

— Cóż, są oznaczenia, a ponieważ wszystko tu jest na opak, miej oczy otwarte na napis „Ainhcuk”

Steve zrobił minę.

— „Aj, huk”? Co to, pokój, w którym spuszcza nam manto?

— To „kuchnia” od tyłu, ty głąbie. Pamiętasz „akoteilbib” i „acinwip”?

— No tak.

Odnaleźli schody. Leżący na nich dywan był tak stary, że na kantach

odstaniał drewno. Tyler uniósł dłoń, by Steve zachował milczenie, i poprowadził go w dół przez dwa piętra do miejsca, w którym podejrzewał, że powinna się znajdować kuchnia. Wiódł Steve'a korytarzem, aż trafili na wielkie, podwójne drzwi, które delikatnie popchnął i zerknął do środka.

Była to kuchnia, ale Tyler upewnił się co do tego dopiero po kilku chwilach: sufit wisiał wyżej niż w prawdziwej kuchni, więc pomieszczenie przypominało jakiś silos czy wieżę o ścianach pokrytych półkami wysoko nad głowami, tak wysoko, że do najwyższych można było się dostać wyłącznie za pomocą przesuwanych drabin.

Tyler dostrzegł jakiś ruch i puścił drzwi tak, że przymknęły się nieco, zawężając otwór do szpary, przez którą zerkali. Kilka niewielkich postaci śmigało po pomieszczeniu - dziwnych stworzeń z wielkimi ślepiami na czymś, co trudno było nazwać twarzą, i ramionami niczym długie witki, jakby zamiast Pemy, Azinzy i Sary w lustrzanej kuchni pracowały wielkie, to blade żuki w staromodnych sukniach i w czepkach.

— Och, stary, co to takiego? - wyszeptał Steve. Mówił to takim tonem, jakby szykował się do biegu.

— Ciii! - Tyler również odpowiedział mu szeptem. - Nieważne. Po prostu czekamy. - Najwyraźniej zbliżała się pora kolacji - małe robotnice śmigały z miejsca na miejsce, bardzo zajęte pracą, latały po drabinach, biorąc różne składniki, doglądały wielkiego bulgoczącego kotła, stojącego na mniejszym od niego przedpotopowym piecu na drewno, zatrzymując się tylko po to, by się o coś kłócić szeleszczącymi głosami. Pomimo ubrań stworzenia pracujące w kuchni zdawały się równie nieludzkie jak kraby pełzające po morskim dnie. Po chwili Tyler postanowił, że dość już ma tego przedstawienia, że naoglądał się wystarczająco dużo, i zamknął cicho drzwi.

— Czekamy - powtórzył Steve owi. - Znajdź sobie jakieś wygodne miejsce.

Przygotowania zajęły jeszcze niemal godzinę, ale w końcu wszystkie kuchenne stwory, niemal tuzin, zebrały się, by podać posiłek - świergoczący korowód niósł miski na tacach, wychodząc z kuchni przez drzwi z tyłu pomieszczenia. Niektóre dania wciąż się ruszały, grzechocząc o zastawę, jakby starały się uciec. Jedno z głównych dań, jakieś myszowate stworzenie z ogonem dziesięciokrotnie dłuższym od ciała, wywołało wielkie zamieszanie, zeskakując z tacy i śmigając w górę po rękawie jednej z kuchennych. W końcu krzyki ustały, posiłek został ponownie schwytyany, tace i miski podniesione z ziemi. Reszta kucharek wyszła z pomieszczenia, ainhcuk była pusta i cicha.

— Wreszcie! - powiedział Steve Carrillo. - Nogi mi zaraz odpadną od siedzenia w ten sposób! Możemy już tam wejść?

Tyler pokręcił głową.

— Jeszcze nie. Zostań tutaj.

— Dlaczego?

— Zobaczysz. - Tyler przyłożył palec do ust. - Pamiętaj, każdy musi jeść.

Coś poruszyło się w korytarzu za nimi, wypełniając niską przestrzeń chłodem i wzdychając niczym wicher w konarach drzew. Ku nieopisanej uldze Tylera stworzenie odwróciło się po kilku chwilach i ruszyło w przeciwną stronę, szurając i zgrzytając, jakby ktoś ciągnął metalową kratę po drewnianej podłodze. Steve Carrillo siedział skulony i drżący, ale zachował milczenie. Tyler był z niego dumny - on sam o mało co nie rzucił się do ucieczki.

— Tak, Jenkins, każdy musi jeść - odezwał się drżącym głosem Steve, kiedy hałasy wreszcie ustały. - Ale założę się, że dla niektórych to my jesteśmy prawdziwym przysmakiem.

# Rozdział 37

## Prace ogrodnicze

Lucinda czuła się jak szmaciana lalka, z której wypada morską trawą. Kingaree przeraził ją, potwór, który złapał Kingareego, też ją przestraszył i po tym wszystkim była tak słaba jak wtedy, gdy cierpiała na gorączkę szklarniową.

Tak w ogóle zaczynała podejrzewać, że ma nawrót choroby: wydawało się jej, że głowę ma wielką jak bania, za dużą i za ciężką, a niekiedy były takie chwile, w których przetaczające się na niebie odgłosy gromu i wycie wiatru brzmiały niczym przywołujące ją głosy.

Starła się skoncentrować i wlec noga za nogą wprost do domu. Nawet nie wiedziała, co zrobi, kiedy już się tam znajdzie. Nie słyszała na razie nikogo, ale Stillman i jego ludzie mogli być wciąż w pobliżu i strzelać gdzie Prace ogrodnicze Lucinda czuła się jak szmaciana lalka, z której wypada morską trawą. Kingaree przeraził ją, potwór, który złapał Kingareego, też ją przestraszył i po tym wszystkim była tak słaba jak wtedy, gdy cierpiała na gorączkę szklarniową.

Tak w ogóle zaczynała podejrzewać, że ma nawrót choroby: wydawało się jej, że głowę ma wielką jak bania, za dużą i za ciężką, a niekiedy były takie chwile, w których przetaczające się na niebie odgłosy gromu i wycie wiatru brzmiały niczym przywołujące ją głosy.

Starła się skoncentrować i wlec noga za nogą wprost do domu. Nawet nie wiedziała, co zrobi, kiedy już się tam znajdzie. Nie słyszała na razie nikogo, ale Stillman i jego ludzie mogli być wciąż w pobliżu i strzelać gdzie popadnie. Lucinda wiedziała, że powinna mieć jakiś plan

albo przynajmniej cel marszu, ale w tej chwili potrafiła jedynie iść naprzód.

Kiedy dotarła do szerokiego, półkolistego podjazdu, zobaczyła czyjąś sylwetkę w drzwiach wejściowych. Po chwili wahania postać przeszła niepewnie przez werandę i zeszła po schodkach, minęła okna Wężowego Salonu i ruszyła wzdłuż ściany w jej stronę. Był to Gideon, bosy, w piżamie i szlafroku, który chwiejnie szedł w gorącą, deszczową noc.

— Wujku Gideonie! - wykrzyknęła.

Nawet nie podniósł wzroku. Dotarł do końca budynku i odwrócił się od niej, krocząc z mozołem w stronę ogrodu i zewnętrznych zabudowań niczym ostatni z grupy więźniów skutych łańcuchami.

Lucinda pobiegła po żwirowym podejździe, ale on już zniknął w ciemności. Pognała za nim najszybciej, jak potrafiła, ale kostka skręcona po skoku z ogrodzenia zaczęła jej mocno dokuczać i uniemożliwiała szybszy marsz.

Po chwili znów go zobaczyła. Zataczał się, idąc w kierunku ciemniejszych rzędów roślin, skulony i chwiejny na wietrze.

Ogród. Idzie do ogrodu kuchennego. Nagle pojawiła się mroząca krew w żyłach myśli: Nie - idzie do szklarni!

Lucinda dobiegła do Gideona, kiedy dotarł do skraju ogródka. Starła się złapać go za ramię, ale wyrwał się, jęcząc raz za razem coś, co brzmiało jak: „Puszczaj mnie! Puszczaj mnie!”. I dopiero kiedy go znów złapała, zrozumiała, że starał się powiedzieć: „Puszczaj mnie”, ale jego usta nie potrafiły wyartykułować tego poprawnie.

Gideon był o wiele silniejszy, niż myślała - trudno nawet było przytrzymać go za ramię, bo tak się wyrwał.

— Na pomoc! - krzyknęła. - Niech mi ktoś pomoże! Pomóżcie wujowi Gideonowi!

Ale tak samo jak wtedy, gdy była ścigana przez Kingareego, nikt nie odpowiadał na jej wołania. Dom wciąż spowijały ciemności, chociaż

Lucinda słyszała podniesione głosy i sporadyczne huki, które mogły być wystrzałami z broni albo po prostu odgłosem uderzających o framugę okiennic targanych silnym wiatrem.

Gideon znów się jej wyrwał i położył kościste dłonie na jej ramionach, po czym pchnął ją tak mocno, że Lucinda pośliznęła się na błotnistym gruncie, zatoczyła do tyłu i przewróciła na rząd łodyg kukurydzy. Podniosła się z ziemi, ociekając wodą, pokryta błotem, ale kiedy znów go chwyciła i błagała, żeby się zatrzymał, on się odwrócił i uświadomiła sobie, że nie ma znaczenia, co powie - oczy jej stryjecznego dziadka wywróciły się tak, że było widać jedynie białka, a usta zastygły w grymasie, ukazując zęby jak u przestraszonego psa. Kiedy patrzyła na niego z przerażeniem, Gideon zamachnął się ręką i trafił ją w skroń, tak że znów się przewróciła.

Lucinda leżała na połamanym łodygach. Może i był stary, ale wciąż za duży i za silny dla niej. Poza tym głos, który niedawno znajdował się na krawędzi jej myśli, stawał się coraz silniejszy. Teraz rozumiała płynące do niej słowa, no, może nie słowa, ale skoncentrowane pojęcia, przypominające mowę Desty: to było poczucie, coś wymykającego się pojęciom językowym czy też nawet zwykłym myślom.

Chodź. Chodź tutaj. Chodź tutaj w tej chwili.

Ale najbardziej przerażające było to, jak silny był to rozkaz - jak bardzo Lucinda chciała ulec temu prostemu, potężnemu żądaniu.

Chodź tutaj.

Uświadomiła sobie, że to szklarnia - czy też to, co przebywało w szklarni. Ale chociaż rozumiała to, uświadomiła sobie też, że pełźnie wśród rzędów kukurydzy w jego stronę i że robi to już od jakiegoś czasu. Walczyła z naporem i zwolniła nieco, ale Gideon był całkowicie pod wpływem tego głosu i znajdował się o kilkanaście rzędów przed nią.

Nie mogę się przejmować sobą, pomyślała oślepiona błyskawicą i ciśnieniem wewnątrz głowy, muszę powstrzymać Gideona. Zamiast

walczyć z rozkazem, podniosła się chwiejnie z ziemi i ruszyła do przodu, dając się ponieść przemożnej chęci przynajmniej na chwilę: kiedy zrównała się ze swoim stryjecznym dziadkiem, złapała go za nogi i razem przewrócili się na mokrą ziemię ogrodu.

Nie opieraj się - dotarł do niej głos, bez słów, ale z jasnym przekazem. Chodź tutaj.

Całym swoim jestestwem pragnęła poddać się wezwaniu - oprócz niewielkiej, myślącej cząstki, która wciąż była Lucindą i wyłącznie Lucindą. Przypominało to walkę z falą przyboju - błotnista gleba wokół niej zdawała się żyć, poruszając się setkami rozmaitych zwierząt, owadów, gryzoni, rannych ptaków, które pełzły, skakały w stronę szklarni i tego, co je stamtąd wzywało. Tymczasem Gideon starał się podnieść na nogi, wił się i miotał niczym ranne zwierzę. Jedynie dzięki jego ośpieniu Lucinda zdołała go powstrzymać.

Oranżeria znajdowała się kilkanaście metrów od nich - wyłaniała się nad chlastanymi wichrem roślinami niczym statek na wzburzonym morzu. Gideon uwolnił się, szarpiąc jej skórę paznokciami. Podczas walki została przewrócona na brzuch, a jej głowa była metodycznie wpychana w błoto. Lucinda stanęła oko w oko ze szczątkami królika, workiem gnijących trzewi z białymi bruzdami i wyrostkami gładkich, białych, robakopodobnych łodyg, które wyrosły z gleby. Kiedy odrzuciła głowę, dławiąc się, zobaczyła, że otaczają ją małe ciała owadów i zwierzątek, zakotwiczonych w białych kłęczach.

Grzyb. To naprawdę był grzyb, tak jak opisano to w liście z Madagaskaru. Grzyb, który w jakiś sposób potrafił zatruć żywe stworzenie, a następnie przyciągnąć je do macierzystego organizmu... potwora ze szklarni...

— Na pomoc! - wrzasnęła, a przerażenie dodało jej sił. Wpiła się kurczowo w Gideona, jakby razem tonęli w gigantycznym wirze. - Pomóżcie nam! Na pomoc! To opanowało Gideona! - Deszcz obmywał jej

łzy, zanim zdołały polecieć dalej. - Czy naprawdę nikt mnie nie słyszy?

— Usłyszałem cię - odezwał się jakiś głos tuż przy jej uchu. - Możesz go puścić.

Mocne, ogorzałe dłonie zacisnęły się na Gideonie i uniosły go z taką łatwością, jakby zrywały dmuchawiec. Pan Dobrochodzki zaniósł Gideona daleko, na krawędź ogrodu, i rzucił go na ziemię. Nachylił się i przesunął palcem z tyłu czaszki Gideona Goldringa, a staruszek w zabłoconym szlafroku momentalnie zwiotczał.

— Nie chciałem mu tego robić. - Kopyta pana Dobrochodzkiego były zanurzone do połowy w błocie. - Ale to coś go zniewoliło.

— Och, dziękuję panu, dziękuję...! - zaczęła wołać Lucinda, ale Simos Dobrochodzki już mijał ją i szedł w kierunku szklarni.

— Wezwij pozostałych. Będę potrzebował pomocy - powiedział.

Czuła tak wielkie wyczerpanie, że nie była pewna, czy się podniesie.

— A gdzie oni są? Gdzie jest Ragnar?

— On nie może przyjść. - Brodził w zieloności niczym olbrzym z baśni przedzierający się przez las. - Mantykozy się uwolniły - zawołał - i niektóre są w Gadziej Oborze.

— W Gadziej Oborze? - Nic dziwnego, że biedna Desta była taka przestraszona. Lucinda podniosła się na nogi i miała już pobiec do domu, ale zobaczyła, że Gideon znów się rusza i zaczyna pełznąć z powrotem do ogrodu. - Panie Dobrochodzki, niech pan zaczeka!

Mężczyzna z kozimi kopytami był już niemal przy szklarni.

— Musisz sobie z tym poradzić! - krzyknął.

Kolejna błyskawica przeskoczyła po niebie, rozświetlając cały ogród. Wielka chmura jakiegoś białego puchu wystrzeliła ze szklarni, spowijając pana Dobrochodzkiego niczym mgłą. Huknął grom i znów błyskawica przecięła niebo. Kiedy pan Dobrochodzki machał rękami, by rozproszyć biały tuman, niezliczona ilość białych rurek czy pędów wyskoczyła z oranżerii i oplotła go niczym Guliwera na plaży Liliputów. Pan



Dobrochodzki walczył zawzięcie, zrywając wiele lekko fosforyzujących łodyg, ale na każdą zerwaną pojawiało się kilka innych, zaciskając się na nim sprytnie i żwawo niczym białe palce. W kilka sekund zmienił się w wijący się kłęb grzybowych sporów o ludzkim kształcie, ale widać było, że miota się coraz wolniej.

— Och, Boże, niech ktoś przyjdzie nam z pomocą! - wrzasnęła Lucinda.

Gideon pełznął do ogrodu. Oplotła go nogami w pasie, po czym padła na ziemię, chwytając się najgrubszej, najgłębiej zakorzenionej rośliny, której mogła dosięgnąć, choć wiedziała, że nie wytrzyma długo przyciągania ze szklarni. Deszcz rozpryskiwał błoto na jej twarzy.

— Pomóżcie nam, proszę!

Nagle ku swej wielkiej uldze zobaczyła, że ktoś nadchodzi w jej kierunku z latarką w ręku. Modliła się, żeby był to Ragnar albo jeden z mongolskich pasterzy, ktoś, kto byłby w stanie utrzymać Gideona z dala od szklarni. Światło latarki zatańczyło na oblepionej błotem twarzy Gideona.

— Dobry Boże, a cóż ten głupiec wyrabia? - zapytał Ed Stillman.

— Niech mi pan pomoże! - błagała Lucinda. - Niech go pan złapie!

Stillman stał i przyglądał się temu przez dłuższą chwilę.

— A wiesz - powiedział w końcu - chyba tego nie zrobię. Dopilnowałem, żeby dzisiaj nikt nie zmienił testamentu. Tylko o to mi chodziło. - Rozejrzał się po miotanym wichrem ogrodzie i spojrzał na niemal niemożliwą do rozpoznania postać pana Dobrochodzkiego w kokonie z białych pędów. - N aj wyraźniej jakiś botaniczny eksperyment Gideona się nie udał. Nie sądzę, żebym chciał dotrzeć do jego końca... szczególnie, jeśli nasz stary przyjaciel tak bardzo chce się zabić, jak to widać na załączonym obrazku. - Zaśmiał się i znów wycelował światło w twarz Gideona. Gideon warknął i kłapnął zębami niczym uwięzione zwierzę, starając się ugryźć snop światła. - Nie mam zamiaru odpowiadać na pytania policji. Nie, wolę to zostawić tobie i reszcie członków dziwnej

sekty pana Gideona...

— Ty... ty podły szczurze! Powiemy im, że tu byłeś...

— Och, myślę, że będziecie mieli kłopoty z uwiarygodnieniem tego.

Ktoś inny podszedł do nich, słaniając się na nogach, wielki, skryty jeszcze w cieniu człowieka, ale nadzieja Lucindy, że jest to Ragnar, bardzo szybko zginęła śmiercią naturalną.

— Panie Stillman - przemówił mężczyzna o nazwisku Cater. Był zadyszany i przerażony - Coś... coś zaatakowało nasz samochód!

— Naprawdę? - Miliarder uśmiechnął się cierpko. - I nie poradziliście sobie we dwóch z bronią w opancerzonym wozie? W czym problem?

— Nie wiem! Ale to coś rozdarło karoserię w kilku miejscach i niemal dopadło Deuce'a! W domu zgasło światło, więc włączyliśmy reflektory w wozie i właśnie wtedy... wtedy na nas skoczyło. Znikąd!

Stillman wywrócił oczami.

— Dobra. Właśnie i tak miałem stąd zmykać - w końcu i tak wkrótce będziemy tu u siebie. Chodź, musimy jeszcze zabrać tego kretyna Dankle'a i doprowadzić go do ładu. - Stillman spojrzał na Lucindę i wzruszył ramionami. - Przypadkowo go postrzeliłem. Mój Boże, ale się darł! Można by pomyśleć, że wywaliłem mu dziurę w piersi, a przecież ma nieszkodliwą ranę w ramieniu, bez uszkodzenia kości...

Gideon, śliski niczym wielka wydra, zaczął się wyrywać Lucindzie.

— Proszę, panie Stillman, niech pan nie jedzie!

Popatrzył na nią surowo.

— Nie rozumiesz, panienko. Nie ma mowy, żeby ktoś wykorzystał mnie, by dostać to, co chce - to ja wykorzystuję innych, by dostać to, co ja chcę! Tak to działa. - Odwrócił się do Catera. - Zostawmy tych ludzi przy ich... pracach ogrodniczych.

Ed Stillman wraz z ochroniarzem odwrócił się i poszedł w stronę ciemnego domu, widocznego jedynie w przebłyskach błyskawic.

— Nie! - krzyknęła Lucinda. Gideon zakrył jej usta dłonią, napierając

tak mocno, iż myślała, że złamie jej nos. - Niech pan nas nie zostawia. Nie róbcie tego!

Ale odpowiedziała jej tylko burza.

# Rozdział 38

## Szczwany plan Colina

Z całego świata pozostali tylko Colin, mantykora i błyskające niebo. Pomarańczowe ślepie były wpatrzone w niego, a zwierzę wciąż się zbliżało. Dziwny, niemal ludzki pysk nie wykazywał ani śladu emocji - blada, pomarszczona, skórzana maska z rozdziawioną, dziką szczęką ukazywała każdy ze straszliwych kłów. Kiedy się zbliżyło, smród zwierzęcia uderzył z całych sił w nozdrza Colina - zamiast biec, padł na ziemię jak zepsuty przedmiot, który w ogóle nie powinien był stać. Kiedy czekał już na kres, wielki kształt zawisnął nad nim, przesłaniając światło i wszelką nadzieję, dławiąc go straszliwym, gorzkim odorem...

Nagle zwierzę przestąpiło nad nim i deszcz znów uderzył Colina w twarz. Znów miał nad sobą niebo.

Ale gdzie się podział potwór?

Czekał długo, bardzo długo, pusty niczym rozdarty worek, i w samym środku drących się wniebogłosy myśli doszedł do wniosku, że potwór ma ochotę poigrać sobie z nim niczym kot z myszą, zanim go zabije. W końcu kiedy Colin wciąż czuł wyłącznie deszcz, odważył się otworzyć oczy.

Wolno odwrócił głowę, pod którą przelało się błoto, i zobaczył, że mantykora odeszła od niego już dobry kawałek, zachowując się nie jak polujący drapieżca, ale statek na silnym wietrze, kiedy chwiejnie wmaszerowała na zwirowy podjazd. Skręciła, zrobiła kilka kroków w stronę końca domu, z dala od kuchni i świateł, po czym zwolniła, zatrzymała się i zaczęła drzeć. Opanowały ją gwałtowne konwulsje od łba do ogona, jakby dwóch panów ciągnęło to z jednej, to z drugiej strony

zwierzę w dwóch różnych kierunkach. Zatoczyła się, przechyliła i przewróciła się na ziemię, kopiąc i wierzgając łapami. Colin nawet nie myślał o tym, by wstać: leżał, zerkając na to widowisko spod przymrużonych powiek i wstrzymując oddech. Tak jak się obawiał, zwierzę znów skoczyło na łapy i zrobiło kilka chwiejnych kroków, zanim odzyskało równowagę, ale zamiast skręcić w stronę Colina, wznowiło wolny, nieco chwiejny marsz w stronę przestrzeni między końcem domu a najbliższym budynkiem farmy. Dokąd ono idzie? Bestia zdawała się wypełniać jakąś straszliwą powinność, coś pchało ją naprzód aż do utraty sił.

Kiedy mantykora zniknęła w ciemnościach, Colin długo jeszcze leżał, łapiąc oddech, i uświadomił sobie, że łaskotanie, jakie czuł na stopach, kostkach, nogach, nadgarstkach i palcach, nie pochodzi od przelewającego się błota. Wywoływały je tabuny węży, żab, robaków i innych pełzających, skaczących zwierząt, które szły śladem utykającej mantykory.

Skoczył na równe nogi i strząsnął wszystkie stworzenia z siebie i z plecaka. Był najwyższy czas, by udać się szybko do domu - serce zaczynało mu zwalniać, a względny spokój zakłócała myśl o tym, że jest jeszcze kilka innych mantykor.

Ale co ten potwór o ludzkiej twarzy robił w tej części farmy? Czy burza z piorunami mogła otworzyć zamek w zagrodzie mantykor? A może ktoś wypuścił te bestie celowo, tak jak kiedyś zrobił to Colin? Czyżby Tyler? Mały Jenkins zawsze coś kombinował, ale Colin Needle, choćby nie wiadomo, jak bardzo chciał pozostać przy swoich oburzonych racjach, jakoś nie był w stanie uwierzyć, że Jenkins, pomimo swego okropnego charakteru, specjalnie wypuściłby na wolność takiego potwora.

Kiedy Colin dotarł do domu, zamknął na zamek drzwi wejściowe za sobą. Prądu wciąż nie było, ale latarka dawała wystarczająco dużo

światła, by stwierdzić, że dom wydaje się opuszczony. Wężowy Salon obok holu był w opłakanym stanie, a łóżko Gideona stało puste. Porozrzucano mniejsze meble i Colin zobaczył też coś, co podejrzenie przypominało rozbryzgi krwi na podłodze. Przeszył go zimny dreszcz. Co się tutaj stało? Gdzie jest Gideon? I co ważniejsze, gdzie jest matka Colina?

Azinza, Pema i Sara siedziały zamknięte w kuchni i nie chciały wyjść. Sara krzyczała coś o strzelaniu i krzykach, ale odmówiła otwarcia drzwi, jakby Colin nie był ofiarą tych wszystkich wydarzeń w takim samym stopniu jak kobiety. Popędził po schodach na górę do pokoju matki - ku swej wielkiej uldze usłyszał jej głos, kiedy stanął na półpiętrze, ale jej słowa były ohydne, nigdy nie słyszał czegoś takiego z jej ust.

— A to podlec! Jak on śmie? Pokażę mu jego własne, jeszcze bijące i dymiące serce, wyrwane świeżo z piersi!

— Mamo? - Wszedł do jej biura. Jej biurko i podłoga były zarzucone papierami. - Co się stało?

Podniosła na niego wściekłe spojrzenie, kiedy wszedł do środka, i na widok jej oblicza wykrzywionego wściekłością cofnął się o krok, zasłaniając się podniesionymi rękami przed ciosem. Jej twarz stężała i przybrała mniej przerażający wyraz.

— Colin, gdzieś ty się podziewał? Cały czas cię szukałam! Miałeś być w swoim pokoju! - Wybałuszyła oczy, widząc plecak. - Byłeś na zewnątrz? Kiedy mówiłam ci bardzo wyraźnie i dobitnie, że masz zostać w domu? - Przez chwilę pomyślał, że podejdzie do niego i go uderzy, ale pokręciła tylko głową, a jej usta zmieniły się w napiętą strunę. - Idź do swojego pokoju.

— Gdzie jest Gideon? Co się stało?

— Nie teraz. - Wróciła do papierów i zaczęła przetrząsać je gorączkowo, jakby rozrzucona sterta była stogiem siana, w którym chciała odnaleźć igłę.

— Mamo, przestań! Wszystko zwariowało! Jedna z mantykor wydostała się na wolność i niemal... - Ale ona już nie zwracała na niego uwagi, jakby jej jedyne dziecko przestało istnieć. - Co ty krzyczałaś, kiedy tu wszedłem, mamu? Co starasz się odnaleźć?

— Nie teraz, Colin - warknęła.

— Nie słuchasz mnie! Jedna z mantykor wydostała się na wolność - może wszystkie! Musimy znaleźć Dobrochodzkiego! Tylko on jest w stanie...

Odwróciła się w jego stronę z furią w oczach.

— Stałeś się bardzo nieposłusznym dzieckiem. W tej chwili marsz do pokoju i zamknij drzwi na klucz. Ale już.

W jej głosie było tyle mocy i taka była natura ich długoletniego nierównego związku, że chwilę później Colin wyszedł z biura matki i ruszył w stronę swojej sypialni. Wszedł do środka i zrzucił plecak na podłogę, po czym wsunął go stopą pod łóżko. Cokolwiek miało się wydarzyć, chciał, żeby kontiniuoskop był bezpieczny. Myśl o tym, że jeszcze godzinę temu był taki szczęśliwy, tak pozytywnie nastawiony do świata, była zupełnie niedorzeczna.

Nagle spostrzegł otwartego laptopa na biurku.

Colin Needle jednak nigdy nie zostawiał otwartego laptopa. Odrazą napawała go myśl o tym, że kurz unoszący się w tym starym domu czy paprochy z wyżartych przez mole dywanów i z dawno niesprzątanых pokoi mogłyby osiąść na jego klawiaturze. Zawsze ją zamykał. Ale w takim razie kto mu grzebał w komputerze? I dlaczego?

Stojąc tak we wciąż ociekającej wodą kurtce i zabłoconych spodniach, rozważał możliwy w tym udział Jenkinsów, a nawet to, że stary Cezar mógł zostawić jego komputer w tym stanie po starczych zapędach porządkowych, ale nie mógł zapomnieć, że wcześniej tego dnia jego matka nakazała mu zostać w pokoju - kilkakrotnie, i to do tego niezwykle dobitnie. Mówiła, że martwi się burzą, no i oczywiście Colin zignorował

ten zakaz, ponieważ miejsce, do którego się udawał, znajdowało się pod ziemią i niestraszne mu były nawet najgorsze wyładowania. Ale teraz, kiedy się nad tym zastanawiał, przypomniał sobie, że była bardzo stanowcza w tej kwestii.

A oprócz samego Colina (i oczywiście Gideona Goldringa, który był tak chory, że nie mógł mówić, a co dopiero wdrapać się po schodach i skorzystać z laptopa Colina) jedynym mieszkańcem farmy, który potrafił obsługiwać komputer, była... jego matka.

Nie! Nie mógł uwierzyć, że jego matka za pomocą programu Colina otworzyła klatkę z mantykorami - to musiał być Tyler Jenkins! Ale choć bardzo starał się w tym utwierdzić, nie potrafił. Matka gorączkowo się do czegoś przygotowywała przez cały dzień. Czy coś chciała ukryć? Czy uwolniła krwiożercze bestie, aby Dobrochodzki był zajęty przez cały dzień, a ona mogła zająć się swoimi tajemniczymi sprawami?

A gdzie był Gideon Goldring? Dobry Boże, czyżby... na zewnątrz? Czyżby uwolnił się jakimś cudem? Może to była krew Gideona na posadzce w salonie, a teraz włóczył się on gdzieś, zdezorientowany i pokrwawiony na terenie łowieckim mantykor?

Colin zawahał się przez chwilę, po czym złapał latarkę i wyszedł na korytarz. Obiecał matce, że zamknie drzwi na klucz, więc to zrobił. Od zewnątrz. Kilka chwil później był już na dole. Wziął ciężki żelazny pogrzebacz z kominka w holu, żeby w razie czego mógł mu posłużyć za broń, ale modlił się w duchu, żeby nie musiał go używać: Colin nie wierzył w to, że zdoła zabić mityczne zwierzę, wielkie jak lew, za pomocą tego metalowego drapaka.

Pomimo silnego wiatru burza wciąż wisiała nad farmą, ciemność rozświetlały błyskawice, a chmury były czarne jak atrament. Colin stał po kostki w błocie i patrzył, jak Lucinda Jenkins mocuje się z uwalanym błotem, oszalałym Gideonem Goldringiem.

— A ty co robisz? - zapytał stanowczo Colin.



Lucinda odwróciła twarz ku niemu.

— Och, Colin, pomóż mi, proszę! W tej szklarni coś jest. Jakiś... zabójczy grzyb! Dopada zwierzęta, a potem, bo ja wiem... przywołuje je. Idą jak zahipnotyzowane! Przychodzą i zostają spętane - to nawet dopadło pana Dobrochodzkiego!

Starła się mu wskazać to miejsce. Zobaczył oplątany ludzki kształt obok szklarni, coś, co wyglądało jak poruszający się, postawiony na sztorc śpiwór uszyty z lekko fosforyzującej, białej koronki.

— Stara się też dopaść Gideona - wciąż się stara! Pochwyciło pana Dobrochodzkiego, bo za bardzo się zbliżył, i myślę, że ja też to odczuwam. Och, Colin, pomóż mi, proszę! Czuję, jak mnie ciągnie w swoją stronę...

Popatrzył na szklarnię. Cały budynek się ruszał - nie, szklarnia stała w miejscu, ale była pokryta bladymi mackami i to one się poruszały, tysiące podobnych do szpagatu macek falowały na wietrze niczym ukwiał na rafie koralowej. Czy tego tak desperacko szukała jego matka? Sposobu na zabicie tego okropieństwa? Ale jak można dokonać czegoś takiego bez miliona galonów środka chwastobójczego? Nie mieli niczego takiego na farmie.

Znów zabłysło światło, zmieniając wszystko w ogrodzie w płaską czerń bądź w jaśniejącą biel. Spojrzał na Pomimo silnego wiatru burza wciąż wisiała nad farmą, ciemność rozświetlały błyskawice, a chmury były czarne jak atrament. Colin stał po kostki w błocie i patrzył, jak Lucinda Jenkins mocuje się z uwalanym błotem, oszalałym Gideonem Goldringiem.

— A ty co robisz? - zapytał stanowczo Colin.

Lucinda odwróciła twarz ku niemu.

— Och, Colin, pomóż mi, proszę! W tej szklarni coś jest. Jakiś... zabójczy grzyb! Dopada zwierzęta, a potem, bo ja wiem... przywołuje je. Idą jak zahipnotyzowane! Przychodzą i zostają spętane - to nawet

dopadło pana Dobrochodzkiego!

Starła się mu wskazać to miejsce. Zobaczy! oplątany ludzki kształt obok szklarni, coś, co wyglądało jak poruszający się, postawiony na sztorc śpiwór uszyty z lekko fosforyzującej, białej koronki.

— Stara się też dopaść Gideona - wciąż się stara! Pochwyciło pana Dobrochodzkiego, bo za bardzo się zbliżył, i myślę, że ja też to odczuwam. Och, Colin, pomóż mi, proszę! Czuję, jak mnie ciągnie w swoją stronę...

Popatrzył na szklarnię. Cały budynek się ruszał - nie, szklarnia stała w miejscu, ale była pokryta bladymi mackami i to one się poruszały, tysiące podobnych do szpagatu macek falowały na wietrze niczym ukwiał na rafie koralowej. Czy tego tak desperacko szukała jego matka? Sposobu na zabicie tego okropieństwa? Ale jak można dokonać czegoś takiego bez miliona galonów środka chwastobójczego? Nie mieli niczego takiego na farmie.

Znów zabłysło światło, zmieniając wszystko w ogradzie w płaską czerń bądź w jaśniejącą biel. Spojrzał na pogrzebacz w dłoni. Wyładowania elektryczne, naszła go nagła myśl. Błyskawica...

Odrzucił pogrzebacz, a ten zawirował w deszczu i spadł z płaskim w błoto. Na ten widok Colinowi coś jeszcze przyszło do głowy - coś wariackiego. Ale też genialnego. Bez słowa odwrócił się od Gideona i Lucindy i pobiegł do domu.

— Nie! Dokąd ty idziesz? - wrzasnęła Lucinda. - Colin, wracaj albo znienawidzę cię na zawsze! Nie utrzymam go dłużej!

— Musisz, jeszcze przez chwilę - zawołał pospiesznie przez ramię, żeby nie zagłuszył go kolejny pomruk gromu. - Przyniosę coś, czym będzie można go związać. Trzymaj się!

Colin miał bowiem pomysł.

No właśnie, powtarzał sobie. Ocalę Gideona. Ocalę komuś życie. Ciekawe, Jenkins, czy będziesz w stanie to przebić!

Wiele sekund, nawet minut, zajęło mu odnalezienie wielkiej szpuli drutu pozostałej po montażu ogrodzenia pod napięciem: leżała głęboko zakopana pod różnymi rupieciami w jednej z szop od zeszłej jesieni. Z ciężką szpulą w jednej dłoni oraz starym metalowym słupek z ogrodzenia, taśmą izolacyjną i kombinerkami w drugiej Colin biegł niezdarnie przez teren posiadłości w stronę domu. Zatrzymał się pod najwyższą wieżyczką na dachu - gdzie był zainstalowany piorunochron. Zlokalizował przewód biegnący od piorunochronu przez cały dach i wzdłuż ściany domu aż do miejsca, gdzie owijał w końcu rurę doprowadzającą wodę, która uziemiała go w błotnistym gruncie. Colin spojrzał w górę, by upewnić się, że nie zbiera się na kolejne wyładowanie, po czym pospiesznie przeciął drut blisko ziemi i okręcił go wokół jego własnego drutu, starając się zmusić niezgrabne, mokre dłonie do pracy, kiedy owijał kilkakrotnie łączenie taśmą izolacyjną. Kiedy skończył, podniósł się z ziemi i pognął wzdłuż ściany do ogrodu, rozwijając drut za sobą.

Trzymał szpulę za plastikową rączkę, ale wiedział, że nie na wiele to się zda, jeśli błyskawica strzeli teraz w nieuziemiony piorunochron. Usmażył mnie niczym bożonarodzeniową gęś, uświadomił sobie Colin, nagle tracąc oddech z przerażenia.

Pobiegł jeszcze szybciej, aż dotarł do ogrodu z rzędami miotanych wichrem roślin. Lucinda wrzasnęła coś do niego, ale on nie zwolnił, by jej pomóc - jeśli to będzie konieczne, mogą spętać Gideona kablem w izolacji, kiedy ten potwór ze szklarni będzie już martwy, ale nie mógł się teraz tym przejmować. Upuścił słupek na ziemię, odwinął ze szpuli kolejne metry przewodu, po czym zdarł izolację z luźnego końca, okręcił go wokół metalowego palika, przełożył drut przez dziurkę w metalu i ponownie zawinął wszystko taśmą izolacyjną. Wstał i uniósł metalowy słupek niczym oszczep. Był całkiem nieźle wyważony. Jedynym problemem Colina było to, iż wiedział, że nie dorzuci go nawet do

połowy odległości, jaka dzieliła go od szklarni.

— Nie przejmuj się! To się uda! - krzyknął, starając się za wszelką cenę zignorować krzyki Lucindy, które źle wpływały na jego koncentrację - najwyraźniej Gideon był już bliski wyrwania się z jej uścisku. Wszystko było tak zniechęcające, że Colin zastanawiał się nad tym, czy nie zaczekać na Ragnara - wielki wiking był w stanie cisnąć kawałek metalu na odległość co najmniej trzykrotnie większą. Ale wtedy cały splendor spłynię na Ragnara i wszyscy zapomną o roli Colina. Nie, trzeba było coś zrobić teraz. Nie było sensu czekać na olbrzyma.

Colin podszedł do końca rzędu grządek w stronę szklarni, uważnie rozwijając drut za sobą tak, żeby się nie zaplątał, kiedy będzie ciskał palikiem w stronę potwora. Pan Dobrochodzki przestał się szarpać i jego zastygła postać znajdowała się teraz o kilkanaście metrów od Colina. Był niemal na odpowiednim miejscu, niemal, ale słyhać było, że nadchodzi właśnie nowa fala burzy, a on trzymał w ręku metalowy słupek podłączony do piorunochronu na najwyższej wieżyczce budynku. Ogarnięty nagłą paniką, przebiegł ostatnie kilka kroków do miejsca, które wybrał, i zamachnął się, ale nagle coś zahaczyło o jego stopy i kostki, przewracając go na ziemię.

Colin spojrzał w dół. Dziwne białe pędy niczym szpagat wyłoniły się - urosły? - z podmokłej ziemi i zaczęły oplatać jego nogi z zadziwiającą prędkością. Na jego oczach rozdzielały się i wplatały wprost w materiał jego odzieży, od czego zaczęło go szczypać i parzyć w skórę...

Znów zadudnił piorun. Serce biło mu tak szybko, że myślał, iż zemdleje, bo uświadomił sobie, że leży na kablu, który za chwile zostanie podłączony do furii niebios. Przetoczył się na bok i zamachnął się, by odrzucić oszczep domowej produkcji, ale coś sztywniało wzdłuż całego jego ramienia. Został złapany w sidła setek białych żył, mocnych niczym bluszcz. Walczył, ale już było za późno: pędy grzybni owinęły się wokół jego ramienia, ściśle spowijając resztę jego ciała, i zanim mógł cokolwiek

zrobić, został na stałe przytwierdzony do długiego kawałka metalu.

Nie mógł się ruszyć. Był spętany od stóp do ramion i trzymał przewodnik elektryczności w dłoni.

— Nie! - wykrzyknął. - Utknąłem! Na pomoc! Niech mi ktoś pomoże! Nie chcę umierać!

Ale krzyki Colina Needle'a utonęły w kolejnej nawałnicy, która nadciągnęła z odległych wzgórz na farmę, trzaskając iskrami nowej porcji błyskawic.

# Rozdział 39

## Aniloc Aktam

Tyler był pewien, że odnalezienie kuchni - czy też ainhcuk, jak ją nazywano w lustrzanym domu - rozwiąże ich problemy i wszystko wskazywało na to, że miał rację.

Jedno ze skrzydeł wielkich drzwi uchyliło się nieco, ale przez dłuższą chwilę nic przez nie nie wyszło. Tyler szturchnął Steve'a Carrilla. W końcu jakiś czarny kształt wpełznął do kuchni, trzymając się blisko podłogi i poruszając się niezwykle ostrożnie. Co chwila się zatrzymywał, jakby to jakiś szpieg poruszał się po terytorium wroga. Owinięty w wydymającą się, zakurzoną płachtę materiału, który kiedyś mógł być starym kocem czy obrusem, intruz wyglądał nieco jak czteronogi duch, kiedy tak podchodził do jednej z półek.

Dwie całkiem ludzkie dłonie wyłoniły się spod załamań koca i zaczęły przestawiać słoiki i pojemniki.

— Teraz! - wykrzyknął Tyler, wpadając przez drzwi do kuchni.

Dziwadło usłyszało ich i cofnęło się przerażone - przez ułamek sekundy w cieniu koca widać było przestraszone, szeroko otwarte oczy - po czym ruszyło do drzwi, ale nogi zaplątały się mu w materiał tak, że niemal się przewróciło. Popędziło przez pomieszczenie, wydając z siebie dziwne jęki.

— Stój - zawołał Tyler - chcemy ci pomóc!

Ale skryta pod materiałem postać już była niemal za tylnymi drzwiami. Musiał skoczyć, by ją złapać, po czym przetrzymać kilka panicznych, acz nieskutecznych ciosów, zanim szarpanie ustało. Podczas

walki koc zsunął się istocie z głowy. Tyler znalazł się oko w oko ze starą kobietą o przerażonych oczach, z którą spotkał się już wcześniej.

— Grace! - wykrzyknął. - Grace, to ja! Widzieliśmy się wcześniej, pamiętasz? Ostrzegałaś mnie przed Banderzwierzem. Nie bój się, Grace.

Wciąż starała się mu wyrwać, mimo że patrzyła na niego i słuchała, co mówi, jakby jej ciało wymknęło się umysłowi spod kontroli. Pośrodku tego wyblakłego zamku z baśni jej ubranie wydawało się dziwnie nowoczesne i choć było potargane, przetarte i zakurzone, coś takiego mogła nosić elegancka dama. Grace zniknęła przed dwudziestu laty. Czy w tym miejscu upłynęło dla niej dwadzieścia lat czy znacznie więcej?

W końcu przestała się wyrwać.

— Czy ty... jesteś Grace? - zapytała.

— Nie, Grace to ty. - Odwrócił się do Steve'a, który patrzył nerwowo spod drzwi. - W porządku. Ty też się tak zachowywałeś. Pomóż mi. - Zwrócił się ponownie do Grace: - Nie bój się. To tylko mój kumpel Steve. Też był tu uwięziony. Wydostał się. A teraz ciebie stąd wyciągniemy.

— Wyciągniemy? - powtórzyła wolno. - Jak to?

Nie szarpała się już, ale wyglądało na to, że w każdej chwili znów może zacząć. A jeśli głośno krzyknie? Skoro te robalopodobne istoty były słodkimi, miłymi pomocami kuchennymi w tej dziwnej wersji Zwyczajnej Farmy, to z całą pewnością nie miał ochoty na spotkanie czegoś dużo mniej sympatycznego, jak na przykład lustrzanej mantykory.

— Wyciągniemy - potwierdził, starając się, by jego głos był tak kojący, jak to możliwe. - Zabieramy cię tam, skąd przyszedłeś, Grace. Nie pamiętasz Zwyczajnej Farmy? Prawdziwej Zwyczajnej Farmy, a nie tego miejsca, gdzie wszystko jest wspak. Nie pamiętasz Gideona? Octavia? - Żadne z tych imion nic jej nie mówiło, co go naprawdę przerażało. Steve'owi dopiero po jakimś czasie wróciła pamięć. Może przebywała tu tak długo, że zapomniała wszystko na zawsze. - Pamiętasz kogoś? - Kto mógłby szczególnie zapaść Grace w pamięć z jej dni na farmie? - Pana

Dobrochodzkiego? Z Grecji?

Zamarła zaskoczona, po czym pokiwała głową.

— Jest uprzejmy. Tak, pamiętam go, jest uprzejmy.

Tyler poczuł wielką ulgę.

— Cóż, jest tam - czeka, by znów cię zobaczyć, Grace. Tak samo jak twój mąż, Gideon.

Na twarzy kobiety nagle odmalował się niepokój.

— Gideon. On jest na mnie zły. Krzyczał. Pamiętam.

— Już nie jest zły. Chce, żebyś wróciła. Naprawdę.

Dała się poprowadzić w stronę drzwi, ale kiedy zobaczyła schody, zaparła się.

— Nie! Nie na górę. Biała dama... ta z oczami...

To nie brzmiało za dobrze.

— Nie martw się - kimkolwiek jest, nie ma jej tam, bo stamtąd przyszliśmy. Chodź, będzie dobrze!

Ale kiedy w końcu wprowadzili ją po ostatnim podejściu w kierunku korytarza prowadzącego do pokoju, w którym stało lustro, usłyszeli szelest i nagle powietrze wypełniło się zapachem popiołu, zimnem i kwaśnym odorem czegoś, co spłonęło dawno, dawno temu. Tyler, który szedł za Grace i Steve'em, spojrział w dół, kiedy bezkształtna głowa, okryta poszarpanym szarym płótnem, wychynęła z dołu, zerkając na nich z głębin klatki schodowej.

— To ten potwór z biblioteki, Banderzwierz! - zawołał Tyler, starając się, by wypadło to jak najciszej, choć usta i gardło wyschły mu na wiór z wszechogarniającej grozy. - Biegiem!

Podparł dłonią kościste plecy Grace i pchnął ją niemal, wyrzucając ze schodów na korytarz. Steve też ciągnął ją tak mocno za rękę, że Tyler miał nadzieję, iż nic jej nie zrobi. Po chwili pomyślał: Nie, Boże, nie, lepsza złamana ręka, niż żebyśmy się mieli dostać w łapy tego czegoś!

Tyler wiedział, że nie powinien patrzeć za siebie, ale nigdy nie był



mistrzem w podejmowaniu rozsądnych decyzji. „Jak mówi przysłowie, Jenkins, może i ciekawość zabiła kota, powiedziała kiedyś nauczycielka, ale gdyby był takim uparciuchem jak ty, to szybko pożegnałby się z resztą żywotów, jakie mu pozostały. Zerknął przez ramię.

Widział już podczas poprzedniej wizyty w tym świecie, jak upiorny kształt go ścigał, dostrzegł nawet zarysy jego straszliwej, rozmazanej twarzy, ale tym razem rozpoznał coś w tych trupioszarych rysach. Bez względu na to, w co się zmienił, Banderzwierz był niegdyś lustrzanym odbiciem jego stryjecznego dziadka, Gideona Goldringa.

Steve zwolnił do truchtu, kiedy wpadli do otwartego holu.

— Co ty robisz? Biegnij! - rzucił Tyler. Niemal wpadł na Grace, która potknęła się niespodziewanie.

— Gdzie jesteśmy? - Steve zakręcił się w kółko z szeroko otwartymi oczami. - Nie rozpoznaję tego miejsca!

Tyler już miał na niego krzyknąć, ale po chwili uświadomił sobie, że on też nie wie, gdzie się znaleźli.

— No tak - powiedział. - Masz rację. Jak myśmy tu trafili? ·

Hol był szeroki i wysoki, w oplątanych pajęczynami kandelabrach migotało światło, a podłoga była pokryta rozrzuconymi chaotycznie, zakurzonymi dywanami. Na drugim jego końcu widać było klatkę schodową, wznoszącą się spiralnie pod dziwnymi kątami, i drzwi po obu stronach holu.

— Nie wiem, Tyler, ale słyszę coś stamtąd... - Steve podskakiwał w miejscu jak mały chłopiec, który musi iść do łazienki. - Którędy mamy iść?

Coś podpowiadało Tylerowi, że powinien wybrać drzwi po lewej stronie, ale nie zgadzało się to z tym, co pamiętał, oraz z wyczuciem kierunku - przecież schodzili w dół, by znaleźć kuchnię. Równie dobrze pamiętał, że lustrzany Gideon, Banderzwierz kręcił się po najniższych kondygnacjach lustrzanego domostwa. Zerknął na pobladłego Steve'a i

wyczerpaną, przestraszoną kobietę. Lucinda zawsze mu powtarzała, że jest zbyt impulsywny, a nic go nie ciągnęło w stronę drzwi po lewej stronie poza niejasnym, nikłym przeczuciem.

— Idziemy do góry - zdecydował. - Schodami - szybko!

Nie czekając na dyskusje, złapał Grace za ramię i przeciągnął ją po zakurzonej holu. Steve jęknął, ale poszedł za nimi. Kiedy biegli, w wysokich oknach przesuwwały się cienie, uskrzydłone kształty, - o wiele za duże jak na ptaki.

Wspinaczka po tych schodach była o wiele trudniejsza, niż sądził, bo nachylały się pod zdradliwymi kątami. Na górze przepchnęli się przez drzwi na kolejne półpiętro, tym razem mniejsze i lepiej utrzymane - kurz osiadł jedynie cienką warstwą szarego szronu na powierzchniach, zamiast zalegać łachami niczym stary śnieg - ale z tego miejsca było tylko jedno wyjście: w górę po kolejnych, wąskich schodach, przypominających tunel skryty w półcieniu.

W górę, powtarzał sobie, choć niejasne uczucie nakazywało mu odwrócić się i spróbować szans na dole. Tylko droga w górę ma jakiś sens. Albo znajdziemy wyjście, albo przynajmniej trochę światła.

— Tyler, ja chcę stąd wyjść - powiedział Steve, dysząc na schodach za nim. - Naprawdę, chcę wrócić do domu, stary. Moi rodzice już pewnie szaleją z niepokoju!

Tyler pokręcił głową, nie żeby zakwestionować to, co mówił Steve, ale dlatego, że ledwo udawało mu się wspinać pod górę i ciągnąć jednocześnie Grace - nie mógł na dodatek prowadzić rozmowy.

Wbiegli do pokoju, który był jak dotychczas najczystszy i najlepiej oświetlony, ale i tak według wielu zostałby uznany za mroczny i zakurzony. Było w nim coś znajomego, chociaż Tyler wiedział, że go tu wcześniej nie było. Był to jakby salon z krzesłami, stolikami i sekretarykami. Na wszystkich meblach stały oprawione w ramy fotografie - Tyler pomyślał, że jest ich ponad setka, i kiedy stanął na

środku pokoju, zobaczył, że na nich wszystkich widnieje jedna i ta sama kobieta z zawsze skrytą w cieniu twarzą, choć na każdej podobnie można było rozpoznać jej smukłą, wyprostowaną sylwetkę i rozpoznawalną grację w posturze, bez względu na to, jak dziwaczne i niesamowite były inne szczegóły na zdjęciach.

Tu jest jak w pokoju, o którym opowiadała mi Lucinda, uświadomił sobie. Salonie w prawdziwym domu ze zdjęciami Grace - Luce nazwała go Świątynią.

Patrzył, jak Grace z krwi i kości porusza się wśród tych mebli, nie zwracając najmniejszej uwagi na wyblakłe zdjęcia, i zastanawiał się, dlaczego tak niewiele dla niej znaczą.

Nagle rozległ się wrzask.

Był tak głośny i ostry, że przez jedną szaloną sekundę Tyler sądził, że to pewnie jeden z ptaków cienia, które widział za oknami, wpadł teraz do domu i rzucił się na nich.

— Ymaaam od źdohc! - krzyczał. - Einahcok, ymaaam od źdohc!

Tyler i Steve popatrzyli po sobie w pełnym zaskoczeniu, ale Grace była najbardziej wstrząśnięta. Pisnęła ze strachu i padła na jeden ze stolików tak, że fotografie runęły na podłogę.

— To ona - jęknęła. - Biała Dama! Teraz na pewno nas złapie!

Zbliżało się coś ciężkiego, coś dziwnego i niezgrabnego, podskakując w ich stronę. Światła jaśniejsze niż wszelkie mrugające żarówki w domu zabłyśły w korytarzu przed salonem ze zdjęciami.

— Niloc! - wykrzyknął potwór z całych sił jeszcze bardziej ochrypłym, ostrym głosem. - Niloc, śetsej eizdg?

— O rany, to mówi wspak! - wykrzyknął Steve. - Niloc, niloc - woła Colina!

— Niloc, śetsej eizdg? - zawył potwór i coś walnęło o ścianę.

Teraz Tyler wiedział, kto to taki czy też co to takiego. Wiedział też, że skoro te ohydne dźwięki zbliżają się coraz bardziej, mają tylko jedną

szansę.

— Biegiem! - wykrzyknął. - Z powrotem schodami! - Złapał Steve'a i pchnął go w plecy. - Szybko!

Kiedy pędzili w dół, Tyler robił, co mógł, żeby wesprzeć Grace. Jej nogi poruszały się, ale ona sama zdawała się prawie nieprzytomna, mruzczała coś, jakby starała się przebudzić z koszmarne go snu.

Dotarli do końca powykręcanych dziwnie schodów. Steve padł na podłogę, ale podniósł się błyskawicznie.

— Którędy? - wykrzyknął.

— Które to były lewe drzwi? - Teraz nadeszli z drugiej strony, więc musiały to być te po prawej. - Tam, biegiem. - Tyler był wściekły na siebie. Zamiast zaufać instynktowi zrobił to po amatorsku - on, Tyler Jenkins, zdobywca Linii Uskoku i przewodnik w Lustrzanym Świecie - i niemal zginęli przez jego beztroskę. W gruncie rzeczy, pomyślał, niemal niosąc nieprzytomną Grace, wciąż mogą zginąć.

Kiedy gnali przez hol do drzwi, coś wielkiego schodziło po stopniach ich szlakiem, coś wysokiego wyciągało do nich długie, chwytne ramiona, powykręcana postać odziana w wydymającą się białą tkaninę niczym nieszczęśliwa panna młoda. Bliźniaczy promień światła wystrzelił z miejsca, gdzie powinna mieć oczy, a ich blask uniemożliwiał przyjrzenie się twarzy, kiedy przeczesywała wzrokiem ściany wielkiego holu, aż w końcu dostrzegła Tylera i Steve'a.

— Hci ęzdiw! - wykrzyknęła. - Niloc, jewolab ilas w!

Kiedy Tyler zatrząskiwał drzwi, mógł się tylko modlić o to, żeby nie natknęli się też na lustrzanego Colina.

Biegli bez opamiętania. Przez jakiś czas słyszeli człapiącą za nimi lustrzaną Needle, potem dobiegał ich tylko jej przeraźliwy głos, podobny do gwizdu lokomotywy, a w końcu ucichło i to.

Tyler mógł teraz zamknąć oczy, wspomagając się swoim instynktem, by wyczuć lokalizację lustra, które błąkało się na obrzeżach jego myśli,

emanując ciepłym blaskiem.

Zdawało się, że biegli dobre pół godziny, zanim zaczęli znów zbliżać się do ainhcuk. Oczywiście - jak głupek zapomniał, że lustro nad umywalką znajduje się w innym miejscu, w odpowiedniku biura pani Needle. Czy oznaczało to, że znów wkraczają na terytorium lustrzanej Needle? Wzdrygnął się, ale uświadomił sobie, że może i dobrze zrobili, odciągając ją od biura.

W końcu dotarli do drzwi, które wyglądały obiecująco. Tyler przełknął głośno ślinę, przekręcając gałkę w drzwiach, ale kiedy zobaczył, że to naprawdę pomieszczenie z lustrem, aż sapnął z ulgi. Wciągnął Steve'a i białowłosą kobietę do środka, zatrzasnął drzwi i mocno zaparł się o klamkę. Lustro czekało w poświacie słabego, posępnego światła.

— Idź! - krzyknął Tyler. - Pomóż jej, Steve. Ja na wszelki wypadek przytrzymam drzwi.

Steve Carrillo poprowadził wyczerpaną Grace do ramy lustra i przepchnął ją przez tafłę, po czym sam ociężale wspiął się na umywalkę.

— Jenkins - zaczął - muszę ci coś powiedzieć...

— Wiem - odparł Tyler, wspinając się za nim. - Słyszał, jak coś porusza się na korytarzu przed pokojem, słyszał też gniewną mowę na wspak. - Wiem, nigdy więcej. Zgadzam się z tobą całkowicie.

Kiedy gałka w drzwiach biura zaczęła się przekręcać, skoczyli w płynną szklaną tafłę, Steve pierwszy, a Tyler tuż za nim.

# Rozdział 40

## Niedobra Marchewkowa Dziewczynka

Lucinda nawet nie wiedziała, dlaczego wciąż starała się powstrzymać Gideona. Nie miała już siły, gdy tymczasem on, oszalały od nawoływań ze szklarni, wciąż zażarcie walczył. Colin Needle chciał pomóc, ale całkowicie zawiódł i sam wpędził się w śmiertelne niebezpieczeństwo. Nawet pan Dobrochodzki dał się złapać potworowi. Ragnar, jedyna osoba z pracowników farmy, która mogła pomóc, znajdował się po jej drugiej stronie. Beznadzieja.

Tak, poddaj się, sugerował głos, choć nie słowami: słowa formułowała Lucinda, jakby mówiła do siebie, kojący, rzeczowy głos wewnętrzny... Chodź tutaj. Dołącz do nas. Połącz się. Wzywało ją wrażenie spełnienia, obietnica radości z powodu przynależności tak wielka, tak potężna, że nie była to już emocja, lecz stan istnienia - tak piękny, że słowa nie były tego w stanie opisać. Chodź. Stań się nami!

Marchewkowa Dziewczynko! Na pomoc! Boję się!

Nowy głos w jej myślach, głos młodej smoczycy Desty, przywołał ją do rzeczywistości. Spostrzegła, że niemal puściła stryjecznego dziadka, więc złapała go mocniej za powalany błotem szlafrok.

Desta? Desta, słyszysz mnie? Nit myśli Lucindy zdawały się ulatywać gdzieś w przestrzeń, skąd porywał je tajemniczy wicher: nie słyszała odpowiedzi.

W świetle kolejnej błyskawicy krople deszczu zdawały się wisieć bez ruchu. Połyskliwe, białe pędy potwornego grzyba unosiły się wszędzie

wokół szklarni, a jego macierzysty korpus pęczniał z każdą chwilą, puchnąc niczym rosnące ciasto i napierając od wewnątrz na brudne okna szklarni. Kawałki szkła zaczęły strzelać we framugach, pękając z takim hukiem, że Lucinda słyszała to pomimo potężniejącej wichury.

Marchewkowa Dziewczyńko! - myśli smoczycy odpływały gdzieś w dal. Pomocy! Boję się! Złe zwierzęta!

Gadzia Obora! Pan Dobrochodzki mówił, że mantykory uciekły z Gadziej Obory!

Nawrót pamięci był niczym kolejne bolesne uderzenie. Och, biedna Desta! Robiła, co mogła, by odgonić inne myśli - o walce z oszalałym stryjem Gideonem, o tym potworze, który wyglądał jak kupa zgniłego kisielu wyciekająca z walącej się oranżerii, oraz o jego bezradnych ofiarach - panu Dobrochodzkim i Colinie Needle'u...

Och, Boże, Colin! Tkwi uwięziony z kawałkiem metalu w dłoni, a wszędzie trzaskają pioruny!

...i na przekór bolesnemu harmidrowi w głowie skierowała myśli ku młodej smoczycy.

Desta? Straszliwie trudno było się skupić! Desta, słyszysz mnie? Jestem tutaj! Tutaj! Przez chwilę wydawało się jej, że pochwyciła myśli smoka niczym pojedynczą stację radiową w morzu trzasków eteru. Desta?

Marchewkowa Dziewczyńka... I wraz z ulotną myślą pojawiła się wizja, jakby Lucinda zobaczyła to, co widział smok - jakieś kształty śmigające po podłodze Gadziej Obory, dziwne, szczekliwe odgłosy wydawane przez polujące mantykory - ale to również było dalekie od normy. Skoro naprawdę widziała to, co Desta, młoda smoczycy najwyraźniej oglądała to wszystko z góry, być może siedząc na jednej z kładek pod dachem olbrzymiego budynku.

Co ty tam robisz na górze? Kiedy Lucinda i Tyler zostali wygnani, skrzydła Desty były jeszcze tak słabe, że ledwo mogłaby się unieść nad

ziemię. Wleciałaś na górę?

Tak. Żółty Człowiek mnie wypuścił. Tak nazywała Ragnara z powodu jego złotosiwych włosów.

Mądrze, pomyślała Lucinda. Jesteś teraz bezpieczniejsza - mantykory nie łatają. I nagle przyszło jej coś jeszcze do głowy. Żółty Człowiek wciąż tam jest? - zapytała.

Krzyczy. Biega z kijem. Wałczy ze złymi zwierzętami.

Przy całej swojej sile i odwadze wiking nie był w stanie pokonać jednej mantykory przy bramie - cóż mógł poradzić w starciu z kilkoma? Są z nim inni?

Boczna Twarz i Kapelusznicy.

To pewnie Haneb i Trzej Amigos, domyśliła się. - Desta zawsze próbowała ukraść pasterzom ich podszyte futrem nakrycia głowy. Lucinda miała nadzieję, że robotnicy zdołają samodzielnie powstrzymać mantykory, bo potrzebowała Ragnara. Przynies Żółtego Człowieka do mnie. To ważne!

Nie, złe zwierzęta zranią Destę! Nie! Strach w pogmatwanych myślach był prawdziwy - młoda smoczyca była przerażona widokiem mantykor.

Musisz. Potrzebuję cię. Marchewkowa Dziewczynka cię potrzebuje.

Nie. Była to paniczna, kategoryczna odmowa dziecka. Nie!

W skąpanym w deszczu ogrodzie Lucinda mocniej ścisnęła ramionami kościstą pierś Gideona i z równą determinacją zapadła się w mroczne, spokojne miejsce, w którym mogła nie tylko rozmawiać ze smokiem, ale poczuć go. Musisz. Potrzebuję cię. Jeśli nie posłuchasz, nie dam ci więcej ani jednej marchewki!

Ale ani marchewka, ani też kij nie były w stanie skłonić Desty, by zeskoczyła ze swojej grędy w gontach Gadziej Obory. Lucinda zrozumiała, że musi zrobić z rozmysłem to, co wcześniej zrobiła przez przypadek, kiedy Desta starała się ukraść jej bransoletkę.

Desta, zaczęła ostrzegawczo, jeśli nie zrobisz tego, co chcę, to zmuszę



cię.

Nie! Niczego nie dało się wytłumaczyć młodemu zwierzęciu. Lucinda sięgnęła głęboko tam, gdzie mogła wyczuć myśli Desty, poczuć ją całą. Zaczęła wywierać nacisk na te myśli, wyobrażając sobie ostrożnie, jak smok ma zeskoczyć na dół. Z początku przedstawiała to tak, jakby to była wspaniała zabawa, jakby Deście podobało się to, czego chciała Lucinda, ale smok był albo zbyt przestraszony, albo w przedziwny sposób, wbrew swemu wiekowi, za silny, by nim manipulować po dobroci. Lucindę opanowała chłodna, przepełniona żalem determinacja, uczucie naglącej konieczności.

Przepraszam... - pomyślała, sięgnęła głębiej i naparła na myśli Desty bardzo mocno.

Nie... To boli!

Straszne, po prostu straszne - Lucinda nigdy nie zrobiła niczego tak okropnego w swoim życiu. Jakby dźgnęła ostrogami konia, który już i tak pędził ostatkiem sił, jakby biła dziecko, które nie wiedziało, czym zawiniło. Nawet w tym mętliku szalonych, dojmujących doznań na samą myśl o tym, co jej robi, poczuła się bardzo źle, ale nie było innego sposobu na uratowanie Gideona, pana Dobrochodzkiego i Colina. Czas dobiegł końca.

Puszczaj! Był to cichy, lecz przejmujący wrzask, pełen bólu i żalu. Niedobra Marchewkowa Dziewczynka!

Ściskając i napierając na najbardziej wrażliwe smocze uczucia, Lucinda starała się skoncentrować, by zignorować poczucie zdrady, które płynęło do niej z tamtej strony niczym zatrute powietrze, bo oto zmusiła Destę, by rozłożyła skrzydła, zeskoczyła z gontów na dół, następnie nakazała krążyć jej wokół w niezgrabnych kręgach i opaść na podest górnego piętra z głośnym hukiem. Żałość Desty odezwała się tętniącym bólem w sercu samej Lucindy, ale nie mogła się teraz cofnąć.

Teraz chwyć Ragnara. Podnieś go. Przynieś do mnie.

Opór Desty stał się równie bezrozumny jak u rannego zwierzęcia, ale smoczyca nie była w stanie wyzwolić się spod kontroli Lucindy. Wspięła się na barierkę i wyskoczyła w górę, by poszybować na drżących skrzydłach nad górną częścią obory. Jeden z Trzech Amigos podniósł wzrok i krzyknął coś ostrzegawczo, ale Desta gwałtownie spadła w dół i pochwyciła ubranego w biały kombinezon Ragnarą za ramiona, po czym uniosła go na kilka metrów w górę i poszybowała wprost ku otwartym drzwiom Gadziej Obory. Młody smok miał rozpiętość skrzydeł awionetki, ale i tak trudno mu było unieść Ragnarą. Wielkolud oczywiście wyrywał się i szarpał mocno, i po kilku metrach za oborą Desta puściła go.

Wracaj, bierz go znowu! Lucindy nie stać było na zastanawianie się nad tym, co robi, ani nad bólem, jaki sprawia Ragnarowi oraz temu pięknemu, miłemu zwierzęciu. Chwyć go. Przynieś do mnie.

Wiking odwrócił się, by puścić się biegiem do obory, ale Desta złapała go od tyłu za wzmocniony kołnierz odzieży ochronnej, po czym biła skrzydłami tak mocno, że w kilka sekund uniosła go na kilkadziesiąt metrów w górę, gdzie Ragnar uznał, iż opór nie ma sensu. Przestał się szarpać, nawet złapał smoka za łapy i odciążył jego pazury, które musiały boleśnie wrzynać mu się w ciało przez gruby materiał.

Przepraszam cię, Ragnar - pomyślała Lucinda, ale oczywiście on nie słyszał jej myśli. Teraz chciała tylko zakończyć ten koszmar w taki czy inny sposób. Przepraszam, Desta, przepraszam!

Bolesne, mocne uderzenie w czoło przywołało ją do rzeczywistości ogrodu w środku burzy. Desta i Ragnar nagle zniknęli z jej myśli. Jej stryjeczny dziadek Gideon starał się od niej odepchnąć, otwierał i zamykał usta, kłapiąc szczęką, jakby starał się coś powiedzieć, ale jego oczy były puste jak u manekina sklepowego. Jedną z jego uwolnionych dłoni walnęła ją w szczękę tak mocno, że wydawało się jej, iż naruszyła ząb, i po chwili ciągnął ją przez błoto w chaosie rozszalałych piorunów, dudniących i rozświetlających tę niezmierną scenę.

Coś spadło z nieba tuż obok niej i wylądowało w chaotycznej plątaniu skrzydeł, ramion i nóg, złorzecząc głośno. Ragnar wydostał się spod smoka i wstał, gotów się bronić, gdyby Desta zaatakowała go ponownie. Wężowa głowa młodej smoczy strzelała na boki z groźnym sykiem - kiedy zobaczyła Lucinę, cofnęła się przestraszona, jakby nie mogła uwierzyć, że leżąca przed nią na ziemi Marchewkowa Dziewczynka jest tą okrutną panią, która zmusiła ją do przybycia w to miejsce. Przez ułamek sekundy Lucinda poczuła wielką wściekłość smoka, niczym żar bijący zza drzwiczek otwartego pieca, i pomyślała, iż Desta po prostu podejdzie do niej i odgryzie jej głowę.

Marchewkowa Dziewczynka...! Myśli spadały na nią jak grad, raniąc boleśnie - tak właśnie krzyczał smok. Niedobra Marchewkowa Dziewczynka! Zraniła nas!

Desta skoczyła w górę z głośnym plaśnięciem i machając skrzydłami, wzleciała nad dom. Przez jedną, uwiecznioną przez błyskawicę chwilę wyłoniła się znów na niebie, po czym ponownie zniknęła.

Ragnar podszedł chwiejnym krokiem do Lucindy i padł na kolana, a potem złapał Gideona w swoje mocne ramiona i unieruchomił go. Właściciel farmy wciąż wierzgał, ale teraz wyglądało to tak, jakby niemowlę wyrywało się z ojcowskiego uścisku.

— Co się stało? - zapytał stanowczym głosem wiking, który i tak już był schrypnięty od krzyków. - Czy ty poszczułaś na mnie tego jaszczura?

— Jest źle! - Pospiesznie opowiedziała mu, co się stało. - Musisz pomóc Colinowi! I panu Dobrochodzkemu!

Wiking spojrzał na szklarnię i zrobił posępną minę.

— Na krew Baldura, to najpaskudniejsza rzecz, jaką widziałem w życiu! - Odwrócił się znów do Lucindy. - Choć raz panicz Needle miał dobry pomysł: trzeba podpalić to plugastwo!

— Co takiego?

Zajęta szarpaniną z Gideonem nawet nie pojęła, co planował Colin.

Teraz staruszek zaczął ponownie wic się w uścisku Ragnara.

— Proszę o wybaczenie - powiedział wiking.

— Co? - Lucinda była tak wycieńczona, że nic do niej nie docierało. -  
Dlaczego?

— Nie mówię do ciebie, dziecko.

Uniósł swą pięść, wielką jak bochen chleba, i walnął Gideona w tył głowy. Staruszek osunął się i padł bez ruchu.

— A teraz idę przynieść coś, co zabije tego demona - powiedział Ragnar i ruszył pędem do budynku farmy. - Nie lękaj się! - krzyknął przez ramię. - Zaraz wracam!

Deszcz zawirował wokół niej, układając się niemal poziomo pod wpływem szalejącego wichru.

Uwolniona od Gideona Lucinda podpełzła po mokrym gruncie do Colina, który dawno już przestał się szarpać i leżał bez ruchu i czucia w sieci z pędów grzyba. Pociągnęła za metalowy słupek tkwiący w jego dłoni, ale chociaż mogła z łatwością przerwać każde pojedyncze kłącze grzyba, za każdym razem jego miejsce zajmowało kilka innych, a nie była w stanie ich zrywać garściami. Z nieba spadła błyskawica, zaledwie kilometr od nich rozświetlając szczyt pobliskiego wzgórza, a na jej oczach wydzierający się wniebogłoso wicher ściągał coraz więcej czarnych chmur niczym wielki walec.

Colin otworzył zamglone oczy.

— Nie daj mi zginąć - błagał ją. - Proszę, nie pozwól mi umrzeć. Przepraszam, że to zabrałem. Przepraszam!

Nie miała pojęcia, za co ją przeprasza, i nic ją to nie obeszło.

— Staram się ci pomóc! - Jej wilgotne palce ześlizgiwały się po pędach. - Boże, jak ja się staram, Colin!

— Odsuń się, dziewczyno!

Ragnar nadbiegł z powrotem, przedzierając się przez ogród i w każdej dłoni majtał mu jakiś ciężki przedmiot. Postawił dwa wielkie dzbany i

wykręcił aluminiowy słupek z dłoni chłopaka, rozrywając setki pędów grzyba, które pękały z ohydny trzaskiem, aż Colin krzyknął z bólu.

Ragnar wyprostował się, zrobił kilka szybkich kroków i cisnął metalowym słupkiem w szklarnię. Drażek zawirował wokół własnej osi w powietrzu, ciągnąc za sobą drut niczym gigantyczna igła z nawleczoną nitką, ale został zepchnięty w bok przez potężny podmuch wiatru i padł na ziemię kilkanaście metrów przed ścianą martwych i konających stworzeń, spiętrzonych u podstawy budynku.

— Niech to przeklną bogowie! - Wiking odwrócił się do Lucindy. - Muszę podejść bliżej, ale wtedy demon będzie mógł mnie złapać tak, jak schwytał Simosa - chyba że uda mi się go podpalić. To mi da kilka cennych chwil, jak sądzę!

Odkręcił korek z pierwszego dzbana, potem z drugiego. Zapach benzyny rozniósł się na wietrze. Ignorując kolejny jęk bólu Colina, Ragnar rozdarł rękaw mokrej koszuli chłopca i wcisnął go w szyjkę dzbana. Zrobił to samo z drugim rękawem, wywołując słaby jęk protestu. Colin wyglądał, jakby ocknął się z omdlenia.

— Masz ogień? - zapytał Ragnar Lucindę. - Albo wiesz, jak go wzniecić?

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, nie wiedząc, o co mu chodzi, w końcu pokręciła głową. Sięgnęła do kieszeni Colina - tak bardzo cierpiał, że nie zwrócił na to uwagi.

— On też nie ma - powiedziała.

Uśmiechnął się posępnie.

— W takim razie muszę przejść przez te chwytne szpony demona. Skoro Simosowi się nie udało, mnie się pewnie też nie uda, ale trzeba spróbować. - Wyciągnął dłoń, śmierdzącą benzyną, i poklepał ją po policzku. - Proszę cię o wybaczenie, Lucindo.

Skuliła się cała.

— Chcesz mnie uderzyć?

Ragnar pokręcił głową.

— Proszę cię o wybaczenie, bo nie mogę dobrze zaśpiewać swojej pieśni śmierci w twoim języku, Lucindo Jenkins. Pomimo to muszę ją zaśpiewać tak, że by ktoś słyszał, a mówią, że bogowie znają wszystkie języki świata! - Postawił dzbany obok niej i poszedł w deszczu w stronę szklarni.

— To już drugi raz ją zaśpiewam! - krzyknął przez ramię. - Miejmy nadzieję, że znów nadaremno!

Lucinda nie wiedziała, o czym mówi.

Potwór w starej oranżerii już wylał się przez wszystkie okna i wyciekał na zewnątrz każdym otworem w skorodowanej metalowej ramie, a jego najwyższe pędy sięgały z dziesięć metrów w górę i układały się w setki kształtów równie dziwacznych i obcych jak wzory płatków śniegu. Kiedy wiking się zbliżył, mnogością wszelkich macek wstrząsnął dreszcz, a cały korpus grzyba zaczął się kiwać i kołysać.

Głos wikinga potęgniał i z każdym słowem stawał się donośniejszy i ciężki niczym wielki głaz.

— Raduje mnie, że cny Odyn nakrył już swe ławy, gotując się do uczyty - śpiewał, czy też raczej intonował, głębokim, dudniącym głosem. - Niebawem pić będziemy z rogów jego! Bohater w hali Odyna nie lamentuje po swej śmierci, a Ragnar Lodbrok nie będzie skradał się po starej hali Jednookiego ze słowami strachu na ustach!

Połyskliwe białe pędy zaczęły wspinać się po nogach wikinga, coraz bardziej owijając się wokół nich, aż zachwiały się i przystanął kilkanaście metrów od szklarni, nieopodal nieruchomej postaci zawiniętego w kokon pana Dobrochodzkiego.

— Wałczyłem z wrogiem w wielu bitwach - zaśpiewał głośnie, by przekrzyczeć potężniejący pomruk gromu. - Moich synów nie ma już, tak jak odeszli ich synowie. Ja sam położyłem kres żywotom wielu ludzi, a teraz jestem królem! Lecz nie wiedziałem, że jest na ziemi blade

wężowisko, które stanie się kresem żywota mego!

Ragnar zgiął się i zerwał tyle pędów, ile mógł, po czym ruszył z całym impetem przed siebie, wyrywając podobne do korzeni odrosty z ziemi. Zrobił krok. Potem drugi. Wbrew wszystkiemu wciąż parł naprzód w stronę potwora, ale każdy krok był wolniejszy i wymagał więcej wysiłku niż poprzedni.

Colin uniósł głowę i przyciskając dłoń do brzucha, odezwał się drżącym głosem: - Czy on... czy on podchodzi do tego...?

Lucinda patrzyła jeszcze chwilę, ale zaraz zamknęła oczy z trwogą. Deszcz ciepły niczym posoka ciekł jej po twarzy.

— Nie. Dopadło go. Owija go tak jak pana Dobrochodzkiego.

— To moja wina... - powiedział Colin. - Powinienem... powinienem ci powiedzieć... że coś dziwnego jest... w szklarni...

— Lucinda! - wykrzyknął nowy głos. - Lucinda, gdzie jesteś?

Otworzyła oczy.

— Tyler, tutaj! Jestem tutaj!

Coś przedzierało się przez zarośla ogrodu niczym szarżujący słoń i chwilę później jej brat padł na błotnistą glebę obok niej.

— Lucinda! Co się dzieje? A to co takiego? - Wpatrywał się w straszliwego białego potwora rosnącego w szklarni niczym drożdżowe ciasto.

— To jakieś szaleństwo!

Kiedy starała się znaleźć odpowiednie słowa, by wyjaśnić, za Tylerem wyłonił się słaniający się na nogach Steve Carrillo. Nachylił się, łapiąc oddech i uniósł drżącą dłoń, by jej pomachać.

— Cześć, Lucinda.

— Spóźniłeś się, Jenkins - odezwał się z goryczą Colin. - Ty i twój głupi przyjaciel. Już przegraliśmy.

— Ragnar mówił, że trzeba to coś spalić - odezwała się pośpiesznie Lucinda, nie chcąc, by jej brat zaczął się kłócić. - Tam leży palik z

przymocowanym drutem, który z kolei jest połączony z piorunochronem. To był pomysł Colina, ale Ragnar nie mógł go dorzucić wystarczająco blisko. Potem Ragnar zrobił benzynowe bomby, ale nie mieliśmy ich czym podpalić. - Przez chwilę poczuła nikły przypływ nadziei, choć to było dość głupie.

— Macie coś? Może zapałki?

Tyler myślał, intensywnie marszcząc twarz, ale pokręcił tylko głową.

— Nie mam niczego takiego, Luce.

Poczuła się, jakby miała za chwilę się rozpuścić, jakby deszcz walił w nią tak długo, że sama zaczęła się zmieniać w wodę i rozpływać.

— Och, Tyler, gdzie się podziewałeś? Jak mogłeś tak uciec? Strzelali... i mantykory uciekły... i myślę, że to coś zaraz zacznie się rozmnażać!

Wskazała na potężnego grzyba wystającego ze szklarni. Dziwaczne, podobne do macek pędy wyrastały z głównego korpusu niczym wąskie kominy, setki, całe setki, a każdy zakończony był pędami, które falowały w powietrzu niczym wodorosty.

— Właśnie to robi! Ale jeśli wypuści spory na tym wietrze i w deszczu, to zawładnie wszystkim!

— Ej, ja mam zapalniczkę - odezwał się Steve Carrillo.

— Co takiego? - zakrzyknęli zgodnym chórem Tyler i Lucinda tak, że Steve aż się cofnął.

— Jasne - powiedział nieco zawstydzony. - Pożyczyłem od wujka. W taką noc nie można rozpalić ogniska bez zapalniczki czy zapałek, a ja chciałem sobie coś podsmażyć na ogniu. Do diabła, myślałem, że idziemy na biwak.

Nieśmiało wyjął z kieszeni kurtki zapalniczkę, którą Tyler błyskawicznie przechwycił. Tyler przysunął dzbany bliżej i podpalił pierwszy z oderwanych rękawów Colina, potem drugi. Materiał był wilgotny, ale nasączony benzyną z dzbana, tak więc po kilku sekundach oba prowizoryczne knoty zapłonęły błękitnożółtym płomieniem.



Lucinda zasłoniła się, jakby miały zaraz wybuchnąć.

— Nie łam się, nie tak to działa - powiedział Tyler. - Przynajmniej tak mi się wydaje. Steve, łap za drugi.

— Ja?

— Nie, ten drugi Steve. Słuchaj, moja siostra ledwo siedzi, a Needle ma chyba złamaną rękę. No chodź, stary. Czas na bohaterski wyczyn. - Ale chociaż Tyler powiedział to z zawadiacką swadą, był blady i wystraszony, a jego usta miały niemal niebieską barwę w dziwnym świetle rzucanym przez błyskawice.

— Nie rób tego - ostrzegła go Lucinda. - To dopadło już Ragnara i pana Dobrochodzkiego!

Tyler tylko pokręcił głową. Wstał, trzymając dzban z dala od twarzy, i po chwili to samo zrobił Steve Carrillo.

— Jeśli przeżyjemy - powiedział Steve - to będę musiał zadzwonić od was do domu. Moi rodzice są już pewnie nieziemsko wkurzeni.

I nagle ruszyli wraz z Tylerem przez podmokłe grządki, spowolnieni trochę przez ciężar dzbanów.

— Unoś stopy - Lucinda usłyszała ostrzeżenie Tylera. - Nie pozwól, żeby te białe pędy oplotły ci się wokół nóg!

Błysnął piorun, tak jasnym światłem, że przez dłuższą chwilę Lucindzie pociemniało przed oczami, a grom targnął wszystkimi jej kośćmi. Później widziała tylko podskakujące płomyki dzbanów blisko tego miejsca, w którym zatrzymał się Ragnar.

— Jesteście za blisko! - krzyknęła, ale Tyler też wrzasnął.

— Stary, rzucaj wysoko! - jej brat darł się do Steve'a. - Muszą wybuchnąć!

I zakręcił swoim dzbanem, obracając się wokół niczym kulomiot na olimpiadzie, po czym go puścił. Dzban poleciał w górę i spadł na błoto, nie tłukąc się, kilkadziesiąt centymetrów od sterty martwych zwierząt spiętrzonych przy żelaznym szkielecie oranżerii. Płomień nie zgasł, choć

przygaś w deszczu, a benzyna wylewała się z dzbanu, tworząc rosnącą, choć zupełnie nieszkodliwą kałużę błękitnego płomienia.

— Nie! - krzyknął zrozpaczony Tyler. - Steve, ty musisz to zrobić! Musisz trafić w szklarnię!

Steve Carrillo patrzył na to wszystko, kiedy kolejna błyskawica rozświetliła cały ogród niczym plan filmowy - jeden za drugim płaski obraz - rośliny ogrodowe, szklarnia, góry i niebo. Wtedy Steve się nachylił.

Przez chwilę Lucinda myślała, że po prostu postawi dzban i odejdzie w niesławie, ale on nachylił się, by zyskać większą równowagę. Zakręcił się zaskakująco sprawnie, trzymając dzban w obu dłoniach, po czym go puścił. Ten przeleciał, koziołkując w powietrzu z zapalonym knotem, obracającym się niczym wirujące sztuczne ognie, nie tak wysoko jak dzban Tylera, za to dużo dalej. Lucindzie serce zamarło - zaraz dosięgnie szklarni!

Dzban walnął w najwyższą część budynku, nie tłukąc się, a impet wyhamowała błada, gąbczasta klucha wyrastająca z dachu. Przez chwilę chwiał się tam i już się zdawało, że biały potwór wchłonie cały dzban tak, jak ukwiał pochłania rybę, ale był zbyt ciężki i zbyt dobrze wyważony. Spadł niżej, przetoczył się po stercie zdechłych zwierząt pod szklarnią i wpadł na drugi dzban, wskutek czego oba się rozbiły. Płomień wystrzelił w górę przy bokach szklarni, obejmując też bladą, gąbczastą masę tam, gdzie wyciekła na dwór przez rozbite szybki. Ogień rozprzestrzenił się szybko. Białe macki zadrgały spazmatycznie i mógł to być jedynie ból.

---

!!!!!!!

---

Głośne wrzaski potwora ze szklarni, jeśli coś tak prymitywnego można nazwać krzykiem, przedarły się przez mózg Lucindy, powalając ją na ziemię, wywołując zawrót głowy tak, że nie mogła ruszyć ręką ani nogą. Była to najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek poczuła pod czaszką,

konwulsja, paroksyzm, który pochwycił ją i teraz potrząsał, jakby dziewczyna znalazła się w paszczęce straszliwej bestii. Kiedy najgorsze minęło, Lucinda mogła jedynie leżeć bez ruchu przez dłuższy czas, czując deszcz rozpryskujący się jej na twarzy, i dopiero później odnalazła siły, by podnieść się do pionu, choć oznaki paniki i bólu grzybowego potwora wciąż wibrowały jej pod czaszką.

Teraz część białej masy niezajętej ogniem wyciągała się jak najwyżej, rozwierając otwory w gąbczastej masie, jakby krzyczała tysiącem głosów naraz, ale Lucinda słyszała tylko burzę i gwizd uciekających z potwora gazów. Opętany bólem stwór utracił kontrolę nad większością swych odnóg i Ragnar już zaczął je gorączkowo rozrywać. Kiedy mógł poruszyć nogami, podszedł chwiejnym krokiem do pana Dobrochodzkiego i wyzwolił go z kokonu białych pędów, ale zarządca farmy nie ruszał się i Ragnar wyniósł go z dala od płonącej oranżerii. Simos Dobrochodzki, który potrafił jedną ręką podnieść wóz, wyglądał, jakby wyssano z niego życie, jak zwiędła rzepa, ale przynajmniej był wolny. Obok Lucindy grzybne pędy zeszyły z Colina i wycofały się do ziemi.

Ale nagle, kiedy wszystko wskazywało na to, że straszliwy wróg został zniszczony, macierzysta masa grzybni zaczęła się otwierać w kilku miejscach, w których ogień przypalił jej ciało. Z tych szczelin zaczął wypływać przezroczysty śluz, gasząc płomienie tańczące na powłoce potwora. Echo jego mocy wciąż pulsowało Lucindzie pod czaszką, jego potrzeba rozmnożenia się, bezwzględna determinacja, by rozsiać grzybnię na wietrze. Potwór nie został pokonany.

Znów błyskawica rozświetliła niebo.

— Wszyscy cofnąć się! - krzyknął Ragnar. - Szybko!

Nachylił się i podniósł z ziemi metalowy słupek, po czym zbliżył się do szklarni niczym starożytny wojownik skradający się do jaskini smoka. Lucinda prawie go nie słyszała w tym huku, podobnie jak dziwnego świstu dobywającego się z potwora, ale zrobiła, co kazał, ciągnąc Colina

za zdrowe ramię, aż w końcu chłopak zaczął pełznąć samodzielnie. Odwróciła się, by odszukać Tylera i Steve'a, którzy właśnie pędzili w jej kierunku, ale zobaczyła za nimi coś, czego nigdy nie zapomni, choć przez resztę życia będzie próbowała to zrobić.

Osmalona biało-czarna masa rozciągnęła się, szykując do wypuszczenia sporów, ale naprawdę okropne było to, że przez krótką chwilę zobaczyła odbicie twarzy Gideona na wielkim białym cielsku, jakby grzyb tak zasmakował w jej stryjecznym dziadku, że teraz chciał się w niego przeistoczyć.

Oślepiający błysk rozświetlił niebo. Ragnar cisnął palikiem, który tym razem świsnął w powietrzu i wbił się w najgrubszy fragment korpusu grzyba, ciągnąc za sobą drut niczym snop srebrnych iskier. Huknął grom, raz i drugi, bardzo blisko, po czym niebo eksplodowało upiornym światłem tak mocnym, że aż grunt się zakółsał pod nogami, znów przewracając ją na ziemię. Zaskrzypiał błękitny płomień, spowijając potwora w elektrycznym łuku w miejscu, w którym słupek trafił do celu, i wszystkie białe pędy skurczyły się, zmieniając w poczerniałe ślady wokół zwałonej szklarni.

Ciało potwora, groteskowa i płynna podobizna Gideona, spuchło i zaczęło jeszcze rosnać - przez jedną szaloną chwilę Lucindzie wydawało się, że wyjdzie z ruin szklarni i ruszy na nich - ale wtedy wybuchło, zmieniając się w żarzące się strzępy, ociekające płomieniami. Potworna twarz Gideona skrzywiła się z bólu i wściekłości, po czym rozpadła się w bulgoczącą maź. Spory wylały się, ale zapłonęły i zniknęły w skrzących się iskrami kłębach dymu, strzelając w powietrzu niczym wypalone petardy na pokazie czwartego lipca. Atramentowo-czarny dym kłębił się z topiącego się budynku, unoszony gdzieś dalej przez porywisty wiatr.

Lucinda poczuła dłoń na ramieniu, a potem drugą z boku. To Tyler i Steve Carrillo podnosili ją z błota.

— Żyjemy - mogła tylko powiedzieć. - Żyjemy.

Tyler pokiwał głową raz i drugi.

— Taa - powiedział. - Żyjemy.

— Nie przejmuj się mną - powiedziała do niego. - Wy musicie zanieść Gideona do domu. Ragnar go palnął, ale ten potwór strasznie go wymęczył.

Chłopcy niezgrabnie ponieśli nieprzytomnego Gideona i wszyscy, odwrócenii od dymiącej szklarni, ruszyli przez ogród w stronę domu. Colin szedł chwiejnie sam, przyciskając dłoń do piersi. Lucinda podeszła do niego, proponując, że mu pomoże, ale odwrócił się od niej i poszedł dalej swoim wolnym tempem. Ragnar niósł pana Dobrochodzkiego. Na widok jego umęczonej postaci z zamkniętymi oczami drżała ze strachu.

— Czy nic mu nie jest, Ragnarze? Czy on...

— Simos żyje - powiedział wielkolud. Nie wyglądał lepiej od niesionego przyjaciela. - Ale jest z nim źle.

— Chyba nam się udało, prawda? - zapytała, ale powiedziała to bardzo cicho, głównie do siebie.

— Och, Luce, jedna sprawa - powiedział Tyler zza jej pleców, mruczając coś cicho, jakby starał się uspokoić niesionego stryja. - Jak będziesz chciała się położyć.

Tam jest... no, ktoś śpi w twoim pokoju. - Odwróciła się, by na niego spojrzeć. Tyler miał dziwną miną, zdradzającą pewną nerwowość, ale ogólnie dumę. - Pamiętasz Grace? Zonę Gideona?

Lucinda nie miała pojęcia, o czym on mówi, a była tak poobijana i wycieńczona, że nie mogła powiedzieć niczego więcej, więc oświadczyła wprost: - Jak tam sobie chcesz.

# Rozdział 41

## Niczym wijący się wąż

Rodzice Steve'a Carrilla pojawili się około południa i kiedy zajechali przed główną bramę w swoim pickupie i wyszli, wyglądali, jakby spali tyle samo zeszłej nocy, co Tyler, Lucinda i wszyscy inni na Zwyczajnej Farmie.

— Kiedy skończy ci się areszt domowy - oznajmił pan Carrillo synowi - będziesz już w wieku, kiedy ludzie przechodzą na emeryturę.

— To wszystko moja wina, proszę pana - powiedział Tyler. - To był mój pomysł. Steve mi tylko pomagał...

— Pomagał sobie w dostaniu solidnej kary - rzucił ostro pan Carrillo.

Za jego plecami Alma i Carmen, które nie wiedziały, co się stało, robiły głupie miny z tylnego siedzenia. Tyler pomachał im zawstydzony.

Hector Carrillo zwrócił się do Ragnara, którego skóra była pokryta siniakami.

— A co u was? - zapytał pan Carrillo. - Mówiłeś przez telefon, że Gideon miał nawrót choroby.

Ragnar pokiwał głową.

— Ale myślę, że wydobrzeje. Kryzys w końcu minął - tym razem na dobre. Zajmujemy się nim.

— Nie zawieźliście go z powrotem do szpitala? - zapytała Silvia.

Ragnar wzruszył ramionami.

— Nie chciał iść.

— Wciąż musi z nami pomówić - powiedział Hector i Tyler uświadomił sobie, że jest zły nie tylko na swego syna i na Tylera

Jenkinsa.

— Tym razem wydobrzeje, damę na to swoje słowo - powiedział wielkolud. - Wiele się zmieniło. Obiecuję, że będzie dobrze.

Wyciągnął dłoń i pan Carrillo ją uścisnął. Hector zapytał: - A gdzie jest Simos? Zwykle wychodzi, żeby się przywitać.

— On... - Ragnar wyraźnie posmutniał, ale powiedział tylko: - Musisz mu wybaczyć. Miał ciężką noc.

— Ej, Jenkins - krzyknął Steve do Tylera z tylnego okna pickupa. - Jak będziesz miał okazję, to przyjeźdź przed wyjazdem. Nie musisz najpierw dzwonić, żeby mnie uprzedzić. Zdaje się, że nigdzie się nie wybieram... dzięki tobie...

Tyler nie mógł powstrzymać uśmiechu, kiedy odjeżdżali. Steve to dobry chłopak - prawdziwy przyjaciel.

— Czy Gideon naprawdę porozmawia z nimi na temat ich farmy? Jak ktoś go do tego zmusi?

Wiking wciąż miał posępny wyraz twarzy, kiedy otwierał bramę. Napięcie zostało wyłączone i nie działało od czasu burzy. Pozostałą parę mantykor bezpiecznie zamknięto w zagrodzie.

— Wszystko się tu teraz zmieni. Nie ma innego wyjścia.

Do odjazdu Tylera i Lucindy pozostał tylko jeden dzień i Zwyczajna Farma była podzielona tak mocno jak nigdy, przy czym większość mieszkańców stała po jednej stronie, a Needleowie po drugiej. Oczywiście niczego nie ustalono: Gideon już odzyskiwał siły i wolę, ale był przytomny jedynie co jakiś czas, a i wtedy był tak zmęczony, że ledwo siedział, nie mówiąc już o rozwiązywaniu ważkich i niecierpiących zwłoki spraw. Pan Dobrochodzki miał się znacznie lepiej i doglądano go na kanapie w tym samym pokoju co Gideona, żeby Sara i jej pomocnice mogły jednocześnie zajmować się obydwoma. Tyler nie miał pojęcia, co potwór z oranżerii mu zrobił, ale Simos Dobrochodzki przebudził się dopiero po raz pierwszy zeszłego dnia wieczorem i ograniczył się do

wypowiedzenia kilku słów, choć Sara mówiła, że tego dnia rano czuł się dobrze. Co ciekawsze, Tyler odkrył też kilka dziur po kulach w Wężowym Salonie. Najwyraźniej wiele się działo nie tylko za lustrem i w szklarni.

Chociaż nie można było ustalić niczego na pewno, dopóki Gideon nie przejmie dowodzenia na farmie, Ragnarowi i Sarze udało się w końcu za pomocą czystego uporu, próśb i gróźb przegnać panią Needle od łóżka Gideona i w ogóle z Wężowego Salonu, tak więc wiedźma wycofała się za zamknięte drzwi swojej części domu. Colin spędzał większość czasu z nią, czy też w swoim pokoju, czyli mniej więcej tak, jak się tego Tyler spodziewał.

Poprzedniego lata dzieci Jenkinsów nie poruszały pewnych spraw i nie mogły oczekiwać, że ktoś udzieli im wyczerpujących odpowiedzi na ich pytania, ale teraz coś się zmieniło, zwłaszcza sposób, w jaki Tyler i Lucinda podchodzili do wszystkiego. Nawet jeśli nie dane im będzie odziedziczyć farmy (pomimo ogólnego chaosu, jaki panował tamtej nocy, zdaje się, że nikomu nie udało się zmusić Gideona do zmiany testamentu), Tyler wiedział, że ich stryjeczny dziadek przynajmniej planował taki krok. Po prostu doszedł do wniosku, że mają prawo wiedzieć, co się dzieje. I był miło zaskoczony, gdy się przekonał, że przynajmniej Ragnar Lodbrok jest tego samego zdania.

Tyler spotkał wikinga w ogrodzie, gdzie ten badał osmalone szczątki oranżerii. Wciąż trudno było uwierzyć w to, co się stało zaledwie kilka dni temu, ale kiedy patrzyli razem na stopiony metalowy szkielet oraz szeroki krater szerniałych szczątków i spalonych trupów zwierząt, dowody były aż nadto widoczne. Wyglądało to tak, jakby ktoś zbombardował szklarnię.

— Zabierzemy te metalowe sztaby - powiedział Ragnar. - W Liberty mają piec, gdzie topią stary metal. W ten sposób upewnimy się, że wszystkie nasiona zginęły. - Szturchnął stopą część zdechłego ptaka na ziemi. Tyler nie miał pojęcia, co to za ptak.



— Resztę zakopiemy. Gdybym znał jakiegoś kapłana, to sprowadziłbym go tu, by zaczarował grób demona.

— To nie był prawdziwy demon, co? - zapytał Tyler. - Raczej wielki grzyb.

Ragnar popatrzył na niego z niedowierzaniem.

— Skoro to coś było zwykłym grzybem, to wilk Fenris jest słodkim szczeniakiem, a wąż Midgardu jedynie węgorzem.

Tyler nie wiedział, co ma na to powiedzieć.

— Co będzie z farmą? - zapytał po chwili. - Po tym jak wrócimy z Lucindą do domu? Nie możecie pozwolić, żeby pani Needle wszystko uszło na sucho, prawda?

— To nie jest takie proste, Tyler - powiedział Ragnar. - Są jakby krewnymi Gideona. I czy chciałbyś, żebyśmy ją zabili i uczynili z chłopaka sierotę?

— Jego też mógłbyś zabić. - Tyler zobaczył zaskoczoną minę Ragnara. - Żartuję!

— Nie przepadam za tym chłopakiem, ale jego występki są niczym w porównaniu ze zbrodniami matki - powiedział wiking. - Trudno byłoby ją uwięzić, choć to możliwe.

— Dlaczego po prostu jej nie przepędzicie?

— Żeby zniknęła nam z oczu i znalazła się poza naszym zasięgiem jak ten straszny człowiek Kingaree? - Ragnar i pozostali przeszukali Kumish Creek wzdłuż i wszerz, ale nie znaleźli ani ciała ani najmniejszego śladu po Jacksonie Kingareem. - Powinniśmy ją wygnać, by ruszyła w świat z tajemnicami Zwyczajnej Farmy w głowie, knując różne podłości przeciwko nam? Przeciwko Gideonowi?

Tyler zmarszczył brwi. Tak przedstawiona sprawa już nie wydawała się prosta.

— Ale ona musi zostać ukarana za to, co zrobiła! Co starała się zrobić! Mogła zabić nas wszystkich!

— Wiem - powiedział Ragnar. - A kiedy Simos wydobrzeje, postaramy się ułożyć plan powstrzymujący ją od czynienia zła.

— Co macie zamiar zrobić?

Wiking pokręcił głową.

— Nie rozmawiałem z Simosem, więc jeszcze nie podzielę się swymi przemyśleniami. Gideon jest wciąż panem tego miejsca i moim tanem - nie ty, młody Tylerze. Jeszcze nie. - Spojrzał na oburzoną minę chłopca i na jego szerokiej, brodatej twarzy zatańczył uśmiezek rozbawienia. - Dlaczego tak bardzo nienawidzisz tajemnic? Nie masz swoich własnych, chłopcze? A co powiesz na temat tej kobiety, którą chowasz w pokoju swojej siostry?

Tyler zaczerwienił się.

— Grace? Ale to co innego - to jest dobra tajemnica. I podzielę się nią z Gideonem, kiedy tylko wydobrzeje na tyle, że będzie wiedział, co się dzieje. Poza tym ona też jeszcze jest w półśnie.

Oczywiście ku wielkiej irytacji Lucindy, ponieważ oznaczało to, że musi dzielić pokój z bratem. Grace najwyraźniej odsypiała lata mieszkania na wygnaniu w lustrzanym domu i budziła się tylko na skromne posiłki, po których rozglądała się z konsternacją, by znów ułożyć się do snu. Opiekowały się nią podkuchenne (kiedy nie zajmowały się Gideonem czy panem Dobrochodzkiem), głównie Ooola, dziewczyna z epoki lodowcowej, która być może była zafascynowana istnieniem osoby jeszcze mniej oswojonej ze współczesnym światem niż ona sama.

— Pamiętaj, jeszcze nie jesteś dorosłym mężczyzną... - zaczął Ragnar, jakby Tyler tego nie wiedział, ale wikingowi przerwał trzepot skrzydeł i z gorącego, czystego nieba spadła niewielka, kosmata sylwetka. (Burza z piorunami i deszcz tej straszliwej nocy dawno już minęły i zdawały się równie nierealne jak stara nocna mara.) Chwilę później Tyler już się zaśmiewał, starając się powstrzymać małe łapki przed szarpaniem go za brwi i szczypaniem w nos.

— Zaza! Wróciłaś! Stęskniłem się za tobą, maleńka - niemal cię nie widywałem tego lata!

Ragnar patrzył, jak skrzydlata małpka wdrapuje się Tylerowi na głowę, a potem skierował wzrok na żalostną kupę metalu i węgla, który niegdyś był szklarnią. Pogładził się po brodzie i kolejny nieznaczny uśmiech pojawił się na jego twarzy.

— Tyler, zwierzęta wiedzą o wiele więcej od nas. Skoro ten mały goryl przyszedł do tego miejsca, to może jednak nie będziemy potrzebowali kapłana.

Z Zazą jadącą okrakiem na jego ramieniu Tyler poszedł za Ragnarem do Gadziej Obory, gdzie Trzech Amigos i Haneb sprząтали zniszczenia pozostawione przez mantykory. Lucinda też tu była, stała kilka metrów od zagrody Desty. Młody smok celowo ją ignorował i Tyler pomyślał, że siostra ma prawdziwie zbolaną minę, jakby zabujała się w jakimś ważniaku z ogólniaka, który nawet nie znał jej imienia.

Mantykory spowodowały w wielkiej oborze spore zniszczenia, rozrywając metalowe zagrody i rozrzucając wszędzie worki z obrokiem oraz zbiorniki na wodę, terroryzując i zabijając niektóre mniejsze i wolniejsze zwierzęta (Tyler był zadowolony, że ślady po nich zostały już usunięte) i ogólnie robiąc taką zadymę jak stado pijanych słoni. Tyler zobaczył, że jedna z drabin wciąż wisi dziesięć metrów nad ziemią, i nie był w stanie zgadnąć, jak się tam dostała.

Tylko dwie mantykory przeżyły tę straszną noc - grzyb zwabił i zabił dwie, a trzecia najwyraźniej za bardzo zbliżyła się do zagrody Meseret, bo pokrwawiony kikut ogona świadczył o jej losie. Pamiętając, z jaką zawziętością pierwsza zaatakowała Ragnara przy bramie, Tyler nie żałował mantykor, ale był zachwycony, że ostatnia para została bezpiecznie zamknięta w swojej zagrodzie. Były to niezwykle rzadkie, niesamowite zwierzęta - nie było co do tego wątpliwości - Tyler po prostu nigdy więcej nie chciał ich oglądać.

Kiedy Tyler dokonywał inspekcji zniszczeń, podeszła do niego Lucinda, a siedząca na jej dłoni mała, zdezorientowana amfispenna rozglądała się wokół. Przynajmniej Tylerowi wydawało się, że się rozgląda, bo mogła równie dobrze machać ogonem - nawet po ich drugim letnim pobycie na farmie coraz trudniej było stwierdzić, który koniec jest który.

— Jak się czują Gideon i pan Dobrochodzki? - zapytała siostra.

— Sara mówiła, że Gideon czuł się rano lepiej. Trochę nawet zjadł. Mówił. Nawet zrobił scenę. - Tyler wyciągnął dłoń i pogłaskał małe stworzonko po najbliższym końcu. To był pysk, teraz to widział, chociaż nieruchomy wzrok nie ujawniał tego faktu. - Myślę, że dziś po południu sprowadzę Grace na dół. Pan Dobrochodzki też ma się nieco lepiej - dodał.

Lucinda odłożyła ostrożnie jaszczurkę do klatki.

— Jesteś pewien? Nie jest z Gideonem aż tak dobrze.

— Jak ją zobaczy, to mu się poprawi. Poza tym wkrótce wyjeżdżamy.

— Niedobrze, że nie możesz najpierw poradzić się Simosa - odezwał się stojący nieopodal Ragnar. - Jest bardzo mądry i był tu przed nami - przed wszystkimi uchodźcami z Linii Uskoku. Prawdę mówiąc, tylko on znał żonę Gideona. Być może wie coś na ich temat, czego ty nie wiesz, Tyler.

— Wiesz, jak bardzo Gideon za nią tęskni - powiedział Tyler. - Cóż będzie lepszego dla niego niż odzyskanie jej?

Rozkojarzyły go nagle krzyki Kiwy i Jega. We dwóch starali się złapać węża pierścieniowatego, który uciekł ze swojej zagrody i teraz toczył się po podłodze z ogonem w pysku, wymykając im się z rąk. Zaniepokojona Zaza zeskoczyła z ramienia Tylera i wzbiła się w górne rejony potężnej obory, gdzie unosiła się w powietrzu, drąc się przeraźliwie.

— Tam się toczy, no tam, pod spryskiwaczem! Nie zróbcie mu krzywdy! - krzyczał Ragnar, śmiejąc się do rozpuku. - Ale pamiętajcie,

użyć też może!

Kiedy trzeci z pasterzy i Haneb dołączyli do tego komicznego korowodu, zrobiło się jeszcze zabawniej, a Tyler odwrócił się, by spojrzeć na Lucindę. Jego siostra obserwowała ten rozgardiasz z radością ucznia, który widzi zadanie domowe na tablicy. Chwilę później odwróciła się i wyszła z obory.

— Luce! - krzyknął, ale nie zareagowała.

Nie popędził za nią - za dużo miał zabawy, obserwując pogoń za szybko toczącym się wężem. Pogoń poruszyła i zdenerwowała wielu lokatorów Gadziej Obory, bazyliuszki syczały, a kuroliszki pluły po swojej klatce jadem, aż nawet Meseret podniosła masywny łeb nad ogrodzenie, by zobaczyć, co się dzieje. Zaza tak się rozochociła, że nasikała jednemu z Amigos na głowę, co tylko wywołało większy rwetes.

Jeju, pomyślał Tyler, patrząc z radością na zamieszanie, co za wariackie miejsce! Czy jest jakieś fajniejsze na całej ziemi? A ja i Lucinda znów je uratowaliśmy!

# Rozdział 42

## Przerwana piękna chwila

Colin Needle od dwóch dni myślał o nieprzyjemnych sprawach, ale bez względu na to, jak podchodził do wszystkiego, bez względu na to, jak bardzo starał się sobie je wyjaśnić, nie potrafił sprawić, by odstąpiły go najgorsze przeczucia.

Tyler Jenkins miał rację - matka Colina wywołała chorobę Gideona. I starając się zmienić jego testament, czy cokolwiek tam robiła owej strasznej nocy (wciąż zbierał fakty do kupy), za pomocą komputera syna i systemu ochrony, który Colin tak precyzyjnie ustalił, wypuściła mantykory z klatki, przez co spowodowała śmiertelne niebezpieczeństwo nie tylko na pozostałych mieszkańców farmy, ale też na swego własnego syna.

Jak mogła zrobić coś takiego? Colin od zawsze wiedział, że ma trudną matkę i do tego obdarzoną wybuchowym temperamentem, wiedział nawet, że ma ona skłonności do okrucieństwa, ale to było zupełnie coś innego. Mówiła mu wielokrotnie, że postępuje tak dla jego dobra, a on wierzył w to tak samo jak w to, że deszcz służy roślinom. Teraz jego życie zdawało się całkowicie zmieniać, przybrać kształt, jakiego w ogóle nie znał.

Kiedy Colin zszedł po schodach, napotkał wychodzącego z kuchni Cezara, który chyba niósł lunch dla Gideona - na tacy były talerz z zupą, chleb oraz śnieżnobiała serwetka, zawinięta i włożona w srebrne kółko. Colin skinął mijającemu go Cezarowi, a ten grzecznie się odkłonił, ale nagle Colin był pewien, że w brązowych oczach staruszka dostrzega coś

innego niż grzeczność - pogardę? Jawną nienawiść skrytą jedynie pod dobrymi manierami?

Mała Pema odkurzała meble w głównym holu i ona też skinęła Colinowi, ale chłopak zaczął się zastanawiać, czy pod skromnie spuszczonej powiekami nie widać czegoś więcej, czy nie skurczyła się w sobie, jakby nie miała ochoty, by nawet jego cień jej dotknął? Wiedział, że pomoce kuchenne nie przepadają za nim, ale zawsze podejrzewał, że to przez temperament jego matki albo przez to, że czasami palnął coś bez zastanowienia, krytykując jakieś głupstwa. Ale może to coś więcej? Czy niechęć do jego matki nie była zakorzeniona głębiej niż zwykle u robotników wobec surowych nadzorców - czy naprawdę jej nienawidzili i bali się jej? Czy to oznaczało, że nienawidzili także i bali się Colina?

To były nowe spostrzeżenia i Colin nie za bardzo wiedział, jak ma do nich podejść. Przez większą część swego życia wiedział, że pozostali mieszkańcy farmy nie lubią Needle'ów, ale uważał, że wynika to ze zwyczajowej niechęci słabych do mocnych - jego matka była zdecydowanie silną kobietą. Czasami jej moc przerażała nawet własnego syna. Dlaczego inni mieliby nie reagować nerwowo?

Ale pewnego dnia, kiedy Gideona wciąż nie było, Colin odnalazł kilka kopert z pudła z Madagaskaru nieopodał opuszczonej oranżerii i zastanawiał się, dlaczego jego zwykle tak staranna matka wyniosła te cudzoziemskie nasiona do ogrodu, gdzie potencjalne zagrożenie było zdecydowanie większe. Dlaczego po prostu nie zasadziła ich w doniczkę w domu? Później, kiedy Lucinda zachorowała pod wpływem pyłku z oranżerii, Colin zaczął coś podejrzewać, ale wciąż nic z tego nie rozumiał. Gdy Lucinda powiedziała mu, jakie to były nasiona, i przemyślał sprawę tajemniczego zniknięcia Gideona, wszystko mu się przypomniało i zaczynało układać w straszliwą całość. Nie chodziło o to, żeby ukryć eksperymenty z roślinami i grzybami przed innymi, ale żeby ukryć obiekt tych eksperymentów - samego Gideona Goldringa. Jego matka musiała

ukrywać staruszką w ogrodzie. W jakiś sposób Patience Needle ogłuszyła Gideona i zaciągnęła go do szklarni, a on uciekł jej czwartego lipca.

Wiedźma. Było to słowo, które wyłaniało się z głębin jestestwa Colina niby pęcherz cuchnącego gazu na powierzchni głębokiego jeziora. Jego matka była czarownicą i to bynajmniej nie dobrą. Nie pierwszy raz usłyszał to słowo ani nawet nie pierwszy raz jemu samemu przyszło do głowy, ale po raz pierwszy naprawdę odczuł, co oznaczało.

Moja matka jest wiedźmą.

Colin Needle nigdy nie czuł się tak samotny.

Stał w cieniu werandy, pot ciekł mu po twarzy, a ubranie przywierało do skóry. Chociaż burze minęły, niebo wciąż było zachmurzone. Zastanawiał się, czy nie sprawdzić, co słyhać u węża morskiego Eliota, którego wodne harce często dawały mu poczucie wolności, kiedy jakiś ruch w oddali przykuł jego uwagę.

Lucinda Jenkins szła wolno w stronę domu, przechodząc w cieniu rzucanym przez wysoki silos zbożowy, który stał na Linii Uskoku. Nie wiedział, co jej powie, nie wiedział, czy będzie w ogóle mógł się odezwać, ale ona wyglądała nie lepiej niż on sam, więc przynajmniej nie będzie musiał starać się nawiązać radosnej konwersacji. Colin wiedział, że nie jest w tym najlepszy.

Pomachał niezgrabnie, kiedy wspinała się na schody werandy.

— Cześć.

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się, ale był pewien, że w taki sam sposób uśmiecha się do nieznanym na ulicy.

— O, cześć, Colin.

Zatrzymała się na chwilę, ale wyglądało na to, że ma ochotę minąć go i wejść do domu. Nagle zapragnął towarzystwa.

— Eee - powiedział, jakby niosło to ze sobą jakieś znaczenie. - Eee... chcesz... chcesz napić się lemoniady? Chyba Sara zrobiła świeżą.

Lucinda spojrzała na niego tym razem uważniej. Po kilku sekundach



zdawała się odprężona, choć wciąż była smutna.

— Jasne. Pewnie, że bym się napiła.

— Poczekaj tylko, zaraz przyniosę.

Kiedy wrócił po kilku minutach z dwiema szklankami, siedziała na jednym z foteli bujanych. Podał jej szklankę i usiadł z drugą w ręku, uważając, żeby nie rozlać napoju. Nie chciał choć raz zrobić czegoś niezręcznego, nie chciał się skompromitować.

— Zatem... - zaczął, kiedy się napili. - Jutro jedziesz do domu, tak?

Pokiwała głową.

— Tak. I chyba bardzo dobrze. Desta mnie nienawidzi.

Colin dopiero po chwili zrozumiał.

— Mały smok. Cóż, nie martw się - one zawsze mnie nienawidziły.

Spojrzała na niego z lekką irytacją.

— Ale wiesz, że to wyłącznie twoja wina, prawda, Colin?

Przez chwilę miał ochotę zaprotestować - czy nikt nie rozumiał, że on tylko starał się zrobić coś ważnego? - ale ta chęć wyparowała równie szybko, jak się pojawiła. Wziął głęboki wdech i wypuścił powietrze.

— Tak. Tak, chyba masz rację. Z całą pewnością popełniłem wiele głupot. Samolubnych głupot.

Uniosła brew Lucinda Jenkins była naprawdę bardzo ładna, co znów zauważył. Nie obnosiła się z tym jak Carmen Carillo, która wyglądała jak nastoletnia gwiazda telewizyjna, z brzęczącymi bransoletkami i misternymi fryzurami, ale bardzo ładna, z prostymi, błyszczącymi włosami, poważną twarzą, kilka tygodni temu tak bladą, a teraz nawet opaloną.

— Naprawdę tak myślisz, Colin? - zapytała. - Czy też starasz się mnie do czegoś nakłonić?

Pokręcił głową.

— Chciałem... bo ja wiem. Chciałem z tobą porozmawiać. O wielu rzeczach. - Nagle uświadomił sobie, że tak naprawdę chciał jej

powiedzieć to, że ją lubi, lubi ją inaczej, niż lubił kogokolwiek innego, ale rozpoczynanie tego rodzaju konwersacji było równie przerażające, jak skakanie z samolotu w nocy na spadochronie, który otworzy się albo i nie. - Pomówić o tym, co się tu dzieje. O tym, co ty też mówiłaś. Bo w niektórych... w niektórych sprawach miałaś rację....

— Co chcesz powiedzieć?

Ostrożność poszła w kąt. Lucinda wydawała się zainteresowana, nawet współczująca, i po raz pierwszy od burzliwej nocy Colin poczuł, że może nie wszystko jest takie straszne, jak się zdaje.

— Cóż...

Zawahał się nagle, przytłoczony mętlikiem myśli w głowie. Cóż mógł jej powiedzieć? Ze też wie, że jego matka jest niebezpieczną osobą - że naprawdę zaczął się jej bać, nie tak jak dawniej, ale na zupełnie inny sposób? W końcu Lucinda wyjeżdżała z bratem: to Colin zostanie na farmie z tymi wszystkimi ludźmi, którzy już go nienawidzą. Co będzie, jeśli matka odkryje jego skryte, nielojalne myśli? Co będzie, jeśli dowie się, że rozmawiał o niej z Jenkinsami?

Z drugiej strony, co będzie, jeśli nic nie powie i następnym razem stanie się coś naprawdę złego?

Ale zanim coś powiedział, z pola za podjazdem rozległ się głośny krzyk: - Ej! Hej, Luce!

To był Tyler Jenkins, który biegł ku nim z wyciągniętą koszulką i przekrzywioną bejsbolówką, wyglądając jak modelowy głupi amerykański nastolatek Colin poczuł, jak trzewia skręcają mu się pod wpływem zawodu i niechęci.

Kiedy dotarł do werandy, Lucinda powiedziała: - Cześć, Tyler. - Czy Colinowi wydawało się, czy też naprawdę usłyszał w jej głosie lekki zawód? Jeśli tak, to to najście było na wagę złota. - Poczekaj chwilę... właśnie rozmawiam z ....

Z początku Tyler nawet na niego nie spojrział.

— Powinnaś była to zobaczyć, Luce. Ale czad! Najpierw wy dostał się jeden z węży pierścieniowatych, potem Zaza się przestraszyła i wplątała Hanebowi we włosy, a on krzyczał, podskakiwał i starał się ją zrzucić... - Umilkł, wpatrując się w Colina. - Co jest, Needle? Nie mogę porozmawiać z własną siostrą?

Colin przełknął ciętą ripostę.

— Nie przeszkadzaj sobie, Jenkins, mów, co masz do powiedzenia. Nikt ci nie przeszkadza.

— Naprawdę? A wyglądasz, jakbyś miał na to ochotę. Czyja w czymś przeszkadzam?

— Nie twoja sprawa. - Usłyszał brzmienie własnego głosu, zimnego i wściekłego i w tej chwili chciał, żeby taki właśnie był.

— Tyler! - wykrzyknęła Lucinda. - Po prostu sobie rozmawiamy. Nie bądź takim pacanem.

W - Co takiego? - Brat odwrócił się do niej z czerwoną twarzą. - Czy to moja wina? To on tu siedzi i gapi się na mnie, jakby chciał mi przyłożyć...

Colin wstał tak gwałtownie, że fotel bujany zaskrzypiał na deskach werandy.

— Daj spokój! Zapomnijcie o wszystkim! Bawcie się dobrze. Naprawdę szkoda, że wyjeżdżacie jutro - jak sobie o tym pomyślę, to serce mi krwawi.

I Colin Needle wpadł przez drzwi do domu, nawet nie słuchając tego, co mówiła Lucinda. Jakiż z niego głupiec, że w ogóle myślał, że ona go zrozumie. Niemal przewrócił małą Pemę, wpadając do głównego holu, skąd skierował się schodami do własnego pokoju, ale myśl o przeproszeniu jej nawet nie przyszła mu do głowy.

# Rozdział 43

## Na ratunek Grace

Wciąż się na mnie wściekasz? Daj spokój, tym razem nawet niczego nie zrobiłem!

To była po części prawda - po wszystkich kłótniach, jakie wywoływał jej brat z Colinem Needle'em, ta była w miarę nieszkodliwa - ale Lucinda była zła za to, że Colin już chciał się przed nią otworzyć i nie zdążył.

— Nie pojmujesz? Mówił mi, że mieliśmy rację we wszystkim, ty głupku! - Nachyliła się, żeby podnieść szklankę po lemoniadzie Colina, pozostawioną na werandzie.

— No i co z tego? Jasne, że mieliśmy!

— Mogliśmy go przeciągnąć na naszą stronę!

Tyler skrzywił się z odrazą.

— Jakby ktoś chciał go mieć po naszej stronie!

— Daj spokój. Jesteś niemożliwy. - Zniosła szklanki do domu. Drzwi do Wężowego Salonu były zamknięte, co prawdopodobnie oznaczało, że Gideon akurat drzemał. Miał dochodzić do zdrowia. Lucinda miała nadzieję, że zobaczą go jeszcze przed wyjazdem.

Kiedy niosła szklanki do kuchni, starała się pojąć, dlaczego Tyler, wpadając jak burza i przerywając jej rozmowę, tak bardzo ją zdenerwował. Nie chodziło tylko o to, że wyjeżdżała z bratem już jutro, a wszystko było jeszcze bardziej zagmatwane niż rok temu. Nie chodziło nawet o tę małą chwilę, kiedy pojawiła się szansa, żeby zjednać sobie Colina Needle'a, choć to z całą pewnością ułatwiłoby wiele spraw - Lucinda miała wrażenie, że już niedługo walka o Zwyczajną Farmę

przybierze prawdziwie paskudny obrót. Nie, chodziło o coś innego.

Colin zdawał się niemal... miły. To właśnie ją niepokoiło. Był zagubiony, zdezorientowany i przestraszony, szukał pomocy u Lucindy. Dostrzegła kogoś, kogo wcześniej nie widziała - Colina oddzielonego od swej oszalałej, przerażającej matki, Colina, który był kimś więcej niż dziwnym chłopakiem, kujonem, niepotrafiącym się ubierać i dorastającym w tym wariatkowie bez kontaktu z rówieśnikami. Przez chwilę wydawało się jej, że widzi prawdziwego Colina... ale wtedy wpadł Tyler i ta chwila minęła - może na zawsze...

Azinza wpłynęła do kuchni z tacą ze sztućcami.

— Gideon czuje się lepiej i chce z nami porozmawiać! - oznajmiła z wielką satysfakcją w głosie.

Pema i Sara weszły do kuchni tuż za nią i nagle duże pomieszczenie wypełniły gwar i rwetes.

— Co? Kto? - Lucinda uświadomiła sobie, że stoi od kilku minut nad zlewem, zatopiona w myślach.

— Gideon, dziewczyno! Cezar kąpie go i ubiera! - Azinza położyła tacę tak gwałtownie, że aż filiżanki zagrzechotały. - Co oznacza, że ujawnimy też tajemnicę twego brata! Szczęśliwy dzień! Zaniosem kwiaty do pokoju.

— Tylko kilka! - powiedziała Sara. - W salonie będzie mnóstwo ludzi. Nie chciałabym, żeby ktoś przewrócił dobre wazon.

Ale kucharka też była najwyraźniej podniecona. Wszystkie kobiety dbały o Grace w pokoju Lucindy i wychodziły ze skóry, żeby zobaczyć, co się stanie, kiedy Gideon spotka dawno utraconą miłość.

Lucinda nagle się zaniepokoiła. Z jakiegoś powodu nie była sobie w stanie wyobrazić, że Ragnar i pani Needle będą stali spokojnie obok siebie i nie powiedzą Gideonowi ani słowa o tym, co się działo podczas jego choroby. Oczywiście Ragnar wywali kawę na ławę, a pani Needle będzie musiała kłamać, więc wtedy wszystko bardzo, ale to bardzo się zagmatwa...

— Muszę pomówić z bratem - powiedziała nagle i skierowała się do drzwi, zostawiając zaskoczone kobiety.

W pokoju, który do burzliwej nocy należał do Lucindy, miała miejsce dość dziwna scena. Grace siedziała na łóżku, a Ooola klęczała za nią, czesząc jej cienkie, białe włosy. (Dziewczyna z epoki lodowcowej, która wcześniej korzystała z niedźwiedziego łoju i rozczesywała kołtuny, bardzo lubiła teraz mieć czyste włosy, a czesanie sprawiało jej radość. Godzinami mogła czesać włosy innych kobiet. Lucindę bawiło to, jak Ooola wielokrotnie prosiła Tylera, by dał się jej uczesać, co on twardo odrzucał.) Tyler krążył pośrodku pokoju niczym producent z Broadwayu przed premierą.

— O co chodzi? - zapytał. - Gideon już wstał?

Lucinda mogła tylko pokręcić głową.

— Dlaczego robisz z tego takie halo? Dlaczego trzymałeś to w tajemnicy przed Gideonem?

— Ponieważ przez większość czasu był nieprzytomny! Też coś!

Grace podniosła wzrok na dźwięk imienia Gideona, a w jej oczach widać było łagodność i cień lęku.

— Czyja cię znam? - zapytała Lucindę.

— Tak. - Trudno było skojarzyć tę kruchą, wiecznie mrugającą istotę z piękną, mądrą młodą kobietą znaną ze starych fotografii. - Jestem siostrą Tylera. To mój pokój, pamiętasz? Gideon jest naszym stryjecznym dziadkiem. - Zwróciła się do brata: - Powinniśmy byli ją zabrać do szpitala, Tyler. Z nią coś jest nie tak.

— Widok Gideona wyleczy wszystko - oznajmił z uporem.

— Gideon. - Grace pokręciła głową. - Czy on będzie... czy będzie na mnie zły? Za to, że wróciłam?

— Żartuje pani sobie? - wykrzyknął Tyler. - Będzie wniebowzięty!

Lucinda nie była już taka pewna - zły za to, że wróciła? Co to miało znaczyć? Ale zanim zdołała zadać kolejne pytanie, Azinza stanęła w

drzwiach. Młoda Afrykanka włożyła najlepszy strój, bawełniana sukienka w jasne brązy, żółcie i czerwienie spowijała jej smukłą sylwetkę aż do ziemi. Naprawdę wyglądała jak osoba z królewskiego rodu.

— Już może nas przyjąć - oznajmiła. - Schodźcie!

Tyler odwrócił się do Oooli, która dokonywała ostatnich poprawek włosów Grace.

— Poczekaś z nią na górze schodów. Zawołam cię, gdy będzie odpowiedni moment. Zrozumiałaś?

Przejęta Ooola pokiwała głową z powagą i szacunkiem. Lucinda lubiła tę dziewczynę, ale pomyślała, że ktoś, kto z takim oddaniem słucha jej brata, musi mieć na niego zły wpływ. Czasami Ooola zachowywała się tak, jakby Tyler pojawił się w jej czasach wyłącznie po to, by ją uratować, gdy tymczasem on bawił się czymś, czym nie powinien się bawić, taka była prawda.

Kiedy schodziła po schodach, pożałowała tej myśli. Jasne, gdyby nie zrobił kolejnej głupoty w życiu, Ooolę niechybnie pożarłby niedźwiedź...

— Proszę cię, tylko nie zrób niczego żenującego ani efekciarskiego - poprosiła brata cichym głosem, kiedy doszli do końca schodów. Pozostali mieszkańcy farmy wypełniali główny hol, mrucząc coś do siebie nawzajem.

Posłał jej zirytowane spojrzenie.

— Jeszcze mi podziękujesz, kiedy będzie po wszystkim, zobaczysz. Będziesz do mnie mówić: „mistrzuniu geniuszy”.

— Skoro tak twierdzisz... - Była zbyt przejęta, by znowu mu powiedzieć, że czasami zachowuje się jak idiota.

Wężowy Salon był dużym pomieszczeniem, ale przy wszystkich mieszkańcach farmy robi się w nim ciasno. Ponieważ łóżko Gideona zajmowało centralne miejsce, Lucinda poczuła się, jakby stała w zatłoczonym pociągu ramię w ramię z innymi, co z kolei przypomniało jej, że wkrótce wróci z Tylerem do domu.

Zarówno Gideon, jak i pan Dobrochodzki siedzieli, ale Lucinda pomyślała, że ten jeden raz mogłaby postawić na wuja w ewentualnym wyścigu czy nawet zapasach między nimi - Simos Dobrochodzki wyglądał na dziwnie bladego i kruchego, a Gideon, choć nie był w najlepszej formie, wydawał się zdecydowanie zdrowszy niż jeszcze kilka dni temu. Jak zwykle włosy sterczały mu w niesfornych kępkach na wszystkie strony - było jasne, że kolejna podjęta przez Cezara próba okiełznania ich za pomocą grzebienia i wody spełzła na niczym.

— Wujku Gideonie, dobrze cię znów widzieć - powiedziała Lucinda z głębi serca. Wyraz jego twarzy i oczu wskazywał na to, że wrócił stary Gideon. - Cieszę się, że już masz się lepiej.

Pokiwał głową i uśmiechnął się do niej, ale słuchał tego, co mówił mu Ragnar - odchylił się od wielkoluda, żeby pomachać Trzem Amigos, którzy zatrzymali się w drzwiach i stali nieśmiało z czapkami w dłoniach.

— Proszę, wejdźcie - powiedział do pasterzy, a głos miał tak wdzięczny, że Lucinda zaczęła się bać, że może się myli i jej stryjeczny dziadek wciąż odczuwa skutki prania mózgu.

Nagle Gideon zmarszczył czoło i przywołał ich niecierpliwym machnięciem.

— Na miłość boską - rzucił zirytowany - mówiłem, żebyście weszli!  
Lucindzie ulżyło.

Nerwowi Mongołowie poszli dalej i wcisnęli się między Ragnara, Haneba i kobiety z kuchni.

Mijając go, Lucinda stanęła obok Simosa Dobrochodzkiego.

— Jak się pan czuje? - zapytała. - Byłam u pana wczoraj, ale pan spał.

Wiekowy faun spojrział na nią zmęczonym wzrokiem. Nawet końcówki jego rogów zdawały się jakieś przytępione.

— Ten potwór trzymał mnie w mocy bardzo długo - powiedział wolno. - Podobnie jak ty, wciągnąłem jego trujące nasiona, ale oddychałem nimi przez prawie godzinę. Widziałem... straszne rzeczy. -



Pokręcił głową. - Świat, w którym ten demon był jedyną żywą istotą na ziemi. Śniłem, że chciał zdobyć niebiosy... - Pan Dobrochodzki umilkł, a potem uniósł ogorzałą dłoń i poklepał Lucindę po ramieniu. Jego widok w takim stanie był dla Lucindy czymś niezwykłym i niepokojącym. - Wybacz mi, dziecko. Już od dawna tak bardzo mnie nie zraniono. Chodź, usiądź tu. Mamy dzisiaj wiele spraw do omówienia.

Wszyscy mieszkańcy farmy zjawili się w salonie, nawet Colin z matką, którzy przyszli jako ostatni i stanęli w nogach łóżka Gideona z kamiennymi twarzami niczym para żałobników.

— Cóż - zaczął Gideon - miło was wszystkich znów widzieć, to większa dla mnie przyjemność, niż podejrzewacie! - Uśmiechnął się jakby do swoich myśli. - Były takie chwile w ciągu ostatnich kilku tygodni, kiedy nie sądziłem, że to się jeszcze wydarzy - że będziemy wszyscy razem na naszej farmie. Nie trzeba dodawać, że jestem wdzięczny za wykonywanie dodatkowej pracy, jaką mieliście przy mnie w czasie choroby, ale jestem jeszcze bardziej przekonany, że większość całego zamieszania jest wyłącznie moją winą. - Skinął głową. - Tak, moją winą. Jestem starym człowiekiem i zależy ode mnie bezpieczeństwo i szczęście wielu dobrych ludzi - was. Nie mogę być taki nieostrożny.

Lucinda była pod wrażeniem. Czy Gideon naprawdę miał zamiar po raz pierwszy przyznać się, że nie zna odpowiedzi na wszystkie pytania? Ale to wciąż nie rozwiązywało najbardziej palących problemów na farmie. Zerknęła na panią Needle, zdaniem Lucindy, najbardziej palący problem farmy i podchwyciła spojrzenie Colina, który patrzył na nią z dziwnym, niedającym się odczytać wyrazem twarzy. Kiedy napotkał wzrok Lucindy, szybko spuścił oczy.

— Chciałem wam powiedzieć - ciągnął Gideon - że jednoznacznie ustalę, co ma nastąpić, jeśli mnie nie będzie... nie, bądźmy szczerzy, kiedy mnie nie będzie. Ponieważ nie będę żył wiecznie.

— Niech pan tak nie mówi! - wykrzyknęła Sara i żarliwie się

przeżegnała. W jej głosie słychać było prawdziwy strach, a mała Pema wyglądała, jakby zaraz miała się rozplakać.

Gideon zaśmiał się.

— No, spokojnie, moje drogie. Wszyscy kiedyś umrzemy i musimy być gotowi na zmiany. W końcu gdyby nie wy i Patience, która opiekowała się mną tak troskliwie przez ostatnie tygodnie, mógłbym tu już nie wygłaszać tej przemowy! - Parsknął śmiechem, ale pozostali mieszkańcy farmy spoglądali po sobie albo ukradkowo zerkali na panią Needle. - Nie, bardzo intensywnie o tym wszystkim myślałem przez kilka ostatnich dni - ciągnął Gideon. - Lucindo, Tylerze, możecie tu podejść?

Jej brat podskoczył, jakby go ktoś ukłuł.

— Co? My?

— Chodź - wyszeptała Lucinda.

Złapała go za łokieć i pchnęła w stronę łóżka Gideona. Ich stryjeczny dziadek uśmiechnął się do nich niczym wymęczony Święty Mikołaj po całym dniu pracy na widok ostatnich dwóch klientów.

— Cezarze, pomóż mi trochę się podnieść, dobrze? - Kiedy poprawiono mu poduszki za plecami, Gideon skinął głową. - Lepiej. Dziękuję. Słuchajcie - zwrócił się do Lucindy i Tylera - wywróciliście to stare miejsce do góry nogami! Nie tak dawno jeszcze zacząłem żałować, że was tu w ogóle zaprosiłem - ale już tak nie uważam. Takie miejsce potrzebuje więcej niż jednego właściciela, musi należeć do kogoś, kto się nim zajmie - kto je kocha. Myślę, że znam odpowiedź, ale chcę sam to usłyszeć. Czy naprawdę kochacie Zwyczajną Farmę?

— Tak! - powiedział Tyler tak szybko i głośno, że Gideon drgnął.

— Tak, wujku Gideonie, oczywiście! Naprawdę kochamy. - Lucinda pomyślała o wściekłej Deście i o tym, co zrobiła małej smoczycy, by ratować farmę. - Bardziej niż przypuszczasz.

— To właśnie chciałem usłyszeć. - Gideon wyciągnął drżącą dłoń, by chwycić Tylera za rękę, a potem Lucindę. Z przerażeniem poczuła, jak

kruche są kości Gideona pod skórą. - A oto, co mam do powiedzenia. Mam zamiar sporządzić nowy testament. Nie zmieniłem starego od czasów, kiedy moja żona... zniknęła.

Lucinda mimowolnie spojrzała na panią Needle. Colin wciąż unikał jej wzroku, ale pani Needle spoglądała na nią tak, jakby rzucała jej wyzwanie, by Lucinda coś powiedziała. Czyżby Gideon nie wiedział, że wiedźma starała się zmienić ten testament nie dalej jak kilka dni temu? Dlaczego Ragnar czy ktoś inny nie powiedział o tym Gideonowi? Czy spodziewali się, że ona i Tyler to zrobią?

— Widzicie - kontynuował Gideon. - Teraz rozumiem, że nie jest to tylko moja farma - należy do wszystkich tu obecnych. Mówiąc szczerze, większość z was nie ma się gdzie podziać. Żadne z was nie zjawilo się tu z wyboru - nie całkiem - ale bez farmy wasza egzystencja na tym świecie, w tym czasie, byłaby trudna, a być może i niemożliwa. Nie wspominając o naszych zwierzętach, które mogą przetrwać wyłącznie tutaj, gdzie nauczyliśmy się nimi opiekować. Tak więc posłuchajcie, co mam zamiar zrobić. Po wielu przemyśleniach ogłaszam Lucindę i Tylera moimi spadkobiercami. Kiedy odejdę, Zwyczajna Farma będzie należeć do was - ale tylko wtedy, gdy przystaniecie na moje warunki i będziecie honorować obowiązki, jakie się z tym wiążą.

Nawet w takiej niezwyklej chwili coś w jego słowach nie dawało Lucindzie spokoju.

— Obowiązki? - zapytała Lucinda. - Takie jak karmienie zwierząt? Oczywiście zajmiemy się nimi tak, jak ty się zajmujesz, wujku Gideonie. Wiemy już sporo na ten temat.

— Nie całkiem. - Staruszek uniósł dłoń, by powstrzymać kolejne pytania. - Nie, część z nich wiąże się z tym, że Zwyczajna Farma musi chronić Zwyczajną Farmę - i wszystkich jej mieszkańców. Jeśli zgodzicie się objąć ten spadek, musicie także solennie przyrzec, że wszyscy obecni zawsze będą tutaj mieszkać.

— Wszyscy? - zapytała zadziwiona Lucinda. - Bez względu na to, co zrobili?

Nawet jeśli starali się wpływać na ludzi i ich zabijać? - pomyślała. Jak mogli pozwolić Patience Needle zostać na farmie, skoro wiedzieli, że zrobi wszystko, żeby zagarnąć ją dla siebie i dla Colina?

— Eee... eee... - Tyler przestępował z nogi na nogę, jakby musiał iść do toalety - było jasne, że miał wielką potrzebę podzielić się własnym sekretem. Lucinda miała nadzieję, że będzie trzymał buzię na kłódkę w sprawie Grace, aż dowiedzą się do końca, o co chodzi Gideonowi.

— Chcesz, wujku, powiedzieć, że nawet jeśli padnie oskarżenie pod czyimś adresem, to nie możemy nikogo stąd wyrzucić? - Unikała wzroku Patience Needle, ale wszyscy w pokoju z wyjątkiem Gideona wiedzieli, o kim mówi. - Bez względu na to, co ten ktoś zrobił? Nie możemy na to przystać, wujku Gideonie.

— Spokojnie, spokojnie - powiedział, marszcząc brwi. - Nie proszę was o coś, czego ja sam bym nie zrobił. To proste moje dziecko - czy przyrzekasz przestrzegać moich zasad? - Jego niezadowolenie zmieniło się w zaskoczenie. - Tyler, co ty wyrabiasz? Dokąd on idzie? Wracaj tutaj!

Ale jej brat już przemykał między Trzema Amigos i wypadł jak burza z salonu. Znowu Lucinda pożałowała, że jej brat nie pomyślał, zanim coś zrobił. Teraz miała tylko kilka chwil do pojawienia się Grace, co prawdopodobnie urwie wszelkie rozsądne dyskusje tego dnia.

— Jestem bardzo niezadowolony z powodu nieodpowiedzialnego zachowania twojego brata - powiedział Gideon. - A skoro mowa o nieodpowiedzialności, to co starałaś się mi powiedzieć? Daję wam wspaniały prezent - nie ma drugiego takiego na świecie. Dlaczego nie możecie zrobić tego, o co proszę?

Odchrząknęła.

— Jesteśmy bardzo wdzięczni, wujku Gideonie. Chodzi o to, że niektórzy z nas... mam wrażenie, że nie wszyscy na Zwyczajnej Farmie...

mają na względzie twoje dobro... dobro farmy... - Odwróciła się do Ragnara, Sary i innych. - Czy nikt nie ma zamiaru się odezwać? Czy nikt mu niczego nie powiedział?

Ale zanim padło kolejne słowo, Tyler wpadł przez drzwi, prowadząc za sobą swoją niespodziankę. Była ubrana w prostą sukienkę sprzed dwudziestu laty, a włosy miała wyszczotkowane i lśniące.

— Spójrz, wujku Gideonie - powiedział Tyler, niemal ciągnąc ją w stronę łóżka wuja. - Popatrz tylko, kogo znalazłem, kiedy ty byłeś chory! Popatrz, kto tu jest! To Grace!

Gideon spojrzał na nią z zaniepokojoną miną. Nagle niepokój ustąpił miejsca krańcowemu zadziwieniu.

— Co? Kto to jest?

— To Grace, wujku Gideonie! - Tyler niemal podskakiwał w uniesieniu. - Twoja żona!

Gideon przyglądał się kobiecie przez dłuższą chwilę, po czym zwrócił się do Tylera: - O czym ty mówisz? To nie jest Grace.

Tyler zaczął wpadać w panikę.

— Przyjrzyj się jej dobrze, wujku Gideonie! Minęło dwadzieścia lat, a ona przebywała w bardzo złym miejscu - ale to ona!

Gideon znów spojrzał na siwowłosą kobietę, która wiała się nerwowo pod jego spojrzeniem, mrugając i odwracając wzrok. Pokręcił głową.

— Nie. To nie jest moja Grace.

Tyler zwrócił się do Ragnara i pozostałych: - Może nie rozpoznaje jej z powodu choroby...!

— Nie, Gideon mówi prawdę - odezwał się pan Dobrochodzki z kanapy. - Jestem jedyną osobą, która ją знаła. - Pokręcił ciężko głową. - To nie jest Grace Goldring.

Gdyby Colin Needle nie był w tak żalonym nastroju, czerpałby wielką przyjemność z widoku twarzy Tylera Jenkinsa, kiedy stało się jasne, że pomimo jego wysiłków nie uda mu się zmienić tej zagubionej starej

kobiety w dawno utraconą żonę Gideona, Grace.

Co lepsze, młodszy Jenkins całkowicie odwrócił uwagę wszystkich od Lucindy, która miała właśnie opowiedzieć Gideonowi o tym, co zrobiła Patience Needle. Może i Colin miał wątpliwości co do swej matki, ale nie wyobrażał sobie, aby coś dobrego miało wyniknąć z ujawnienia jej uczynków. Mimo to niebezpieczeństwo wcale nie zniknęło, zostało tylko odsunięte w czasie i Colin wyczuwał pod starannie przybraną przez matkę maską coś, czego nigdy wcześniej nie zauważył - cień bólu czy nawet strachu.

# Rozdział 44

## Cena pokoju

To uderzyło Colina niczym prawdziwy cios - jego matka nie wiedziała, co będzie dalej! Sytuacja w salonie wymknęła się spod jej kontroli. Nigdy nie wyobrażał sobie, że taki dzień kiedyś nadejdzie, i sam nie wiedział, czy ma być zachwycony czy przerażony.

— Ale skoro ta pani to nie Grace - nagle odezwała się Lucinda, wprowadzając odrobinę spokoju w gwarze - w takim razie kim ona jest?

Kiedy wszyscy inni się sprzeczali, Gideon przyglądał się nowo przybyłej. Po chwili zamrugnął i wyprostował się na łóżku.

— Mój Boże - powiedział. - Właśnie sobie przypomniałem... Myślę, że to Dorothea! Mieszkała kiedyś z nami. Dorothea, czy to ty?

— Dorothea? - zapytał Tyler tak przybity, że Colin Needle w najśmielszych snach nie spodziewał się go takim zobaczyć. - Jaka Dorothea?

— Kuzynka Grace, Dorothea Pence. Ale ona wyjechała i przeprowadziła się na wschód wiele lat temu! Co ona tu robi? - Gideon nachylił się do kobiety. - Dorothea, czy to naprawdę ty?

Kobieta z początku wyglądała na zdezorientowaną, ale po chwili przytaknęła.

— Dorothea. Tak, to moje imię. Ja... ja zapomniałam...

— Ale skąd ona się tu wzięła? - zapytał Gideon. - Jak to, tak po prostu weszła na teren posiadłości? Dorothea, kiedy wróciłaś? - Zwrócił się do pana Dobrochodzkiego: - Simos, czy ty wiesz coś na ten temat? Nie, nie, byłeś chory. Ragnar?

Wiking rozłożył ramiona.

— Tyler ją znalazł. I mówiła, że... że on ją sprowadził.

— Tyler? - W głosie Gideona słychać było nieprzyjemne tony. - I to ty przyniosłeś mi naszyjnik Grace, prawda? Mówiłeś, że znalazłeś go w bibliotece. Cóż, lepiej opowiedz mi wszystko - i tym razem chcę usłyszeć całą prawdę, chłopcze.

— Ale... aleja nie... - Tyler się zawahał, po czym spojrzał na stryjecznego dziadka błagalnym wzrokiem. - Naprawdę?

Pot ściekał Colinowi Needleowi po karku. Czuł się winny jak diabli i starał się nie patrzeć w stronę matki. Jeśli Tyler Jenkins zacznie mówić, to kto może wiedzieć, gdzie się zatrzyma? Czy wszyscy w tym pomieszczeniu rzeczywiście chcieli, żeby Gideon Goldring znał całą prawdę?

— Lustro nad umywalką? - Gideon był całkowicie zaskoczony. - Stara umywalka, która stała w bibliotece, w pokoju rekreacyjnym Octavia? Lustro? - Zwrócił się do pana Dobrochodzkiego: - Co o tym sądzisz, Simosie? Dziwaczne, co?

Pan Dobrochodzki siedział na zaimprovizowanym łóżku, bacznie słuchając, co wszyscy mówią, ale niczego nie komentował.

— I teraz jest na górze? - zapytał Gideon ostrym tonem, odwracając się do pani Needle. - W twoim pokoju, Patience? Czy to prawda? Co ta umywalka tam robi?

Gospodyni odezwała się wolno, jakby przemyślała odpowiedź długo wcześniej, zanim jeszcze Gideon zadał pytanie.

— Pomyślałam, że to niezwykle, interesujący mebel, zbyt ładny, żeby go chować. Kazałam wstawić go do mego gabinetu, bo... cóż, spodobał mi się. - Pokiwała głową. - Czy nie tak, Colin?

Colin też skinął głową. Poczuł, że wszystko balansuje na ostrzu noża - że wszystko może jeszcze wrócić do dawnego stanu, ale równie dobrze może zapoczątkować nieprzewidziany ciąg wydarzeń.



— A więc stamtąd też pochodzi wisiołek. - Gideon zdjął go z szyi i ułożył sobie na dłoni. - Teraz sobie przypominam. Grace dała go Dorothei, kiedy wyjeżdżała do Providence. - Zwrócił się do Dorothei, która siedziała na krześle obok jego łóżka: - Kiedy wróciłaś ze wschodniego wybrzeża?

Kobieta potrząsnęła głową.

— Nigdy nie wyjechałam. Dotarłam do Los Angeles, ale nie mogłam zostawić Grace. Była taka przybita! Zadzwoiłam więc do znajomych, u których miałam się zatrzymać w Providence, i powiedziałam im, że zmieniałam plany. Później wróciłam pociągiem do Standard Valley. Nie mówiłam nikomu, że wracam, ponieważ... cóż, ponieważ myślałam, że Gideon się zdenerwuje. Wujek Octavio wyjechał po mnie na stację - martwiłam się, bo to był już starszy człowiek, ale dowiózł nas na farmę bez problemów... - Umilkła, wpatrując się w szklanekę z wodą. - Ale nie pamiętam, co się potem stało. - Podniosła wzrok i Colin oraz wszyscy pozostali wyraźnie spostrzegli, jaka jest zdenerwowana. Miała zaczerwienione oczy i znękany wyraz twarzy. - Nie pamiętam niczego... poza koszmarami...! - Łzy zaczęły się toczyć po jej policzkach. - Och, co się ze mną stało? Dlaczego jestem taka stara?

Gideon machnął ręką, zdawał się skrepowany.

— Dobrze już, dobrze, moja droga. Teraz jesteś bezpieczna. Wkrótce ci wszystko wyjaśnimy. - Rozejrzał się wokół, jakby szukał pomocy. - Dorothea wciąż jest zmęczona, jestem pewien, że przypomni sobie więcej, kiedy dojdzie do siebie. Sara, zabierz ją proszę do jej pokoju...

— Ja to zrobię - powiedziała Ooola, skacząc na równe nogi.

Wyprowadziła Dorotheę z Wężowego Salonu. W ciszy, jaka towarzyszyła jej wyjściu, Gideon zwrócił się znów do Tylera Jenkinsa: - Dlaczego mnie okłamałaś, chłopcze? Mówiąc o mojej żonie przede wszystkim? - Skrzyżował ramiona na piersi i patrzył na niego wilkiem. - O mojej żonie!

Choć Colin był zadowolony, widząc, jak Gideon łątał jego wroga, martwił się jednak tym, co Tyler może powiedzieć, i chwilę później jego obawy się potwierdziły.

— Dlaczego? Musiałem, wujku Gideonie. Wszyscy cię okłamują. - Większość zgromadzonych w salonie wciągnęła powietrze przez zęby. - W zeszłym roku, w tym roku, wszyscy! - Tyler klasnął w dłonie w geście największego zdenerwowania. - Ludzie starają się przekazać ci, co się wokół dzieje, ale ty nie masz ochoty tego słuchać!

— To bzdura! - Twarz Gideona pociemniała. - Chcesz powiedzieć, że starałeś się poinformować mnie, że lustro z biblioteki jest taką miniaturową Linią Uskoku, a ja nie chciałem słuchać?

— Nie, nie mówię o tym. - Tyler odwrócił się do siostry. - Tu chodzi o wiele więcej niż tylko o lustro. Luce, pomóż mi. Opowiedz mu o wiedźmie - opowiedz mu, co pani Needle z nim zrobiła.

Teraz Lucinda Jenkins stanęła obok brata. Colin poczuł zawroty głowy i mdłości, ale nie zrobił niczego, by ich powstrzymać, jakby znajdował się w takim śnie, w którym śniący nie jest w stanie nic powiedzieć.

— On mówi prawdę, wujku Gideonie - powiedziała Lucinda. - Nie pamiętasz, co się z tobą działo? Pani Needle niemal cię zabiła - starała się odebrać ci farmę. A zeszłego lata niemal zabiła Tylera...

Nie skończyła jeszcze, a matka Colina wystąpiła z białą twarzą o wąskich, czarnych brwiach. Wskazała drżącą dłonią Lucinę i dziewczynka skuliła się, jakby był to pistolet.

— Jak... jak śmiesz! - rzuciła do niej i odwróciła się do Gideona. - Te dzieci odnoszą się do mnie okropnie od pierwszego dnia pobytu tutaj, ale to już czyste szaleństwo! Mówią, że chciałam cię zabić! Ja, która pielęgnowałam cię dniami i nocami bez snu i odpoczynku podczas twojej choroby, co każdy w domu może potwierdzić!

— Ale to pani wywołała tę chorobę! - Lucinda Jenkins najwyraźniej bała się matki Colina, ale on sam widział, że nie da tak łatwo za wygraną.

Przez chwilę zapomniał o swoich własnych lękach w pełnym podziwieniu dla niej, ale tylko przez chwilę. - Wszyscy wiedzą, co pani robi, pani Needle!

— Starła się zabić cię za pomocą zjadliwego grzyba, wujku Gideonie! - wykrzyknął Tyler. - I poszczuła mnie tą... no, diabelską wiewiórką zeszłego lata...!

Lucinda zwróciła się do pozostałych, ale wielu z nich skuliło się, jakby chciała ich wyciągnąć na środek. - Co jest z wami wszystkimi? Czy nikt nie ma zamiaru niczego powiedzieć, mam mówić tylko ja z Tylerem?

Na pulchnej czerwonej twarzy Sary pojawiły się łzy, ale widać było, że twardnieją jej rysy. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale pani Needle popatrzyła na nią tak wściekłym wzrokiem, że kucharka pospiesznie je zamknęła.

— Naprawdę godzisz się na to? - zapytała stanowczo matka Colina, odwracając się do Gideona. - Słyszysz te bzdury, które wygadują te bachory? Słyszałeś, co mówiły? Trujący grzyb? Diabelska wiewiórka? - Z wściekłości oddychała tak ciężko (owszem, również ze strachu), że Colin wyobraził sobie swoją głowę i głowę matki nadziane na piki w otoczeniu wiwatujących mieszczan. - Będziesz tak siedział i pozwolisz, żeby nazywali mnie wiedźmą, kiedy sam najlepiej wiesz, że wykonuję wyłącznie twoje polecenia?

Teraz Gideon wyglądał, jakby dostał się między młot i kowadło.

— Słuchaj, Patience - powiedział - jestem pewien, że dzieci koloryzują... to tylko jakieś nieporozumienie...

— Nie, Gideonie. - Głęboki głos zaskoczył wszystkich. - Dzieci nie koloryzują. - Ragnar wystąpił z szeregu. - Posłuchasz mnie? Czy moje słowo coś dla ciebie znaczy?

Gideon gapił się na niego.

— Ragnar...?

— I ja też muszę przemówić, Gideonie - dodał pan Dobrochodzki z

kanapy. - Dzieci mają rację: ta kobieta to trucizna, Gideonie. Chce nas wszystkich zgnieść. Chce wszystkiego dla siebie.

— Kłamcy! - Colin nawet nie uświadamiał sobie, że to on krzyknął, dopóki oczy wszystkich nie zwróciły się w jego stronę. - Nieprawda! Ona nie jest...

A potem nagle odwrócił się i wyszedł chwiejnie z salonu, nie wiedząc z początku, dokąd ma iść, poza tym, że z dala od oskarżycielskich spojrzeń, z dala od matki, która zachowywała się jak kotka broniąca się przed ujadającą sforą.

— Colin! - krzyknęła pani Needle świdrującym w uszach głosem. - Colin, dokąd ty idziesz? Wracaj tutaj!

Ale nagle wiedział, co ma zrobić. Pognał na górę do swego pokoju.

Po niecałej minucie Colin z plecakiem przyciśniętym do piersi przeskoczył ostatnie kilka stopni i zaczął przepychać się przez tłum w Wężowym Salonie. Wszyscy krzyczeli, nawet jego matka, która rzadko podnosiła głos nawet w najgorszych okolicznościach.

— Dostałaś już wystarczająco dużo szans na poprawę, wiedźmo! - dudnił Ragnar głosem, którym można było wbijać gwoździe.

— Zamknij pysk, ty wikiński wieśniaku! - krzyczała Patience Needle.

— Wieśniaku? - Głos Ragnara, o ile to oczywiście możliwe, zabrzmiał jeszcze potężniej. - Ja byłem królem!

— Przestańcie - krzyknął ktoś donośnym głosem.

Gideon odrzucił kołdrę, postawił stopy na podłodze i teraz podnosił się na nogi z pomocą Cezara.

— Przestańcie, wszyscy! Nie zniosę takiego zachowania w moim domu! - Odwrócił się i zobaczył Colina w drzwiach. Na twarzy starszego pana nie widać było ani cienia sympatii. - To dobrze, że wróciłeś, chłopcze, bo najwyraźniej mamy sporo do omówienia. Bardzo dużo poważnych, arcyważnych spraw...

Serce Colina było niczym kamień, podobnie jak reszta wnętrza. Po

twarży Gideona poznał, że nie ma powrotu do dawnych porządków, nie ma zmiotania śmieci pod dywan. Colin szarpał za pasek plecaka, starając się wyciągnąć kontiniuoskop.

— Poczekaj, Gideonie, poczekaj. Mam ci coś do pokazania...

Staruszek nie chciał niczego oglądać.

— Nie! Powiedziałem, że chcę rozmowy! Żądam odpowiedzi!

— Nie, wystarczy, że to zobaczysz... - Colin nie mógł odpiąć kłamry. - Moja... moja mama odgadła, gdzie to jest - posłała mnie tam, żebym to znalazł...

— Nic z tego, nic z tego! - wykrzyknął Tyler Jenkins, ruszając jak rumak dźgnięty ostrogą. Chwycił za plecak i starał się go wyrwać z rąk Colina. - Ty wierutny kłamco! Szedłeś za mną - ja to znalazłem!

— Tyler! Colin! Och, na miłość boską! - wykrzyknął Gideon bardziej poirytowany niż wściekły - czy ktoś może powstrzymać tych dwóch? Chcę, żeby ktoś zaczął w końcu rozsądnie mówić. Ragnar?

Ale kiedy nawet wielki wiking podszedł i sięgnął po plecak z kontiniuoskopem wielką dłonią i ramieniem tak silnym, że z łatwością mógłby to Colinowi odebrać, Gideon Goldring wydał z siebie dziwny odgłos. Ragnar zatrzymał się, zapominając na chwilę o plecaku. Wszyscy też na to patrzyli.

Gideon Goldring otworzył usta, by coś powiedzieć, ale nie padło z nich ani jedno słowo, tylko dobiegł straszliwy charkot. Starał się nabrać powietrza w płuca, ale z gardła dobiegało jedynie to charczenie. Gideon zrobił się purpurowy, jego twarz zaczęła ciemnieć, zmieniając barwę na jeszcze bardziej przerażającą, szarosiwą, i niespodziewanie upadł na podłogę.

— O, nie! - wykrzyknęła Lucinda Jenkins, zagłuszając wszystkich innych w pomieszczeniu. - Ma atak serca! Musimy zawieźć go do szpitala!

Ragnar puścił plecak Colina i w jednej chwili przypadł do Gideona. Staruszek wciąż się szamotał, ale z każdym ruchem coraz słabiej.

Niemrawo wierzgał nogami, zginał się i prostował niczym ryba wyjęta z wody.

— Nie może nabrać oddechu! - wykrzyknął Tyler. - Dzwońcie po karetkę!

— Będą tu jechać z godzinę - powiedziała Lucinda z twarzą pobladłą z przerażenia. - Czy pogotowie ratunkowe ma tu helikopter?

— Ragnar, podnieś go! - wykrzyknął Simos Dobrochodzki z kanapy. - Zanieś go do tej strasznej maszyny i zawieź do miasta! Szybko!

— Jeśli to zawał - powiedział Tyler - to potrzebuje pomocy natychmiast! Powinniśmy go zabrać do Carrillów....

Nagle pani Needle stanęła przy Ragnarze i Gideonie, który teraz ruszał już tylko rękami, choć były to jedynie niezdarne skurcze.

— To nie serce, głupcy - powiedziała głosem zdolnym przecinać szkło. - I kuracja jest bardzo prosta.

— O czym ty mówisz, więdźmo? - Ragnar najwyraźniej z radością skrzyłby jej kark gołymi rękami.

— Cicho, wikingu. Cofnij się, pomogę mu. - Ragnar nie miał najmniejszego zamiaru się wycofać. Popatrzyła na niego i rozejrzała się po sali. - Głupcy. Naprawdę wolicie, żeby Gideon umarł, niż żeby mu pomogła?

Głos pana Dobrochodzkiego przeciął ciężką ciszę.

— Pozwól jej, Ragnar. A sam idź i przyprowadź samochód pod główne wejście.

Pani Needle uśmiechnęła się złośliwie.

— Nie będzie potrzebny żaden samochód.

Sięgnęła do kieszeni swego fartucha i wyciągnęła niewielką fiolkę, czarną jak jej suknia. Otworzyła ją i wlała kilka kropel do otwartych ust Gideona.

— Co pani mu robi? - zapytała ostro Lucinda, ale matka Colina zignorowała ją, wpatrując się w Gideona, jakby to, że leży na podłodze i

łapie powietrze, było najbardziej interesujące na świecie. Colin mocno ścisnął plecak, nagle bardziej przerażony niż kiedykolwiek w życiu.

Chwilę później stężałe, rozciągnięte zmarszczki na twarzy Gideona zaczęły się rozluźniać. Siny kolor ustąpił prawie tak samo szybko, jak się pojawił, i po kilku chwilach ustało też charczenie. Gideon zamknął usta, po czym znów je otworzył i wciągnął powietrze. Bardzo szybko znów odzyskał normalny oddech.

— Gott wird gepriesen! - mruknęła Sara. - Chwała Bogu!

— Otrułaś go! - Lucinda Jenkins rzuciła oskarżycielsko w stronę matki Colina, równie przerażona, co wściekła. Tym razem Colin nie odezwał się ani nie zareagował, bo sam tak pomyślał. - Otrułaś go, żeby potem podać mu odtrutkę!

Pani Needle, o dziwo, uśmiechnęła się, choć nie był to miły uśmiech.

— Bzdury gadasz, dziecko. To przypadłość, która pojawiła się u Gideona latem, kiedy dochodził do siebie po swojej chorobie...

— Znaczy dochodził do siebie po grzybie, którym go trulaś? - zapytał kpiąco Tyler. - O tej chorobie mówimy?

Matka Colina nie przestała się uśmiechać, ale reszta jej twarzy przypominała sztywną maskę.

— Naprawdę, Jenkinsowie, powinniście się nauczyć szacunku dla starszych. Pewnego dnia wasze grubiaństwo sprawi wam duże kłopoty. - Kiedy Ragnar pomagał Gideonowi wejść do łóżka, pani Needle zwróciła się do pana Dobrochodzkiego, jakby był sędzią w jej sprawie: - Proszę bardzo, te dzieci mogą sobie wygadywać swoje bzdury, ale z pewnością ty rozumiesz, Simosie. Jesteś najstarszym przyjacielem Gideona. Rozumiesz, że ma poważne schorzenie, na które tylko ja mam lekarstwo i które mogę wyleczyć - a przynajmniej zniwelować symptomy. No to jak będzie, Simosie? Czy potrzebna jest nam bezsensowna wojna, czy też razem będziemy się starać, by Gideon wyzdrowiał, i zajmiemy się farmą dla przeuroczych Jenkinsów, którzy ją kiedyś odziedziczą. - Jej uśmiech w

jednej chwili zmienił się w cieką linię jakby od cięcia nożem. - Oczywiście jeśli dożyją tej chwili. Życie jest bardzo kruche nawet w nowym wspaniałym świecie.

Pan Dobrochodzki wpatrywał się w nią z twarzą, na której widać było smutek, złość i zmęczenie.

— Niech pan tego nie robi! - wykrzyknął Tyler, jakby przeczuwając, co nastąpi. - Zawieziemy Gideona do szpitala! Niech pan jej nie ustępuje!

— Nikt nikomu nie ustępuje, dziecko - powiedziała matka Colina ze wzrokiem wciąż utkwionym w panu Dobrochodzkiem. - Wypracowujemy... kompromis. Robimy, co jest najlepsze dla obu stron. I Gideon na to przystanie, daję ci na to słowo. - Spojrzała na Gideona. Znów był przytomny, lecz wystraszony jak dziecko, i nie podniósł wzroku na nią. - Tak, drogi Gideon zawsze rozumiał, co leży w jego najlepiej pojętym interesie. - Uniosła brew. - No to jak, Simosie? Pokój między nami?

Ragnar odszedł od Gideona i stanął nad panią Needle, patrząc na nią z góry i zwijając dłonie w żylaste pięści. Każde z jego ramion miało szerokość matki Colina.

— Powiedz mi, jak to chcesz załatwić, Simosie - wycodził wiking przez zaciśnięte zęby - a stanę za tobą.

Pan Dobrochodzki pokręcił głową.

— Muszę myśleć o Gideonie i o farmie - powiedział. - Niech więc będzie pokój. - Spojrzał na matkę Colina i na niego samego, a jego oczy nagle tak pociemniały, że Colin aż drgnął. - Ale pamiętajcie, mamy pokój, dopóki Gideon i dzieci będą cieszyli się dobrym zdrowiem.

Pani Needle roześmiała się.

— Jak mówiłeś, Simosie - pokój. Na razie. Chodźmy, Colin.

Colin Needle miał już oddać kontiniuoskop, by ocalić swoją matkę, ale teraz nie chciał nawet z nią iść. Jego skarb wciąż tkwił w plecaku i był jego słodką tajemnicą, skrytą przed wzrokiem innych. Znów go schowa, nawet przed swą matką. Cóż innego posiadał, co należało tylko do niego?



— Colin, czekam.

Nie chciał iść z matką, ale poszedł, bo zawsze to robił. Ale czy po dzisiejszym dniu czegoś nie należało zmienić? Musiał to przemyśleć, jak uświadomił sobie, wspinając się po schodach. Musiał się bardzo, ale to bardzo poważnie nad tym zastanowić.

# Rozdział 45

## Do samego nieba

Dobra, przyznaję - powiedział Tyler, kiedy jechali w wozie ciągniętym przez konia do farmy Carrillów. - Nie w pełni rozumiem, co się wczoraj stało. Przegraliśmy czy wygraliśmy?

Ragnar parsknął tylko.

— On zmienia testament, żebyście odziedziczyli farmę. To jest dla was bardzo korzystne.

— Wiem, wiem. Ale czy pani Needle znów się upiekło? Ja już jestem zupełnie głupi! To czarownica! Wydawało mi się, że źli muszą zostać ukarani.

— To nie jest takie proste Tyler... - zaczęła Lucinda, choć ona też się martwiła. Po wczorajszych przedziwnych wydarzeniach w Wężowym Salonie wieczór był długi i spokojny i bardziej przypominał stypę niż święto z udziałem mieszkańców Zwyczajnej Farmy, jak rok wcześniej przed ich odjazdem.

— Ale w jednym twój brat ma rację - powiedział Ragnar. Jego mina przypominała Lucindzie burzowe niebo z zeszłego tygodnia. - Nie udało się nam usunąć tej kobiety z domu Gideona. Pod tym względem to ona wygrała.

— Bo zatrąła Gideona - rzuciła Lucinda z goryczą. - Bo zaszantażowała wszystkich.

— Tak, ale ona jest niczym wąż: uderza z ukrycia - powiedział Ragnar. - Teraz musi z niego wyjść tak, by wszyscy ją widzieli. Nie bójcie się - Simos i ja nie będziemy dłużej milczeć. Dopilnujemy, żeby ta Needle nie

odzyskała władzy na farmie ani dawnej swobody. Tak, od tej chwili będzie to otwarta walka i Gideon nie będzie mógł tego unikać.

Po tych słowach Lucinda poczuła się trochę lepiej, ale kiedy drzwi od domu Carrillów otworzyły się i wypadli z nich Steve, Alma i Carmen, przysła jej do głowy inna myśl.

— Ale co będzie, jeśli zechce wam zrobić krzywdę? Nie będzie nas tutaj! Nawet nie będziemy mogli pomóc...

Ragnar poklepał ją wielką dłonią po plecach.

— Ja byłem królem, a Simos doradzał wielu królom w swoich czasach. - Wyszczерzył zęby w uśmiechu. - Może i pachniemy gnojem, ale dużo potrafimy. Nie martw się, dziecko - tak łatwo nie damy się zaskoczyć.

— Czas ruszać - powiedział Ragnar po zbyt krótkiej wizycie w domu Carrillów.

— Nie, jeszcze nie! - wykrzyknęła Carmen. - Jeszcze troszkę...

— Pociąg będzie na stacji za godzinę, a jedzie się wolno, bo wszędzie jeszcze leży błoto po deszczu - powiedział wielkolud. - Wiecie, że mam rację.

— Czy państwo Carrillowie są wciąż źli na wujka Gideona? - zapytała Lucinda.

Ragnar wzruszył ramionami.

— Gideon znów jest sobą i rozumie, że nie może dłużej ignorować tej sprawy. Powiedziałem im, że obiecał przyjechać do nich za kilka dni, kiedy się jeszcze bardziej wzmocni. Razem coś wymyślą. Gideon nie zechce stracić takich dobrych sąsiadów. - Tym razem jego uśmiech był wręcz łagodny. - Za dużo się lękasz - powiedział do Lucindy. - Może nie jest idealnie, ale teraz wszystko pójdzie lepiej. - Delikatnie strzelił lejcami i Pieprz począpał w stronę głównej drogi.

Nawet wiking Ragnar, choć był wielki, szybko kurczył się w oddali i w końcu zniknął, kiedy pociąg odjeżdżał ze stacji Standard Valley, ale Lucinda zdążyła wdrapać się na siedzenie i krzyknąć do niego przez

okno.

— Nie każcie nam czekać na powrót tutaj do przyszłego lata! Wiesz, że mamy różne ferie w szkole!

— Hej! - wykrzyknął Tyler, wpatrując się w GameBossa. - Wszyscy się gapią, Luce. Może powinnaś trochę zwolnić, siostró.

Ku jej zażenowaniu miał rację. Połowa pasażerów w wagonie odwróciła się i patrzyła na nią. Zobaczyła, że konduktor idzie w ich stronę, i pospiesznie ześliznęła się na siedzenie, ponownie przyjmując grzeczną postawę. Mężczyzna w mundurze zmarszczył brwi, ale poszedł dalej.

Tyler zagłębił się już na dobre w grę o nazwie Chomikomancja. Lucinda nie potrafiła zrozumieć, jak tak może zatracić się w grze i zapomnieć o całym świecie. Oparła się i zamknęła oczy, starając się wyciszyć na tyle, by móc czytać czy podziwiać widoki za oknem, ale myśli kołowały jej w głowie niczym spłoszone ptaki i nie zamierzały przestać. Co się stanie? Skoro mają zostać spadkobiercami Gideona, to czy ich mama nie powinna się o tym dowiedzieć? Czy przyjedzie na farmę wraz z nimi? A co będzie, jeśli mama spanikuje?

Ale najbardziej, uświadomiła sobie Lucinda, martwiło ją mocne przeświadczenie o tym, że nie doprowadzili spraw do końca. Wciąż pozostało wiele pytań!

— Nie tylko ty tego nie rozumiesz - powiedziała do brata.

Musiła odezwać się głośniej, niż chciała, bo Tyler usłyszał ją mimo słuchawek w uszach.

— Czegoś nie rozumiem? - zapytał, nie podnosząc nawet wzroku znad chomikowania.

— Bo ja wiem. Możesz przestać grać? - Czekwała chwilę. Mruknął coś i wyłączył grę. - Wielu rzeczy - powiedziała. - Co naprawdę chciała zrobić wiedźma Gideonowi za pomocą tego grzyba? I dlaczego ja też nie zmieniłam się w zombi? Czy dlatego, że nie wchłonęłam wystarczająco

dużo tej grzybni?

Tyler spojrzał na nią z miną niewiniątka.

— Myślę, że powinnaś zapytać: „Dlaczego nie zmieniałam się jeszcze bardziej w zombi?”

Dała mu mocnego kuksańca w nogę, żeby się skoncentrował.

— Daj spokój. Z listu wiemy, że ten grzyb pochodzi z Madagaskaru. Czy nie mówiłeś mi, że Octavio też wspominał coś o Madagaskarze?

— Jasne, mówił mi, że znajduje się po drugiej stronie kuli ziemskiej od Linii Uskoku. Przynajmniej tak mi się wydaje. Ze te oba miejsca są jak północny i południowy biegun. Ale było w tym mnóstwo naukowej paplaniny. - Pokręcił głową. - No dobra, to był wielki grzyb z madagaskarskiej Linii Uskoku. Ja też mam pytanie... W jaki sposób Gideon uciekł za pierwszym razem? Dlaczego błąkał się po polu w święto czwartego lipca?

— Myślę, że wiem. - Lucinda włożyła zakładkę do książki, po czym wsunęła ją do plecaka. - Kiedy byłam przy szklarni tamtego dnia, to widziałam stopiony metal. Myślę, że trafił weń piorun podczas pierwszej burzy.

— No i?

— No i jestem prawie pewna, że pani Needle tam go trzymała, a piorun trafił w szklarnię i wtedy... - wzruszyła ramionami - ...i wtedy ten grzyb jakby się przestraszył. Tak czy inaczej, myślę, że właśnie wtedy Gideon wyszedł, bo była burza, pamiętasz, a na drugi dzień był czwarty lipca, pojechaliśmy do Carrillów i nagle on się pojawił.

Tyler pokiwał głową.

— Dobra. To ma ręce i nogi. Ale co z resztą? Wiem, że Colin ma kontyniuoskop. Co będzie, jak zacznie badać Linie Uskoku?

Wzruszyła ramionami.

— Teraz nic na to nie możemy poradzić. Ostrzegłeś Ragnara i pana Dobrochodzkiego. Będą mieli oczy otwarte. Powiedzieli, że postarają się

odnaleźć urządzenie, a przynajmniej będę trzymać Colina z dala od Linii Uskoku.

Skrzywił się.

— To taki straszny koleś.

Po raz pierwszy Lucinda nie zamierzała się sprzeczać.

— A lustro, lustro przy umywalce? Mówią, że Gideon ma zamiar je zabrać pani Needle, więc to chyba dobrze, co?

— Chyba tak. Ale jakim cudem Octavio nic na ten temat nie wiedział? Jak mógł mieszkać w swoim domu i tego nie widzieć, choć na pozór wiedział wszystko?

Lucinda wciąż nie umiała się pogodzić z myślą o spotkaniu Tylera z dawno zmarłym Octaviem w upiornym tunelu pod ziemią i nie chciała o tym rozmawiać.

— Słuchaj - powiedziała - to jeszcze nic, ja sprowadziłam najgorszego wroga Gideona na farmę i uszło mi to płazem. Ta nasza Zwyczajna Farma to dom wariatów.

Tyler roześmiał się.

— Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś! Jesteś niesamowita, siostrzyczko!

Kiedy teraz o tym myślała, cała sprawa ze Stillmanem była przerażająca. Co ona sobie wyobrażała? Ale co było, to było. Wyszło całkiem nieźle. Nie było sensu tego roztrząsać.

Ojej, pomyślała, to zabrzmiało tak, jakby powiedział to Tyler. Nagle poczuła zadowolenie z faktu posiadania brata.

— Mam nadzieję, że wszystko się ułoży. I naprawdę chcę tam szybko wrócić - może na Święto Dziękczynienia!

Tyler znowu się roześmiał.

— Czy przypadkiem nie powtarzałaś przez całe lato: „Chcę wrócić do domu?”.

— Tak, a czy ty przypadkiem nie powtarzałaś przez całe lato: „Rety,

Lucinda, przepraszam, że wpakowałem cię w kłopoty”. Nie, czekaj, rzeczywiście, nigdy czegoś takiego nie powiedziałaś.

Rok wcześniej Tyler burknąłby coś opryskliwe albo zignorowałby ją i wrócił do GameBossa.

— Cóż, ktoś musi działać - powiedział. - Od tego właśnie jestem.

— Och, i jesteś w tym dobry, Tyler - powiedziała, mimo woli się uśmiechając. - Bardzo dobry.

Po chwili przestali rozmawiać, a Tyler znowu sterował czarodziejskim chomikiem, który pokonywał niebezpieczną drogę. Lucinda nie była w stanie czytać, a wyglądanie przez okno nie poprawiło jej humoru. Martwiła się tym, że popsuł się jej związek ze smokami. Po tym wszystkim, co Lucinda zdołała tego lata, po usilnych próbach nawiązania więzi ze smokami, wszystko się rozsypało w jednej chwili.

Ale ja tego nie chciałam! - pomyślała Lucinda. - Nie chciałam jej denerwować! Musiałam to zrobić, żeby uratować farmę, żeby uratować Gideona i innych, nawet smoki...

Tak bardzo cierpiała, że niemal poczuła to, co czuła owej nocy, mętlik gniewnych, przerażonych myśli Desty, które usilnie ignorowała. Lucinda odniosła wrażenie, że ma sople lodu zamiast serca. Przepraszam, pomyślała. Przepraszam, Desta!

Marchewkowa Dziewczynka jest smutna?

Tak bardzo się zdziwiła, że aż zaparło jej dech. Desta? To ty? Myśli smoczyce były niewyraźne, niczym głos, który można usłyszeć tylko wtedy, kiedy wiatr wieje w określonym kierunku. Teraz jednak Lucinda mogła te myśli odebrać. Desta?

Dlaczego jesteś smutna?

Jak Lucinda mogła to wyjaśnić smokowi, do tego młodemu? Zwłaszcza że nie miała już pewnie dużo czasu. Marchewkowa Dziewczynka jest smutna... bo skrzywdziła Destę. Nie chciała tego zrobić, ale musiała. To smutne. Marchewkowa Dziewczynka przeprasza. Bardzo, bardzo

przeprasza.

Nastąpiła chwila ciszy i Lucinda była pewna, że straciła kontakt. Niebawem napłynęły jednak słowa: Będzie lepiej, Marchewkowa Dziewczynko.

Co? Co mam zrobić, żeby było lepiej? Wyjeżdżam na wiele miesięcy! Lucinda starała się unaocznic jej upływ czasu, przesłała kolejne obrazy rosnących i malejących księżyców. Długo mnie nie będzie. Co mam zrobić?

Wróć niebawem. Tej myśli towarzyszyło rozbawienie smoczycy. Następnym razem przynieś więcej marchewek, miliony marchewek. Myśl ukazywała stertę sięgającą do samego nieba.

Przez umysł Lucindy przepłynął śmiech niczym struga ciepłych, mglistych bąbelków. Potem wszystko zniknęło i Lucinda Jenkins znowu pozostała sama w swojej głowie.



Tyler i Lucinda spędzają kolejne wakacje na Zwyczajnej Farmie. Miliarder Ed Stillman wciąż marzy o zajęciu posiadłości, więc wuj Gideon wprowadza radykalny system bezpieczeństwa – wykorzystuje nie tylko sterowane elektronicznie bramy oraz ogrodzenia pod napięciem, ale i wyjątkowo niebezpieczne stworzenia, takie jak mantykory czy bunyipy. Wszystkie te środki nie mogą jednak zapewnić ochrony przed zagrożeniami czyhającymi w domu. Złowieszcza pani Needle jest gotowa posłużyć się wszelkimi magicznymi sztuczkami, aby przejąć władzę nad Farmą. A kiedy w niejasnych okolicznościach znika sam wuj Gideon, sprawy przybierają jeszcze gorszy obrót...

„Pomysłowa i tajemnicza. Nie mogę się doczekać kolejnej książkowej przygody”.

Christopher Paolini,  
autor cyklu „Dziedzictwo”  
o Smokach ze Zwyczajnej Farmy

